

**INGRID HEDSTRÖM**

**DZIEWCZĘTA Z**

**VILLETTE**

Każdy wzięty z osobna to przeważnie poczciwe chłopisko, który mówi, że nikomu złego nie życzy, i sam w to wierzy. Ale tkwi w nim jeszcze cały rezerwat krwiożerczych niszczycielskich instynktów: dumny z nich nie jest, chowa je, lecz korcą go i ma ochotę je wyładować, byleby mu dano okazję<sup>1</sup>.

Roger Martin du Gard, Rodzina Thibault

Akcja powieści rozgrywa się w Villettesur-Meuse, belgijskim mieście, które nie istnieje w rzeczywistości. Żeby usytuować je nad Mozą, gdzieś między Namurem i Dinant, pozwoliłam sobie na pewną dowolność w traktowaniu geografii, topografii i geologii tej części Belgii. Wydarzenia i postaci są fikcyjne, a ich ewentualne podobieństwo do prawdziwych - całkowicie niezamierzone.

Ingrid Hedström

---

<sup>1</sup> Przekład K. Pruszyński (wszystkie przypisy tłumaczki).

# OSOBY

Martine Poirot, sędzia śledcza w Villettesur  
Meuse Thomas Héger, jej mąż,  
profesor historii Philippe Poirot, jej brat,  
barman w Brukseli  
Tatia Poirot, córka Philippe'a,  
interesująca się modą Bernadette Vandermeersch, była żona Philippe'a,  
niepracująca zarobkowo Sophie Lind,  
siostra Thomasa, reżyserka i aktorka Yves Deshayes,  
prezes sądu Benoît Vercammen,  
prokurator w Pałacu Sprawiedliwości w Vilette  
Clara Carvalho,  
prokurator w Pałacu Sprawiedliwości w Vilette Julie Wastia,  
kancelistka w Pałacu Sprawiedliwości w Vilette Agnes Champenois,  
kancelistka w Pałacu Sprawiedliwości w Vilette Dominic di Bartolo,  
szef kancelarii w Pałacu Sprawiedliwości w Vilette,  
przebywający na zwolnieniu chorobowym Christian de Jonge, komisarz kryminalny  
Willy Bourgeois, komisarz kryminalny  
Annick Dardenne, inspektorka kryminalna  
Serge Boissard, inspektor kryminalny  
Walter Hallstein, komisarz kryminalny z Bundeskriminalamt  
Alice Verhoeven, profesorka i lekarka sądowa  
Brigitte Onckelinx, adwokatka  
JeanMarc Poupart, burmistrz Vilette  
Annalisa Paolini, wiceburmistrz Vilette  
Jean-Pierre Santini, szef kancelarii burmistrza  
Tony Deblauwe, właściciel restauracji A la Justice Aveugle  
Bruno Wastia, wujek Julie, handlarz samochodami

Jean-Pierre Wastia, kuzyn Julie, urlopowany żołnierz  
Denise van Espen, antykwariuszka z Brukseli  
Nigel Richards, brytyjski korespondent w Brukseli  
Francesco Marinelli, włoski korespondent w Brukseli  
Jacques Martin, niezależny fotograf z Paryża  
Stefan Schumann, niemiecki korespondent w Brukseli  
Nathalie Bonnaire, dziennikarka lokalnej „Gazette de Villette”  
Louise Bouvin, kierowniczka hotelu  
MarieLou Nawezi, sprzątaczką hotelowa  
Emma O’Neil, lobbystka z Brukseli  
Giovanni Weiss, fryzjer z Brukseli  
Huguette Morin, emerytka z Brukseli  
Timothy Debaere, historyk z Brukseli

# PROLOG

Kwiecień 1943 Uccle Nienawidził Simone. Ledwie ją zobaczył siedzącą przy otwartym oknie, zalała go fala czarnej, trującej nienawiści. Jak zwykle pochylała się nad zielonym notesem, firanka jasnych jedwabistych włosów przesłaniała jej twarz. Nie, nie powinien tak myśleć. Nie powinien myśleć ani o włosach i ich zapachu, ani o piersiach opiętych przyciasną sukienką, z której wyrosła, ani o plamach atramentu na jej silnych małych dłoniach. Powinien skupić się na nienawiści.

Podniosła głowę, zauważyła go i ku jego zdumieniu pomachała mu ręką i uśmiechnęła się jakby nigdy nic. Na jej lewym policzku pojawił się charakterystyczny dołek, bardzo wyraźny, ba, niemal namacalny. Jakby nic się nie stało. Jakby sobie nie uświadamiała, że jej nienawidzi.

Nie miała pojęcia, kogo odrzuciła. A mogła być jego Jenny. Teraz myślał tylko o tym, że jeśli zechce, może ją zranić. Wiedział, czym się zajmuje, ona i Renée. Kiedyś zauważył Renée w tramwaju: usiadła obok niemieckiego oficera i ukradkiem podmieniła jego teczkę. A kiedy przeglądał zielony notes Simone, żeby sprawdzić, czy jest tam coś o nim, zobaczył, że interesuje się gośćmi odwiedzającymi jego ojca. Pośród problemów matematycznych, które nie wiedzieć czemu bez przerwy ją zaprzętały, były daty, nazwiska i godziny. Na pewno komuś o tym meldowała.

Gdyby ją wydał - na co jeszcze się nie zdecydował, ale już sama możliwość przepełniła go gorącym poczuciem władzy - zabrałoby ją gestapo. Na myśl, co by tam z nią robili, fala ciepła zalała mu pachwiny i stwardniał członek; zabronione doznanie, nieodłącznie związane z karą i plugastwem, ojcowskim kijem i piwnicą, w której był zamykany w dzieciństwie. To nie jego wina, tylko Simone, i powinna dostać za swoje. Gdyby powiedział, co wie, ukaraliby ją Niemcy, ale w gruncie rzeczy to on wymierzyłby jej karę. Może by umarła.

Ojciec nie cierpiał rodziny Simone i jego przyjaźń z nią uważał za jeszcze jeden dowód miernoty syna. Ojciec Simone był jednym z kancelistów sądowych, którzy w ubiegłym roku odmówili przeprowadzenia sprzedaży mienia żydowskiego, o czym jego ojciec rozmawiał całymi godzinami ze swoimi gośćmi. Jak zwykle dochodzili do wniosku, że rozpad ładu i moralności zaczął się tuż po poprzedniej wojnie, kiedy robotnicy uzyskali prawa wyborcze. Słuchał tego

jednym uchem, ale kto wie, czy nie mieli racji. Sam nie wiedział, co o tym myśleć. W jego świecie ojciec był tyranem, a Simone świetlaną zbawicielką. Teraz, w jego nowym świecie, kiedy znienawidził Simone, ojciec mógłby być kimś innym. Opowiada mu o Simone i Renée, a on po raz pierwszy patrzy na niego z dumą i aprobatą.

- Wiedziałem, synu - mówi - wiedziałem, że prędzej czy później dokonasz słusznego wyboru. Teraz dowiodłeś, że jesteś prawdziwym mężczyzną i prawdziwym patriotą.

Potem wspólnie i solidarnie wydaliby Simone i jej bandę w ręce Niemców. Z szorstkim, męskim smutkiem myślałby czasami o tym, co ją spotkało i ile kiedyś dla niego znaczyła, ale w kategoriach koniecznego wyrzeczenia.

Próbował zapomnieć o gorących pachwinach i sztywnym członku, w pamięci pojawiały się nieskazitelne obrazy, które usiłował przywołać, zakazane uczucia okazały się jednak silniejsze. Gdyby ojca nie było w domu, może zdobyłby się na odwagę, zszedł do piwnicy i zrobił to, czego mu nie wolno. I wyobrażał sobie Simone na gestapo.

Spojrzał w okno. Teraz stała w nim Renée, z twarzą okoloną chmurą ciemnych włosów. Renée nic dla niego nie znaczyła. Była jedynie dodatkiem do Simone, a w jego nowym świecie, świecie bez Simone, w ogóle nie istniała, obchodziła go mniej niż zeszłoroczny śnieg. Obie uśmiechnęły się do niego, Simone gestem zaprosiła go do domu. Otworzył furtkę i ruszył dobrze mu znaną ogrodową alejką.

Nie podjął decyzji. Jeszcze nie.

# ROZDZIAŁ 1

Sobota, 11 czerwca 1994, Bruksela

Denise van Espen szybkim krokiem przemierzała Rue des Minimes. Była zła, gnąła naprzód jak furia, nie przejmując się wąską spódnicą ani wysokimi obcasami. Muszę się uspokoić, pomyślała. Eric Janssens należał do jej najlepszych klientów. Nie może pójść do najlepszego klienta i go zwymyślać. Ale dlaczego nawalił akurat dzisiaj? Jej mąż Max już powinien być w drodze do domu aukcyjnego w Gandawie z gotówką, którą Eric Janssens zdecydował się po długich wahaniach wyłożyć na zakup obrazu Fernanda Toussainta. O dziesiątej miał przyjść do ich antykwiariatu, żeby sfinalizować transakcję. I się nie pojawił!

Nad dachami wisiało poranne słońce. Zapowiadał się piękny dzień. Minęła rzędy niskich domów i sklepików, ulica zaczęła piąć się pod górę. Po lewej wznosiła się ciężka bryła Pałacu Sprawiedliwości, z jego kolumnami i lwami z kamienia, ciemna i złowieszcza jak zamek widmo w filmie grozy. Tuż obok Denise poderwało się do lotu stadko gołębi, niemal muskając jej włosy.

Wielokrotnie była w domu Erica Janssensa. Mieszkał sam na najwyższym piętrze budynku przy Rue Jean Jacob niedaleko Pałacu Sprawiedliwości, gdzie z tarasu na dachu miał zachwycający widok na Brukselę, a w mieszkaniu jeszcze bardziej zachwycający zbiór dzieł sztuki i antyków.

Wybrała kod na klawiaturze domofonu, weszła na klatkę i wjechała windą na szóste piętro. Poprawiła włosy i zanim zadzwoniła do drzwi, policzyła do stu, żeby odzyskać w miarę spokojny oddech.

Usłyszała dźwięk dzwonka w mieszkaniu, ale nikt nie otwierał. Zadzwoniła jeszcze raz, zerkając na wizjer. Cisza.

A jeśli dostał ataku serca?! Dopiero teraz o tym pomyślała. Przecież kiedy w końcu podjął decyzję, bardzo mu zależało na kupnie tego obrazu.

Eric Janssens nie wyglądał na sercowca. Szczupły, sprawny fizycznie pięćdziesięciodziewięciolatek. Chociaż ostatnio był trochę nieswój, trochę... dziwny... Zauważyła to dwa tygodnie temu, kiedy zatelefonował do niej z prośbą o zabranie dwóch kufrów ze starymi ubraniami, których chciał się pozbyć. Wydawał się podniecony, niemal egzaltowany.

Zjechała windą na parter i zadzwoniła do drzwi Marii Cunhal, emerytki zajmującej byłą dozorcówkę, która dorabiała do emerytury, sprząając u niektórych lokatorów. Zwykle pomagała Ericowi, kiedy miał gości, i u niego Denise ją spotkała.

Maria Cunhal otworzyła natychmiast. Poznała Denise i zaprosiła do kuchni, gdzie na stole obok filiżanki kawy i koszyka z pieczywem leżała poranna gazeta. Denise powiedziała, że adwokat Janssens nie przyszedł na umówione spotkanie i że zaczyna się o niego niepokoić.

Maria Cunhal, mrużąc oczy, popatrzyła na nią zatroskana zza okularów w złotej oprawce.

- Nie wygląda to dobrze. Wczoraj adwokata też nie było, mimo że się umówił. Zadzwonił do mnie, tak jak pani, bardzo przystojny młody mężczyzna...

Maria Cunhal miała rozmarzoną twarz. Denise uśmiechnęła się w duchu. Ciekawe, czy ta Portugalka wie, dlaczego tylu urodziwych młodych mężczyzn odwiedza Erica Janssensa.

- Nie, nie, żaden z tych - powiedziała Maria Cunhal, jakby czytała w jej myślach, i spojrzała ostrym wzrokiem. - Era sério, ten miał ważną sprawę. I był trochę starszy, starszy od pani, madame. Miał przyjść dzisiaj, obiecałam, że powiem o tym adwokatowi. Ale nie widziałam monsieur Janssensa, nie pokazał się od czwartku wieczorem. To bardzo dziwne.

Kobiety popatrzyły na siebie.

- Myślę, że powinniśmy do niego zajrzeć - zdecydowała Denise. - Chyba ma pani klucze, madame Cunhal?

Maria Cunhal już zdążyła po nie sięgnąć.

Ledwie otworzyły drzwi, poczuły metaliczny, dławiący zapach. Denise, zanim go rozpoznała, mocniej zabiło serce i włosy zjeżyły się na rękach. Cicho wślizgnęły się do środka, trzymając się blisko siebie.

Leżał na podłodze w gabinecie, z głową zwróconą w stronę biurka. Potylica przypominała lepka krwawą miazgę, cuchnęło jak w rzeźni, lustra, szafy biblioteczne i antyczne mahoniowe biurko znaczyły ciemnoczerwone rozbryzgi. Mnóstwo krwi, pomyślała Denise, aż tyle krwi w jednym człowieku. Zrobiła kilka kroków. Może jeszcze żyje. Muszą mu pomóc! Ale wiedziała, że to na nic. Eric Janssens był martwy, nad ciałem krążyły muchy. Poczula wzbierającą falę mdłości i chwyciła się krzesła, żeby nie zemdleć. Miała wrażenie, że czas stanął w miejscu. Stopklatka. Jej wzrok zarejestrował wysunięte szuflady, pootwierane szafy, przewracane meble. Na mosiężnym stolikutacy leżała grzbietem do góry otwarta książka. Przeczytała tytuł wydrukowany czerwonymi literami: Rodzina Thibault. Na blacie biurka, pośród licznych plam



krwi i substancji mózgowej rzucał się w oczy nienagannie czysty prostokąt, jakby coś stamtąd później zabrano. Przy zwłokach leżała zakrwawiona statuetka: francuska filigranowa nimfa z brązu z przełomu dziewiętnastego i dwudziestego wieku, którą Denise sprzedała Ericowi pół roku temu.

Maria Cunhal, blada, ale opanowana, skrzyżowała ręce na piersiach i nie ruszyła się na krok z przedpokoju.

- Chodźmy, madame van Espen, musimy zawiadomić policję.

Z uczuciem niekłamanej ulgi Denise usiadła przy stole roboczym w piwnicy przy Rue des Minimes. Policja przesłuchiwała ją bez końca; pytania, pytania, pytania. Max pojechał do Gandawy bez gotówki Erica Janssens, w antykwariacie na cały dzień zastąpiła ich Laurence, pomagająca im czasami studentka akademii sztuk pięknych. Denise przeglądała przedmioty stanowiące majątek po zmarłym, które niedawno dostali, nie mogła się jednak opędzić od myśli o zbryzganym krwią gabinecie przy Rue Jean Jacob. Niechętnie poszła tam jeszcze raz z komisarzem Patrickiem Anneessensem, żeby się zorientować, czy nic nie zginęło. Mimo że mieszkanie wyglądało jak po przejściu tornada, wszystko, co wartościowe, było na swoim miejscu. Denise знаła tutaj każdy obraz i każde cacko i nie miała wątpliwości, że niczego nie brakuje.

- Musiał czegoś szukać - powiedziała, patrząc na otwartą szafę w sypialni, wybebeszone szuflady komody i ściągniętą z łóżka pościel.

- Możliwe - z zadumą przyznał komisarz Anneessens. - W każdym razie portfel zniknął. W Pałacu Sprawiedliwości krążą plotki, że Eric Janssens zapraszał do siebie młodych mężczyzn. Czy coś pani o nich wie? Znała go pani.

Denise posłała Anneessensowi złe spojrzenie.

- Chyba nie zamierza pan na tym poprzestać? Za chwilę pan powie, że sam sobie winien, bo prowadził ryzykowny styl życia. Tak czy inaczej, byli pełnoletni.

- Proszę się nie gniewać. Widywałem Erica w pracy i darzyłem go szacunkiem. Był doświadczonym, rzetelnym prawnikiem. Nie mam z góry wyrobionej opinii o powodach morderstwa, ale nie mogę pomijać tego, co oczywiste.

Denise zerknęła na zegarek. Było już po lunchu, równie dobrze może poczekać do powrotu Maxa i wspólnie zjedzą kolację. Czowała się oblepiona kurzem i zaschło jej w gardle. Może zrobi przerwę i napije się czegoś zimnego w jednej z kafejek na Place du Grand Sablon.

Usłyszała dźwięk dzwonka. Najwyraźniej Laurence zapomniała zamknąć drzwi, wychodząc, mimo że Denise ją o to prosiła. Ale w tych czasach nie wolno lekceważyć potencjalnych klientów. Pospiesznie zdjęła bawełniane rękawiczki i fartuch roboczy, których zwykle używała podczas pracy.

- Już idę! - zawołała, wchodząc po spiralnych żeliwnych schodkach prowadzących do sklepu.

W drzwiach stała młoda dziewczyna. Denise zobaczyła najpierw parę gładkich nogawek i czarnych, obcisłych spodni, a potem całą postać, zwielokrotnioną w lustrach wiszących na bocznej ścianie. Miała ciemnorude włosy, gładko zaczesane do tyłu, i mocno umalowane usta niemal czarną pomadką, podobnie jak kelnerki z De Ultieme Hallucinaties na Rue Royale, gdzie w piątek wieczorem Denise i Max byli na kolacji.

Denise nigdy wcześniej jej nie widziała. A może widziała? Gdy stanęła naprzeciwko niej, dostrzegła coś znajomego... zielone oczy, krój ust...

- Catherine?

- Tak, jestem Tatia Poirot - odpowiedziała z nieśmiałym uśmiechem, wyciągając rękę na powitanie.

Uśmiech całkowicie przyćmił jej dekadentki image. Pod makijażem kryła się bardzo młoda dziewczyna o dziecięcym, okrągłym policzkach. Ile mogła mieć lat? Denise zaczęła liczyć i doszła do wniosku, że szesnaście.

Catherine Poirot, pieszczotliwie nazywana Tatią, była bratanicą Martine, najlepszej przyjaciółki Denise. Denise nie widziała jej od lat, ale zapamiętała małą rudowłosą dziewczynkę, którą spotkała parę razy z Philippe'em Poirotem, jej młodzieńczą fascynacją, i jego żoną. Czuli sympatię do tego dziecka. Z udawaną wesołością starało się odwrócić uwagę od rodziców, których koszmarne relacje nie pozostawały bez wpływu na ogólny, fatalny nastrój udzielający się wszystkim. Denise pamiętała jej zalężnione spojrzenia, rzucone na nich ukradkiem, ilekroć rozmowa zaczynała zbaczać na pole minowe. Obecnie, o czym Denise wiedziała od Martine, Tatia mieszkała z matką i jej drugim mężem.

- Kopeć lat, Tatia! - Denise odwzajemniła uśmiech i uściśnęła jej dłoń. - Co cię do mnie sprowadza?

- Martine mi panią poleciła. Powiedziała, że mogłabym u pani kupić stare ubrania pochodzące z majątku po zmarłych. Ja noszę mnóstwo używanych ciuchów, niektóre przerabiam. Dla siebie albo dla innych.

Spojrzała z nadzieją na Denise, która w zadumie przypatrywała się jej czarnej garderobie. Dopasowany w talii żakiet z aksamitnymi wyłogami leżał idealnie, ale gęsto tkana gabardyna rzeczywiście mogła być z jakiegoś starego ubrania. Jeśli Tatia sama to uszyła, nie brakowało jej talentu. Tylko czy ma jej coś do zaoferowania? Czasami przejmowali cały majątek, ale zawsze jak najszybciej pozbywali się ubrań i tekstyliów. Ależ tak, przecież ma kufry Erica Janssensa! Są w piwnicy. Nawet ich nie otworzyła. Wahala się przez krótką chwilę. Ubrania były tutaj od dwóch tygodni. Nie miały żadnego związku z morderstwem.

Poza tym Tatia nie musi wiedzieć, skąd pochodzą.

- W piwnicy mam dwa kufry, których zawartość może cię zainteresuje. Przejrzyj i weź, co ci się tylko spodoba. Chodźmy!

Tatia schodziła do piwnicy tuż za Denise, mocno trzymając się poręczy, żeby się nie poślizgnąć na wytartych stopniach w swoich gładkich na wysokim obcasie. Z ciekawością, z jaką zwykle obserwowała spotykanych ludzi, patrzyła na szczupłe plecy Denise. W jasnoróżowym bliźniaku i szarej ołówkowej spódnicy przypominała nieco ciemnowłosą Grace Kelly. Tyle że - co od razu zauważyła - na łokciu sweterka była dziura, a kolczyki nie od pary. Pewnie celowo. Tatia nie miała cienia wątpliwości, że każdy się na swój sposób przebiera. Już w dzieciństwie rozumiała, że rodzice byli przebrani za szczęśliwe małżeństwo, że grali role mniej więcej tak samo rzeczywiste jak w wytwornej rodzinie w jej domu dla lalek. Ona przebierała się za kogoś, kim chciałaby być, za osobę o wyrafinowanym stylu, niewrażliwą i dużo starszą od prawdziwej Catherine Poirot. Denise van Espen jest przebrana za chłodną i wymuskaną antykwariuszkę, ale jej kolczyki i dziurawy sweterek świadczą o tym, że za fasadą kryje się ktoś inny.

Na dole, przy schodkach, wokół długiego stołu roboczego oprócz dwóch krzeseł stały skrzynie, prawdopodobnie z obrazami i innymi przedmiotami sztuki. Na blacie leżało połączone lustro, szkło powiększające, segregator, miseczka z wodą i pudełko patyczków kosmetycznych.

Denise ruszyła w głąb ogromnej piwnicy, która zajmowała bodaj taką samą powierzchnię co sklep. W przeciwległej ścianie Tatia dostrzegła drzwi do garażu. Może do piwnicy było jeszcze jedno wejście od Rue de la Samaritaine.

- Oświetlenie, niestety, nie jest najlepsze - powiedziała Denise - ale jeśli wypatrzysz coś interesującego, możesz to obejrzeć na górze, w dziennym świetle. Kufry są za ciężkie, żebyśmy mogły je przenieść. - Podniosła wieka dwóch staroświeckich kufrów stojących przy ścianie. - Proszę, it's all yours! Wyjdę na pół godziny, ale ty możesz tu zostać. Bo ty to ty. - Uśmiechnęła się do Tatii i zniknęła na spiralnych schodkach. - Zamknę drzwi! Jeśli będziesz miała dość, możesz je otworzyć od środka, tylko pamiętaj, żeby je zatrzasnąć! Ciao!

Tatia usłyszała dźwięk dzwonka. Kucnęła obok najbliższego kufra. Uderzył ją dobrze znany zapach naftaliny i starych ubrań. Jej babcia, mama taty, każdej wiosny wynosiła ubrania z garderoby i wietrzyła, ale te od wielu lat, może dziesięcioleci, nie oglądały ani słońca, ani świeżego powietrza.

Delikatnie wyjęła ubrania leżące na wierzchu i przewiesiła przez wieko kufra. Ciemnoszary płaszcz męski z miękkiego materiału, przyjemnego w dotyku jak kaszmir, jesionka z wielbłądziej wełny, trzyczęściowy garnitur w kredowe prążki. Wszystko na szczupłego i raczej niskiego mężczyznę. Znakomite tkaniny, gęste, miękkie i elastyczne. Tatia aż westchnęła z nieklamanej przyjemności, czując pod palcami wykończony gołębimi lamówkami granatowy jedwab podszewki prążkowanej kamizelki. Po niewielkich poprawkach mogłaby w niej chodzić; wystarczy zebrać ją w talii i nadać w biuście. A marynarkę i spodnie przerobiłaby na kostium dla cioci Martine.

Tatia uważała Martine za jedną z najważniejszych dla niej osób. Była mocnym, niezawodnym ogniwem łączącym ją z ubóstwianym tatą, który na kilka lat zniknął z jej życia. Rozwód rodziców przyjęła z czymś w rodzaju ulgi, nie bardzo jednak wiedziała, dlaczego na tak długo straciła kontakt z Philippe'em. Mama Bernadette i ojczym Bert rozmawiali o nim tylko wtedy, kiedy myśleli, że ich nie słyszy, i zawsze półszepem, jakby leżał na łożu śmierci. Teraz wiedziała. Mroczna tajemnica polegała na tym, że tata lubił mężczyzn. Tatia, absolutnie zdecydowana na zrobienie kariery w świecie mody, nie przeżyła szoku, ba, uważała, że to cool. Czasami, kiedy śniła na jawie, widziała Philippe'a siedzącego na honorowym miejscu na jej pierwszym i oczywiście rewelacyjnym pokazie. Gorzej było z wyobrażeniem sobie Bernadette - o Bercie nie wspominając - która traktowała jej modowe marzenia jak chwilowe fanaberie nastolatki. Według niej powinna zdobyć wykształcenie handlowe i podjąć pracę w Demeester Delikatessen, odnoszącej sukcesy i rozrastającej się sieci sklepów delikatesowych Berta.

Wykształcenie handlowe! Tatia prychnęła na samą myśl. Prychając, wzbiła kurz na starych kufrach i kichnęła.

Zdjęła z wieka ciemnoszary płaszcz, żeby się przyjrzeć krawieckiej robocie. Prawie na pewno był szyty na miarę. Tak, dostrzegła dyskretne logo zakładu w Uccle. Rodzice ojca mieszkali w Uccle. Odwiesiła płaszcz i przepatrzyła resztę ubrań w kufrze. Większość pochodziła z tego samego zakładu. Niemal wszystko mogła wykorzystać. Denise powiedziała, że może wziąć, co zechce, ale chyba nie miała na myśli wszystkiego? Musi na nią poczekać i spytać.

Rozbrzmiał dzwonek. Jakby ktoś szarpnął za klamkę. Czyżby Denise? Tak szybko? Nie, przecież Denise ma klucz. Zobacz kto to.

Ruszyła po spiralnych schodkach, ale jakiś instynkt przesłał sygnał alarmowy do jej układu nerwowego i zatrzymała się w pół drogi, z mocno bijącym sercem. Stojąc w półmroku, widziała dolną część drzwi wejściowych. Za mrozoną szybą majaczyła czyjaś sylwetka. Klamka przesunęła się w dół. Wolno, bardzo wolno. Nagle na ulicy dały się słyszeć kroki i podniesione głosy. Klamka znieruchomiała i postać przed drzwiami zniknęła.

Serce zwolniło, znów biło normalnie. Tatia nie miała pojęcia, skąd taka reakcja. To pewnie jakiś stały klient, który miał nadzieję, że zostanie wpuszczony po zamknięciu antykwariatu. Wróciła do swoich skarbów w piwnicy i zajęła się drugim kufrem. Natychmiast się zorientowała, że są w nim damskie ubrania. Drżąc z podniecenia, patrzyła na matową wełnianą krepę, błyszczącą satynę i gruby tweed w kolorach pudrowego różu, butelkowej zieleni, szafranowej żółci i głębokiej, prawie czarnej, atramentowej niebieskości. Wyjęła pudroworóżową część garderoby i rozłożyła niemal z nabożeństwem. Suknia wieczorowa wyszywana koralikami, cięta po skosie, typowy styl lat trzydziestych. Niestety, nie dla niej, dla Martine też nie. Jej mamie, poziomkowej blondynce, byłoby ładnie w tym kolorze, ale Bernadette rzadko interesowała się jej odkryciami. Poza tym nie wbiłaby się w tę suknię. Za to Denise van Espen wyglądałaby w niej fantastycznie! Wyobraziła ją sobie jak na zdjęciu w żurnalu mody: ciemne włosy wystylizowane na lata trzydzieste, niedbale oparta o postument, z cygarniczką w dłoni i antykami w tle. Musi pokazać tę suknię Denise i zaproponować, że ją dla niej przerobi. Będzie idealna.

Odłożyła pudrowo-różowe cudo i wyjęła następną część garderoby. Sukienka w szkocką kratę, krótki rękaw i biały zdejmowany kołnierzyk. Na pewno nie dla szykownej kobiety

noszącej wieczorowe suknie, tylko coś w sam raz dla uczennicy. Tkanina była pierwszorzędna, ale fason nieciekawym. Nie ma się nad czym zastanawiać.

Składając sukienkę, żeby ją schować do kufra, wyczuła coś sztywnego pod palcami. W ozdobnej kieszonce na piersi było czarnobiałe zdjęcie dwóch dziewcząt mniej więcej w jej wieku, blondynki i brunetki. Sądząc po ubraniach i fryzurach, zostało zrobione w latach czterdziestych. Przytulone do siebie, uśmiechały się trochę przesadnie, jakby coś odgrywały przed fotografem.

Blondynka miała wysokie czoło, okrągłą brodę i wyraźny dołeczek na lewym policzku. Z jej czystego, jasnego spojrzenia emanowała ogromna inteligencja. Tatia miała wrażenie, że mogłaby ją polubić.

Pomyślała o tym mimochodem, dopóki nie przeniosła wzroku na twarz drugiej dziewczyny, tak doskonale jej znanej, że włosy stanęły jej dęba. Patrzyła na spiczastą brodę, przydługi nos, bruzdkę nad pełną górną wargą, na migdałowe oczy i jaskółcze brwi. Przyglądała się jej mnóstwo razy, z niechęcią albo z aprobatą, zależnie od nastroju.

Na zdjęciu zobaczyła swoją twarz.

## ROZDZIAŁ 2

Piątek, 24 czerwca 1994, Villette

Nie mogły powstrzymać radosnego chichotu, idąc nieco chwiejnie poboczem szosy w sandałkach na wysokich obcasach. Spóźniły się na ostatni autobus, wbrew temu, co obiecały rodzicom, i nie miały innego wyjścia - musiały wracać pieszo. Od domu dzieliło je sześć kilometrów, które powinny pokonać w godzinę, gdyby nie obcasy. Teraz przejście jednego kilometra trwało dwa razy dłużej.

- Widziałaś jego minę?! - zaszcebiotała Sabrina.

Zmarszczyła brwi i skrzywiła usta w podkówkę, nieźle odgrywając irytację i rozczarowanie. Peggy zgięła się wpół w kolejnym ataku śmiechu. Objęte ramionami w talii wędrowały przed siebie.

Nadii, najmłodszej, nie było do śmiechu. Poważnie zastanawiała się nad zdjęciem butów i marszem na bosaka. Miała serdecznie dosyć starszej siostry i jej przyjaciółki. Bez butów za pół godziny byłyby w domu. Ale kilka kilometrów musiałyby iść sama poboczem szosy. To niebezpieczne. Co innego razem. Razem nic im nie grozi. Przecież są we trójkę.

Z przydrożnego cienia bezgłośnie wyłonił się kot. Przeciął szosę z postawionymi uszami, brzuchem prawie dotykał ziemi. Nocny myśliwy o ostrych pazurach, wietrzący ciepłą krew. Nagle zamarł, przyczał się i dał susa. Na poboczu rozległ się przerażający pisk. I cisza.

Sabrina i Peggy zareagowały śmiechem. Ale nie Nadia. Od dzisiaj nie lubiła kotów. Rano jej Minette zabiła trzy młode ptaszki. Patrząc na ich malutkie puchate ciała, miała łzy w oczach. Od tygodni ich mama pracowicie je karmiła i teraz, kiedy lada moment mogły zacząć latać, leżały nieruchomo z przegryzionymi szyjkami. Życie jest okrutne i bardzo smutne!

Żeby przynajmniej nie spóźniły się na autobus. Nadia suszyła im głowę, żeby się pospieszyły, ale Sabrina i Peggy bez przerwy się zatrzymywały, flirtowały z chłopakami, którzy zapraszali je na piwo, korzystały z darmowego jedzenia, chciały popatrzeć na jeszcze jeden występ muzyków w średniowiecznych kostiumach albo na akrobatów i połykaczy ognia, którzy w noc świętojańską tłumnie zaludniali śródmiejskie uliczki Villette. Kiedy wreszcie dotarły na

przystanek przy Quai des Marchands, zobaczyły tylne, czerwone światła odjeżdżającego autobusu.

Noc była ciepła, widziały przydrożny krajobraz, mrok pochłonął jedynie kolory. Różowa sukienka Nadii zrobiła się szara, a czerwony top Sabriny czarny. Jedynie jasna spódnica Peggy lśniła kredową bielą. Zachodzące słońce pozostawiło po sobie krwistą smugę na horyzoncie. Na wschodzie majaczyła perłowobiała, okrągła tarcza księżyca.

W tym miejscu blisko drogi była rzeka. Słyszały, jak chlupocząc, szepcząc i szeleszcząc, płynie do morza, czuły jej wilgotny chłód i zapach. Z pluskiem poderwała się kaczka, w nocnej ciszy wyraźnie łopotały skrzydła.

W oddali dał się słyszeć dźwięk silnika. Nadia poczuła leciutkie ukłucie niepokoju. Samochód minął je, nie zwalniając, czerwone światła zniknęły za najbliższym zakrętem.

Postanowiła zapomnieć o niewygodnych sandałkach i długiej drodze do domu. Będzie myślała o tym, co zobaczyła tego dnia. Odkąd sięgała pamięcią, zawsze uwielbiała procesje świętojańskie w Villette i mimo że skończyła już czternaście lat, serce znów mocniej jej zabiło na widok wolno przemieszczających się po Pont des Éveques rzymskich żołnierzy, średniowiecznych krzyżowców, orientalnych tancerek, zakonnic, księży, proroków, koni i wielbłądów, mieniących się złotem, szkarłatną czerwienią i fioletem. Najbardziej podobały jej się sceny biblijne. W tym roku były wyjątkowo piękne. Prawie wszystkie dziewczęta z Villette marzyły o tym, by podczas procesji chociaż raz zagrać na platformie samochodu biblijną księżniczkę Salome, która tańczy dla króla Heroda. W tym roku Salome zagrała tancerka z opery brukselskiej.

Nadia nie marzyła o Salome. Nie uchodziła za piękność. Była chuda, miała strąkowane włosy i od dziecka nosiła okulary. Nigdy się jednak tym nie przejmowała, bo w jej planach na przyszłość wygląd w ogóle się nie liczył. Chociaż ostatnio przychodziło jej to z coraz większym trudem. Przyjaciółki, z którymi przedtem mogła rozmawiać o ważnych rzeczach, nie wiedzieć czemu zaczęły się interesować chłopakami, kosmetykami i modą. Uznała, że powinna się dostosować. Dlatego dzisiaj po raz pierwszy zgodziła się, żeby Sabrina, uznana specjalistka od urody, umalowała ją i zrobiła coś z włosami. Właściwie wbrew swojej woli poczuła miły dreszczyk, widząc, jak jej krótkowzroczne ciemne oczy nabierają wyrazu dzięki tuszowi i cieniom, a różowy błyszczący o smaku malinowym przydaje jej dziecięcym wargom wilgotnego połysku.



Nadia nie lubiła Sabriny. Najlepsza przyjaciółka jej siostry Peggy była według niej zarozumiała, zapatrzona w siebie i złośliwa. Dąsała się tygodniami, kiedy się okazało, że w tym roku ominie ją szansa na casting do roli Salome. Koniec końców została jedną z tancerek towarzyszących Salome na platformie i humor jej się poprawił. Tego dnia Sabrina odniosła mały sukces: świetnie wypadła w orientalnym stroju, robili jej zdjęcia nie tylko reporterzy z lokalnej „Gazette de Villette”, ale też operatorzy z dwóch zagranicznych ekip telewizyjnych i fotografowie pracujący dla kilku zagranicznych czasopism. Podniecona powodzeniem skupiała na sobie mnóstwo spojrzeń również po procesji. Rzucała włosami, wybuchała perlстым śmiechem, flirtowała z ogorzałymi żołnierzami skoszarowanymi we Flawinne, rozmawiała po angielsku z zachwyconymi amerykańskimi turystami i została zaproszona na kolację we dwoje do najlepszej i najdroższej restauracji w Villette. Odmówiła. Nadia przypuszczała, że bała się reakcji rodziców, gdyby się o tym dowiedzieli.

Mimo że nie przepadała za Sabriną, lubiła na nią patrzeć, zwłaszcza na jej długie i gęste włosy, opadające falami do połowy pleców. W słońcu albo kiedy odrzucała głowę, mieniły się odcieniami złota, miedzi i rdzawej czerwieni. Nadia była najlepsza w szkole z rysunków. Chciała zostać malarką, wielką artystką. Mnóstwo razy próbowała namalować Sabrinę, nigdy jednak nie była zadowolona, nawet kiedy użyła drogich farb ze skrzynki malarskiej, którą kilka tygodni temu dostała na urodziny. Sabrinie się podobało i była pod wrażeniem, ale Nadia wiedziała swoje. Nie udało jej się uchwycić światła i ruchu ciemnozłotej kaskady włosów, tak jak chciała.

Poza tym wielokrotnie usiłowała namalować procesję na moście, z katedrą w tle. Najlepsza z jej akwareli, oprawiona, wisiała w szkole. Z niej też nie była zadowolona. Pragnęła przekazać emocje, które jej towarzyszyły, kiedy przyglądała się procesji, a to nie to samo, co wierne odwzorowanie zaplecionych grzyw koni i każdej fałdy płaszcza rzymskich żołnierzy. Jej ulubionym obrazem była Adoracja Baranka Ewy Lidelius. Drżała na całym ciele, kiedy pierwszy raz zobaczyła reprodukcję w albumie. Pewnego dnia namaluje coś równie poruszającego...

Nie, nie namaluje. Ni stąd, ni zowąd ogarnął ją paraliżujący strach, zimny i mroczny, i porażająca pewność, że jej marzenia nigdy się nie spełnią. Zobaczyła Śmierć maszerującą w procesji, czarną pelerynę, szczerzącą zęby czaszkę, naostrzoną kosę. Zesztywniały jej wargi i zlodowaciały opuszki palców, jakby serce przestało pompować krew.

To uczucie trwało zaledwie kilka sekund, zniknęło równie szybko, jak się pojawiło. Peggy i Sabrina nic nie zauważyły.

Znów w oddali rozległ się dźwięk silnika. Tym razem samochód zwolnił i kiedy się z nimi zrównał, zahamował.

Otworzyły się drzwi i usłyszały znajomy głos:

- Podwieźć was, dziewczęta?

# ROZDZIAŁ 3

Piątek, 24 czerwca 1994, Villette

Jeszcze nikt nie umarł, ale Martine Poirot była przygotowana na najgorsze. W dniu procesji świętojańskiej, największego święta w Villette, zaden sędzia śledczy nie marzy o dyżurze. Po mieście przewalają się tabuny turystów, wszystkie knajpy są zapełnione po brzegi, na ulicach tłoczą się nieprzebrane tłumy. W zeszłym roku doszło do trzech rozbojów, dwóch gwałtów i jednego zejścia śmiertelnego wskutek ran zadanych nożem. Martine spodziewała się podobnych, wątpliwych atrakcji. Ale na razie było spokojnie. Przy odrobinie szczęścia może uda jej się zjeść kolację, zanim zostanie wezwana na miejsce jakiegoś przestępstwa.

Zamknęła akta sprawy, nad którą pracowała, odłożyła na stos papierów zalegających biurko i rozejrzała się po gabinecie. Promienie słońca wpadające przez opuszczone do połowy żaluzje oświetlały bezlitośnie plamy na filcowej igłowanej wykładzinie, odrapane szafy z archiwaliami i mnóstwo śladów po kubkach do kawy na blacie Martine i jej kancelistki Julie Wastii.

Podeszła do lustra. No tak, jak zwykle musi poprawić fryzurę. Wyjęła szpilki i rozczesując sięgające ramion popielate blond włosy, krytycznie przyglądała się swojemu odbiciu. Zeszczupiała tej wiosny. Spodnie były luźne w talii, wyostrzyły się kości policzkowe. Śledztwo w sprawie morderstwa, które prowadziła w kwietniu, zakończyło się politycznym skandalem, ba, wzbudziło międzynarodowe zainteresowanie i nie miało wyłącznie miłych konsekwencji. Lubiła patrzeć na swoje zdjęcia w prasie, choć się do tego nie przyznawała nawet przed sobą, i w dolnej szufladzie biurka, pod zapasowymi rajstopami i podpaskami, trzymała tygodnik z jej najlepszą podobizną na okładce, na którą czasem ukradkiem popatrywała.

Nie wszystkie publikacje były jej życzliwe. Nie zaskarbiła sobie sympatii wielu decydentów w Villette. Ilekroć obracała się w kręgu miejscowych polityków albo niektórych kolegów z Pałacu Sprawiedliwości, czuła ich nienawistne spojrzenia i wyobrażała sobie ich złośliwe komentarze.

Na domiar wszystkiego dręczyły ją problemy osobiste.

Zamknęła biurko, wzięła torebkę i wyszła. Parne powietrze otuliło ją jak wilgotny koc. Na Rue des Chanoines docierały salwy śmiechu, okrzyki i zapachy: zapach smażonych frytek i gofrów, lekki odór piwa i ostry fetor stajni po przemarszu koni i wielbłądów. Na placu przed katedrą ktoś grał na zgrzytliwym średniowiecznym instrumencie. Z klubów na Quai des Marchands po drugiej stronie rzeki dochodziły dźwięki muzyki; głucho wibrujące basy, które się raczej odczuwało, niż słyszało.

Martine cały dzień spędziła w biurze. Nie licząc krótkiej przerwy, żeby z dziedzińca Pałacu Sprawiedliwości, visavis Saint Jean Baptiste, katedry pod wezwaniem Jana Chrzciciela, popatrzeć na uczestników procesji, gromadzących się na placu katedralnym.

Pierwsza wzmianka o procesji świętojańskiej w Villette-sur-Meuse pojawiła się w dokumencie z roku 1299, czyli procesje z relikwią Świętej Krwi w Brugii były późniejsze, o czym skwapliwie informowały wszystkie foldery turystyczne. W tym roku miasto podjęło próbę wylansowania się z myślą o otrzymaniu tytułu Europejskiej Stolicy Kultury 1999, na siedemsetlecie obchodów świętojańskich, i organizatorzy przeszli samych siebie, zapraszając tancerzy z opery brukselskiej i muzyków z najlepszych belgijskich orkiestr i ściągając wyjątkowo dużo koni i wielbłądów. Imprezę miał zwieńczyć wielki nieodpłatny koncert na placu katedralnym i fajerwerki nad rzeką.

Wszystko dlatego, pomyślała cynicznie Martine, że prawie tysiąc lat temu pewien handlarz uliczny w Jerozolimie wcisnął rycerzowi krzyżowemu Raimuntowi de Verneyowi rdzawoczerwony skrawek metalu, twierdząc, że pochodzi z miecza, którym ścięto głowę Jana Chrzciciela, i że są na nim ślady krwi proroka. Mimo to trudno było się nie poddać nastrojowi chwili, kiedy przez wrota katedry, przy wtórze dzwonów i liturgicznej pieśni, wyniesiono wysadzany klejnotami relikwiarz.

Z Brukseli zaproszono europejskich dziennikarzy. Przyjechali autokarem, żeby uczestniczyć w procesji, w przyjęciu w ratuszu, bezpłatnym koncercie i sobotniej konferencji prasowej o niebudzącej wątpliwości palmie pierwszeństwa Villette wśród kandydatów do Europejskiej Stolicy Kultury. Martina słyszała o dużym zainteresowaniu mediów, ale podejrzewała, że w znacznym stopniu było ono wynikiem niezbyt chlubnego rozgłosu, jaki zyskało miasto z powodu jej śledztwa.

Przebiegła ulicę, kierując się do A la Justice Aveugle<sup>2</sup>, restauracji jej przyjaciela Tony'ego Deblauwe, na rogu Rue des Chanoines i Rue du Palais. Drzwi były otwarte, bar już się zapełniał, tylko w części restauracyjnej wszystkie stoliki były wolne, ale sądząc po tabliczkach, większość została zarezerwowana. Za wcześnie na kolację, chyba że ktoś ma pecha i musi odbębnić dyżur. Na przykład sędziego śledczy.

Jej brat Philippe już siedział przy barze nad filiżanką kawy. Zerknęła na niego. Ostatnio był w Villette trzy lata temu. W kiepskim stanie, pilnie potrzebował gotówki. Teraz, w drogiej śmietankowobiałej lnianej marynarce, prezentował się całkiem, całkiem.

Wdrapała się obok niego na wysoki stół i kiedy pocałował ją w policzek, z pewnym rozbawieniem zarejestrowała zazdrosne spojrzenia wszystkich kobiet. Czy nie zauważyły, że są rodzeństwem? Wprawdzie Philippe miał ciemne włosy, a ona jasne, ich pokrewieństwo wydawało się oczywiste. Ona była ładna, on powalał urodą. Ludzie oglądali się za nim na ulicy i zastanawiali, w jakim filmie go widzieli.

- Cześć! Zdażyłeś pogadać z Tonym? Co wy kombinujecie?

Philippe obrzucił ją przelotnym spojrzeniem.

- Nic, wpadłem na pewien pomysł, taki projekt biznesowy, który omawialiśmy z Tonym, trochę papierkowej roboty. Teraz czekam na Tatię. Powinna być lada chwila.

- Tatią? To wspaniale! Dlaczego w takim razie nie przyjechała z tobą?

Philippe zmarszczył czoło.

- Miała przyjechać, ale musiała towarzyszyć Bernadette i Kielbasianemu Bertowi na otwarciu jego nowego sklepu w Ostendzie. Kielbasiane imperium najwyraźniej się rozrasta i pieniądze płyną szerokim strumieniem. Bernadette na pewno jest szczęśliwa.

Martine jak zwykle zirytował sposób, w jaki Philippe mówi o swojej byłej żonie i jej aktualnym mężu, ale ugryzła się w język i darowała sobie komentarz. Miała ważniejsze sprawy do przedyskutowania z bratem. Tylko trudno było jej zacząć.

Philippe Poirot zerknął na siostrę. Położyła dłoń na ustach, czyli zastanawia się nad czymś, czego nie chce albo nie ma odwagi powiedzieć. Domyślał się, o co chodzi. Martine chciała porozmawiać o ich matce Renée i jej wojennych losach. Renée dwa lata siedziała w Ravensbrück. Martine dowiedziała się o tym niedawno.

---

<sup>2</sup> Ślepa sprawiedliwość.

Philippe miał jakieś mgliste wspomnienia: zaciągnięte zasłony, płacz mamy, przyciszone głosy w sypialni rodziców, on pod drzwiami, nie może wejść, żeby mamę przytulić. Wtedy usłyszał słowo „Ravensbrück” - obce, zimne i ostre - i zrozumiał, że ma coś wspólnego z tym, że mama się zmieniła. „Głupie Ravensbrück!” - powiedział kiedyś do taty, a tata poważnie mu odpowiedział: „Nie mówmy o tym, Philippe, bo mamie będzie przykro”. „Ravensbrück” stało się groźnym słowem, którego nie wolno było wymawiać, tak pilnie strzeżonym tabu, że jego młodsza siostra o niczym nie miała pojęcia. Dni za zaciągniętymi zasłonami wciąż się powtarzały, obce i zimne, wszyscy mówili półszepem, lękliwie zerkając na zamknięte drzwi sypialni.

Martine nie wiedziała, co kładło się cieniem na ich dzieciństwie, dopóki dwa miesiące temu nie wspomniała o tym mimochodem stryjenka Lucienne. Teraz nie dawało jej to spokoju. Jej mąż Thomas powiedział Philippe’owi, że ona ciągle o tym myśli, szuka książek o Ravensbrück, czyta artykuły o okrucieństwie wobec kobiet muzułmańskich w obozie koncentracyjnym w Bośni i zastanawia się, jak poznać całą prawdę o wojennych przeżyciach Renée.

Philippe nie był tym zachwycony. Uważał, że lepiej nie grzebać się w przeszłości. Po co rozdrapywać stare rany, zwłaszcza że to może się źle skończyć.

Martine właśnie zamierzała się odezwać, kiedy z biura na zapleczu wyszedł Tony Deblauwe.

- Martine, telefon do ciebie. Możesz odebrać u mnie.

Jęknęła i poszła za bar.

- Podejrzewam, że moją kolację diabli wzięli.

Tony zaparzył sobie espresso.

- Zarezerwowałem dla was okrągły stół w niszy - powiedział do Philippe’a. - Myślę, że możecie go zająć, nawet jeśli Martine będzie musiała wyjść. Będziesz ty, Thomas, twoja Catherine...

- I siostra Thomasa, piękna Sophie Lind.

Tony postawił filiżankę na kontuarze i wbił w niego wzrok.

- Sophie Lind? Powiedziałeś „Sophie Lind”? Tylko nie mów, że masz na myśli tę Sophie Lind, która przez lata pojawiała się w moich młodzieńczych erotycznych snach?

- Całkiem możliwe. W każdym razie jest aktorką.

- O rany! Jak pokazywali jej pierwszy film, miałem piętnaście lat i obejrzałem go na lewo co najmniej pięć razy, żeby zobaczyć scenę, w której się kąpie. To szwagierka Martine? I będzie dzisiaj na kolacji? Dlaczego nikt mi o tym wcześniej nie powiedział? Mam na wideo wszystkie jej filmy. A Blanę z Namuru znam prawie na pamięć.

Philippe parsknął śmiechem.

- No to do dzieła! Wydaje mi się, że chwilowo nie ma nikogo na stałe.

Tony pił espresso z zamyśloną miną. Na silnych przedramionach, poniżej podwiniętych rękawów niebieskiej koszuli, miał tatuaże. Philippe zastanawiał się, jak Sophie zareaguje na jego przyjaciela, zreformowanego kasjarza, obecnie dobrze sytuowanego właściciela restauracji. Pamiętał ich pierwsze spotkanie. On miał czternaście lat, Tony parę lat więcej. Był młodym włamywaczem o poplątanej przeszłości i wybitnej inteligencji, co potwierdzały wszystkie testy. Ojciec Philippe'a, komisarz policji, przejął się losem tego utalentowanego chłopaka i przyprowadził go do ich domu. Philippe patrzył na Tony'ego jak na romantyczną i groźną postać z Jeana Geneta, którego wówczas po kryjomu czytał. Wbrew wszystkiemu zostali przyjaciółmi, kiedy Tony zrozumiał, że piękny i dobrze wychowany syn komisarza czuje się takim samym nieprzystosowanym wyrzutkiem jak on. I ich przyjaźń przetrwała.

Martine wyszła z biura, uśmiechnęła się i podniosła kciuk w górę.

- Wszystko w porządku. To tylko moja kancelistka. Chciała mi powiedzieć, gdzie ją w razie czego można znaleźć. Mam nadzieję, że Thomas, Sophie i Tatia zaraz przyjdą.

Tatia wzięła z dworca taksówkę. Po długiej męczącej podróży pociągami, z trzema przesiadkami, uznała, że na to zasłużyła. Poza tym dzięki plikowi banknotów, które Bernadette wcisnęła jej do ręki, kiedy wreszcie udało jej się wymknąć z uroczystości otwarcia sklepu, mogła sobie pozwolić na niejedną taksówkę.

W miarę zbliżania się do starszych zabudowań Villette tłum na ulicach gęstniał, w ślimaczym tempie sunęli pośród hałaśliwych grup w festynowych strojach. Parę razy taksówkarz musiał się zatrzymać, żeby przepuścić przechodzące przez jezdnię konie i wielbłądy.

- Wielbłądy, wielbłądy - mruknął. - Przepraszam, mademoiselle, zawsze trudno się przebić przez Villette na Świętego Jana. Ale zaraz będziemy na miejscu.

Tatia wyjęła lusterko ze znoszonej torebki z wężowej skórki i przyjrzała się swojej twarzy. Dyskretny makijaż, bez pomadki, włosy uczesane w warkocze. Czowała się jak zablakana statystka z Dźwięków muzyki. Ledwie mogła się rozpoznać. Ale Bert i Bernadette byli

wniebowzięci jej nobliwym wyglądem na otwarciu sklepu w Ostendzie. Chodziła z tacą i częstowała gości serami od nowego dostawcy Berta. Mało tego, miała margerytki we włosach. To była cena za wyrwanie się do Villette.

Taksówka znowu stanęła. Korzystając z okazji, Tatia przeciągnęła wargi purpurową pomadką, absolutnie nie do zaakceptowania w rodzinie von Trappów.

Dobrze, że sukienkę miała w porządku, z lat czterdziestych, ze śmietankowobiałego woalu w czarne groszki, przepasaną w talii czarną aksamitną wstążką. Znalazła ją w kufrze u Denise van Espen, najwspanialszej skrzyni skarbów, jaką kiedykolwiek widziała.

Denise pomogła jej wtedy rozwiązać zagadkę zdjęcia, które przyprawiło ją o szok. Kiedy tamtej soboty Denise wróciła do antykwariatu, Tatia siedziała jak przerażony dzieciak i wpatrywała się w swoją podobiznę, jakby zobaczyła ducha. Denise wszystko jej spokojnie i logicznie wytłumaczyła. Ubrania były własnością kogoś z Uccle, gdzie mieszkała w młodości jej babcia Renée. To na pewno ona jest na tej fotografii, a sukienka należała do jej przyjaciółki.

Ot i cała tajemnica. Jednak ilekroć Tatia przyglądała się zdjęciu, nie mogła się nadziwić, że babcia była kiedyś taka młoda i radosna. Owszem, była bardzo miła, przynajmniej dla niej, ale zawsze niesamowicie poważna, jakby nosiła w sobie jakąś żalobę. Tymczasem na fotografii ona i koleżanka uśmiechały się beztrąsko do obiektywu, przekonane, że nigdy nic złego ich nie spotka.

Tatia miała to zdjęcie przy sobie. Zrobi miłą niespodziankę Philippe'owi i Martine.

- Jesteśmy, mademoiselle - powiedział taksówkarz. - Niestety, nie mogę wjechać na plac, bo jest zamknięty dla ruchu z powodu wieczornego koncertu. Ale to niedaleko, wystarczy przejść przez most. Czy zanieść pani walizkę?

- Nie, nie jest ciężka.

Tatia szybko zapłaciła i wysiadła. Po trzech godzinach w dusznych wagonach nareszcie na świeżym powietrzu. Popołudniowe słońce prażyło niemiłosiernie, ale od rzeki dmuchał rześki wietrzyk i rozwiewał jej sukienkę. Na moście prowadzącym na Île Saint Jean dostrzegła w tłumie rycerzy, żołnierzy rzymskich i orientalne tancerki. Z ciekawością przyglądała się ich strojom. Szkoda, że nie zdążyła na procesję. Chętnie obejrzałyby kostiumy Heroda, Herodiady i Salome autorstwa znanego projektanta teatralnego, którego ceniła.

Na rogu ulicy, tuż za mostem, zobaczyła A la Justice Aveugle, gdzie miała się spotkać z Philippe'em i innymi. Ale przypatrywanie się ludziom sprawiało jej tyle frajdy, że mimo walizki, którą musiała taszczyć, poszła kawałek dalej.



Kiedy wracała, nagle ogarnął ją niewytłumaczalny niepokój. Napięły się mięśnie karku i zjeżyły włosy na rękach. Na dużym rynku poczuła się bezbronna jak młody zając na otwartym polu, wydany na pastwę bystrookiego jastrzębia. Na pewno coś mi się ubzdurało, pomyślała. Przełożyła walizkę do drugiej ręki i przyspieszyła kroku.

Thomas Héger otworzył wodę mineralną i pił ją łąpczywie prosto z butelki.

Jean-Pierre Santini, komunalny strateg i szef kancelarii burmistrza Villette, popatrzył na niego ze zrozumieniem.

- Dobrze, że nie musimy wdychać zapachu wielbłądziego łajna unoszącego się nad rynkiem o zachodzie słońca.

Skrzywił się, wsunął palce za kołnierzyk białoniebieskiej prążkowanej koszuli i wachlował się plikiem papierów.

W pokoju było ciepło, powietrze stało. Nawet czterechsetletnie ściany ratusza nie poradziły sobie z popołudniowym upałem.

Z sąsiedniego pokoju przez na wpół otwarte drzwi dochodził ciężki astmatyczny charkot. Trzy osoby siedzące na kościanobiałych kanapach szefa kancelarii udawały, że tego nie słyszą.

- Chyba na tym skończymy - powiedział Santini. - Mamy już gotowy program na jutrzejsze przyjęcie. Annalisa powie kilka słów tytułem wprowadzenia, a potem pan, profesorze Héger, wygłosi odczyt na temat historii Villette i genezy procesji świętojańskich. Krótki, góra kwadrans. Chociaż nie, powiedzmy, dziesięć minut. Jeśli będzie tak gorąco, nikt dłużej nie wytrzyma.

Jean-Pierre Santini nalał sobie wody mineralnej do szklanki i wypił jednym haustem. Thomas patrzył na niego w zadumie. Poznali się niespełna trzy miesiące temu przy średniowiecznym masowym grobie. Od tamtej pory często go widywał, zdecydowanie za często. Teraz ten cały projekt kulturalny wychodził mu uszami. Niechętnie został kimś w rodzaju konsultanta historycznego w tegorocznej procesji i nadal nie rozumiał, dlaczego się zgodził. Może podświadomie chciał zatrzeć złą reputację miasta, do czego się nieumyślnie przyczyniła Martine swoim śledztwem. Zerknął na stertę broszur leżących na stole. Gruby błyszczący papier, pełny kolor - ciekawe, ile kosztowało wydrukowanie

ROZDZIAŁ u o czołowych osobistościach życia kulturalnego w Villette.

Sophie, siostra Thomasa, pochyliła się nad stołem i posłała Santiniemu jeden ze swoich czarujących uśmiechów.

- A jak nasze sprawy? Mamy niezbędne pozwolenia, prawda? Moja ekipa zjedzie dopiero w pierwszym tygodniu lipca, ale dobrze mieć wcześniej za sobą wszystkie biurokratyczne procedury.

Santini z trudem oderwał wzrok od przedziałka między jej piersiami, który odsłaniała szczerze rozpięta biała bluzka, i przeniósł go na jej twarz.

- Wszystko załatwione, madame Lind. Gdybyśmy mogli jeszcze w czymkolwiek pomóc, proszę się nie krępować.

Sophie podniosła broszurę ze sterty i zaczęła przeglądać.

- Sporo w to zainwestowaliście - zauważyła z nutką zainteresowania.

Santini wyprostował się na kanapie i wziął głęboki oddech. Oho, zanosi się na wykład, pomyślał z rezygnacją Thomas. Słyszał go mnóstwo razy. Musiał jednak przyznać, że Santini miał jedną niewątpliwą zaletę - był autentycznie zaangażowany w sprawy miasta.

- Mój tata podjął pracę w Forvilu trzydzieści lat temu - zaczął z misjonarskim żarem w oczach. - Wtedy w hucie było pięć tysięcy ludzi, dzisiaj nie ma nawet dwóch tysięcy. Według naszych chłodnych kalkulacji będzie ich jeszcze mniej. Prędzej czy później wielki piec zostanie wygaszony. Dlatego przygotowujemy strategię rozwoju miasta „Villette 2000”. Wysoka technologia i firmy usługowe - to nasza przyszłość. Telekomunikacja, turystyka, handel. Inwestycja w stolicę kultury stanowi istotną część naszej strategii. Rozstrzygającą. Chcemy pokazać Villette całej Europie jako intelektualne i kulturalne centrum w regionie. Mamy uniwersytet z wybitnymi naukowcami, cenionymi na arenie międzynarodowej, jak profesor Héger, mamy dziedzictwo kulturowe z okresu średniowiecza, mamy kilka fantastycznych obiektów secesyjnych. Czy widziała pani, madame Lind, naszą świeżo odrestaurowaną halę targową?

Pochylił się ku Sophie. Może chciał jej zaproponować prywatne zwiedzanie?

W pokoju obok znów rozległ się nieznośny rżęzący kaszel.

- A jak się czuje burmistrz? - zapytała Sophie.

Santini pochylił się jeszcze bardziej i zniżył głos do konspiracyjnego szeptu:

- Lekarze mówią, że operacja wszczepienia bajpasów się udała, ale powrót do zdrowia zajmie trochę czasu. Oby miał spokojne lato.

Thomas wstał.

- To my już pójdziemy - powiedział stanowczym tonem. - Do zobaczenia na jutrzejszym przyjęciu!

Kiedy wyszli z półmroku przyjemnie chłodnej bramy ratusza, załala ich fala późnopołudniowego gorąca, jakby się zderzyli ze ścianą rozedrganego powietrza.

Sophie wyjęła z torebki okulary przeciwsłoneczne.

- Piękny jest ten rynek. I dużo większy niż Place de la Cathédrale. Dlaczego uczestnicy procesji nie zbierają się właśnie tutaj?

Thomas roześmiał się.

- To wynik średniowiecznej walki o dominację między władzą kościelną i świecką. Siedemsetletniej tradycji nie zmienia się ot tak. Poza tym, jak powiedział nasz przyjaciel Santini, nie wdycha się tu o zachodzie słońca odor wielbłądziego łajna.

Sophie z ciekawością przyglądała się ludziom i budynkom, kiedy szli w stronę nabrzeża. Sporo osób, zwłaszcza po czterdziestce, zatrzymywało się na jej widok. Dwadzieścia pięć lat temu pewien francuski krytyk filmowy uznał Sophie za „skrzyżowanie młodej Ingrid Bergman z młodą Simone Signoret” - i nadal miała aparycję gwiazdy.

Sophie była najstarsza, a Thomas najmłodszy z czworga dzieci szwedzkiej malarki Evy Lidelius i Belga André Hégera. Kiedy miała dziewiętnaście lat, reżyser Eskil Lind zobaczył ją w Sztokholmie w studenckim przedstawieniu teatralnym Wieczoru Trzech Króli i natychmiast zaproponował jej rolę w średniowiecznym filmie, który właśnie miał robić. Blanka z Namuru zgarnęła wszystkie nagrody na festiwalach filmowych w Europie, a ukoronowaniem sukcesu był Oscar za najlepszy obraz zagraniczny. Jednocześnie Eskil Lind rozwiódł się z trzecią żoną i ożenił ze swoim młodym odkryciem. Pięć lat, trzy filmy i jedno dziecko później rozstali się. Obecnie Sophie była uznanym reżyserem teatralnym i operowym. Przyjechała do Villette, żeby nakręcić dla telewizji film o masakrze z piętnastego wieku, o której Thomas pisał książkę.

- Czy to nie dziwne, że chcą sponsorować film o masakrze? - odezwała się Sophie. - To chyba nie najlepsza reklama Villette?

- Doszło do niej prawie sześćset lat temu, więc nie ma sprawy. Miło, że tu jesteś, Fia, ale obawiam się, że w przyszłym tygodniu będziesz zdana tylko na siebie. Ja pracuję, a o Martine nie ma co mówić.

- Nikt nie musi dotrzymywać mi towarzystwa. W poniedziałek przenoszę się do małego uroczego mieszkanka przy Place de la Cathédrale. Mogę siedzieć w kafejce przy rynku, czytać gazety, szydełkować i karmić gołębie. Poza tym umówiłam się na sesję do „Elle”. Napiszą o mojej długiej karierze, zamieszczą stare fotografie, a autor fotosów do Blanki zrobi mi serię zdjęć portretowych. Coś w rodzaju „Sofie Lind wraca do średniowiecznej Belgii”.

- Autor fotosów do Blanki ciągle jest czynny zawodowo?

Thomas był zdumiony. Miał dziewięć lat, kiedy jego długonoga siostra pojechała do Szwecji, żeby zostać gwiazdą filmową, i wyszła za faceta starszego o dwadzieścia lat, którego nigdy nie zdążył polubić. Wydawało mu się, że to było wieki temu.

Sophie parsknęła śmiechem.

- Więcej taktu, braciszku! Z tamtych czasów uchowała się garstka stetryczalnych ramoli, którzy mają jeszcze trochę siły, żeby kuśtykać o lasce. Ach! Patrz, jak pięknie!

Doszli do nabrzeża. Przed nimi, w słonecznym świetle, połyskiwała Moza. Na wyspie, po prawej, wzbijały się ku bezchmurnemu niebu iglice i wieże katedry, która w takie dni jak ten sprawiała wrażenie, jakby za chwilę miała się unieść i wzlecieć w powietrze. Za katedrą przycupnęły najstarsze domy w Villette, z siecią średniowiecznych zaułków i wąskich pasaży. Widok jak sprzed pięciuset lat. W dodatku dzisiaj sporo ludzi spacerujących nabrzeżem albo siedzących w kafejkach i restauracjach miało na sobie średniowieczne stroje.

- Szkoda, że jestem bez ekipy - powiedziała Sophie. - Moglibyśmy nakręcić świetny materiał. Thomas, jest wigilia Świętego Jana. Pomyślałeś o tym? Powinniśmy mieć drzewko świętojańskie albo coś a propos na kolację.

- Możemy zaśpiewać wódczane piosenki - odparł nieobecny duchem Thomas.

Byli na Pont des Éveques, prowadzącym na Île Saint Jean, z trudem przedzierali się przez tłum. Turyści w szortach i sandałach, uzbrojeni w aparaty fotograficzne, średniowieczni kuglarze i kupcowe, wszyscy z różnym powodzeniem próbowali nie wdepnąć w końskie i wielbłądzie odchody, ostro zalatujące w popołudniowym upale.

Skręcili w prawo, w wąską uliczkę, gdzie wisiał szyld z boginią sprawiedliwości z opaską na oczach, wzniesionym mieczem i wagą. Thomas spojrzął na zegarek. Martine powinna już być.

Zobaczył ją, ledwie przestąpił próg. Trzymała coś w dłoni i sądząc po na wpół przymkniętych powiekach i mocno zaciśniętych wargach, robiła wszystko, żeby nie wybuchnąć płaczem. Naprzeciwko niej siedział Philippe o pięknej, acz zniszczonej twarzy, jak zawsze niedostępny i trudny do rozgryzienia. Za to młoda twarz rudowłosej Tatii była otwarta, wrażliwa i pytająca.

Tworzyli tableau; wzruszający moment zatrzymany w czasie.

- Spójrz na nich - powiedziała Sophie. - Wyglądają jak na obrazie rodzajowym z dziewiętnastego wieku, który mógłby nosić tytuł Tajemnica rodzinna. Musimy trochę ożywić nastrój. - Wkroczyła do lokalu jak primadonna i od razu zdominowała scenę. - Cześć, Martine! - zaczęła modulowanym altem. - Chyba nie czekałaś długo, uwięźliśmy w tłumie. O Philippe! Jaka niespodzianka! A to Catherine, która tak wyrosła? Jak miło, teraz możemy wspólnie świętować Świętego Jana.

Martine dopisywało szczęście. O dziwo, mogła spokojnie zjeść kolację, po deserze napić się kawy i nikt jej nie poszukiwał. Tuż przed wpół do jedenastej całe towarzystwo prócz niej udało się na rynek, żeby zająć dobre miejsca na koncercie. Tatia wyszła tanecznym krokiem, z błyszczącymi oczami, rozpromieniona. Sophie spontanicznie zaproponowała jej pracę asystentki do spraw garderoby przy produkcji telewizyjnej!

W barze stał telewizor, który Tony przyniósł z myślą o Mistrzostwach Świata w Piłce Nożnej. Brazylia grała z Kamerunem. Thomas zatrzymał się i zaczął z pasją oglądać mecz.

Sophie roześmiała się i chwyciła go za ramię.

- Nie zapominaj, że jesteś statecznym profesorem i że spoczywa na tobie odpowiedzialność za życie kulturalne Villette.

I pociągnęła go za sobą na rynek.

Martine usiadła w barze i zamówiła jeszcze jedno podwójne espresso. Niemal mimowolnie wyjęła zdjęcie, które dostała od Tatii. Bratanica spodziewała się okrzyków zachwytu na widok swojego znaleziska, ale ani Philippe, ani Martine nie zareagowali zgodnie z jej oczekiwaniami. Philippe dość agresywnie zapytał, skąd to ma, jakby Tatia była opornym świadkiem w sądzie, i wydawał się... przestraszony. Tak, pomyślała Martine, patrząc na dwie radosne dziewczyny. Na tym zdjęciu było coś, co przeraziło jej brata, a ją przyprawiło o łzy, które nagle trysnęły jej z oczu. Pierwszy raz zobaczyła roześmianą Renée i zastanawiała się po raz enty, dlaczego potem uśmiech już nigdy nie zagościł na jej twarzy. Ciekawe, kim sama by

była i jak potoczyłoby się jej życie, gdyby miała szczęśliwą matkę, na jaką wyglądała w młodości. W dzieciństwie, kiedy była zbyt żywa albo zrobiła coś nieobliczalnego, często czuła dezaprobatę Renée i bijący od niej piwniczny chłód. Niektórych sytuacji nigdy nie zapomni. Na przykład kiedy powiedziała rodzicom, że chce się przenieść do Liege i że załatwiła sobie tam pracę i kwaterę. To była niedziela, siedzieli przy kolacji. Philippe i Bernadette przyjechali z nowo narodzoną Tatią i Martine pomyślała, że widząc idealną rodzinę syna, rodzice z większym spokojem potraktują jej plany. Tymczasem Renée chwyciła się za serce i spojrzała na córkę, jakby została śmiertelnie zraniona.

Dzisiaj Martine wiedziała, że Renée, będąc w jej wieku, odebrała okrutną lekcję, przekonała się na własnej skórze, co może spotkać dziewczynę z katolickiej rodziny, jeśli nie poprzestanie na siedzeniu w domu i szydełkowaniu. Czy dlatego próbowała zatrzymać córkę? Ta myśl nie dawała jej spokoju.

Właśnie zaczął się koncert, kiedy Martine opuściła bar i przeszła parę kroków przez Rue des Chanoines do aneksu Pałacu Sprawiedliwości. Zastanawiała się przez chwilę, czy nie pojechać do domu, żeby się przespać, ale uznała, że to bez sensu. Po koncercie słuchacze tłumnie wylegną na ulice i mosty, mniej lub bardziej trzeźwi, i może dojść do burd.

W jej gabinecie paliło się światło. Przy biurku, nad filiżanką kawy, z rozmarzonym spojrzeniem siedziała Julie Wastia. Wróciła z kolacji z Dominikiem di Bartolo, szefem kancelarii w Pałacu Sprawiedliwości, w którym durzyła się od kilku lat. Do niedawna bez wzajemności.

- Jak się udała kolacja? - spytała Martine.

Julie uśmiechnęła się, jej ciemne oczy rozbłyły i przeczesła palcami czarne loki.

- Och, cudownie! Myślę, że nareszcie może do czegoś dojść, ale nie będę się spieszyć, żeby go nie wystraszyć. Napijesz się kawy, zanim usłyszymy o jakiejś rozróbie po koncercie?

Martine wahała się.

- Przed chwilą wypiałam dwa podwójne espresso, mam kofeiny po kokardę. Ale czeka nas praca, więc czemu nie.

W pokoju było duszno. Kiedy Julie poszła po kawę, Martine uchyliła okno. Z rześkim nocnym powietrzem wdarły się do środka dźwięki bębnów z estrady na Place de la Cathédrale. Pierwszy w programie był nowy zespół z Villette, grający muzykę elektroniczną. Martine już ich słyszała, brzmieli jak kiepska imitacja Front 242, jedna z jej ulubionych kapel w latach osiemdziesiątych, kiedy chodziła do klubów i na koncerty. Druga w kolejności była grupa

rapowa, której w ciągu tygodnia udało się wdrapać na dziewiąte miejsce francuskiej listy przebojów. W ostatniej, operowej części koncertu miała wystąpić Thérèse Gennardi, młoda sopranistka z Villette, która niedawno odniosła sukces w mediolańskiej La Scali, śpiewając partię Zuzanny w Weselu Figara. Może zamysł był taki, że Mozart i Puccini w jej wykonaniu wyciszą temperamenty słuchaczy i skłonią ich do spokojnego powrotu do domu.

Kiedy filizanki były puste i z rynku dobiegały dźwięki z Madame Butterfly, na biurku Julie zadzwonił telefon.

Odebrała i przekazała słuchawkę Martine.

- Carvalho - szepnęła.

Clara Carvalho, świeżo upieczona prokurator pomocnicza, była roztrzęsiona do granic hysterii.

- Martine, Martine, przyjdź natychmiast, musicie jechać, trzy osoby nie żyją! Trzy młode dziewczyny!

Rzuciła słuchawkę, ogłuszając Martine, która miała wątpliwości, czy dobrze zrozumiała. Trzy osoby nie żyją? To na pewno wypadek samochodowy. Ale dlaczego Carvalho była taka wzburzona?

Kiedy Martine i Julie otworzyły drzwi do jej pokoju na trzecim piętrze, zastały gejzery adrenaliny, pot, dym papierosowy i podniecone głosy. Clara Carvalho stała pośrodku, z okularami w metalowych oprawkach na czubku nosa i z lekkim obłędem w oczach.

- Martine, trzy osoby nie żyją! Trzy! - wybuchnęła, poprawiając okulary.

To był jej pierwszy świąteczny dyżur. Martine pamiętała swój i co wtedy czuła.

Położyła dłoń na ramieniu Clary Carvalho.

- Opowiedz wszystko po kolei, byle szybko. Co się wydarzyło?

Młoda pani prokurator wzięła się w garść.

- Wiemy, że dwaj chłopcy, którzy wracali do domu na rowerach, zauważyli zwłoki trzech osób nad rzeką koło Givray. Jeden pojechał w kierunku centrum i zadzwonił na numer alarmowy ze stacji benzynowej. Na szczęście w pobliżu był patrol policyjny, dotarli na miejsce w kilka minut, karetka pogotowia też. Od razu stwierdzili trzy zejścia śmiertelne, policja uznała je za podejrzane i zadzwonili do nas. Zdecydowałam o wszczęciu dochodzenia pod twoim kierownictwem, Martine.

- Kto nie żyje? Wspomniałaś o trzech młodych dziewczynach.

Pani prokurator zdjęła okulary i przetała szkła rąbkiem białej bluzki.

- Tak - odparła spokojniejszym tonem. - Z tego co powiedziała policja, chodzi o trzy nastolatki.

Martine zaschło w gardle. Kroci się coś wielkiego. Absolutnie nie wolno im niczego zaniedbać.

- Trzeba ogrodzić teren, nikt oprócz techników i dochodzeniowców nie może tam wejść. Dyżurnym lekarzem sądowym jest Alice Verhoeven, prawda? Już tam jedzie?

Clara Carvalho popatrzyła na sekretarkę, która skinęła głową.

- Christian jest na służbie - kontynuowała Martine. - Poprowadzi śledztwo. Ale gdzie on się podziewa?

- Tutaj.

Martine odwróciła się na dźwięk znajomego głosu. W drzwiach stał przysadzisty czujnooki komisarz Christian de Jonge, z zadbaną ciemną brodą.

- Dobrze - powiedziała. - Jedziemy!



# ROZDZIAŁ 4

Sobota, 25 czerwca 1994, Villette

Najpierw zobaczyła nogi. Z zarośli wystawała para ułożonych pod nienaturalnym kątem sarnich, dziewczęcych nóg, z zadrapaniami na kolanach, w rozczulających różowych sandałkach na obcasie. W świetle silnych policyjnych reflektorów różowy, połyskliwy lakier na paznokciach stóp lśnił w trawie niczym dziesięć pereł.

Martine wyłączyła emocje i podeszła do blokady. Niebieskobiała taśma policyjna odgradzała szosę i drogę prowadzącą do rzeki. Ciemne postaci poruszały się jak po scenie, mając za tło niebo nad Villette, rozjaśniane fajerwerkami i deszczem spadających gwiazd, co mocno i groteskowo kontrastowało z atmosferą na miejscu przestępstwa.

Ktoś wręczył Martine i Julie ochraniacze na buty oraz odzież ochronną.

Po drugiej stronie blokady, już w stosownym okryciu na garniturze, pojawił się Christian de Jonge, który przyjechał przed nimi.

- Chyba nigdy nie widziałem czegoś podobnego. Chodźcie, same się przekonacie.

Poprowadził je na brzeg. Rzeka biegła tutaj lekkim zakolem, opływając płaski trawiasty cypel. Z pobocza drogi była niewidoczna, bo zasłaniały ją krzaki.

Tuż nad wodą siedziała oparta o drzewo młoda dziewczyna w wydekoltowanym czerwonym topie i czarnej zadartej spódnicy odsłaniającej rozrzucone nogi. Była bez majtek, co obnażyło bezlitosne światło reflektorów. Na ramiona opadały gęste ciemnozłote włosy, tworząc połyskliwy wachlarz. Ręce miała z tyłu, jakby się na nich wspierała, ale to pień drzewa trzymał ją w pionie. Mimo że nie żyła na dwieście procent, sprawiała wrażenie nietkniętej. Policyjny fotograf wciąż robił zdjęcia, wokół przeczesało teren dwóch dochodzeniowców w ubraniach ochronnych.

Wygląda jak manekin, pomyślała Martine, podczas gdy niebo nad Villette rozjaśniła kolejna kaskada gwiazd wolno spadających do rzeki. Jakby ktoś posadził ją w tej pozie w sklepowej witrynie.

Martwa dziewczyna była mniej więcej w wieku Tatii. To przykre. Ale Martine jest tutaj w innej roli, która powinna ją chronić przed prywatnymi uczuciami. Pamiętała, kiedy po raz

pierwszy wezwano ją na miejsce przestępstwa. Bała się kompromitacji w oczach naładowanych testosteronem policjantów, bała się, że na widok ofiary zemdleje albo okaże słabość, na szczęście obowiązki służbowe wzięły górę, była chłodna i profesjonalna.

- Wiemy, co mogło być przyczyną śmierci? - spytała. Christian przecząco pokręcił głową.  
- Jeszcze nie. Profesor Verhoeven jest w drodze. W każdym razie nie nóż ani broń palna, tylko coś, co nie zostawia śladów krwi. Przejdziemy do następnej ofiary?

Druga dziewczyna leżała w trawie po lewej stronie ścieżki prowadzącej nad rzekę. Leżała na plecach, wyprostowana, jakby padła rażona piorunem. Od trawy odcinała się kredowa biel jej dżinsowej spódnicy, długie ciemne włosy wyglądały jak czarna plama cienia.

- Tutaj jest to samo - powiedział Christian. - Żadnych wyraźnych śladów przemocy, po prostu martwa nastolatka.

Trzecia ofiara leżała bliżej szosy, do połowy ukryta w zaroślach. Młodsza od pozostałych, mogła mieć góra czternaście lat. To jej nogi w tanich sandałkach Martine zobaczyła najpierw. Przejmujący widok. Wyobrażała sobie, jak pełna nadziei dziewczynka maluje paznokcie, cieszy się z butów ozdobionych świecącymi kamyczkami i nie może się doczekać wieczornej zabawy.

Obcas w prawym sandału chyba odpadł. Czy próbowała uciec prześladowcy?

Trzy martwe nastolatki w świąteczną noc w Villette. Trudno o większy koszmar.

- Ale jeszcze nie wiemy, czy zostały zamordowane, prawda? Mogły wziąć jakieś tabletki w klubie, nadepnąć na przewód wysokiego napięcia albo...

Christian przytaknął.

- Owszem, ale na razie musimy przyjąć najgorszą możliwość, że mamy do czynienia z morderstwem. Chociaż śmiertelne pigułki w klubie są chyba jeszcze gorsze.

- A gdzie chłopcy, którzy je znaleźli?

- Jeden pojechał zadzwonić na numer alarmowy, drugi jest tutaj. Pewnie chcesz go przesłuchać. Znał te dziewczęta, wie, gdzie mieszkały, próbujemy się skontaktować z inspektorem lokalnej policji, żeby nam pomógł w powiadomieniu rodziców. Chłopak siedzi tam, na kamieniu.

Christian wskazał głową na skuloną postać poza kręgiem światła reflektorów.

Martine podeszła do niego i przedstawiła się.

- Nazywam się Gregory Vincent - odparł, podniósł się z kamienia i grzecznie uklonił.

Miał gęste ciemne włosy opadające na oczy, meszek nad górną wargą i ślady po trądziku na policzkach. Był w dzinsowych spodniach i dzinsowej kurtce. Wyglądał na dziewiętnaście lat. Nawet w słabej poświacie reflektorów dało się zauważyć, że jest blady i nie czuje się dobrze.

Usiedli w jednym z samochodów policyjnych. Martine i Gregory z tyłu, Julie z przodu, na fotelu pasażera.

- No tak, Gregory - zaczęła Martine. - To ty znalazłeś dziewczęta. Możesz nam o tym opowiedzieć?

Chłopiec skrzyżował ramiona na piersi, jakby chciał się ogrzać. U nasady włosów perlił się pot. Czuć było od niego piwo.

- Dobrze, madame - powiedział posłusznie. - Freddy i ja byliśmy w Villette i wracaliśmy do domu na rowerach, i zachciało mi się... e... - Popatrzył na obie kobiety z zażenowaniem. - No, musiałem się wysikać, a to jest dobre miejsce, bo nie stoi się przy samej drodze. Zszedłem nad rzekę, zrobiłem, co miałem zrobić, i kiedy zaciągałem suwak, popatrzyłem w lewo i zobaczyłem Sabrinę. Głupia sprawa, co? Z początku nie wiedziałem, że nie żyje. Coś do niej powiedziałem, ale ona siedziała bez ruchu i nie odezwała się ani jednym słowem. No to podszedłem do niej, dotknąłem jej ramienia i wtedy zobaczyłem, że nie żyje. - Zadrżał na to wspomnienie i spojrzał na Martine z miną winowajcy. - I zwymiotowałem, to było silniejsze ode mnie. Chciałem nad wodą, ale nie wiem, czy się udało. Freddy mnie zawołał, znalazł Nadie, potem znaleźliśmy Peggy i ustaliliśmy, że Freddy pojedzie, żeby to zgłosić, czuł się trochę lepiej niż ja, a ja zostałem... na straży...

- Czy wiesz, która była godzina, kiedy znaleźliście dziewczęta? - spytała Martine.

Gregory wahał się.

- Nie spojrzałem na zegarek, ale na pewno zaraz po północy. Byliśmy na koncercie, ale tylko na początku, bo kapela hiphopowa była do luftu, a potem mieli się produkować jacyś śpiewacy operowi. Opera, jasny gwint! Pedalowaliście ostro, dojechaliśmy tu z centrum w dwadzieścia minut.

- Znałeś te dziewczęta, prawda? Powiedz, jak się nazywają i gdzie mieszkały.

- Tak, znam... znałem. To Sabrina Deleuze i siostry Bertrand, Peggy i młodsza Nadia. Mieszkały w Givray. Widzieliśmy je w Villette, miały wrócić do domu ostatnim autobusem, to trochę dziwne, że znalazły się tutaj, bo przystanek autobusowy jest przy bocznej drodze do Givray, prawie kilometr stąd, bliżej Villette.

Musimy sprawdzić, czy zdążyły na ten autobus, pomyślała Martine.

- Powiedziałeś, że widziałeś je w Villette. Gdzie dokładnie?

- Sabrina najpierw była na procesji, tańczyła na platformie Salome, potem widzieliśmy ją na Place de la Cathédrale, gdzie robili jej zdjęcia w tym stroju, który miała na sobie, potem spotkaliśmy ją w La Cave du Cardinal razem z siostrami Bertrand. Sabrina i Peggy to takie nierozłączki, a tym razem była z nimi Nadia.

- Rozmawiały z kimś? - Tak, flirtowali z nimi jacyś chłopcy, których nie znam. Głównie z Sabriną, bo rzuca się w oczy i lubi być w centrum uwagi. - Przerwał. - Lubiła być w centrum uwagi. To straszne. Nie wierzę, że to prawda.

- Czy widzieliście na szosie jakieś samochody? Zastanów się, to bardzo ważne.

Gregory myślał przez chwilę.

- Minęło nas parę samochodów, ale jechały z Villette... czyli nie ma to chyba nic wspólnego z...? Nie zapamiętałem jakie, w każdym razie żadnego nie rozpoznałem.

- Na razie to wszystko - powiedziała Martine. - Wyglądasz na wyczerpanego. Odwieźć cię do domu? Zaraz to załatwię. Poczekaj w samochodzie.

- Tak, bardzo chętnie - odparł z wdzięcznością, skulony na tylnym siedzeniu.

Martine i Julie wróciły na odgradzony teren. Alice Verhoeven, która dotarła na miejsce i zdążyła dokonać pobieżnych oględzin zwłok, stała obok Christiana de Jonge'a w średniowiecznej sukni. Jeszcze jeden surrealistyczny akcent surrealistycznej scenerii. Na drogę padały ich długie cienie.

- Masz coś dla mnie? - spytała Martine, przywitawszy się z Alice Verhoeven.

- Owszem. Zmarły całkiem niedawno, zwłoki ledwie zaczęły stygnąć. Myślę, że dziewczęta zostały uduszone, tamta nad rzeką jakąś zawiązką, pozostałe przypuszczalnie ramieniem. O, tak.

Alice Verhoeven od tyłu objęła Martine za szyję, zgięciem łokcia dotykając krtani.

- Możesz stwierdzić z absolutną pewnością, że mamy do czynienia z działaniem umyślnym? Że nie były pod wpływem narkotyków, że nie przedawkowały?

- Nie. Zostały zamordowane.

- A przemoc seksualna? Gwałt?

Alice Verhoeven zmarszczyła czoło.

- Nie w przypadku tych dwóch na trawie. Co do trzeciej, nad rzeką, nie jestem pewna. Doszło do penetracji jakimś przedmiotem, przypuszczalnie po śmierci, prawie nie ma krwi. Będę mogła powiedzieć coś więcej po sekcji. Zrobię ją zaraz po przewiezieniu ciał do kostnicy i formalnej identyfikacji. Ale najpierw muszę pojechać do domu i się przebrać.

Uniosła swoje średniowieczne spódnice i poszła do mercedesa stojącego za blokadą.

- Co za koszmar! - Christian powiedział głośno to, o czym pomyślała Martine. - Trzy martwe nastolatki i seksualny morderca grasujący po Villette, kiedy całe miasto nie śpi i piwo leje się strumieniami. Jutro wybuchnie totalna panika. Nawet jeśli ktoś zauważył coś, co mogłoby nam pomóc, niczego nie będzie pamiętał.

- Nie zapominaj o europejskich dziennikarzach, którzy przyjechali podziwiać przyszlą stolicę kultury - dorzuciła posepnie Martine. - I o ekipach telewizyjnych filmujących procesję i koncert. Podejrzewam, że jutro będziemy na czołówkach wielu serwisów informacyjnych. Musimy zwołać konferencję prasową, chociaż nie wiem, co powiemy.

Zadrżała od podmuchu chłodnego, wilgotnego powietrza od rzeki, który przeszył na wylot jej cienką lnianą koszulę. To szczyt głupoty, że nie zabrała zakietu ani kurtki. Zazdrościła Julie, która na żółtą sukienkę włożyła sweter.

Julie patrzyła w stronę samochodu, w którym zostawiły Gregory'ego Vincenta.

- Ktoś z nim rozmawia - powiedziała. - Czyżby policjantka? Nie, ale chyba ją znam...

Christian zaklął i ruszył do radiowozu. Za nim Martine i Julie. Kobieta, z głową w samochodzie, przerwała rozmowę i podeszła do nich szybkim krokiem, z notatnikiem i długopisem w garści. Młoda szczupła dziewczyna o krótkich ciemnych włosach i dużych brązowych oczach.

- Cześć! Jestem Nathalie Bonnaire z „Gazette de Villette”.

Martine jej nie знаła.

- Nowa?

- Uhm, pracuję na zastępstwo, teraz jako reporterka wieczorna. Oczywiście wiem, kim pani jest, madame Poirot. Czy mogę prosić o komentarz w sprawie tych morderstw? Gregory Vincent już mi powiedział, kto nie żyje.

- Chyba za późno na druk?

Młoda reporterka uśmiechnęła się. Martine nie dała się nabrać na jej słodką, dziewczęcą minę.

- W ekstrasytuacjach są wydania specjalne. Czy usłyszę komentarz, czy mam wszystko sama opisać?

Martine zastanawiała się.

- Mogę potwierdzić, że nie żyją trzy młode kobiety i że ich śmierć wydaje się podejrzana. Wdrażamy szeroko zakrojone czynności śledcze pod kierownictwem komisarza de Jonge'a. Na chwilę obecną tylko tyle mogę powiedzieć. Odradzam publikowanie nazwisk, ponieważ rodziny jeszcze nie zostały powiadomione.

Nathalie Bonnaire spojrzała na nią wyczekująco.

- Co dostanę w zamian? - spytała. - Na razie jestem pierwsza, ale jutro wszyscy będą znali nazwiska. A „Gazette de Villette” nie ma niedzielного wydania!

- Niczego nie obiecuję, ale jeśli nie ujawni pani nazwisk, na pewno panią zapamiętam, jeśli pani ujawni, też zapamiętam.

- A czy mogę napisać o „największym śledztwie w historii Villette”? Martine zerknęła pytająco na Christiana. - Oczywiście, że tak - powiedział. - Nie wiem, co mogłoby być większego. - Okej - spuentowała Nathalie Bonnaire, zamknęła notatnik i poszła do samochodu, który zaparkowała na poboczu szosy w odległości stu metrów od radiowozów.

- Aha, zaczęło się - odezwał się Christian. - Jeśli szybko tego nie rozwiążemy, media nie zostawią na nas suchej nitki i każda persona w Villette będzie chciała zapunktować, wieszając psy na policji.

Martine nie mogła się opędzić od myśli o swojej największej porażce jako sędzia śledcza o dotąd niewyjaśnionym zaginięciu dwojga rodzeństwa Choffray w grudniu 1992 roku. Włożyła w to całą duszę, współczuła rodzicom, zrobiła naprawdę wszystko. Po Audrey i Kevinie nie było śladu, a rodzice z miesiąca na miesiąc coraz ostrzej krytykowali ją za złe prowadzenie sprawy. Zdaniem Sylvie Choffray Martine była nie tylko nieudolną urzędniczką, ale także niepełnowartościową kobietą, która nie potrafiła się dostatecznie mocno zaangażować w dochodzenie, bo nie miała własnych dzieci i nie rozumiała uczuć rodziców Audrey i Kevina. Niczego podobnego nie chciała przeżywać po raz drugi.

Zadygotała z zimna.

- Musimy pojechać do Givray i jak najszybciej porozmawiać z rodzicami dziewcząt. Ale najpierw chciałabym gdzieś usiąść, żebyśmy ustalili co i jak. Wolałabym nie wracać do firmy.

- Wydaje mi się, że w Givray jest nocny bar - powiedziała Julie. - Dużo ludzi pracuje tam na zmiany i mają dziwny rytm dnia. Może moglibyśmy tam przez chwilę posiedzieć.

- Dobry pomysł - przyznał Christian. - Przyjechałyście służbowym wozem, prawda? Możemy się razem zabrać do Givray.

Ruszyli do samochodu, kiedy zawołał ich ktoś z odgradzonego terenu. Jeden z dochodzeniowców stał w świetle reflektorów i czymś wymachiwał.

- Madame Poirot, zanim pani pójdzie, powinna to pani zobaczyć!

Martine spojrzała na przezroczystą foliową kopertę. Było w niej zdjęcie wycięte z gazety. Jej zdjęcie. Zrobione na schodach Pałacu Sprawiedliwości. Nie znosiła go. Miała potargane włosy, rozszuszoną minę i nos dłuższy niż w rzeczywistości. Nie tak siebie widziała. Ale właśnie to zdjęcie ukazało się w wielu gazetach.

- Skąd się tu wzięło? - spytała.

Spec od wizji lokalnych, Marc jakiś tam, popatrzył na nią przepaszająco.

- Leżało na miejscu przestępstwa, wdeptane w trawę. Jest na nim trochę włókien, więc prawdopodobnie wypadło komuś z kieszeni. Czy to... hrm... czy to nie pani je zgubiła, madame?

- Na pewno nie - odburknęła Martine.

Co on sobie wyobraża? Że nosi po kieszeniach archiwum wycinków prasowych na swój temat?

Tak czy inaczej, ktoś zgubił jej zdjęcie w miejscu potrójnego morderstwa. A może zostawił je celowo? Zatrważająca myśl...

Givray składało się z drogi przelotowej otoczonej starymi murowanymi domami i kościoła z trzynastego wieku. Nie paliły się latarnie. Na okolicznych łąkach, sądząc po zapachu, pasły się krowy - intensywnie czarne plamy w ciemnościach. Kilka kilometrów dalej niebo rozjaśniała pomarańczowa luna nad walcownią i piecami Forvilu.

W nocnym barze, anemicznie oświetlonym lokalu, stały cztery chybotliwe stoły i poliuretanowe krzesła. Przy kontuarze trzech mężczyzn żywo rozprawiało o szansach Belgów w meczu z Holandią w MŚ.

Martine, Julie i Christian zajęli stół w głębi i zamówili po dużej kawie. Przyjemnie choć przez chwilę posiedzieć w cieple.

- No tak - zaczął Christian - „największe śledztwo w historii Villette”. Zanim trop ostygnie, musimy włączyć wszystkich policjantów z Pałacu Sprawiedliwości, żeby przeczesali miasto w poszukiwaniu świadków.

- Po naszym wyjściu Clara Carvalho miała dzwonić do przełożonych, żeby wstrzymać i zawiesić wszystkie urlopy - poinformowała Julie.

- Carvalho? - Christian zmarszczył czoło. - Czy nie przydałby się ktoś z nieco większym autorytetem, kto by to załatwił od ręki?

- Uhm. - Martine stłumiła ziewnięcie. - Trzy martwe nastolatki to dostateczny powód, żeby zdać sobie sprawę z powagi sytuacji. Ale co my mamy robić, to chyba oczywiste, prawda? Musimy się dowiedzieć, czy dziewczęta wsiadły do autobusu, czy ktoś je widział na przystanku, a jeśli nie - jak zamierzały dotrzeć do domu. Trzeba odpytać wszystkich, którzy mieszkają przy szosie, czy tego wieczoru zauważyli jakieś samochody. Musimy ustalić, z kim Sabrina Deleuze rozmawiała po procesji, najlepiej zacząć od tych, którzy byli na platformie Salome. Trzeba odszukać ludzi, z którymi dziewczęta rozmawiały w La Cave du Cardinal, i przyjrzeć się trochę bliżej Gregory'emu i Freddy'emu, nie możemy zakładać, że są niewinni...

Christian przytakiwał po każdym „musimy” i „trzeba”. Martine była zadowolona, że to właśnie on miał służbę. Był skuteczny, spolegliwy i łatwy we współpracy, czego raczej nie dałoby się powiedzieć o innych komisarzach kryminalnych w Pałacu Sprawiedliwości.

- Jeden sprawca czy kilku sprawców? - spytał. - Pospekulujemy? Martine już się nad tym zastanawiała. Czy jedna osoba byłaby w stanie pozbawić życia trzy nastolatki? Może tak, na przykład przez zaskoczenie. Wyobraziła sobie inny scenariusz. Gregory i Freddy doganiają dziewczęta, które spóźniły się na ostatni autobus i zeszły nad rzekę, żeby przez chwilę odpocząć. Jeden z nich przystawia się do Sabriny, a kiedy ta mu odmawia, nawalony piwem dusi ją w przypiływie wściekłości, po czym obaj postanawiają sprzątnąć Peggy i Nadię. Ale dlaczego dziewczęta nie skręciły w boczną drogę do Givray, tylko poszły dalej?

- Myślisz o Gregorym i Freddy'ym, prawda? - odezwała się Julie. - Nie bardzo mi to do nich pasuje. Nie pasuje mi to... wyrachowanie. - Wzdrygnęła się. - Sabrina została upozowana z niebywałym pietyzmem, jak manekin, a Peggy i Nadia leżały w trawie jak jakieś śmieci.

- Nie wiemy, jak trafiły nad rzekę ani dlaczego minęły boczną drogę do Givray - powiedział Christian. - Może ktoś je podwiózł? Staruszek, który mieszka najbliżej miejsca przestępstwa i wyszedł przed dom około jedenastej, widział zieloną ciężarówkę. Sprawdźmy to.



Julie z hukiem odstawiła filiżankę. Martine popatrzyła na nią zdziwiona.

Christian położył na stole kilka monet.

- Chyba powinniśmy się zbierać.

Łatwo było się zorientować, które rodziny straciły córki. W dwóch małych murowanych domach we wszystkich oknach paliło się światło, żeby jeszcze przez chwilę dać odpór żałobie.

Na skrzynce pocztowej przed pierwszym domem zobaczyli biały napis: „Tutaj mieszka rodzina Bertrand”. Pod nazwiskiem ktoś namalował portrety uśmiechniętej mamy, uśmiechniętego taty i uśmiechniętych córek. Martine rozpoznała dziewczęta znad rzeki.

- Idźcie tutaj, ja pójdę do drugiego domu - zaproponował Christian.

Z drzwi wejściowych od razu wchodziło się do kuchni, gdzie było mnóstwo ludzi. Między innymi siwy mężczyzna w mundurze lokalnej policji i zapewne chętni do pomocy, współczujący sąsiedzi. Nie ulegało jednak wątpliwości, kto jest adresatem smutnej nowiny. Rodzice siedzieli nieruchomo przy kuchennym stole, bladzi, nieobecni duchem, nieświadomi tego, co się wokół nich dzieje. Oboje około czterdziestki. On był w pomarańczowym kombinezonie ochronnym Forvilu, miał ciemne proste włosy i ciemne oczy, jak córki. Ona, w niebieskiej pikowanej podomce, patrzyła gdzieś przed siebie dużymi szarymi oczami.

- Przepraszamy za najście - zaczęła Martine. - Jesteśmy z Pałacu Sprawiedliwości i chcielibyśmy bezzwłocznie porozmawiać z monsieur i madame Bertrand.

Inspektor lokalnej policji podszedł do nich, żeby się przywitać. - Może wyproszę sąsiadów - odezwał się półgłosem. - Z wyjątkiem doktora Codenys, chyba będzie lepiej, jeśli zostanie.

Martine skinęła głową.

- No cóż, dobrzy ludzie, Joël i Mireille są wam wdzięczni za wsparcie w tej ciężkiej chwili - powiedział głośno - ale teraz powinniśmy pozwolić pracować pani sędzi śledczej.

Kuchnia szybko opustoszała.

Joël Bertrand popatrzył na Martine i Julie z nadzieją.

- Czy chcą panie powiedzieć, że to pomyłka? Że to nie Nadia i Peggy, że to nie może być prawda...?

Kontakt z najbliższą rodziną jest tysiąc razy gorszy od widoku martwych ciał, pomyślała Martine.

- Jest mi ogromnie przykro, ale niestety nie. Oczywiście gwoli formalności muszą państwo zidentyfikować córki, proszę jednak nie mieć złudzeń, że zaszła pomyłka.

Po policzkach Mireille Bertrand spłynęły dwie duże łzy. Wiedziona instynktem gospodyni wstała i odezwała się niemal normalnym tonem:

- Czym mogę panie poczęstować? Przygotowałam kanapki z sałatką krabową, żeby dziewczynki coś przekąsiły, kiedy wrócą. Bardzo lubią sałatkę krabową...

Głos jej się załamał i usiadła.

Julie przycupnęła na krzesło i wyjęła notatnik. Jej oczy pociemniały od współczucia.

Martine oparła się o ścianę.

- Jest mi ogromnie przykro - powtórzyła. - Nawet nie potrafię sobie wyobrazić, przez co państwo przechodzą. Ale im szybciej zaczniemy działać, tym większe są szanse na znalezienie sprawcy. Czy mogliby państwo opowiedzieć, co się wydarzyło tego dnia, jakie plany miały córki, kiedy pojechały do Villette?

- Wyjechaliśmy przed południem - zaczął Joël Bertrand. - Zawsze wyjeżdżamy wcześniej, żeby zająć dobre miejsce podczas procesji. Zabraliśmy prowiant i krzeselka. Najpierw przyszła do nas Sabrina i dziewczęta się guzdrały.

- Nadia była śliczna - wtrąciła się Mireille. - Nigdy tak pięknie nie wyglądała. Miała nowe buty i nową sukienkę. Sabrina jest naprawdę zdolna.

- Ale Nadia nigdzie nie chciała wychodzić. Równie dobrze mogła wrócić z nami do domu. - Joël popatrzył z wyrzutem na żonę. - Nie rozumiem, dlaczego się uparłaś, żeby została z Peggy i Sabriną!

- Bo ona jest bardzo samotna - powiedziała Mireille płaczliwym głosem. - Ciągłe siedzi w domu i nie rozstaje się ze swoimi farbami i pędzlami! Młode dziewczęta powinny się bawić.

- Mogła z nami wrócić. Teraz byłaby tutaj.

Oboje spojrzeli na puste krzesło przy stole, jakby patrzyli na wirtualną rzeczywistość, w której Nadia wraca z nimi, siedzi w pizamie i szlafroku i zajada kanapki z sałatką krabową.

- Więc państwo wrócili, a córki zostały w Villette - powiedziała Martine. - Która była wtedy godzina?

- Koło piątej - odparł Joël. - Dziewczęta wybierały się na Place de la Cathédrale, miały się tam spotkać z Sabriną i wsiąść do ostatniego autobusu, który odchodzi koło dziesiątej.

- Czyli musiałyby zrezygnować z koncertu?

- Może wołałyby zostać - przyznał Joël - ale autobus to autobus, nie miały innej możliwości, żeby dojechać do Givray. Pracuję w walcowni, w tym tygodniu jestem na nocnej zmianie, od dziesiątej, dlatego nie mogłem ich przywieźć, a Mireille nie prowadzi samochodu.

- Ale mogłeś wziąć wolne! - zaproponowała Mireille.

Mąż zareagował błyskawicznie, z pewnością już o tym rozmawiali.

- Nie mogę brać wolnego, kiedy nareszcie sprawy się jako tako poukładają i znowu możemy pracować na zmiany... - Zamilkł i przygarbił się na krześle. - Brygadzista mi powiedział, żebym natychmiast jechał do domu.

- Dużo przemawia za tym, że dziewczęta spóźniły się na autobus - powiedziała Martine. - Co, państwa zdaniem, mogły zrobić w takiej sytuacji?

Małżonkowie popatrzyli na siebie.

- Pójść pieszo - z wahaniem odparła Mireille. - Tak, chyba tak. Sześć, siedem kilometrów to niezbyt daleko.

- Nie próbowałyby się z kimś zabrać?

- Nigdy by nie wsiadły do obcego samochodu - stwierdził kategorycznie Joël. - Ale gdyby się trafił ktoś znajomy, to co innego. Czy mógł to zrobić ktoś, kogo znają?

- Na razie nic nie wiemy i niczego nie wykluczamy. Czy córki miały chłopców?

- Na pewno nie Nadia, bo najczęściej przesiaduje sama. Peggy ma chłopaka, ale wyjechał do Dinant na pogrzeb babci.

Czyli adoratora Peggy można skreślić, pomyślała Martine, pod warunkiem że nastoletnie córki nie mają przed rodzicami żadnych tajemnic. Trzeba poszukać pamiętników, listów, jakichś drobiazgów, żeby dotrzeć do ewentualnych przyjaciół Nadii i Peggy.

Poprosiła, żeby państwo Bertrand pokazali jej i Julie pokój córek.

Idąc za Mireille na piętro, patrzyły na obrazy w tanich fotoramach, głównie akwarele. Był portret Joëla w kombinezonie roboczym i kasku ochronnym, portret Mireille huskającej groch w kuchni i portret Peggy z rozwianymi włosami na tle jesiennych liści.

- Świetne! - powiedziała Martine. - Kto je namalował?

- Nadia - przyznała z dumą Mireille. - Jest niesamowicie zdolna, wszyscy to mówią. Jej nauczyciel rysunków uważa, że powinna zdawać do Akademii Sztuk Pięknych. Myślmy o Liège albo Tournai.

Nadia i Peggy miały wspólną sypialnię, przedzieloną regałem między oknami wychodzącymi na pola. Na łóżku po lewej była dziecienna błękitna narzuta z motywem z bajek Disneya i kolekcja pluszaków elegancko usadowionych u wezłowia. Nad łóżkiem wisiały reprodukcje znanych obrazów, wśród nich - największa i oprawiona - reprodukcja Adoracji Baranka Ewy Lidelius.

Na jej widok Martine poczuła ucisk w żołądku. Eva, jej teściowa, namalowała obraz w roku 1961, a za modele posłużyły jej dzieci. Z krajobrazu spustoszonego przez wojnę patrzył na nią pięcioletni Thomas.

Po prawej wisiał plakat Céline Dion i jakiegoś pięciosobowego boysbandu, a łóżko, przykryte różową kapą obszytą falbanką, na którym nie siedziały pluszaki, było zarzucone ciuchami. Martine zauważyła czerwoną sukienkę. Kilka części garderoby wylądowało na podłodze.

- Ale nabałaganiała - zirytowała się Mireille. - A mówiłam, że ma po sobie posprzątać...

Umilkła i wzięła głęboki oddech, jakby dopiero teraz zrozumiała, że córki nigdy nie wrócą, że znalazła się w obcym świecie, w którym wszystkie powszednie gesty i myśli wpadały w pustkę śmierci. Czy Mireille i Joël będą dla siebie wsparciem, pomyślała Martine, czy podzieli ich gorycz i wzajemne obwinianie się? „Nadia nigdzie nie chciała wychodzić! Mogłeś wziąć wolne!”

Nagle Martine poczuła, że nie wytrzyma ani minuty dłużej. I tak muszą tu kogoś przysłać, żeby gruntownie przeszukać pokój dziewcząt. Mireille Bertrand usiadła na łóżku Peggy, popielatoszara na twarzy, jakby właśnie teraz doznała szoku. Empatyczna Julie usiadła obok i objęła ją ramieniem.

- Idę po doktora - rzuciła Martine i zbiegła ze schodów.

Doktor Codenys siedział na kanapie w dużym pokoju i apatycznie przeglądał „Gazette de Villette”. Miał źle zapiętą dżinsową koszulę, jakby się ubierał w wielkim pośpiechu. Obiecał, że zostanie z państwem Bertrand i w razie potrzeby da im coś na uspokojenie.

- Jak najszybciej muszą zidentyfikować córki, zaraz kiedy pan uzna, że są w stanie - powiedziała Martine. - Im szybciej, tym lepiej. Proszę do mnie wtedy zadzwonić!

Wręczyła mu swoją wizytówkę z podkreślonym numerem bezpośrednim. Doktor udał się na piętro. Po chwili zeszła Julie.

Christian już na nie czekał.

- Coś straszego - zaczął. - Rodzice są dość starzy, Sabrina była jedynaczką, ubóstwiali ją. Wszędzie jest pełno jej zdjęć, opowiadali, jaka jest śliczna, jak pięknie śpiewa, jak wspaniale tańczy. Jeszcze nie do końca do nich dotarło, że nie żyje. Jedno mogę powiedzieć: Sabrina Deleuze marzyła, żeby zostać gwiazdą. Zastanawiam się, czy to może mieć jakiś związek z jej śmiercią.

Kiedy wsiadali do samochodu, żeby wrócić do Pałacu Sprawiedliwości, na wschodzie majaczyła wąska smuga czerwieni. Skończyła się noc świętojańska.

# ROZDZIAŁ 5

Sobota, 25 czerwca 1994, Villette

- No, Philippe - odezwała się Sophie - powiedz, co cię tak gnębi? Sophie, Philippe i Tony siedzieli w zamkniętym barze A la Justice Aveugle i popijali wino. Po koncercie Thomas pojechał do siebie, do AbbayeVillage, i zabrał Tatię. Tatia była zmęczona po podróży, a Thomas musiał popracować nad odczytem, nie wspominając o tym, że o północy chciał obejrzeć w domu mecz Szwecja - Rosja.

Philippe roześmiał się.

- O co ci chodzi? Czy to mało, że jestem podstarzałym gejem, który przećpał obiecującą karierę i mieszka w domu do rozbiórki?

- Nie kręć i nie rozczulaj się nad sobą, bo ci z tym nie do twarzy. Zauważyłam, że przy kolacji uderzałeś stopą o podłogę i miałeś serwetkę, kiedy patrzyłeś na Tatię. Zupełnie jakbym czytała didaskalia: „Philippe'em targają wewnętrzne emocje”.

Sophie obserwowała Philippe'a. W milczeniu obracał kieliszek w dłoni. Jeden z najprzystojniejszych mężczyzn, jakich spotkała w swoim życiu, a były ich setki, i nie zmieniła zdania od ośmiu lat, kiedy go poznała na weselu Thomasa i Martine. Trochę szkoda, że wołał facetów.

Ale teraz bardziej ją interesował Tony Deblauwe, najwyraźniej nią oczarowany i diametralnie inny od jej dotychczasowych partnerów intelektualistów, egocentrycznych i dominujących - od Eskila Linda po JeanaJacques'a, francuskiego dramaturga, z którym zerwała trzy lata temu. Od tamtej pory żyła w celibacie. No, prawie. Jedyńm mężczyzną, który się dla niej liczył, był Daniel, jej syn z małżeństwa z Eskilem Lindem, zajmujący się problemami środowiska w urzędzie wojewódzkim w Falun w Szwecji.

Tak czy inaczej, Tony ją zainteresował. Podobały jej się jego szerokie bary i jedwabiste włosy na silnych wytatuowanych przedramionach, i to, że nie ma ani jednego włosa na dużych dłoniach. Nie znosiła owłosionych dłoni. Miał przyjemny tembr głosu - na co zawsze zwracała uwagę - głęboki, trochę przepalony. Ten krótko ostrzyżony brunet o ciemnoniebieskich czujnych chłodnych oczach wyglądał na twardziela, ale nie wtedy, kiedy się do niej uśmiechał. A

uśmiechał się często. Ile może mieć lat? Więcej niż Philippe i ciut mniej niż ona. Czy jest wolny? Na palcu serdecznym lewej dłoni nosił płaską obrączkę.

- Co u ciebie, Tony - zagała. - Jesteś żonaty czy...?

Zatopił spojrzenie w jej oczach. - Jestem wdowcem, dwa lata temu moja żona zmarła na raka. - Oj, bardzo mi przykro, szczerze współczuję - uprzejmie i nieszczerze odparła Sophie. - Opowiedzcie mi teraz o waszym wspólnym projekcie. Philippe, wspominałeś o jakimś projekcie biznesowym, prawda?

Philippe odstawił kieliszek i złożył dłonie opuszkami palców, jakby się szykował do dłuższego wywodu.

- O, nasz projekt to genialny pomysł, na którym się dorobimy. To znaczy, ja się dorobię, bo Tony już jest bogaty. A dotyczy Europy Wschodniej. Wiesz coś o Europie Wschodniej, Sophie?

Sophie pokręciła głową.

- Nie, raczej nie. Ale mam oczywiście trochę znajomych w Polsce i Czechosłowacji. Cztery lata temu byliśmy w Pradze i Warszawie z moją inscenizacją Toski, poza tym stare filmy Eskila są często pokazywane na festiwalach w Europie Wschodniej i jestem tam zapraszana.

Tony głośno się roześmiał.

- To wiesz więcej niż my. - Philippe wyszczerzył zęby. - Może poprosimy cię o kontakty. W każdym razie mniej więcej rok temu na szczycie w Kopenhadze zapadła decyzja o otwarciu drzwi Wspólnoty Europejskiej dla krajów byłego bloku wschodniego.

Sophie skinęła głową.

- Zanim jednak będą mogły przystąpić do wspólnoty - podjął Philippe - muszą się dostosować do reguł obowiązujących na wspólnym rynku wewnętrznym, czyli od zasad przyznawania wsparcia finansowego, przez chemiczne dodatki do żywności, po konstrukcję siedzeń traktorów, o polityce rolnej i rybołówstwie nie wspominając. Sprawy tak się mają, że dowiedziałem się od starych znajomych z komisji o ogromnych środkach pomocowych przeznaczonych na cele przystosowawcze i o braku ludzi do tej roboty. Krótko mówiąc, chcę założyć firmę konsultingową, której komisja powierzy zadania doradcze w państwach aspirujących do członkostwa w zakresie wdrażania określonych procedur. To będzie żyła złota!

- I uważasz, że to praca dla ciebie? - spytała Sophie.

- No pewnie. Znam przepisy, w radosnych latach osiemdziesiątych, kiedy wciąż byłem dobrze się zapowiadającym prawnikiem w komisji, pisałem sporo dyrektyw rynku wewnętrznego.

- A czym zajmie się Tony?

- Tony wniesie kapitał wyjściowy, żeby Philippe mógł zacząć działalność - wyjaśnił Tony. - Wierzę, że się opłaci. Nie znam bystrzejszego prawnika od niego.

Sophie uśmiechnęła się.

- Jesteś taki bogaty, Tony?

Wzruszył ramionami.

- A la Justice Aveugle i dwie inne restauracje nieźle prosperują - powiedział Philippe. - Ale to delikatna kwestia, droga madame Lind. Są bowiem pewni nieżyczliwi ludzie, którzy wątpią w legalne pochodzenie pieniędzy, jakie Tony zainwestował na początku. Nie sądzę, żeby moja kochana siostra zachwyciła się tym projektem, mimo że przyjaźni się z Tonym.

- A, Martine. Wydaje mi się, że w ostatnich latach stała się nieco pedantyczna.

Sophie umilkła, żeby się przekonać, czy Philippe ruszy swojej siostrze z odsieczą. Nigdy nie rozumiała tej mieszaniny rywalizacji i miłości między nimi, relacji tak bardzo różnej od pozbawionych napięć stosunków między nią a trojgiem jej rodzeństwa. Ale podczas gdy oni wychowywali się w artystycznym domu, z matką Szwedką, która niezbyt się przejmowała konwencjami, Philippe i Martine dorastali w katolickiej mieszczańskiej rodzinie pełnej mrocznych tajemnic. No proszę, pomyślała rozbawiona, Philippe od razu stanął w obronie młodszej siostry.

- To rola - powiedział. - Sędzia śledczy nie może się wyróżniać, powinien się kontrolować. Zwłaszcza kobiety. Muszą być nienagane, bez zarzutu. Wtedy kiedy ja byłem podporą społeczeństwa, miałem żonę, willę i robiłem karierę, Martine włóczyła się po klubach, szalała, wdała się w podejrzany romans z żonatym facetem...

- Z tym politykiem...?

- Tak, Sophie, z tym politykiem. Muszę ci się do czegoś przyznać. Masz rację, że coś mnie gnębi. Nie wiem, co robić, jeśli w ogóle powinienem cokolwiek robić.

Sophie stuliła dłonie, jakby je trzymała nad kryształową kulą.

- Zwierz się cioci Sophie - powiedziała zachęcająco. - Wypłakują się u mnie aktorzy z całej Europy, a w noc świętojańską udzielam dobrych rad nieodpłatnie.



Proszenie o radę nie jest mocną stroną Philippe'a, pomyślała.

Tony miał nieprzeniknioną minę.

- Nie wiem, czy wiesz - odezwał się Philippe po chwili wahania - że nasza mama, moja i Martine, była w Ravensbrück podczas wojny.

Sophie pokiwała głową. Tak, słyszała o tym od Thomasa.

- Została zatrzymana i wysłana tam razem z dziewczyną, która się nazywała Simone Janssens. Mama wróciła, a Simone zmarła w obozie. Simone miała młodszego brata Erica, którego poznałem w Brukseli. - Philippe krzywo się uśmiechnął. - Był adwokatem, łączyła nas ta sama orientacja, obracaliśmy się w tych samych kręgach. Pewnego dnia kilka lat temu, kiedy się rozwiodłem, ale jeszcze nie zrujnowałem sobie życia, spytał, czy jestem synem Renée Collignon, a kiedy potwierdziłem, powiedział, że przyjaźniła się z nią jego starsza siostra Simone i że Simone nie wróciła z obozu. W ten sposób się o tym dowiedziałem. Mama nigdy o tym nie opowiadała. Nigdy.

Sophie zauważyła, że Philippe mnie serwetkę i uderza stopą o podłogę jak podczas kolacji. Tym razem serwetka była z papieru i się podarła. Banalne, ale wyraziste, pomyślała. Mogłabym to kiedyś wykorzystać.

Philippe wypił łyk wina i kontynuował:

- Potem Eric Janssens zaprosił mnie do siebie. Miał duże mieszkanie koło Pałacu Sprawiedliwości w Brukseli, pełne dzieł sztuki i antyków. Chciał mi pokazać zdjęcia siostry i pomówić o niej. Miał lekką obsesję na jej punkcie, czemu trudno się dziwić. Był bardzo zainteresowany tym, co mama opowiadała o swoich wojennych doświadczeniach i czy domyślała się, kto je zadenuncjował. Oczywiście nic nie wiedziałem. Potem nie miałem z nim żadnego kontaktu. Odezwał się parę tygodni temu. Zadzwoił do mnie do pracy i poprosił o spotkanie. Był podekscytowany, ale nie chciał powiedzieć przez telefon, o co chodzi. Umówiliśmy się, że wpadnę do niego w najbliższy piątek. Przyszedłem, pocałowałem klamkę, tego samego wieczoru zadzwoniłem, nie odebrał, zaintrygowany wróciłem w sobotę i wszędzie roило się od policjantów. Eric Janssens został znaleziony martwy w swoim mieszkaniu!

Tony przeciągle gwizdnął.

- O rany! - wyrwało się Sophie. - Wiedzą, kto to zrobił i dlaczego?

- Nie, ale skoro tak mu zależało na spotkaniu ze mną, chyba poznał prawdę o Simone i mamie. To się chyba samo nasuwa? Myślę, że byłem jednym z podejrzanych, ale krótko, bo na

szczęście w tym czasie, kiedy został zamordowany, tkwiłem za barem, serwując piwo fińskim turystom. Pewnie oficjalna wersja jest taka, że załatwił go któryś z jego młodych przyjaciół, ale nie sądzę, żeby na tym się skończyło.

- Kto prowadzi tę sprawę? - spytał Tony.

- Twój stary dobry znajomy, Patrick Anneessens.

- Anneessens. Łebski gość.

- Fakt. Ale jest coś jeszcze, co nie daje mi spokoju. Ciało Erica Janssensa odkryła przyjaciółka Martine, Denise van Espen. Dzisiaj Tatia pokazała nam zdjęcie, które znalazła, przeglądając stare ubrania w antykwariacie Denise. Przedstawiało mamę i Simone, więc musiało być wśród rzeczy Erica. Uważam, że Tatia jest stanowczo za blisko tego morderstwa, i to mnie martwi.

- By the pricking of my thumbs, something wicked this way comes<sup>3</sup> - wymruczała Sophie, nie przejmując się teatralnym przesądem, że cytowanie Makbeta przynosi nieszczęście.

- Mniej więcej tak się czuję - potwierdził Philippe. - Na dokładkę Martine coraz bardziej absorbuje przeszłość mamy. Ubzdurzała sobie, że ja wiem więcej, niż mówię, studiuje artykuły o obozach koncentracyjnych w Bośni, niedługo pewnie zacznie rozgrzebywać i tę sprawę. Nie chcę, żeby moja siostra oberwała w głowę statuetką.

- I co zamierzasz? - spytała Sophie.

- Zastanawiam się, czyby samemu trochę nie powęszyć. Porozmawiam ze znajomymi Erica, może jest jakieś archiwum, dokumenty z czasów wojny, gdzie się czegoś można dowiedzieć...

- Zapytaj Thomasa - poradziła Sophie. - Przecież jest historykiem.

- Historykiem średniowiecza, druga wojna światowa była ciut później.

- Gadanie! Wszyscy historycy znają się ze sobą, to jedna wielka sekta. Thomas na pewno poleci ci kogoś, kto ma w małym palcu wiedzę o Belgii w okresie drugiej wojny światowej. - Sophie coś jeszcze przyszło do głowy. - Znam fotografa, który zrobił trochę reportaży o obozach w Bośni, o kobietach i wojnie. Ostatnio miał jakąś wystawę w Brukseli. Nazywa się Jacques Martin, jest teraz w Villette. Może Martine chciałaby z nim porozmawiać?

Philippe wzruszył ramionami. Znów zmarkotniał.

Tony przyglądał się Sophie, lekko unosząc kąciki ust.

---

<sup>3</sup> Coś mnie nagle w palcu rwie, / Znak, że ktoś zły zbliża się (przeł. M. Słomczyński).

- Chyba lubisz dyrygować ludźmi, piękna Sophie.

- Jestem reżyserem. I mamą. I najstarszą siostrą. Dyrygowanie i rządy to moja praca.

Aha, czy któryś z panów ma ochotę dotrzymać mi jutro towarzystwa na przyjęciu u burmistrza zorganizowanym dla europejskiej prasy? Potrzebne mi męskie ramię.

Tony z ubolewaniem pokręcił głową.

- Niestety. Jeden z kucharzy ma wolne i nie mogę wyjść z restauracji w środku dnia.

- A ty, Philippe?

- Chętnie.

- To dobrze. A teraz mówię już dobranoc. Możemy się spotkać jutro o jedenastej w Sofitelu? Jest przy rynku.

Martine obudziła się gwałtownie. Najwyraźniej zdrzemnęła się za biurkiem. Spojrzała na zegarek. Prawie wpół do ósmej. Przynęła na trzydzieści minut, ale nie czuła się ani trochę wypoczęta. Piasek w oczach, suchość w ustach, lepka skóra. Podeszła do lustra wiszącego obok szafy z archiwaliami i wykrzywiła się do swojego odbicia. Maskara w grudkach, włosy w nieładzie, czerwona plama na policzku, pod który podłożyła dłoń, kiedy spała. To wymaga szeroko zakrojonych działań naprawczych.

Jej ubiór nie prezentował się najlepiej. Dół nogawek spodni znaczyły ślady gliny, lniana koszula była nieświeża. Musi zadzwonić do Thomasa, żeby coś jej przywiózł.

Ktoś położył na biurku poranne wydanie „Gazette de Villette”. Zadrżała, biorąc gazetę do ręki. Na pierwszej stronie był ogromny tytuł: Potrójne morderstwo w Villette, dwa podtytuły: Trzy nastolatki nie żyją, Największe śledztwo w historii Villette, zdjęcie Martine na cztery szpalty (na szczęście wybrali z archiwum jedno z lepszych), a obok zdjęcie platformy Salome, na której Sabrina tańczyła podczas procesji.

Martine szybko przeczytała artykuł. Zacytowano ją poprawnie. Nathalie Bonnaire nie podała nazwisk ofiar, na podstawie uzyskanych informacji napisała dobry, mocny tekst. Radosny świąteczny dzień spędzony przez dziewczęta w Villette skonfrontowała z ich brutalnym zabójstwem nad rzeką.

Martine burczało w brzuchu. Była głodna, ale wyglądała okropnie i nie zamierzała nigdzie się pokazywać w takim stanie. Na podłodze leżała zielona reklamówka ze złotym rogiem obfitości i napisem „Demeester Delicatessen”. Jasne, dostała to od Tatii z pozdrowieniami od Bernadette.

Zajrzała do środka. Pasztet z gęsich wątróbek w małej czworokątnej puszcze, w tym słoiczku jakiś kawior, słoik marmolady figowej, koszyczek z serkami i torebka crostini z ekologicznym czosnkiem i niesłychanie ekskluzywną oliwą z oliwek.

Musi jej wystarczyć na śniadanie. Wyjęła dwie crostini i posmarowała pasztetem z gęsich wątróbek, używając łyżki, którą znalazła w dolnej szufladzie biurka. Teraz przydałaby się kawa. Gdzie się podziała Julie? Pewnie poszła ją zaparzyć.

Martine ugryzła zaimprovizowaną kanapkę. Była pyszna, przepyszna. Kiedy pochłonęła całą, Julie weszła do gabinetu.

Ale nie przyniosła kawy i wyglądała okropnie, gorzej niż Martine. Miała białą obwódkę wokół ust i ciemne worki pod oczami.

- Muszę wziąć urlop - powiedziała.

Martine zaśmiała się głucho.

- Ja też. Może razem wyskoczymy w jakieś miłe miejsce?

- Mówię poważnie. Muszę wziąć urlop. Natychmiast. Wiesz, ile mam zaległego.

Obiecuję załatwić zastępstwo, rozumiem, że to fatalny moment, ale muszę!

Martine długo się w nią wpatrywała, zanim do niej dotarło, że Julie naprawdę nie żartuje.

- Zwariowałaś? Rozpoczynamy „największe śledztwo w historii Villette”, a ty chcesz wziąć wolne? Wykluczone!

Julie miała nieszczęśliwą minę.

- Doskonale cię rozumiem, na razie nic więcej nie mogę powiedzieć, ale to absolutnie konieczne. Niedługo się dowiesz dlaczego. Idę zaparzyć kawę.

Martine zauważyła, że Julie ma łzy w oczach. Niech sobie ma. Co w nią wstąpiło?

Ledwie Julie wyszła do pokoju kawowego i wybrzmiał odgłos jej obcasów na korytarzu, w drzwiach pojawił się Serge Boissard, jeden z inspektorów kryminalnych.

- Madame Poirot - odezwał się cicho - czy może pani udać się ze mną na trzecie piętro? Mamy pewien problem, który musimy wspólnie omówić.

Martine wyszła z nim na korytarz. Kiedy spojrzała w stronę pokoju kawowego, położył palec na ustach. Co się takiego stało?

Na trzecim piętrze było mnóstwo ludzi. Zapach potu, adrenaliny i papierosów bardziej dawał się we znaki niż w nocy.

Na biurku siedział Christian de Jonge, z podwiniętymi rękawami koszuli i w poluzowanym krawacie.

- Usiądź - powiedział na jej widok, zapraszając gestem dłoni. - Mamy dwie wiadomości, dobrą i złą. Dobra jest taka, że personel La Cave du Cardinal rozpoznał Sabrinę Deleuze i chłopców, z którymi dziewczęta rozmawiały. Jeszcze lepsza jest taka, że kierownik stacji benzynowej przy szosie na Givray nie ma cienia wątpliwości, że tuż po wpół do jedenastej jeden z tych chłopców tankował zieloną ciężarówkę, więc mógł zabrać dziewczęta.

Wspaniale, pomyślała Martine. Gdyby udało im się rozwiązać tę sprawę już pierwszego dnia, Villette odetchnęłyby z ulgą, od burmistrza po wszystkich rodziców.

- A na czym polega problem? - spytała.

Christian westchnął i przesunął dłonią po krótkiej ciemnej brodzie.

- Na tym, że ten młody człowiek, który flirtował z Sabriną Deleuze w La Cave du Cardinal i który jechał ciężarówką w kierunku miejsca zbrodni w tym samym czasie, kiedy przypuszczalnie szły tamtędy dziewczęta - to Jean-Pierre Wastia, kuzyn Julie Wastii.

Martine miała takie uczucie, jakby ktoś zadał jej cios pięścią w podbrzusze. Dobrze, że siedziała. Jean-Pierre Wastia, kuzyn, którego jej kancelistka traktowała jak brata. Jean-Pierre Wastia, młody komandos, który był w belgijskim oddziale wojsk ONZ w Rwandzie.

- O nie! Biedna Julie, to straszne! Najpierw pomyślała o Julie, potem o śledztwie. Julie rzeczywiście nie powinna brać udziału w sprawie o potrójne morderstwo, więc najlepszym wyjściem był urlop. Ale nie mogą sobie pozwolić na żadne przestoje.

- Ktoś musi zastąpić Julie, i to natychmiast.

Christian skinął głową.

- Już się tym zajęliśmy. Agnes Champenois będzie lada moment, może dla ciebie pracować, przynajmniej dzisiaj.

- To dobrze, bo trzeba wystawić nakaz rewizji mieszkania. Jak tylko zbierzemy ludzi, jedziemy na posesję Złomiarza Bernarda.

- Ty też?

Sędzia śledczy rzadko był obecny przy przeszukaniach, jeśli nie dotyczyły spraw drażliwych, na przykład lekarzy i adwokatów, dysponujących informacjami poufnymi.

- Tak - potwierdziła Martine. - To wyjątkowo ważne śledztwo i myślę, że tak będzie najlepiej. Ale przede wszystkim muszę porozmawiać z Julie.

Christian zrobił przyzwalający gest.

Serge Boissard miał wątpliwości.

- A jeśli ona ostrzeże chłopaka...?

- Julie Wastia jest wzorowym pracownikiem, darzę ją pełnym zaufaniem, nie z własnej winy znalazła się w sytuacji, która wyłącza ją ze sprawy - ostro zareagowała Martine. - Nie chcę słyszeć żadnych insynuacji, jakoby usiłowała sabotować śledztwo!

Serge Boissard wzruszył ramionami, nie do końca przekonany.

Julie siedziała za biurkiem i patrzyła przed siebie pustym wzrokiem.

- Zjadłam twoją kanapkę, nagle poczułam, że jeśli czegoś nie zjem, zemdleję. Coś mi mówi, że właśnie się dowiedziałas, dlaczego muszę wziąć urlop.

Martine usiadła przy swoim biurku i napotkała spojrzenie Julie. Było jej nieswojo. To prawda, że ufała Julie, ale nie obejdzie się bez kłopotliwych pytań.

- Tak, chodzi o twojego kuzyna, Jeana-Pierre'a - powiedziała. - Naturalnie, dostaniesz urlop, muszę cię jednak spytać, skąd wiedziałas, że on będzie zamieszany w tę sprawę.

Ich spojrzenia znów się spotkały - oczy zielone i ciemnoniebieskie - i żadna nie odwróciła wzroku.

- Z powodu ciężarówki - odparła Julie. - Wiedziałam, że wczoraj wieczorem Jean-Pierre pożyczył ją od dziadka. Rano, kiedy zasnął przy biurku, zadzwoniłam do dziadka, porozmawiałam z Jeanem Pierre'em i trochę go podpytałam, co u niego i jakie ma plany na dzisiaj. - Popatrzyła Martine prosto w oczy. - Żeby ci zaoszczędzić dalszych pytań, od razu powiem, że go nie ostrzegłam, mimo że czułam się jak Judasz. Nie sądzę, żeby cokolwiek wiedział o tej zbrodni. Jean-Pierre nie czyta gazet i nie słucha wiadomości. - Powędrowała spojrzeniem gdzieś daleko. - Chyba ci nie mówiłam, że w dzieciństwie przez rok mieszkałam u mamy w Brukseli?

Martine pokręciła głową. Julie pochodziła z rodziny, która w Villette miała niemal status pariasów. Jej dziadek Bernard Wastia, handlarz złomu, cieszył się ugruntowaną złą opinią, a jego synowie - Bruno i Jerry - prowadzili wątpliwe interesy samochodowe i nie stronili od wdawania się w bójki. Julie, dziecko Josette Wastii, jedynej córki Złomiarza Bernarda, wychowywała się u dziadków.

- Tak - powiedziała Julie. - Skończyłam cztery lata i mama uznała, że powinnam z nią zamieszkać. Kiedy była zajęta pracą w salonie fryzjerskim, ja miałam chodzić do przedszkola.

Przeprowadziłam się do Brukseli, ale nic z tego nie wyszło, bo miała za dużo pracy, i wróciłam do Villette. Kiedy zaczęłam szkołę i byłam na tyle duża, że nie wymagałam opieki w ciągu dnia, znów chciała, żebym się do niej przeniosła. Ale ja wolałam zostać tutaj, miałam przyjaciół i nauczycieli, których lubiłam, w Villette czułam się jak u siebie i powiedziałam o tym mamie. - Julie napotkała spojrzenie Martine. - Wtedy usłyszałam coś, co zapadło mi w pamięć: „Córeczko, myślisz, że masz przyjaciół, ale prędzej czy później zrozumiesz, że w Villette zawsze będziesz nieślubnym dzieckiem Josette Wastii, wnuczką Złomiarza Bernarda”. Wygląda na to, że miała rację i że ta chwila właśnie nadeszła, prawda?

- Jesteś niesprawiedliwa, dobrze wiesz, że musimy sprawdzić twojego kuzyna. I będzie traktowany jak inni, z tą samą bezstronnością.

Julie popatrzyła na nią współczująco.

- Tak ci się tylko wydaje. Nie jesteś z Villette. Niedługo sama się przekonasz, jak zaczniesz szukać dowodów przemawiających na niekorzyść Jeana-Pierre'a. To idealny podejrzany. Ale jedno musisz wiedzieć: Jean-Pierre jest niewinny. Byłam na miejscu przestępstwa, widziałam, co zrobił morderca, i - jak tutaj siedzę - mogę stwierdzić z absolutną pewnością, że mój kuzyn nie popełnił tej zbrodni.

- Obiecuję, że zrobię wszystko, co do mnie należy, i jeśli twój kuzyn jest niewinny, nie ma się czego obawiać. Możesz wziąć urlop na czas nieokreślony, ale przedtem chciałabym, żebyś dopięła na ostatni guzik akta rodzeństwa Choffray.

- Żebym była zajęta, kiedy będziecie przeprowadzać u niego rewizję - kwaśno skonstratowała Julie.

- Do zobaczenia. Mam nadzieję, że niedługo wrócisz do pracy.

Na korytarzu Martine spojrzała na zegarek. Prawie dziewiąta. Musi jak najszybciej zadzwonić do domu, żeby złapać Thomasa, zanim wyjedzie na przyjęcie u burmistrza. Nie chciała w obecności przygnębionej Julie rozmawiać o tym, w co zamierza się ubrać na konferencję prasową, skorzystała więc z telefonu w pokoju obok.

Thomas odebrał natychmiast.

- Cześć! Pamiętasz mnie? Jestem twoją żoną.

- Rzeczywiście, rano w łóżku było trochę pusto, ale mam na pocieszenie twoje zdjęcie w gazecie. Co za okropna historia.

- Będą mi potrzebne świeże ubrania. Mógłbyś mi je podrzucić w drodze na przyjęcie?

- Jasne! Co ci przywieźć?

- Zieloną garsonkę, wisi w garderobie, ostatnia po lewej, chociaż... nie, zaraz...

Lniana garsonka była twarzowa, wręcz idealna na sobotnie czerwcowe przedpołudnie, ale z uwagi na śledztwo w sprawie brutalnego mordu trzech nastolatków kolor soczystej zieleni wydawał się mało stosowny.

- Nie, wybierz coś ciemnego.

- Coś ciemnego? Chyba żartujesz. Nie jestem ekspertem od mody, tylko prostym historykiem. Porozmawiaj z Tatią, nocowała u nas dzisiaj.

Tatia przejęła słuchawkę i Martine wyłuszczyła jej co i jak.

- Załatwione - powiedziała Tatia - wiem, czego ci trzeba. Masz wyglądać autorytatywnie, a jednocześnie zwyczajnie i niezbyt ponuro. No problem! Martine... - Jej głos zabrzmiał nagle mniej pewnie i bardzo młodo. - To straszne, co spotkało te dziewczęta. Myślisz, że szybko znajdziecie mordercę?

Stojąc na miejscu zbrodni, Martine za wszelką cenę próbowała wyrzucić z pamięci, że Tatia jest rówieśnicą ofiar, ale nie do końca jej się to udało. Kiedy patrzyła na obrazy Nadii w jej domu w Givray, myślała o Tatii.

- Robimy wszystko, co w naszej mocy - powiedziała. - Tak czy inaczej, możesz być spokojna, kochanie.

Przez na wpół otwarte okno wpadł podmuch chłodnego powietrza i zjeżył jej włosy na rękach.

Posesja Bernarda Wastii znajdowała się przy tej samej szosie, gdzie Sabrina, Peggy i Nadia straciły życie. Martine spojrzała na licznik kilometrów, kiedy mijali teren odgradzony niebieskobiłą taśmą policyjną, na którym wciąż pracowali technicy. Dokładnie pięć kilometrów dalej, po lewej, była niechlujnie namalowana tabliczka: „Złomowisko Wastii. Skup i sprzedaż złomu”.

Niski murowany dom wyglądał na stary, solidny i niezniszczalny, ale otaczające go budynki gospodarcze były w kiepskim stanie: wybite szyby, łuszcząca się farba, dachy nadające się do wymiany. W obejściu, niegdyś starannie wybrukowanym, między popękаныmi płytkami rosły kępy szczeciniastej trawy. Na podwórzu i za budynkami gospodarczymi piętrzyły się zwaly przerdzewiałych maszyn i ze złomowanych samochodów.



Kiedy w małej kolumnie radiowozów jechali drogą dojazdową do posesji, przywitało ich głuche szczekanie. Do siatki woliery, po prawej, przypadły, jeżąc sierść, dwa ogromne czarne psy. Martine miała nadzieję, że ogrodzenie wytrzyma. Nie lubiła psów, w każdym razie nie takich, których przodkowie rozszarpywali chrześcijan na rzymskich arenach. Na szczęście była w towarzystwie uzbrojonych policjantów.

Nie uprzedzili o wizycie, ujadanie czworonogów zniweczyło efekt zaskoczenia. Kiedy zatrzymali się na podwórzu, z domu wyszedł młody mężczyzna.

- Aki, Amar, cicho! - zawołał.

Na widok radiowozów znieruchomiał jak pomnik.

Jean-Pierre Wastia. Martine rozpoznała go ze zdjęcia na biurku Julie. Szczupły wysportowany dwudziestojednolatek, krótkowłosa, o opalanej twarzy, ciemnych oczach Julie i jej pełnej dolnej wardze. Miał na sobie czarny T-shirt, wojskowe spodnie maskujące i glany.

- O co chodzi? - spytał.

Christian pokazał nakaz rewizji.

Jean-Pierre Wastia zmieszał się.

- O co chodzi? - powtórzył. - Czy coś się stało?

- Musimy wejść do środka - odpowiedziała po chwili Martine. - Czy ktoś oprócz ciebie jest w domu?

- Nie - odparł szorstko. - Jestem sam. Dziadek i babcia wyjechali. Pani pracuje z Julie, prawda? Nie mogłaby mi pani powiedzieć, o co chodzi, bo nic nie rozumiem.

- Nie słuchałeś wiadomości?

Pokręcił przecząco głową.

Policjanci podzielili się na dwie grupy, jedna miała przeszukać dom, druga podwórze i budynki gospodarcze. Martine i Agnes Champenois weszły za Jeanem Pierre'em do domu. Nadal był bardziej zmieszany niż wystraszony.

- Gdzie śpisz, chłopaku? - spytał Serge Boissard, kiedy znaleźli się w holu.

- Ja? To nie chodzi o dziadka ani ojca...?

Teraz wyraźnie się zaniepokoił, ale nie sprawiał wrażenia skorego do awantur. Jean-Pierre Wastia był komandosem nawykłym do wykonywania rozkazów, a ten człowiek mówił do niego jak dowódca.

Serge wskazał swoim ludziom drzwi po prawej, wydał im polecenie, żeby stamtąd zaczęli, i zwrócił się do młodego Wastii:

- Co miałeś na sobie wczoraj wieczorem?
- Kurtkę, koszulkę i spodnie. Leżą na krześle koło łóżka.
- A na nogach?
- Te glany, które mam teraz.
- Zabieramy je. Ściągaj rozdwa.

Jean-Pierre poczerwieniał na twarzy i zacisnął pięści, z widocznym wysiłkiem powstrzymując emocje. Rozsznurował buty, oddał je Serge'owi i włożył trampki, które zdjął z półki na obuwie.

Kamienna posadzka w dużym holu lśniła czystością. Martine niemal czuła zapach szarego mydła. Bałagan na podwórzu nie miał wstępu tutaj, gdzie rządziła Marie Wastia, żona Złomiarza Bernarda. W oknach wisiały śnieżnobiałe wykrochmalone firanki, w całym domu pachniało płynem do polerowania mebli i środkami czystości, które toczyły nierówną walkę z silnym zapachem papierosowego dymu.

- Czekając, możemy chyba usiąść w salonie - powiedziała Agnes Champenois swoim najbardziej matczynym tonem.

Miała pięćdziesiąt dwa lata i była jedną z najlepszych kancelistek w Pałacu Sprawiedliwości. Sprawna organizacyjnie, biegła w prawie, mądra i empatyczna w kontaktach z ludźmi. Jean-Pierre widział w niej mamę, która przysłała zaprowadzić porządek.

To jeszcze chłopiec, pomyślała Martine. Czuła się nieswojo.

Usiedli na czerwonych skórzanych kanapach, zawalonych poduszkami w jedwabnych i aksamitnych poszewkach. Bernard Wastia nie klepał biedy. Duży nowy telewizor, na regale wypucowane srebra, złote i brokatowe aksamitne zasłony. Pomyśleć, że Julie dorastała w tym domu. Dziwne uczucie. Na regale stały jej zdjęcia w srebrnych ramkach: czarnooka jednolatka z mamą, konfirmantka w białej sukni z welonem, roześmiana nastolatka z dwoma dużymi psami i mniej więcej dziesięcioletnim chłopcem, zapewne z JeanemPierre'em.

Jean-Pierre zapalił papierosa i przysunął do siebie kryształową popielnicę wielkości balii. Patrzył badawczo to na Martine, to na Agnes i milczał. Martine zastanawiała się, o czym myśli. Miał za sobą trudny rok. Był w Rwandzie w belgijskim oddziale ONZ w kwietniu, kiedy doszło do aktów ludobójstwa, on i inni żołnierze sił pokojowych widzieli ogarniającą cały kraj orgię

zbrodni, której nie mogli powstrzymać, dziesięciu jego kolegów zostało zamordowanych, razem z belgijskimi żołnierzami z obrzydzeniem cisnął swój niebieski beret na ziemię, kiedy wylądowali w Belgii.

Jak to na niego wpłynęło? Gwałtowne, traumatyczne przeżycia często powodują niestabilność emocjonalną, pomyślała Martine, a mężczyźni w tej rodzinie od zawsze byli znani z porywczego usposobienia.

Zdziwiła się, jak bardzo przygnębiła ją myśl, że Jean-Pierre może być winny. Jej lojalność wobec Julie w żaden sposób nie może wpłynąć na śledztwo, tak jak nie wolno jej ulec presji decydentów i mediów.

A tym razem presja będzie ogromna. Z samego rana ekipy telewizyjne, reporterzy radiowi i dziennikarze prasowi stanęli szpalerem przed Pałacem Sprawiedliwości. Wśród nich zaproszeni Brytyjczycy, Francuzi, Niemcy i Holendrzy, którzy mieli zapewne promować niezwykle bogate życie kulturalne w Villette.

- Madame Poirot!

W drzwiach pojawił się Serge. Martine wstała i wyszła do holu.

- Coś znaleźliśmy - powiedział półgłosem. - Na kurtce, którą chłopak miał wczoraj na sobie, jest dużo długich jasnych włosów, możliwe, że Sabriny Deleuze.

- Ale to oczywiście nic pewnego.

- Oczywiście. Najpierw musimy je przesłać do analizy. Ciekawe, jak idzie drugiej grupie.

Jak na zamówienie, drzwi się otworzyły i do holu wkroczył z triumfującą miną technik kryminalistyczny Luc Santini.

- Znaleźliśmy coś, madame Poirot, proszę ze mną.

Martine wyszła na podwórze. Psy już nie czekały, ze zjezoną sierścią stały przy siatce i groźnie powarkowały.

Luc Santini ruszył do zielonej ciężarówki zaparkowanej przed jednym z budynków gospodarczych.

- Wczoraj wieczorem na pewno nią jeździł, niech pani ostrożnie tutaj podejdzie i spojrzysz na podłogę w szoferce. Jeszcze tego nie zabraliśmy.

Gumowy dywanik od strony pasażera był odwinięty. Na podłodze w półmroku leżało coś małego w pastelowym kolorze. Martine złożyła ręce za plecami i pochyliła się. Luc Santini zapalił latarkę i poświecił. Na podłodze leżała filigranowa kokardka ozdobiona błyszczącymi

różowymi kamykami. Martine natychmiast ją rozpoznała. Widziała identyczne różowe kamyczki w świetle reflektora na miejscu zbrodni.

W ciężarówce, którą Jean-Pierre Wastia jeździł ostatniej nocy, była kokardka z sandałka zamordowanej Nadii Bertrand.

# ROZDZIAŁ 6

Sobota, 25 czerwca 1994, Villette

Sophie długo spała i zamówiła śniadanie do pokoju. Na tacy leżał również lokalny dziennik „Gazette de Villette” z dużym zdjęciem szwagierki na pierwszej stronie. Czytała artykuł, popijając kawę. Oczyma reżysera zobaczyła nocne ciemności, rzekę, trzy martwe dziewczęta, w tle świętujące miasto. Jak w operze, pomyślała, nagła śmierć i karnawał, zgasło młode życie. Ale to się stało naprawdę. Nikt nie wstanie do oklasków po scenie śmierci.

Trochę się wstydziła tego, co wczoraj wieczorem powiedziała o Martine. Jak się ma taką pracę, dystans i opanowanie nie powinny dziwić. Kiedy ona popijała wino z Tonym i Philippe'em, Martine była na miejscu przestępstwa.

Spojrzała na ubrania, które powiesiła w hotelowej szafie. Czerwona sukienka, w której zamierzała pójść na przyjęcie w ratuszu, była w tej sytuacji całkowicie niestosowna. Postanowiła włożyć białoczną wzorzystą od Diora, którą po długich prośbach i naprzykrzaniu się kupiła od babci JeanaJacques'a. Okropna starucha, ale jej ciuchy haute couture z lat pięćdziesiątych - rewelacyjne. Czasami Sophie miała wrażenie, że wytrzymała z JeanemJakiem trzy lata wyłącznie z powodu garderoby jego babki.

Pomalowała usta swoją najczerwieńszą pomadką. Koniec końców nie wybiera się na pogrzeb.

W hotelowym lobby czekali na nią Thomas, Tatia i Philippe.

Thomas powiedział, że wcześniej wpadli do Pałacu Sprawiedliwości z torbą ubrań dla Martine, Martine nie zastali, nie mogli się dowiedzieć, gdzie jest, ale chyba mają podejrzanego.

- Fantastycznie! Martine świetnie się spisała. - Sophie uśmiechnęła się krzepiąco do młodszego brata. - A jak tam twoja prelekcja?

Thomas jęknął.

- Nie wiem, czemu się zgodziłem. Chyba zwariowałem! Niby dlaczego osiemdziesięcioro dziennikarzy chciałoby słuchać wywodów jakiegoś profesora, kiedy będą się mogli dorwać do gratisowych drinków? Zdecydowałem się na krótki, treściwy speech. Najgorsze, że tryskająca entuzjazmem zastępczyni burmistrza, która zajmuje się sprawami kultury, wpadła na pomysł,

żeby moje wystąpienie zaanonsowali ubrani w średniowieczne stroje heroldowie z trąbkami. Mam nadzieję, że udało mi się to jej wyperswadować.

Tatia, już w swoim zwykłym gotyckim przydzwiewku, nie miała najmniejszej ochoty na spęd w ratuszu. Ruszyła do wyjścia, żeby się powłóczyć po butikach na Île Saint Jean.

- Tylko pamiętaj, żebyś trzymała się tych miejsc, gdzie jest dużo ludzi - upomniał ją Philippe. - Nie rozmawiaj z nieznanymi mężczyznami i nie zapuszczaj się w wyludnione zaułki!

Uśmiechnęła się i przesłała ojcu pocałunek.

Ratusz w Villette zbudowano pod koniec szesnastego wieku, prawie sto lat później niż pałac biskupi, obecnie Pałac Sprawiedliwości. Był większy i okazalszy, jakby świeccy władarze miasta chcieli zademonstrować potężnym prałatom z Île Saint Jean swoje bogactwo i wpływy.

Burmistrz Villette JeanMarc Poupert, masywny i szary, stał przy wejściu do dużej sali przyjęć, której parkiet rozjaśniały promienie słońca wpadające przez wysokie okna. Choć nie czuł się dobrze - miał czoło mokre od potu i ciężki oddech, słyszalny mimo gwaru głosów i brzęku kieliszków - nic nie uszło uwagi jego małych szarych oczu.

Wokół burmistrza krążyła jego prawa ręka, Annalisa Paolini, jakby chciała się pozbyć nadmiaru energii. Jej obcasy uderzały o parkiet jak kastaniety, gestykulowała z ogromną werwą, migotały czerwone paznokcie. Sophie spotkała się z nią wcześniej, żeby załatwić pozwolenie na kręcenie zdjęć w budynkach użyteczności publicznej, i szybko się zorientowała, że ma do czynienia z prawdziwą entuzjastką i siłą sprawczą promocji miasta kandydującego do tytułu Europejskiej Stolicy Kultury, z osobą inteligentną, ambitną i przebojową. Ktoś jednak powinien jej zwrócić uwagę, żeby dawkowała swoje dziewczęce wybuchy śmiechu, jeśli chciała być traktowana poważnie. Sophie korciło, żeby jej to powiedzieć, ale zrezygnowała, to nie jej zadanie.

Annalisa Paolini rozpromieniła się na ich widok.

- Profesor Héger! - wykrzyknęła z dziewczęcym śmiechem. - Jak to dobrze, że pan tu jest! Proszę się nie niepokoić, nie będzie heroldów! Madame Lind, bardzo się cieszę, że mogła pani przyjść!

Z zapalem uściśnęła dłoń Thomasowi i Sophie, po czym pytająco i życzliwie spojrzała na Philippe'a. Philippe uśmiechnął się grzecznie zza przeciwsłonecznych okularów, które włożył, kiedy szli przez rynek.

- Zaprosiłam przyjaciela... - wymruczała Sophie. - Chyba można...

- Naturalnie - odrzekła Annalisa Paolini i odwróciła się od nich, żeby powitać następnych gości.

Sophie i Philippe wzięli po kieliszku szampana i stanęli przy ogromnym marmurowym kominku, a Thomas odszedł na bok, żeby ostatni raz przemyśleć swoje wystąpienie. Sala zaczynała się zapelniać, wszyscy wyglądali niepozornie pod ciemnym rzeźbionym sufitem, poniżej portretów szesnastowiecznych mieszczan, odzianych w aksamity obszyte futrem.

Łatwo było zauważyć, którzy dziennikarze są z Brukseli. Wchodzili małymi grupkami i bacznie się rozglądali, polując na newsa albo przynajmniej kogoś wartego rozmowy. Głównie mężczyźni, niby w czystych krawatach i marynarkach, a mimo to jacyś niechlujni, jakby za długo nosili te same ubrania.

Trzej dziennikarze podeszli do kominka, każdy z kieliszkiem w dłoni, i ustawili się tak blisko Sophie, że słyszała, co mówią. Rozmawiali po francusku.

- Zgadnijcie, czy orły za biurkiem napaliły się na tę historię - odezwał się pierwszy, z silnym angielskim akcentem. - Dali mi dwa razy tyle miejsca co na cały szczyt na Korfu.

Koledzy świetnie go rozumieli. Najwyraźniej oni też mieli problemy z idiotami w swoich redakcjach, którzy nie wiedzieli, jakie europejskie wiadomości są naprawdę ważne.

- Ale mam dobry tytuł - kontynuował Anglik. - Co powiecie na *Villette Launches its Bid for Murder Capital of Europe*<sup>4</sup>?

Wybuchnęli śmiechem.

- Tak, i to nie po raz pierwszy - skomentował siwowłósy mężczyzna wyglądający na Włocha i mówiący z włoskim akcentem. - I o ile mnie pamięć nie myli, nie po raz drugi. Słyszeliście, że po południu pani Poirot ma konferencję prasową? Chyba odpuścimy sobie konferencję w ratuszu, jeśli pokryją się w czasie.

- Blondynka - powiedział w zamyśleniu Anglik. - Niezły temat po tej poprzedniej aferze. Sądzicie, że udałoby się załatwić z nią wywiad?

- Możemy razem przypuścić atak - zaproponował trzeci dziennikarz. - Trzy czołowe dzienniki europejskie to jest coś.

Philippe ujął Sophie pod ramię i odciągnął ją od grupki dziennikarzy.

---

<sup>4</sup> Villette pretenduje do tytułu Zabójczej Stolicy Europy.

- Nie wierzę własnym oczom - powiedział z rozbawieniem. - Połowa tych ludzi była już wtedy, kiedy pracowałem w komisji, z kilkoma miałem częste kontakty. Tamten Włoch, Francesco Marinelli, dzień w dzień siedział w tej samej marynarce i w tym samym miejscu w pokoju prasowym od podpisania traktatu rzymskiego. I ten gruby Duńczyk z brodą, i Anglik w dwurzędówce, z łupieżem na ramionach...

- To chyba dobrze, że ich znasz. Dobrze dla waszego projektu, prawda?

- Masz rację, piękna Sophie. Że też o tym nie pomyślałem.

Philippe zdjął przeciwsłoneczne okulary i rozejrzył się. Anglik w dwurzędowej marynarce zauważył go i ruszył w ich stronę.

- Hello! - przywitał się rozwlekłym, oksfordzkim angielskim. - Kopę lat. Zmieniłeś departament?

- Nie - z nonszalancją odparł Philippe po angielsku. - Jakiś czas temu rzuciłem pracę w komisji. Sophie, pozwól, że ci przedstawię Nigela Richardsa, jednego z czołowych dziennikarzy unijnych w Brukseli. Nigel - Sophie Lind.

Nigel Richards spojrzał na Sophie z widoczną atencją, ale jej nie rozpoznał. Doszła do wniosku, że niezbyt często pisał o kulturze.

- Bardzo mi miło - powiedział roztargniony. - Aha, zostawiłeś komisję, to co teraz robisz?

- Pracuję w branży hotelarskiej - uroczyście i w zasadzie zgodnie z prawdą oznajmił Philippe, który stał za barem w brukselskim hotelu przy Boulevard Anspach. - Ale zacznę się zajmować Europą Wschodnią w ramach procesu poszerzania Unii Europejskiej. Szacuję, że w ciągu dekady ten rynek będzie równie duży, jak wewnętrzny w latach osiemdziesiątych.

Nigel Richards pogładził wąsy i dwuznacznie pokiwał głową. Na ramiona posypały się płatki łupieżu.

- Bezwzględnie! Zdaje się, że Niemcy zamierzają to ostro forsować.

- Może moglibyśmy się spotkać któregoś dnia i porozmawiać o tym?

- Chętnie, mam ten sam numer co przedtem. Masz wizytówkę?

- Niestety, nie przy sobie. Masz kawałek papieru?

Anglik wyjął z kieszeni wizytówkę i długopis, Philippe zapisał swoje zamiary.

Nigel przeczytał i zdębiał.

- No jasne, przecież nazywasz się Poirot. Nie jesteś przypadkiem spokrewniony z sędzią śledczą? Tą, która się obecnie zajmuje potrójnym morderstwem?



- To moja młodsza siostra.

Anglik patrzył na niego z rosnącym zainteresowaniem.

- W redakcji wpadli na pomysł, żebyśmy napisał jej portret do dodatku weekendowego. Bardzo chciałbym zrobić z nią wywiad. Może mógłbyś mi jakoś pomóc...?

- Nie wydaje mi się, żeby sędzia śledczy mógł udzielać wywiadów. Ale może mógłbym zaaranżować jakieś spotkanie, a jak się nie uda, zawsze mogę ci podrzucić trochę informacji. Oczywiście, gdybyś był zainteresowany.

Nigel Richards zapewnił, że jest bardzo zainteresowany. Napisał Philippe'owi na wizytówce numer telefonu hotelu, w którym się zatrzymał, i rozstali się z wyrazami wzajemnej życzliwości.

Sophie była lekko zszokowana. - Jak ci nie wstyd sprzedawać rodzoną siostrę za kontakty z prasą! Philippe wzruszył ramionami. - Przysługa za przysługę, wszystko na tym polega. Jak się człowiek chce odbić od dna, musi dać coś w zamian. Nie wydaje mi się, żeby Titine miała coś przeciwko swojemu portretowi w zagranicznej prasie. Od zawsze marzyła o sławie, chociaż udaje, że tak nie jest. A ja nie powiedziałbym nic, co mogłoby jej zaszkodzić.

Sophie nie była przekonana. Już miała go zwymyślać, kiedy poczuła czyjąś dłoń na ramieniu.

Odwróciła się.

- Jacques Martin! Właśnie ciebie chciałam spotkać!

Fotograf roześmiał się i pocałował ją w policzek. Jako jedyny mężczyzna na sali nie miał marynarki ani krawata, tylko czarną skórzaną kurtkę i dżinsową koszulę. Był ubrany identycznie jak wtedy, kiedy się poznali na planie Blanki z Namuru, jej pierwszego filmu z Eskilem Lindem. Jacques R. Martin robił fotosy. Stare dzieje, tak stare, że wołała o tym nie myśleć. Wtedy był wschodzącą gwiazdą w branży, teraz fotografem renomowanym w świecie. Wspecjalizował się w konfliktach w Europie, od powstania na Węgrzech w roku 1956 po wojnę w rozpadającej się Jugosławii. Reportaże wojenne łączył z zajęciami bardziej komercyjnymi i dobrze płatnymi, jak sesja Sophie dla „Elle”. - Dlaczego chciałaś mnie spotkać? - spytał. - Czyżby z powodu mojej ujmującej osobowości?

- Nie, z powodu twojej pracy. Zrobiłeś dużo reportaży o kobietach podczas wojny, prawda? O obozach w Bośni. Moja bratowa Martine właśnie się dowiedziała, że jej mama była w

Ravensbrück, i mnóstwo rzeczy nie daje jej spokoju. Pomyślałam, że mogłaby sporo wynieść z rozmowy z tobą.

Zauważyła kątem oka, że Philippe przypatruje się Jacques'owi Martinowi bez cienia entuzjazmu. Może posunęła się za daleko w zapale do dyrygowania? Może to niezbyt fortunny pomysł, żeby opowiadać osobom postronnym o rodzinnych tajemnicach swoich powinowatych. Ale przecież Philippe przymierzał się do rozgrzebywania przeszłości, mimo że to Martine miała obsesję na punkcie wojennych przeżyć ich matki. Pospiesznie dokonała prezentacji dwóch mężczyzn.

- Co pan robi w Villette? - spytał Philippe. - Czy to ciut nie za daleko od obszarów światowych konfliktów?

- Pieniądze. - Jacques Martin roześmiał się. - Przygotowuję materiał o belgijskich festiwalach dla amerykańskiego magazynu fotograficznego. Dzięki temu stać mnie na reporterskie wyprawy. Jestem wolnym strzelcem. Pomyślałem, że skoro już tu jestem, skorzystam z okazji i zrobię coś o Villette, kandydacie do tytułu Europejskiej Stolicy Kultury. Dlatego wpadłem na tę imprezę.

Wręczył Philippe'owi wizytówkę, ten wsunął ją nonszalancko do kieszeni, odwrócił się i poszedł do stołu z drinkami.

- Martine... Twoją bratową jest Martine Poirot, sędzia śledcza? Jasne, że chętnie bym się z nią spotkał - powiedział Jacques Martin. - Ale teraz jest chyba bardzo zajęta?

Sophie nie zdążyła odpowiedzieć, bo na estradę, pod krótszą ścianą sali, weszła Annalisa Paolini i zakomunikowała, że profesor Thomas Héger, „nasz znamienity naukowiec i autor bestsellerów”, przybliży gościom wczesną historię Villette i genezę procesji świętojańskich.

Kiedy Martine wróciła do Pałacu Sprawiedliwości, w recepcji czekała na nią torba z ubraniami. Zadowolona udała się na czwarte piętro do damskiej toalety i modliła się, żeby nikt nie wszedł. Z przyjemnością umyła się w letniej wodzie i od razu poczuła się świeższa, mimo chemicznego zapachu taniego firmowego mydła. Potem zamknęła się w kabinie i przebrała w to, co wybrała Tatia: granatowy żakiet bez kołnierza Martina Margieli, limonkowy jedwabny Tshirt i czarne wąskie spodnie uszyte przez Tatię.

Ledwie weszła do gabinetu, zadzwonił telefon. Prezes sądu Yves Deshayes, teoretycznie jej szef, potentat, o którym częściej czytała w gazetach, niż widywała osobiście. Obracał się we wszystkich wpływowych kręgach w mieście i był zaprzyjaźniony z burmistrzem JeanemMarkiem

Popartem, od pięciu lat następcą legendarnego Guya Dolheta, politycznego ojca chrzestnego Villette.

- Yves Deshayes z tej strony. To prawdziwa katastrofa. Pani Martine, proszę powiedzieć, że macie podejrzanego!

- Mamy podejrzanego.

W słuchawce zaległa cisza.

- To żart? - spytał po chwili.

- Nie. Wystawiłam nakaz aresztowania i właśnie doprowadziliśmy podejrzanego. Zaraz będę go przesłuchiwać.

- Wspaniałe wiadomości. Gratuluję! Czy są mocne podejrzenia?

- Tak. Dysponujemy dowodami, że zamordowane dziewczęta były wczoraj wieczorem w jego samochodzie, mieszka blisko miejsca, w którym zostały znalezione, ale na razie nie mamy nic, co by go z nim łączyło.

- Na pewno wszystko się wyjaśni, to dopiero faza wstępna postępowania przygotowawczego. Kto to jest?

Martine wahała się. Prezes sądu naturalnie miał pełne prawo poznać nazwisko podejrzanego, ale nie miała ochoty go ujawniać. Na posesji Złomiarza Bernarda zrobiło się nieprzyjemnie, kiedy znaleźli przedmioty wskazujące na związek Jeana-Pierre'a z zamordowanymi dziewczętami. Była przekonana, że niektórzy policjanci pod byle pretekstem chętnie by mu przyłożyli, gdyby nie zadbała o to, żeby jechał w tym samym samochodzie, co ona. Nie miała wątpliwości, że połowa Villette wkrótce się dowie, kogo zatrzymali, i obawiała się atmosfery linczu. Wtedy nikt nie będzie się przejmował takimi drobiazgami, że osoba podejrzana jest niewinna, dopóki nie udowodni się jej winy.

- Jean-Pierre Wastia - powiedziała. - Syn Bruna Wastii, handlarza samochodów.

- No tak. I wnuk handlarza złomu, prawda? Ta rodzina cieszy się w mieście określoną reputacją. Zaraz, zaraz... czy pani kancelistka nie nazywa się Wastia?

- Owszem, ale wzięła urlop i w tym śledztwie pracuje ze mną Agnes Champenois.

- Naturalnie zorganizuje pani konferencję prasową. To konstatacja, nie pytanie.

- Tak, zamówiłam salę na trzecią.

- Na trzecią - powtórzył Deshayes. - Hm... Myślę, że druga jest stosowniejsza. Przedstawiciele mediów mogą zaraz po konferencji w ratuszu udać się do Pałacu

Sprawiedliwości i zyskać pewność, że panujemy nad sytuacją. Nie byłoby z korzyścią dla naszych starań o tytuł Europejskiej Stolicy Kultury, gdyby zagraniczni dziennikarze odnieśli wrażenie, że w Villette grasuje masowy morderca.

Martine ogarnęła złość.

- Trzecia bardziej mi odpowiada. Poza tym nie pracuję pod dyktando działu PR ratusza.

Powiedziała to ostrzej, niż zamierzała, ale była zbyt zmęczona, żeby silić się na dyplomatyczne sformułowania.

Yves Deshayes westchnął teatralnie.

- Już dobrze, nikt pani nie podejrzewa o pracę na rzecz działu PR ratusza, wręcz przeciwnie, zwłaszcza po pani dokonaniach tej wiosny. Pewna elastyczność i odrobina dobrej woli w żadnym stopniu nie położą się cieniem na pani niezależności. Chyba pani to rozumie, Martine? Świetnie, jesteśmy zgodni! Żeby oszczędzić pani zachodu, osobiście dopilnuję, żeby przesunąć rezerwację sali na drugą.

Rozłączył się, zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć. Kompletnie ją zignorował. Mniejsza o godzinę rozpoczęcia konferencji, miała ważniejsze sprawy na głowie.

Spojrzała na zegarek. Za dwadzieścia minut czeka ją pierwsze przesłuchanie Jeana-Pierre'a Wastii. Wcześniej chciałaby się skonsultować z Christianem de Jonge'em.

Jean-Pierre Wastia, doprowadzony przez dwóch policjantów, wydawał się niespokojny. Podczas zatrzymania był wyraźnie zszokowany i zaskoczony śmiercią trzech dziewcząt, chociaż równie dobrze mógł tak zareagować na akcję policji, która błyskawicznie wpadła na jego trop.

Za biurkiem Julie siedziała Agnes Champenois, gotowa do protokołowania.

- No dobrze, Jean-Pierre - powiedziała Martine, upewniwszy się, że przeczytał informację o przysługujących mu prawach. - Jak wiesz, nie jestem policjantką, tylko sędzią śledczą, i nie zamierzam cię oskarżać, chciałabym jedynie poznać prawdę. Obawiam się, że nie wygląda to dobrze. Sabrina Deleuze, Peggy Bertrand i Nadia Bertrand zostały ostatniej nocy zamordowane nad rzeką, blisko drogi prowadzącej do twojego domu. Wiemy, że przejeżdżałeś tamtędy tej nocy, i znaleźliśmy dowody, świadczące o tym, że dziewczęta były w twoim samochodzie. Najlepiej będzie, jeśli opowiesz, co się wydarzyło.

Rozejrzał się, jakby szukał kogoś, kto by mu pomógł, i zaczął mówić. Powoli, z częstymi pauzami.

- Ja nic nie zrobiłem, nic z tego nie rozumiem, nikogo nie zamordowałem. Kiedy wczoraj wieczorem wracałem do domu, zobaczyłem Sabrinę i dwie inne dziewczęta, jak szły poboczem drogi, zatrzymałem się, spytałem, czy chcą, żeby je podwieźć, powiedziały, że chcą, i wszystkie trzy wcisnęły się do szoferki. Chciałem je zawieźć do Givray, ale kiedy dojechałem do bocznej drogi na Givray, Sabrina powiedziała, żebym je tam wysadził, że nie muszę ich dalej podwozić.

- No tak, ale może cofnijmy się trochę w czasie. Sabrinę, Peggy i Nadię spotkałeś już wcześniej tego wieczoru, prawda?

- Tak - przyznał Jean-Pierre Wastia - w La Cave du Cardinal. Rozmawiałem przez chwilę z Sabriną. Ale rozmawiałem z wieloma ludźmi, jak to w wieczór świętojański.

- Czy znałeś te dziewczęta wcześniej?

Wzruszył ramionami.

- Znałem, jak znałem, chodziliśmy do tej samej szkoły, wiedziałem, kim są. Ale wtedy to były smarkule.

- Wtedy tak, ale nie teraz, teraz już nie były smarkulami.

Chyba jej nie zrozumiał.

- Osoby, z którymi rozmawialiśmy, mówią, że flirtowałeś z Sabriną - uściśliła Martine. - Może chciałeś się z nią znów spotkać?

- Nie, gdyby tak było, od razu bym zapytał, czy je podwieźć, kiedy powiedziały, że się spieszą na autobus, bo przecież wiedziałem, że jadą w tym samym kierunku co ja. Przez cały wieczór nawijały o tym autobusie, więc się zdziwiłem, jak je zobaczyłem na szosie.

Martine zwróciła uwagę, że najpierw Jean-Pierre rozmawiał z Sabriną „przez chwilę”, a teraz mówi o „całym wieczorze”. Zastanawiała się, czy nie mogło być tak, że zaproponował dziewczętom podwiezienie już w La Cave du Cardinal, i czy za tym, że zabrał je do ciężarówki, nie kryło się coś więcej niż zbieg okoliczności.

Wszyscy świadkowie byli zgodni, że dziewczęta wyszły z baru co najmniej pół godziny przed nim. Ale jak na młodego chłopaka chodzącego od knajpy do knajpy, dosyć szybko wrócił do domu.

- Wcześniej pojechałeś do domu - powiedziała Martine. - Dlaczego? Chyba nie musiałeś wracać na określoną godzinę?

Znowu wzruszył ramionami i spuścił głowę.

- Nie bawiłem się za dobrze, nigdy już się dobrze nie bawię. Ni stąd, ni zowąd zaczynam myśleć o tym, co widziałem w kwietniu w Afryce, i nie mogę przestać, bez przerwy mi to chodzi po głowie i odehciewa mi się towarzystwa ludzi.

Zespół stresu pourazowego, pomyślała Martine. Współczuła mu. Ale jeśli w drodze do domu nie dawały mu spokoju okropne wspomnienia z Rwandy, nie można wykluczyć, że byłby zdolny do przemocy.

- Czy otrzymałeś jakąś pomoc? - spytała ostrożnie. - Czy rozmawiałeś na przykład z psychologiem?

Szybko podniósł głowę i przeszył ją dezaprobującym spojrzeniem.

- E tam... Nie wierzę w takie rzeczy. Kuzynka Julie ciągle mi o to wierci dziurę w brzuchu. Poza tym pomyślałem, że zdążę obejrzeć drugą połowę meczu, chyba tylko to na mnie działa, żeby wyrzucić z głowy natrętne myśli.

- Zdążyłeś? Zdążyłeś obejrzeć kawałek meczu?

Weszła na śliski grunt, nie miała pojęcia, kto z kim grał.

- Tak. Załapałem się na kapitalny strzał główką zawodnika Santosu i widziałem gola Bebety w końcówce.

- Okej, a teraz cofnijmy się do tej chwili, kiedy zobaczyłeś dziewczęta idące poboczem szosy. Co sobie pomyślałeś?

Popatrzył na nią zmieszany.

- Pomyślałem, jak pomyślałem. Pewnie to, że spóźniły się na swój pieprzony autobus.

Martine czekała.

- I oczywiście zapytałem, czy je podwieźć. - Mimo że nie chciałeś być wśród ludzi. - Tak, ale do Givray było dobrych parę kilometrów i nie mogłem udawać, że nie widzę, jak idą na tych swoich wysokich obcasach. Zatrzymałem się i spytałem, czy je podrzucić. I zgodziły się.

- A co było potem, kiedy wsiadły do samochodu? I jak siedziały?

Zastanawiał się.

- Sabrina obok mnie, obok niej Peggy i na końcu jej młodsza siostra.

- Siedzieliście dość ciasno, prawda?

Martine nie była pewna, czy w szoferce nie wydarzyło się coś, co spowodowało Jeana-Pierre'a Wastię do niekontrolowanego wybuchu wściekłości, która przerodziła się w przemoc fizyczną.

- Bez przesady. Dziewczęta były szczupłe i miałem je podwieźć tylko kilka kilometrów.

- A kiedy wsiadły do ciężarówki, rozmawialiście czy milczeliście?

- Sabrina bez przerwy trajkotała, ona i Peggy ciągle chichotały.

- Nie flirtowałeś z Sabriną? - spytała Martine, mając w pamięci jasne włosy na kurtce Jeana-Pierre'a. - Tak jak wcześniej w La Cave de Cardinal?

- Nie wierzy mi pani - powiedział Jean-Pierre z rezygnacją w głosie. - To raczej ona flirtowała ze mną, taka była, położyła mi głowę na ramieniu i jakby się przymilała. Bardzo ładna dziewczyna, ale miała dopiero siedemnaście lat i była... trzpiotowata. Mnie to już nie kręci, nie lecę na młode i rozchichotane. Od wiosny już nie...

- Po Rwandzie?

Jean-Pierre nagle wyglądał starzej niż na swoje dwadzieścia jeden lat.

- Tak, po Rwandzie.

- Dojechaliście do bocznej drogi na Givray...

- I Sabrina powiedziała, że tam wysiądą. Już to mówiłem.

- To dość dziwne, że nie chciały, żebyś je podwiózł do końca. Dlaczego?

- Nie wiem. Sabrina chciała wyjść, mała Nadia chciała jechać do Givray, a ta trzecia, Peggy, nie mogła się zdecydować.

- To dość dziwne - powtórzyła Martine. - Przeszły już kawałek drogi w niewygodnych butach na obcasach. Na pewno było tak, jak mówisz, Jean-Pierre?

Wyprostował się na niskim krześle i spojrzał jej prosto w oczy, nie kryjąc złości.

- Tak, do cholery, to prawda! Skąd mam, u diabła, wiedzieć, co myślała Sabrina!

Wiem tylko tyle, że wałkowały to w nieskończoność, aż miałem dosyć tego pieprzenia trzy po trzy...

- Miałeś dosyć. A jak reagujesz, kiedy ponosi cię złość, Jean-Pierre? Może tak cię poniosło, że nie wiedziałeś, co robisz, i nagle zobaczyłeś, że wyrządziłeś dziewczętom krzywdę? Może nie chciałeś pozbawić ich życia?

Jean-Pierre był przerażony.

- Ja nic nie zrobiłem!

Martine milczała. Jean-Pierre nic więcej nie dodał.

- Powiedziałaś, że dziewczęta pieprzyły trzy po trzy - podjęła po dłuższej chwili. - Co dokładnie mówiły?

Zmarszczył czoło.

- Dokładnie nie pamiętam, po prostu Sabrina chciała wsiąść, te dwie nie, ale ona nie chciała zostać sama i namawiała je, żeby z nią wysiadły.

Przedziwna historia, pomyślała Martine, ale jeśli naprawdę tak było? Nie można tego wykluczyć.

- Co powiedziała Sabrina? Chyba musiała powiedzieć, dlaczego chce wsiąść?

- Nie... ale robiła takie miny, jakby coś sobie nagrała.

- W środku nocy na wyludnionej szosie?

- Tak. Mrugała porozumiewawczo do Peggy i robiła grymasy, jakby próbowała jej coś wyjaśnić.

- I w końcu wszystkie zdecydowały się wsiąść? - spytała Martine.

Jean-Pierre zaczął się wiercić na krześle.

- Nie... Jak mówiłem, miałem dosyć ich pieprzenia trzy po trzy, otworzyłem drzwi i powiedziałem, żeby wysiadły. Wszystkie.

- Chciałabym się dowiedzieć czegoś więcej. Co konkretnie powiedziałeś? Które drzwi otworzyłeś, po stronie pasażera czy kierowcy? Wysiadłeś czy zostałeś w samochodzie?

To był moment krytyczny przesłuchania. Jeśli Jean-Pierre kłamał, musi wymyślić szczegóły. Obserwowała go w napięciu.

- Wskoczyłem i otworzyłem drzwi po stronie pasażera. Żeby je otworzyć z kabiny, musiałbym się położyć dziewczętom na kolanach. Poza tym, jak jestem wkurzony, potrzebuję ruchu. Obszedłem wóz, szarpnięciem otworzyłem drzwi i krzyknąłem, żeby wysiadły.

- Pamiętasz, jakich użyłeś słów?

- „Mam dosyć tego pieprzenia trzy po trzy” - odparł bez namysłu. - „Wyskakujcie i wracajcie do domu, jak wam się podoba!” Chyba tak powiedziałem.

- A co na to dziewczęta? Znów zaczął się wiercić. - Nic, wyniosły się piorunem, chyba się wystraszyły. - Wyłączyłeś silnik, kiedy dziewczęta rozmawiały? - Nie, cały czas chodził na wolnym biegu, wsiadłem i czym prędzej odjechałem. One zostały na poboczu.

- Czyli chcesz powiedzieć, że wysiadły z twojej ciężarówki i potem spotkały swojego mordercę.

Oczy mu pociemniały, jakby odtwarzał w wyobraźni jakieś bolesne sceny. Ukrył twarz w dłoniach.



- O Boże - powiedział zdławionym głosem. - Nadia chciała, żebym ją odwiózł do domu, a ja ją posłałem w ramiona morderców! Potrzebowała pomocy, a ja ją wydałem na łup morderców. Jak w Rwandzie. Jak w Rwandzie.

Był autentycznie roztrzęsiony. Martine postanowiła przerwać przesłuchanie. Usłyszała wystarczająco dużo, żeby z czystym sumieniem wydać nakaz aresztowania. Jean-Pierre będzie pozbawiony wolności przez pięć dni, do czasu postępowania przed sądem w sprawie zasadności zastosowania aresztu tymczasowego. Wielokrotnie będą wracać do jego zeznań, prosić, by je bez przerwy powtarzał, i przyciskać w sprawie szczegółów.

Policjanci wyprowadzili Jeana-Pierre'a.

- I co o tym myślisz? - spytała Martine.

Agnes zmarszczyła brwi.

- Dużo przemawia przeciwko niemu. Z jego słów wynika, że między nim a Sabriną było coś w rodzaju flirtu, dziewczęta siedziały w jego samochodzie, miał labilny nastrój, rozzłościł się na nie i sam powiedział, że musiał dać fizyczny upust swojej złości. Jeśli jest winny, przyznanie się do zabrania dziewcząt świadczy o jego inteligencji. Żeby to wystarczyło do oskarżenia, prokurator potrzebowałby jakichś dowodów łączących młodego Wastię z miejscem przestępstwa.

Nagły wybuch Jeana-Pierre'a zrobił wrażenie na Martine. Z całą pewnością ogarnęły go wyrzuty sumienia, ale czy dlatego, że uświadomił sobie, że skazał czternastoletnią Nadię na śmierć, kiedy kazał jej wysiąść z samochodu, czy dlatego, że zabił dziewczęta w afekcie i teraz ciążyło mu poczucie winy? Tak czy inaczej, Jean-Pierre Wastia nie był zatwardziałym, psychopatycznym mordercą.

Nadal nie wiedzieli, jak dziewczęta zginęły. Martine poprosiła Agnes, żeby skontaktowała się z Alice Verhoeven i spytała, kiedy będzie mogła przeprowadzić sekcję. Martine powinna być przy tym obecna, a sekcja trzech ofiar zajmie trochę czasu.

Alice zaplanowała sekcję na czwartą. Martine spojrzała na zegarek. Bez problemu zdąży odbyć konferencję. Nie potrwa dłużej niż pół godziny, bo nie miała zbyt wiele do powiedzenia. Ustaliły, że spotkają się w kostnicy tuż przed czwartą.

Nigdy nie widziała takich tłumów dziennikarzy, w tym zagranicznych. Skromna sala prasowa w Pałacu Sprawiedliwości pękała w szwach, ludzie stali pod ścianami i tłoczyli się w przejściu. Na stole przed Martine i Christianem były mikrofony BBC, niemieckich i francuskich stacji telewizyjnych, oczywiście nie licząc belgijskich. Nathalie Bonnaire z „Gazette de Vilette”

siedziała na podłodze z przodu z egzemplarzem dziennika w ręku. Napotkała spojrzenie Martine, uśmiechnęła się słodko, wskazała na pierwszą stronę gazety i uniosła brwi. Martine odwzajemniła uśmiech i ledwie zauważalnie skinęła głową. Tak, tak, zwróciła uwagę, że odstąpili od opublikowania nazwisk zamordowanych dziewcząt.

Była druga. Martine włączyła mikrofon.

- Witam państwa na konferencji prasowej. Nazywam się Martine Poirot, jestem sędzią śledczą i odpowiadam za dochodzenie w sprawie potrójnego zabójstwa, do którego - jak państwo zapewne wiedzą - doszło tej nocy w Villette. Obok mnie siedzi komisarz Christian de Jonge, który prowadzi śledztwo z ramienia policji.

Przedyskutowała z Christianem i Clarą Carvalho, co powiedzą na konferencji. Ujawnią nazwiska zamordowanych dziewcząt i fakt zatrzymania dwudziestoletniego mieszkańca Villette, podejrzanego o popełnienie tych morderstw. Mieli się zwrócić do wszystkich, którzy widzieli dziewczęta w piątek, o kontakt z policją. W tym celu skserowali dla dziennikarzy zdjęcia ofiar otrzymane od ich rodzin, ale niestety w zdecydowanie za małej liczbie egzemplarzy. Będą się o nie bić, pomyślała Martine, patrząc na przybyłych.

Pierwszy zgłosił się reporter BBC, z przodu sali:

- Madame Poirot, jeśli pani pozwoli, mam dwa pytania. Dzisiaj Villette zaprezentowało swoją kandydaturę do tytułu Europejskiej Stolicy Kultury w roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym i jednocześnie giną brutalnie zamordowane trzy młode dziewczęta. Jak, pani zdaniem, ta zbrodnia wpłynie na szanse Villette na zdobycie tytułu Europejskiej Stolicy Kultury? I następne pytanie. Już drugi raz w krótkim czasie prowadzi pani śledztwo w sprawie morderstw, szeroko komentowanych na świecie. Dlaczego stosunkowo małe miasto, jakim jest Villette, tak często doświadcza tego rodzaju aktów przemocy? And could you please answer in English?

Co za idiotyczne pytania, pomyślała Martine. Miały się nijak do związanych, konkretnych pytań zadawanych przez reporterów kryminalnych. Usiłowała szybko sformułować odpowiedź po angielsku.

- Nie wiem, co decyduje o wyborze stolicy kultury, ale zakładam, że są to przesłanki miast kandydujących. W perspektywie międzynarodowej w Villette nie ma szczególnie wysokiej przestępczości. Nie rozumiem, co mogłoby łączyć te morderstwa z moim poprzednim dochodzeniem. Nie widzę żadnego związku. Następne pytanie!

Reporter kryminalny z belgijskiej gazety ogólnokrajowej, dzięki szybszej pracy nóg, ubiegł brukselskiego korespondenta francuskiej stacji telewizyjnej.

- Jak mocne są podejrzenia wobec zatrzymanego? Czy to tylko poszlaki, czy materiał dowodowy łączący go z przestępstwem?

- Mamy świadków i pewien materiał dowodowy, który łączy podejrzanego z zamordowanymi dziewczętami, i na tej podstawie wystawiłam nakaz aresztowania.

Teraz nic już nie mogło powstrzymać francuskiego reportera.

- O Belgii było głośno prawie zawsze w związku z przestępstwami i skandalami: morderstwa polityczne, afery korupcyjne, walki o język, ekstremizm prawicowy. Czy nie uważa pani, madame Poirot, że dzisiejszą Belgię można by określić mianem republiki bananowej?

- Nie uważam. Nie tylko dlatego, że Belgia jest monarchią. A co do morderstw, korupcji i skandali nie byłabym taka pewna, czy w moim kraju jest ich więcej niż w pańskim.

Rozległy się śmiechy. Konferencja toczyła się dalej. Jeden sprawca czy kilku sprawców, jak duże środki zaangażowała policja, czy to morderstwa na tle seksualnym, czy jesteście przekonani, że zatrzymaliście zabójcę?

- Zgodnie z naszym systemem prawnym wszyscy są niewinni, dopóki nie zostaną skazani wyrokiem sądu. Śledztwo trwa.

Natalie Bonnaire zaraz po konferencji, na której się nie odezwała, podeszła do Martine.

- No i? Jak pani wie, nie opublikowałam żadnych nazwisk. Co za to dostanę?

Martine nie mogła powstrzymać uśmiechu. W młodej reporterce było coś nienachalnego i obcesowego zarazem, coś, co jej się podobało może dlatego, że przypominało ją samą.

- Proszę do mnie dzisiaj zadzwonić - powiedziała. - Około siódmej. Jeśli ma pani dobre pytania, postaram się na nie odpowiedzieć.

- Mam jedno dobre pytanie. Wiem, kogo zatrzymaliście, i wiem, że zatrzymany jest spokrewniony z pani kancelistką.

- Moja nadzwyczaj kompetentna kancelistka na własną prośbę udała się na zasłużony urlop, żeby uniknąć ewentualnych problemów z wyłączeniem jej ze sprawy - chłodno odparła Martine. - Nadal cieszy się ogromnym zaufaniem, moim i wszystkich pracowników Pałacu Sprawiedliwości. Mam nadzieję, że nie zamierza pani sugerować czegokolwiek innego.

- Potraktuję to jak oficjalne oświadczenie. Niestety, jutro nie wychodzimy.

Z westchnieniem zamknęła notatnik.

Martine wróciła do gabinetu i zadzwonił telefon.

- Masz czas na szybką kawę w A la Justice Aveugle? - odezwał się Philippe.

- Bo co?

- Logistyka. Tatia musi tutaj ściągnąć mnóstwo rzeczy, skoro nagle spędzi lato w Villette jako asystentka Sophie do spraw garderoby. Nie sądzę, żeby przekazała tę radosną nowinę Bernadette, a ja jestem zdecydowanie niewłaściwą osobą, żeby to zrobić.

Martine spojrzała na zegarek. Właściwie mogła poświęcić pół godziny, mimo że miała dosyć roli bufora między bratem a jego byłą żoną.

- Okej, zaraz będę.

Philippe czekał na nią w barze przy kawie. Uzgodnili, że Tatia, zaraz jak wróci z wyprawy po sklepach, musi sama zadzwonić do matki.

- Bernadette nie będzie zachwycona - powiedział Philippe. - Zdaje się, że Tatia miała pracować w kielbasiarni Berta w Antwerpii. A po zabójstwie trzech nastolatków w Villette można mieć wątpliwości, czy to dla córki odpowiednie miejsce na spędzenie wakacji. Nie ukrywam, że sam się nad tym zastanawiam. Ale podobno zatrzymaliście podejrzanego...

Popatrzył pytająco na Martine.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, przy ich stoliku stanął jakiś mężczyzna i wyciągnął rękę do Philippe'a.

- Hello! Tu jesteś! Mogę się przysiąc?

Philippe wyglądał na zdziwionego, w ocenie Martine przesadnie zdziwionego.

- Jasne - odparł. - Martine, pozwól, że ci przedstawię Nigela Richardsa, mojego starego znajomego z Brukseli. Nigel, to moja siostra, madame Héger.

Anglik pochylił się nad jej dłonią, jakby zamierzał ją pocałować.

- Ogromnie miło mi panią poznać, madame - powiedział uroczyście nienaganną francuszczyzną i usiadł obok Philippe'a, naprzeciwko niej.

Zastanawiała się, gdzie się wcześniej na niego natknęła. Zapamiętała długą angielską twarz i wymiętą dwurzędową marynarkę. Widziała go całkiem niedawno...

- Jest pan dziennikarzem, prawda? - spytała z wyrzutem w głosie. - Był pan na konferencji prasowej.

Nigel Richards z uśmiechem podniósł ręce w obronnym geście. - Przyznaję się, ale obiecuję, że nie będę pani ciągnął za język w sprawie śledztwa. Martine spojrzała podejrzliwie na

Philippe'a. Spuścił powieki i wpatrywał się w filiżankę kawy. Jego obrzydliwie długie rzęsy rzucały cienie na policzki.

- Wobec tego może ja pana pociągnę - powiedziała Martine. - Był pan chyba na konferencji w ratuszu? Jak wypadła?

Richards wzruszył ramionami.

- Zgodnie z oczekiwaniami. W magistracie odwalili kawał dobrej roboty, przygotowali świetne broszury, przytaczali celne argumenty. Może w dodatku weekendowym albo na stronach kulturalnych ukaże się z czasem reportaż, ale teraz wszystkie redakcje domagają się wiadomości o potrójnym morderstwie. Pech, że doszło do niego właśnie wtedy, kiedy zjechała do Villette połowa światowej prasy.

Wyjął blok do pisania i flamaster. Martine postanowiła, że jeśli zacznie notować, wstanie i wyjdzie. Ale nie. Wyglądało na to, że coś szkicuje.

- Procesja była imponująca - przyznał Richards. - Czy każdego roku jest podobnie? Ale może jeszcze nie ma pani wyrobionego zdania, bo mieszka pani w Villette od niedawna, prawda? I chyba od niedawna jest pani sędzią śledczą?

- Mieszkam tutaj od ośmiu lat, zaczynałam jako adwokatka karnistka. Pierwsza procesja, którą wtedy widziałam, też robiła niesamowite wrażenie, chociaż w tym roku dołożono dodatkowych starań. Świetnie pan mówi po francusku. Niemal wszyscy Anglicy, nawet jeśli dobrze opanowali gramatykę, mają okropny akcent.

Philippe oderwał wzrok od filiżanki.

- Uhm - powiedział cierpko. - Ukryty talent. Zawsze się starałem, żeby w miarę dobrze porozumiewać się z tobą po angielsku, a tymczasem okazuje się, że twój francuski jest o niebo lepszy od mojej angielszczyzny.

Nigel Richards lekko się uśmiechnął.

- Cóż, sporą część dzieciństwa spędziłem w krajach francuskojęzycznych, ale w komisji trzeba dbać o wzmocnienie pozycji języka angielskiego, you know.

- A co tam szkicujesz? - spytał Philippe. - Kolejny ukryty talent?

- Może. - Richards odwrócił blok w stronę Martine. - Co pani o tym myśli?

To był jej portret, półprofil, kilka delikatnych szybkich pociągnięć flamastra, zdumiewająco celny jak na kogoś, kogo nigdy przedtem nie spotkała.

- Jest pan prawdziwym artystą. Dlaczego wybrał pan dziennikarstwo?

- W młodości chodziłem parę lat do szkoły sztuk pięknych, ale mi się odwidziało.

Teraz czasami mi się to przydaje, na przykład na procesach albo kiedy tworzę portrety. To coś w rodzaju mojej sygnatury. A pani zawsze chciała zostać prawnikiem?

- Zawsze. Już kiedy byłem małą dziewczynką, postanowiłam, że zostanę policjantką, adwokatką albo kimś takim. Podziwiałam tatę, który był komisarzem policji.

Domyślała się, że Richards chce coś o niej napisać, i o tym mogła mu chętnie opowiedzieć. Nie zamierzała jednak zdradzać żadnych innych prywatnych szczegółów ze swojego życia.

Popatrzyła na zegarek i wstała.

- Muszę już iść. Na razie, Philippe.

Wychodząc, obrzuciła brata ponurym spojrzeniem. Podejrzewała, że zaaranżował to spotkanie. Później jej to wyjaśni.

Tatia siedziała w knajpce na świeżym powietrzu. Zamówiła sok pomarańczowy i kanapkę z grillowanymi warzywami. W sumie była zadowolona. Na wąskich średniowiecznych uliczkach na tyłach katedry znalazła sporo atrakcyjnych rzeczy. W reklamówce na krześle było sfatygowane etui z biżuterią z węgla. Biżuteria żałobna z lat czterdziestych, jak jej wyjaśnił uprzejmy siwowłosy mężczyzna w butik mieszczącym się w piwnicy. Na placyku za biblioteką katedralną odkryła najlepszy sklep z płytami, jaki w życiu widziała, miejsce, w którym jej czarne ubranie i ciemnoliliowa pomadka spotkały się z apróbującymi spojrzeniami i nikt nie wybałuszał oczu ze zdumienia. W reklamówce była też płyta Fairytale of Slavery grupy Miranda Sex Garden, którą uwielbiała, i nowy album Corpus Delicti.

A jednak czuła się przygnębiona. Chciała pójść sama, żeby trzymać się z daleka od wszystkich telefonów. Kiedy tylko wiadomość o potrójnym morderstwie w Villette pojawi się w radiu, jej mama zadzwoni z żądaniem, żeby natychmiast wracała do domu. Była tego pewna. Bernadette bez przerwy się martwiła, zwłaszcza po próbie włamania sprzed dwóch tygodni. Na szczęście nieudanej, bo udaremnił ją system alarmowy Berta. A Tatia chciała zostać w Villette, kiedy Sophie zaproponowała jej taką fantastyczną pracę. Nie dość, że mogła zacząć już od poniedziałku, to jeszcze Sophie obiecała, że będzie mogła się przenieść do mieszkania, które wynajęła na czas nagrań dla telewizji. Miała nadzieję, że Martine zatrzymała mordercę. Jeśli tak - super!

Ale jak ona może myśleć o gwałtownej śmierci trzech dziewcząt mniej więcej w jej wieku jak o przeszkodzie dla swoich planów wakacyjnych? Wczoraj chodziły po Île Saint Jean pełne życia i marzeń o przyszłości, dzisiaj leżały w kostnicy, zimne i martwe. Łzy napłynęły jej do oczu, próbowała je wytrzeć wierzchem dłoni. Gush forth my tears, pomyślała. Pierwszy raz usłyszała tę piosenkę, kiedy miała trzynaście lat i tęskniła za Philippe'em, który nieoczekiwanie zniknął z jej życia. Smutek, zawsze przez nią tłumiony, lada chwila mógł znaleźć ujście na myśl o trzech dziewczętach idących w pachnącą czerwcową noc na spotkanie śmierci. Po policzku spłynęła łza. Gorąca i słona. Gush forth my tears... Nagle zatęskniła za Bernadette, zapagnęła ukryć się w jej ramionach i poczuć jak mała dziewczynka.

Naprzeciwko knajpki, w której siedziała, biegła wąska uliczka prowadząca do średniowiecznego tłumy na tyłach katedry. Z posesji wyszedł smoliście czarny kot i przeciął uliczkę sprężystym krokiem. Zauważyła, że coś trzyma w pyszczku. Mysz. Wypuścił ją na bruk tylko po to, żeby znów błyskawicznie pochwycić. Tatia wzdrygnęła się.

Może powinna kupić jeszcze parę płyt dla poprawy nastroju? Zostawiła pieniądze na stoliku i zapuściła się w zaułki. Wydawało jej się, że zna drogę, ale nagle zabłądziła. Domy stały ciasno obok siebie, nie docierało tutaj światło, nie dostrzegła żadnego punktu orientacyjnego. Nawet nie wiedziała, po której stronie jest rzeka, i nigdzie nie było śladu ludzi. Ogarnęła ją panika, absurdałne uczucie w słoneczne popołudnie w środku miasta zawładnęło nią z siłą wodospadu, tak jak wtedy, kiedy stała na schodach w sklepie Denise van Espen. Ale tym razem było to jednak coś więcej niż panika. Wszystkie sygnały ostrzegawcze jej ciała kazały jej uciekać. Tylko którądy? Uliczka skręcała, nie wiadomo, co czyhało za rogiem, za nią były schody, pośrodku boczne zaułki prowadzące Bóg wie gdzie.

Nagle usłyszała kroki.

W domu po lewej otworzyły się drzwi i wyszła siwowłosa kobieta.

Tatia podbiegła do niej.

- Przepraszam, madame, szłam do biblioteki katedralnej, ale chyba zabłądziłam.

Starsza pani uśmiechnęła się przyjaźnie.

- Tak, łatwo się tutaj zgubić. Idę w tamtą stronę, możesz pójść ze mną, moja droga.

Tatia poczuła obezwładniającą ulgę i zmęczenie, jakby wzięła udział w maratonie.

Zapach krwi i wnętrzości, charakterystyczny dźwięk brzeszczota przecinającego kość ciemieniową... Choć Martine była obecna przy wielu sekcjach, nigdy nie wyzbyła się emocji.

Tym razem czuła się fatalnie. Ciała trzech wiotkich dziewcząt wyglądały wzruszająco w zimnym świetle sali sekcyjnej. Przywodziły jej na myśl trzy martwe pisklęta, które znalazła w trawie koło domu po jednej z wietrznych majowych nocy.

- No dobrze.

Alice Verhoeven wyszorowała ręce po łokcie i przebrała się. Dzisiaj miała na sobie pomarańczowozieloną sukienkę z bistoru. Jakby ją kupiła w pasmanterii na wyprzedaży przed likwidacją sklepu.

- Nie było łatwo - powiedziała - zwłaszcza dla kogoś, kto ma córki. Wymieniła porozumiewawcze spojrzenie z Agnes Champenois. Alice Verhoeven miała dwoje dorosłych dzieci, córkę i syna, a Agnes dwie dwudziestopięcioletnie bliźniaczki. Martine poczuła się wykluczona, ale próbowała tego nie okazywać. Kiedy patrzyła na mózg Nadii, myślała o jej obrazach, wszystkich zaprzepaszczonych marzeniach i talencie, i myślała o Tatii. Ja też nie jestem z kamienia!

- Porozmawiamy? - spytała Alice. - Przypuszczam, że nie chcecie czekać na oficjalną ekspertyzę, prawda? Martine, pewnie wolałabyś poznać moją opinię już teraz?

Martine i Agnes usiadły na wyświechtanej kanapie w pokoju służbowym, Alice wysunęła zza biurka fotel.

- Tak jak przypuszczałam - zaczęła - dziewczęta zostały uduszone. Sabrina Deleuze zmarła wskutek zadzierzgnięcia szalem albo czymś podobnym, bo bruzda jest szeroka i dość jasna. Peggy i Nadię Bertrand sprawca udusił od tyłu, zaciskając ramię na wysokości krtani.

Martine pokiwała głową. Na miejscu zbrodni nie znaleziono szala, czyli morderca go zabrał.

- Musimy spytać rodziców Sabriny, czy miała szal. Jeśli nie, miał go sprawca, co mogłoby świadczyć o tym, że wszystko zaplanował. Alice, czy według ciebie jeden człowiek mógł zabić trzy dziewczęta, czy powinniśmy szukać kilku sprawców?

- Sądzę, że uwzględniając moment zaskoczenia, jeden by sobie poradził - po namyśle odparła Alice. - Sabrina była nad rzeką, niewidoczna dla pozostałych dziewcząt. Wyobraźmy sobie, że poszła tam ze sprawcą dobrowolnie, żeby trochę poflirtować, a on wyjmuje szal, owija wokół jej szyi, mówi coś romantycznego, na przykład: „Spójrz, Sabrina, jak pasuje do twoich pięknych oczu”, i błyskawicznie zaciąga. W takiej sytuacji mogła natychmiast stracić przytomność. Nie zdążyła krzyknąć, jej koleżanki niczego nie zauważyły. Potem sprawca idzie



do nich i szybko, z zaskoczenia, dusi Peggy. Nadia próbuje uciec, ale się przewraca i ociera sobie kolana. Kiedy ją dogania, nie ma żadnych szans. Ponieważ atakuje od tyłu, dziewczynka nie może podrapać mu twarzy, nie może się bronić.

Martine wzdrygnęła się.

- Jest w tym coś bezwzględego - skomentowała Agnes.

- Tak - przyznała Alice. - Mam podobne odczucie. Jest w tym coś wyjątkowo bezwzględnego. Śladu paniki, ładu i porządek. On wie, co robi. Tych dziewcząt na pewno nie zamordował amator. Dlatego mam wątpliwości, czy mógłby to zrobić ten młody człowiek, którego zatrzymaliście.

Martine zasępiła się. - Jean-Pierre Wastia nie jest amatorem. To komandos, wyszkolony do zabijania. Można by powiedzieć, że profesjonalizm w zabijaniu przemawia na jego niekorzyść.

- Racja, ale zastanawia mnie jeszcze coś: stopień ryzyka. Kiedy przyjechałam na miejsce, dziewczęta nie żyły zaledwie od godziny, może trochę dłużej. Odsłonięte części ciała były nadal ciepłe, na szyi i uszach Peggy i Nadii zaczynały się pojawiać plamy opadowe, stężenie pośmiertne jeszcze nie nastąpiło. To oznacza, że chłopcy, którzy je znaleźli, praktycznie deptali mu po piętach. Musiał być bardzo pewny siebie.

- Chyba że to oni są sprawcami - gwoli formalności powiedziała Martine, nie wyobrażając sobie przszczonego i roztrzęsionego Gregory'ego, z którym rozmawiała na miejscu przestępstwa, w roli zimnego mordercy. - Czy mamy do czynienia z zabójstwem na tle seksualnym? Słyszałam, Alice, co mówiłaś podczas sekcji, czy mogłabyś to teraz zrekapitulować?

- Tak. Peggy i Nadia nie doznały najmniejszego uszczerbku o charakterze seksualnym, natomiast w waginę Sabriny został wprowadzony jakiś przedmiot, najprawdopodobniej po jej śmierci, ponieważ prawie nie było krwi.

- Jaki przedmiot? - spytała Martine.

- Nie nóż ani żadne inne ostre narzędzie. Coś tępego i dużego. Może sztuczny penis? Jeśli mężczyzna podczas tej czynności miał wytrysk, na miejscu zbrodni mogą być ślady spermy.

- Niestety nie, przynajmniej jeszcze kilka godzin temu nie wykryto śladów spermy. Ale dlaczego Sabrina została inaczej potraktowana? Jakby to ona była celem, a Peggy i Nadia znalazły się tam przypadkowo. I co takiego powiedziałaś o zawartości żołądka? To było trochę zaskakujące.

- Owszem. Jadły niemal tuż przed śmiercią, więc zawartość żołądka była prawie w nienaruszonym stanie. Poddamy ją szczegółowej analizie, ale od razu mogę powiedzieć, że jadły gęsie wątróbki i truskawki. I piły szampana.

Gęsie wątróbki i szampan? Martine i Agnes popatrzyły ze zdumieniem na Alice Verhoeven. Martine próbowała sobie wyobrazić Jeana-Pierre'a Wasię, jak w wojskowych głanach i spodniach moro wkłada do ciężarówki Złomiarza Bernarda kosz piknikowy, a potem częstuje dziewczęta, które zabrał po drodze, szampanem, gęsimi wątróbkami i truskawkami.

Ten obraz się rozmywał. Był nieprawdopodobny.

Miała coraz więcej wątpliwości, czy zatrzymali właściwego człowieka.

# ROZDZIAŁ 7

Niedziela, 26 czerwca 1994, Villette & Bruksela

Sabrina Deleuze, której marzyła się kariera gwiazdy, miała swoje pięć minut w świetle rampy, kiedy jej krótkie życie dobiegło końca. Martine, jedząc śniadanie w salonie, oglądała poranne przekazy telewizyjne, w których materiały z potrójnego morderstwa w Villette konkurowały z wygraną Belgii z Holandią w MŚ w Piłce Nożnej. Wyglądało na to, że każdy kanał miał zdjęcia Sabriny podczas i po procesji, do których dotarł dzięki fotkom rozdany na jej sobotniej konferencji prasowej.

Zajadając się czekoladowymi brioszkami, Martine patrzyła na zamordowaną dziewczynę, tańczącą na platformie Salome w cielistym trykocie i lśniących, orientalnych woalach. Po procesji BBC zrobiło z nią wywiad. Rzucając lokami, z błyskiem w oczach, łamaną, szkolną angielszczyzną powiedziała, że procesja Świętego Jana is a tradition very old, but we the young people of Villette like it very much too<sup>5</sup>. Przejmujący widok.

- Lubię na ciebie patrzeć, kiedy jesz czekoladowe brioszki - powiedział Thomas, przynosząc więcej kawy. - Na pewno nie napijesz się czekolady?

- Lepiej pomasuj mi kark.

Martine zsunęła podomkę. Mimo że spała głęboko dziewięć godzin, mięśnie szyi były napięte jak postronki. Thomas usiadł obok żony na kanapie i zaczął ugniatać jej sztywny kark i ramiona ciepłymi, twardymi palcami. Westchnęła z zadowolenia, czując wyraźną ulgę.

Dłonie Thomasa wślizgnęły się pod podomkę i musnęły piersi. Jej sutki nabrzmiały w tym samym momencie, kiedy kątem oka zobaczyła, że Sabrina udziela wywiadu dla France 2. Mimo pewnej obsceniczności sytuacji nie odepchnęła rąk Thomasa.

Zadzwoił telefon.

- Jasna cholera - zaklął Thomas, odebrał i słuchał ze zmarszczonym czołem. - Tak, jest, ale nie wiem...

---

<sup>5</sup> To tradycja bardzo stara, ale my, młodzi ludzie z Villette, też bardzo ją lubimy.

Martine próbowała odczytać z tembru jego głosu, kto to taki. Ktoś, kogo Thomas zna, ale nikt bliski, ktoś, kto chce z nią mówić, ale nikt z Pałacu Sprawiedliwości. Dobrze, porozmawia.

Thomas podał jej słuchawkę.

- Jean-Pierre Santini z ratusza - szepnął.

Martine zastanawiała się, co też ma jej do powiedzenia zaufany człowiek burmistrza.

Podejrzewała, że nic takiego, co chciałaby usłyszeć. Wiedziała od Thomasa, że Santini konkuruje z wiceburmistrznią Annalisą Paolini o stanowisko stratega politycznego na czas choroby burmistrza i mocno się zaangażował w promocję Villette kandydującego do tytułu Europejskiej Stolicy Kultury.

- Dzień dobry, monsieur Santini.

- Dzień dobry, madame, dzwonię, żeby się dowiedzieć, czy zechciałaby nam pani udzielić informacji o postępach śledztwa.

- Niestety, nie mogę.

Najlepiej postawić sprawę jasno od samego początku. Zaczynała nabierać w tym wprawy, mimo że nie znosiła konfliktów.

- Tak? Dlaczego?

Santini wyraźnie się nie spodziewał tak szorstkiej odmowy.

- To chyba oczywiste - odparła Martine. - Jak pan wie, śledztwo jest objęte tajemnicą służbową i polityczni decydenci nie mają większego prawa do informacji niż ogół społeczeństwa. Może pan natomiast otrzymać czystopis mojej wczorajszej konferencji prasowej.

- Już otrzymałem i jest tam tylko tyle, że zatrzymaliście młodego mężczyznę z Villette. Musi pani zrozumieć naszą sytuację. Bez przerwy dzwonią do ratusza dziennikarze, chcą wywiadów z burmistrzem i danych statystycznych dotyczących przestępczości z ostatnich pięćdziesięciu lat, a ja jestem niedoinformowany. Wydaje się, że wszyscy wiedzą o śledztwie więcej od nas.

- Nie dowiedzieli się tego od mnie - powiedziała Martine. - Przy tej sprawie pracuje dużo policjantów i nie jest wykluczone, że któryś z nich się wygadał. Jeśli chcecie uzyskać szczegółowe informacje, burmistrz zawsze może zadzwonić do swojego przyjaciela Yves'a Deshayes'a, który ma wgląd we wszystko.

- Ale to pani prowadzi śledztwo i chcielibyśmy się dowiedzieć, czy jest pani pewna, że został zatrzymany właściwy człowiek.

Martine milczała.

- Ujmę to inaczej - podjął po chwili Santini. - Jeśli jest pani pewna, to zaczniecie chyba ograniczać zasięg śledztwa, prawda? I zmniejszycie liczbę zaangażowanych w nie policjantów?

Zastanawiała się. Jej rosnące wątpliwości co do winy Jeana-Pierre'a Wastii nie przemawiały za żadnymi ograniczeniami. Jeśli był niewinny, muszą znaleźć prawdziwego sprawcę. Nie uważała tej zbrodni za przypadkową, sądziła, że morderca upatrzył sobie Sabrinę Deleuze wcześniej tego samego dnia i że ktoś powinien go widzieć, kiedy z nią rozmawiał. Może jest wśród przepytanych świadków, może figuruje na zdjęciach fotografów albo na taśmach filmowych. Przyszło jej to głowy, kiedy oglądała przekazy telewizyjne.

- Nie, nie biorę pod uwagę ograniczenia czynności dochodzeniowośledczych - odparła dyplomatycznie.

- Naturalnie, nie wpłynie na pani postępowanie fakt, że zatrzymany jest spokrewniony z pani kancelistką.

Martine wkurzyła się.

- Ma pan rację, nie wpłynie. Ale chyba pan wie, że do obowiązków sędziego śledczego należy nie tylko szukanie dowodów świadczących o winie podejrzanego, ale także przemawiających na jego korzyść. I właśnie to robię.

- Aha, to zawsze jakaś odpowiedź. Bardzo dziękuję, madame, powodzenia w kontynuowaniu pościgu za mordercą.

Rzuciła słuchawkę. Jej sutki zmiękły.

- Podnieca mnie, kiedy nie odpuszczasz komunalnym szychom - powiedział Thomas - ale teraz chyba straciliśmy szansę...

Usłyszeli Tatię krzątającą się po pokoju gościnnym na piętrze.

- Niestety, profesorze, innym razem - powiedziała Martine.

- Innym razem, pani sędzio.

Tatia zeszła na dół. Miała na sobie biały szlafrok. Rude włosy zasłaniały twarz. Kiedy zadzwoniła do domu i powiedziała o swojej wakacyjnej pracy, Bernadette nie była zachwycona. Skontaktowała się z Martine, która właśnie wróciła po sekcji, i zażądała, żeby dopilnowała powrotu Tatii do Brukseli. Martine przekazała tę wiadomość podczas kolacji, ale Tatia nie chciała jechać do domu, chciała zostać i zacząć pracę z Sophie. Philippe, który z zasady prawie nigdy nie zgadzał się z Bernadette, tym razem skłaniał się ku temu, żeby córka wróciła do

Brukseli. Tatia argumentowała, że w Brukseli jest równie niebezpiecznie, i powiedziała, że ktoś się próbował włamać, kiedy była w domu tylko z młodszym bratem Josim.

W końcu Bernadette uległa po telefonie Sophie, która obiecała czuwać nad Tatią jak jastrząb. Sophie potrafiła być nieodparcie przekonująca, a poza tym za młodu Bernadette była zaprzędaną wielbicielek szwedzkich filmów, zwłaszcza Eskila Linda.

- Dzień dobry. - Tatia ziewnęła. - Jakie są plany na dzisiaj? Czy mam tu siedzieć i szydełkować, żeby mama nie miała powodów do zmartwień?

- Nie. Jeśli chcesz, możesz się przyłączyć do Sophie i do mnie - powiedział Thomas. - Jesteśmy umówieni na prywatne zwiedzanie muzeum ubioru w ratuszu. Może to cię zainteresuje, bo mają fantastyczne zbiory, rzadko udostępniane szerokiej publiczności.

Tatia rozpromieniła się.

- Super, z przyjemnością. A co z moimi ubraniami? Mam kufer starych ciuchów, nad którymi zamierzałam popracować tego lata. Chciałabym je tu ściągnąć.

- Myślę, że Sophie to załatwi. Dzisiaj po południu wybiera się do Brukseli do naszej siostry Stiny i na pewno chętnie ci wszystko przywiezie. Ale wcześniej porozmawiaj o tym z Bernadette.

- Sure - mruknięła Tatia, usiadła na kanapie i capnęła ostatnią czekoladową brioszkę. - Nie macie więcej? Dorastające nastolatki muszą się dobrze odżywiać.

Zlizwała czekoladę z palców i spojrzała na Thomasa.

Znów odezwał się telefon. Odebrała Martine.

Tym razem dzwoniła Julie.

- Martine, chciałabym się z tobą spotkać. Kawa w Café de la Cathédrale przed pracą? Góra dwadzieścia minut.

Martine wahała się. Ale Julie była jej przyjaciółką. Nie może jej zawieść. Umówiły się w kawiarni za trzy kwadransy.

Była piękna czerwcową niedzielą. Rzeka mieniła się od słonecznych refleksów, statki wycieczkowe roily się od pasażerów, w kawiarniach i restauracjach na Place de la Cathédrale brakowało wolnych miejsc. Julie siedziała przy stoliku nad filiżanką cappuccino. Wyglądała na zmęczoną, a kiedy zdjęła przeciwsłoneczne okulary, Martine zobaczyła ciemne kręgi pod oczami.

- Słyszałaś, co się stało? - spytała. - Nie, oczywiście, że nie, bo właśnie zgłosiłam to na policję. Tej nocy ktoś zdewastował firmę Bruna, wybił szyby i wszędzie napisał sprejem „morderca”, nawet na samochodach.

Bruno Wastia, ojciec Jeana-Pierre'a i wuj Julie, prowadził salon samochodowy w obskurnej dzielnicy na tyłach dworca kolejowego. Krążyły o nim najróżniejsze pogłoski, jakoby skumał się z mafią we Włoszech i Europie Wschodniej. Martine nie miała pojęcia, ile w tym prawdy. Osobiście nigdy nie kupiłaby używanego auta od Bruna Wastii. Ale akt wandalizmu to co innego. Tak jak się obawiała, doszło do samosądu.

- To bardzo zabawne - mówiła Julie, ani trochę nie rozbawiona - bo właśnie udało mi się przekonać Bruna, że przebicie opon w twoim samochodzie to zły pomysł. Tymczasem wychodzi na to, że nie tylko moi krewni lubią się posługiwać takimi argumentami. Chyba pojedę po Akiego i Amara. Albo tylko po Amara. Drugi musi pilnować domu pod nieobecność dziadka i babci.

Kelnerka przyszła przyjąć zamówienie. Popatrzyła z zaciekawioną na Martine i Julie, jakby je poznała. Martine poprosiła o podwójne espresso i czekoladową brioszkę. Czyżby zbliżał się okres? Miała niesamowitą ochotę na czekoladę i nie miała czasu się tym martwić.

- Gdzie są twoi dziadkowie? - spytała po odejściu kelnerki.

- Za granicą. Pojechali do Czech z Jerrym, powiedzieli, że służbowo. Wolę się nie domyślać, co to znaczy. Ale już wracają. - Apatycznie zamieszała cappuccino i spojrzała na tłumy na rynku z taką miną, której Martine nigdy dotąd u niej nie widziała: zaciętą i niemal pogardliwą. - Widzisz, oni wiedzą, co może się stać. Sporo przeżyli. Podczas wojny mieli być deportowani do obozu w Niemczech jako Cyganie, bo jakiś zapobiegliwy obywatel Villette doniósł na nich niemieckim władzom w mieście. Na szczęście udało im się jakoś tego uniknąć. Potem, po wojnie, inny życzliwy sąsiad poinformował kogo trzeba, że dziadek był kolaborantem. To oczywiście były brednie. Dziadek zarabiał w czasie wojny, ale nie współpracował z Niemcami, tylko ich kantował, tak jak wszystkich innych. Ale babcia i on zostali internowani, kilka miesięcy przesiedzieli w jakimś obozie, babcia była wtedy w ciąży z mamą, a Bruno i Jerry trafili do jakiegoś okropnego domu dziecka. Bruno miał cztery lata, Jerry - roczek. Dziadek nie został oskarżony. Pewien młody prokurator wojskowy, Jean Heyse, uznał, że nie dopuścił się tego, o co był obwiniony. Mama mi o tym opowiadała. Wtedy nie było jej jeszcze na świecie, ale bardzo długo Jean Heyse uchodził w rodzinie za Boga. I kiedy o tym usłyszałam, postanowiłam,

że będę pracować w wymiarze sprawiedliwości, bo tam są ludzie, którzy uważają, że każdy jest wart tyle samo i ma takie same prawa jak wszyscy. Złomiarz Bernard Wastia też.

Uśmiechnęła się krzywo. Martine miała mieszane uczucia. Uświadomiła sobie, jak mało wie o Julie, i jednocześnie - co paradoksalne - zazdrościła jej. Mimo że Julie wychowywali dziadkowie, wiedziała o Josette Wastii więcej niż ona o Renée. Obie były naznaczone przez matki wydarzeniami z czasów wojny. Ale Julie je znała, znała przyczyny i skutki, a Martine czuła oddech mrocznej przeszłości, jakby patrzyła w studnię bez dna, w czarną dziurę, która ją nieodparcie przyciągała.

- Jakie jest pochodzenie twojej rodziny? - spytała. - Powiedziałaś, że dziadkowie mieli być deportowani jako Cyganie. Jesteście Cyganami?

- Obecnie powinno się chyba mówić Romowie. Nie wiem, kim jesteśmy. Kimś w rodzaju osiadłych nomadów. Dziadek w młodości prowadził wędrowny tryb życia, wydaje mi się, że mamy kuzynów w Hiszpanii i Niemczech, babcia urodziła się w Hiszpanii. No dobrze, ale nie dlatego chciałam się z tobą spotkać, żeby opowiadać o historii moich przodków.

Chciałabym się dowiedzieć, jak się czuje Jean-Pierre. Domyślam się, że z nim rozmawiałaś.

- Raz. Cóż, jest podejrzany o morderstwo. Trudno czuć się dobrze w takiej sytuacji. - Martwię się o niego. Skoro go zatrzymaliście, na pewno macie dowody, że wiozł dziewczęta ciężarówką - nie, nie musisz tego komentować - a to znaczy, że chwilę później wpadły w ręce mordercy. Identycznie jak w Rwandzie. Jean-Pierre nie chce o tym mówić, ale po powrocie z Rwandy bardzo się zmienił. - Julie pochyliła się nad stolikiem i spojrzała na Martine wylęknionym wzrokiem. - Dopilnuj, żeby ktoś nad nim czuwał. Naprawdę nie wiem, co może mu przyjść do głowy! - Podniosła się, dała znak kelnerce i położyła banknot na stoliku. - Ja płacę. Polegam na tobie, Martine.

Martine poszła na trzecie piętro, żeby się zapoznać z najnowszymi ustaleniami grupy dochodzeniowośledczej. Christian de Jonge wyglądał na przygnębionego. Nadal nie mieli technicznych dowodów łączących Jeana-Pierre'a Wastię z miejscem przestępstwa. Przede wszystkim nigdzie nie było śladów jego ciężkich wojskowych gładów na wilgotnym brzegu rzeki, gdzie znaleziono zwłoki uduszonej Sabriny. Do grubych rowkowanych podeszew przywarły tylko okruchy rozgniecionych orzeszków ziemnych, cekiny i konfetti, co



świadczyłoby o tym, że rzeczywiście miał je na sobie w piątkowy wieczór i nie zdążył ich wyczyścić.

Martine zrelacjonowała pokrótce wyniki sekcji. Za dwie godziny Alice Verhoeven miała je przedstawić oficjalnie na zebraniu, ale nie zaszkodzi, jeśli Christian pozna je jak najszybciej.

- Hm... Czyli nie możemy wykluczyć, że zatrzymaliśmy niewłaściwą osobę - powiedział.

- Musimy jednak kontynuować dochodzenie w sprawie młodego Wastii. Posadziłem dwóch chłopaków do przejrzenia kartoteki wszystkich podejrzanych albo skazanych za gwałt w ostatnich latach. Zobaczmy, co znajdą.

Christian de Jonge był spolegliwy, ale uparty i niezmordowany, jeśli trzeba było poruszyć niebo i ziemię, i gotowy zacząć wszystko od nowa, jeśli podjęty trop prowadził donikąd.

- Mamy jeszcze dużo materiałów do sprawdzenia - stwierdziła Martine.

- „Dużo” to skromnie powiedziane. Mamy kilkaset stron wywiadów z Place de la Cathédrale, La Cave du Cardinal i okolic przystanku autobusowego, nie wspominając o wszystkich telefonach od ludności. Przesialiśmy to z grubsza i harujemy jak konie, żeby coś z tego wyłuskać.

- Czy Annick Dardenne już wróciła? Myślę, że byłaby dobra w analizie wywiadów i telefonów, które mogłaby skonfrontować ze zdjęciami i taśmami.

Annick Dardenne, młoda inspektorka kryminalna, w Villette od niedawna, zrobiła duże wrażenie na Martine dzięki wysokiej inteligencji racjonalnej, którą się wykazała podczas ich wcześniejszej współpracy.

- Chyba ją widziałem - powiedział Christian. - Była na jakimś zgrupowaniu sportów walki w Liege, ale tak jak innych wezwano ją do natychmiastowego stawienia się w pracy. Zaraz ją odzyskam i oboje przyjdziemy na zebranie.

Martine odwróciła głowę na odgłos beknięcia, któremu towarzyszył stęchły zapach piwa. Przy biurku Christiana siedział komisarz kryminalny Willy Bourgeois i przeglądał akta sprawy potrójnego morderstwa. O ile Christian de Jonge był jednym z faworytów Martine, o tyle Willy Bourgeois należał do tych komisarzy, z którymi najtrudniej jej się współpracowało. Choć miał duże doświadczenie i na pewno nie brakowało mu piątej klepki, po blisko trzydziestu latach w Pałacu Sprawiedliwości był znużony i często pracował na pół gwizdka. Poza tym nie potrafił się dogadywać z kobietami, które nie były jego podwładnymi. Wspólnie z Martine prowadzili

przewlekłe dochodzenie w sprawie serii tajemniczych napadów rabunkowych na sklepy samoobsługowe i zaczęli się pomału do siebie przyzwyczajać. Niedawno przeszli na ty.

- Dzień dobry, dzień dobry, Martine! - przywitał ją radośnie. - Zasuwanie, aż furczy. Musiałem zostawić żonkę w hotelu w De Panne, bo obowiązki wzywały, a tu, proszę, zanim przyjechałem, już rozwiązałyście sprawę. Nie, nie, nie będę narzekał. Szkoda tylko, że ładniutka Julie nie może brać udziału w tej grze. Ale niczego innego nie można się było spodziewać. Wiele razy przyskrzynałem panów Wastia. Zła krew jak oliwa zawsze na wierzch wypływa.

Martine zazgrzytała zębami i wydusiła z siebie chłodne „dzień dobry, Willy”. Wrócił do akt, wesoło pogwizdując.

Nagle przerwał swój popis wokalny w połowie frazy.

- O jasny gwint!!! - zakrzyknął tak głośno, że ściągnął na siebie spojrzenia Martine i Christiana, poderwał się z krzesła i wymachiwał zdjęciem z miejsca przestępstwa. - Chodźcie! Jeśli pamięć mnie nie zawodzi, wszystko jest tutaj tak jak na zdjęciach z morderstwa Christelle! Kropka w kropkę. Niesamowite! Jakby to było to samo zdjęcie.

Położył je na blacie biurka. Martine wstała. Martwa Sabrina oparta o pień drzewa, z rękami z tyłu i długimi włosami opadającymi na ramiona. Wyglądała jak żywa. Znów zwróciła uwagę na wystudiowaną, manekinową pozę.

- Morderstwo Christelle?

- Wtedy jeszcze cię tutaj nie było - odparł Willy Bourgeois. - Zabójstwo dziewczyny, którego nie udało nam się wyjaśnić. Kiedy to się stało...? Piętnaście lat temu? Nie, nie aż tyle, w tym samym roku syn zdał maturę, czyli...

- W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim - odezwał się ktoś w pokoju.

- Zgadza się - potwierdził Willy Bourgeois. - W osiemdziesiątym drugim.

Sophie zostawiła Philippe'a przy Place Rogier w Brukseli. Stamtąd miał do pracy zaledwie kilka minut drogi.

- Dzięki za podwiezienie - powiedział i pocałował ją w policzek.

- No problem. Na pewno nie chcesz się spotkać ze swoją byłą?

Widząc, jak się wzdrygnął, roześmiała się, pomachała mu na pożegnanie i pojechała Boulevard du Jardin Botanique. Philippe pokręcił głową. Lubił Sophie, ale za bardzo ją interesowały reakcje bliźnich. Wolał, żeby nikt go nie prześwietlał.

Giovanni, ostatni chłopak zamordowanego Erica Janssensa, już czekał na niego w barze przy kieliszku wina, bodaj najdroższego, które serwowali. Był fryzjerem, podobno bardzo zdolnym, ale miał kosztowne nawyki, raczej niemożliwe do zaspokojenia z fryzjerskiej pensji.

Kiedy cztery lata temu pojawił się w Brukseli, opowiadał wszem wobec, że jest ostatnim męskim potomkiem zubożałej hrabiowskiej rodziny z Florencji. Poruszająca historia, o której wiarygodności mogło niejako zaświadczać jego zdumiewające podobieństwo do młodzieńca o brązowych lokach na piętnastowiecznym portrecie Botticellego. Ale ci, którzy widzieli dowód osobisty Giovanniego, mówili, że nazywa się Johann Dieter Weiss. Miał dwadzieścia pięć lat i najczęściej odejmował sobie trzy lata.

Była trzecia, w barze siedział Giovanni, para w średnim wieku pijąca kawę i dwie rozchichotane amerykańskie nastolatki z wściekle zielonymi drinkami z owocami i papierowymi parasolkami.

Zmiana Philippe'a właśnie się zaczynała, ale Stéphanie i Albert, którzy pucowali kieliszki za kontuarem, bez protestów przystali na jego prośbę o pół godziny zwłoki.

Usiadł naprzeciwko Giovanniego, który wybrał stolik jak najdalej od kontuaru i gości.

- Cześć, Giovanni, świetnie, że mogłeś przyjść. To straszne, co spotkało Erica, i na pewno straszne dla ciebie.

Kiedy Philippe postanowił dociec przyczyny śmierci Erica Janssensa, wystarczyło kilka telefonów, żeby go zlokalizować. Znał większość osób z niezbyt licznej grupy gejowskiej w Brukseli.

- Tak, potworne - przyznał Giovanni, potrząsając lokami. - Nie zdążyłeś się z nim spotkać? Bardzo mu na tym zależało.

- Niestety. Zadzwoiłem, umówiliśmy się, ale kiedy przyszedłem, najprawdopodobniej już nie żył. Dlatego chciałem się z tobą zobaczyć. Może wiesz, jaką miał do mnie sprawę.

Giovanni zmarszczył czoło.

- Właściwie nie... Chodziło o jakiś stary list, który znalazł, ale nie słuchałem go zbyt uważnie...

Philippe nadstawił ucha. „Stary list”, czyli coś w rodzaju potwierdzenia, że Eric Janssens dowiedział się czegoś o wydarzeniach z czasów wojny. Może uda się coś wyciągnąć z Giovanniego.

Dawno temu, kiedy praktykował w biurze adwokackim, często zlecano mu przeprowadzanie wywiadów ze świadkami i był w tym dobry.

- Zaczniemy od początku. Cofnij się myślami i przypomnij sobie, kiedy Eric powiedział ci o tym starym liście.

- Parę tygodni przed śmiercią, jakoś tak, bo wtedy zaczął porządkować strych, gdzie trzymał stare kufry, których postanowił się pozbyć. Byłem tam z nim, pokrywała je gruba warstwa kurzu, już sam widok wystarczył, żeby natychmiast umyć włosy i zmienić ubranie! Koszmar! Na szczęście zabrała je jego boska znajoma, antykwariuszka.

- Antykwariuszka? Masz na myśli Denise van Espen? A co w niej takiego boskiego?

W jasnobrązowych oczach Giovanniego pojawiło się nieklamane zdumienie.

- Ależ, mój drogi, ona jest jak lalka. Jest doskonała! Nie widzisz tego? To Grace Kelly, chłodna, wytworna, z pieprzykiem. Chciałbym ją ubierać. Przypomina Grace Kelly w Oknie na podwórze, lata trzydzieste.

Philippe nie mógł powstrzymać się od śmiechu. Tatia powiedziała mu mniej więcej to samo. Poczul się jak starzec.

- Mówisz jak moja córka.

Giovanni szerzej otworzył oczy.

- Masz córkę? Nie, nie wierzę!

- Owszem, mam. Ale co z tym listem? Był w którymś kufrze?

- Tak mi się wydaje. Wiesz, Eric wszystkie otworzył, w kilku były stare ubrania, w jednej stare podręczniki szkolne, nie był w stanie wszystkiego przejrzeć, ale parę rzeczy wyjął.

- Sprzed ilu mogły być lat?

Giovanni znów zmarszczył czoło.

- Sprzed wieków! Może z okresu wojny, kiedy Eric był mały. Czasami opowiadał mi o tamtych czasach, ale to było takie smutne i przygnębiające, że nie mogłem tego słuchać. Mówił, że miał cudowną rodzinę, wspaniałych rodziców i starszą siostrę, którą wielbił, że w środku wojny miał jakiś problem z płucami i pojechał z mamą do kliniki w Szwajcarii, a kiedy wrócili, już po zakończeniu wojny, ich najbliżsi nie żyli! Przyszło gestapo, die Militärverwaltung albo ktoś tam, wpakowali jego tatę i siostrę do więzienia, siostra trafiła do Ravensbrück i zginęła, tata zmarł w jakimś obozie w Belgii. U was też były obozy, prawda?

- Może w Breendonk?

Giovanni energicznie pokiwał głową.

- Tak, w Breendonk. Potem Eric mieszkał z mamą aż do jej śmierci, umarła sześć, siedem lat temu, i to pewnie ona ściągnęła te kufry do Brukseli. Aha, list. Wydaje mi się, że znalazł go w kufrze z podręcznikami, w jakimś listowniku w czerwonej skórze. Składało się go jak książkę i obwiązywało tasiemkami, a jak się otwierało, w środku był papier listowy, koperty i przegródki na listy. Tak, tam go znalazł!

- Co to był za list? - cierpliwie spytał Philippe.

- No właśnie tego nie wiem. Wiem tylko tyle, że był do jego siostry, bo widziałem kopertę.

- Kopertę? Jak wyglądała?

Philippe w napięciu czekał na odpowiedź.

Giovanni zamknął oczy.

- Była jasnoniebieska - odparł triumfalnie - cienka, słaby papier, typowy format. Zaadresowana do Mademoiselle Simone Janssens, bez znaczka, bez nadawcy, jakby ktoś nie wysłał tego pocztą, tylko przekazał osobiście.

- Znakomicie.

- Mam fotograficzną pamięć - z dumą przyznał Giovanni.

- A sam list?

- Nie miałem go w ręku, więc nie wiem, co w nim było. Za to Eric oglądał go na wszystkie strony, aż któregoś dnia wpadł na genialny pomysł, zdjął z półki kilka starych książek, a potem powiedział, że koniecznie musi z tobą porozmawiać, i spytał, czy nie wiem, gdzie cię można znaleźć.

- Co to były za książki?

- Och, jakiś stary francuski tasiemiec... - Giovanni znów zamknął oczy. - W jasnych okładkach, no wiesz, takich z czerwonymi i czarnymi literami... moment... zaraz sobie odtworzę... Mam! Rodzina Thibault Rogera Martina du Garda!

Philippe otworzył usta ze zdumienia. Kompletnie się tego nie spodziewał. Rodzina Thibault wydana przez Gallimarda była u niego w domu. Jako nastolatek przeczytał wszystkie tomy i się rozczarował. Obiecująca przyjaźń dwóch uczniów w pierwszej części, namiętna i zakazana, skończyła się na niczym. Młody bohater zakochał się w siostrze przyjaciela... Zaraz, jak ona miała na imię? Jenny? Tak. Szkoda. Chociaż jako obraz francuskiego mieszczaństwa

sprzed pierwszej wojny światowej, powieść była zapewne świetna. Wciąż pamiętał opisy upalnego przedwojennego lata 1914 roku. Ale co to miało wspólnego z listem do Simone Janssens?

- Dziwne, prawda? - powiedział Giovanni. - To wszystko, co wiem. Nie ma sensu, żebyś mnie dalej wypytywał.

- Mówiłeś o tym policji?

- Jasne, ale nie tak szczegółowo. Nie byli wobec mnie zbyt sympatyczni, więc ja nie byłem zbyt chętny do pomocy.

Ułożył botticellofskie usta w dzióbek.

- Myślisz, że cię podejrzewali? - spytał Philippe.

- Pewnie by podejrzewali, gdyby nie to, że kiedy Eric został zamordowany, byłem u rodziców, setki kilometrów od Brukseli.

- We Florencji? - z przekąsem spytał Philippe.

Giovanni westchnął.

- Nie, w Landshut w Dolnej Bawarii, jeśli koniecznie chcesz wiedzieć.

Philippe'a zdjęła nagła ciekawość.

- Czy twoja rodzina wie, jak się prowadzisz w Brukseli?

- Zwariowałeś? - Giovanni szerzej otworzył oczy. - Na pewno by się mnie wyparła i wrzuciła do morza. Tata jest pułkownikiem Bundeswehry i ma mi za złe, że wykształciłem się na fryzjera. Zafundujesz mi jeszcze jeden kieliszek tego wina? Jest naprawdę dobre!

Pokazał je na liście. Philippe spojrział: „Clos de la Coulée de Serrant, rocznik 1988”. Najdroższe białe wino, jakie serwowali na kieliszki.

- Oczywiście.

Przyniósł butelkę. Coś, nie wiedział co, kazało mu powiedzieć Giovanniemu z brązowymi lokami i fotograficzną pamięcią:

- Dbaj o siebie, Hansi.

Osiemnastoletnią Christelle Rolland znaleziono zamordowaną jednego z sobotnich kwietniowych wieczorów w 1982 roku. Sprawa nie została wyjaśniona, ale śledztwo było rzetelne. Pudła z dokumentami zajęły większą część stołu w pokoju konferencyjnym.

Martine poświęciła przeszło godzinę, żeby je przejrzeć. Czekaając na ich dostarczenie z archiwum, postanowiła się zwrócić do belgijskich stacji telewizyjnych o przekazanie materiałów

nakręconych na Place de la Cathédrale podczas dwóch godzin od zakończenia procesji. Kiedy rano oglądała telewizyjne relacje, przyszło jej do głowy, że właśnie wtedy Sabrina Deleuze mogła spotkać mordercę i że przy odrobinie szczęścia któryś z operatorów mógł to przypadkiem zarejestrować. Wspólnie z pracownikiem biura informacyjnego prokuratury wydała oświadczenie, w którym zaapelowała do wszystkich robiących zdjęcia na Place de la Cathédrale po procesji, amatorów i profesjonalnych fotografów, o ich udostępnienie. Powinno się ukazać w radiowych serwisach informacyjnych i dotrzeć do fotografów z różnych redakcji.

Teraz w pokoju konferencyjnym zebrało się kilka osób, żeby porozmawiać o zwrocie w śledztwie w związku z zabójstwem Christelle sprzed dwunastu lat. Oczywiście stawili się Christian de Jonge i Alice Verhoeven, i Willy Bourgeois, ponieważ brał udział w tamtym dochodzeniu, i Annick Dardenne, bo zaczęła przeglądać ówczesne wypowiedzi świadków, szukając ewentualnych podobieństw.

Przed Martine leżały zdjęcia zamordowanej Christelle. Willy Bourgeois miał rację - do złudzenia przypominały zdjęcia Sabriny Deleuze. Ta sama aranżacja: martwa dziewczyna oparta o pień drzewa, ręce za plecami, długie jasne włosy rozłożone na ramionach.

Alice Verhoeven przeczytała protokół z sekcji zwłok Christelle.

- To ten sam sprawca - powiedziała. - Na sto procent. Ta sama metoda, równie połowiczny gwałt dokonany jakimś przedmiotem już po śmierci i, co najbardziej niewiarygodne, identyczna zawartość żołądka. Myślę, że to przesądza sprawę. Spójrzcie, gęsie wątróbki i truskawki.

Podala protokół Martine, która rzuciła nań okiem i puściła w obieg.

- Co wtedy o tym myśleliście? - Martine zwróciła się do Willy'ego Bourgeois. - Mielicie podejrzanego?

Bourgeois podrapał się w głowę.

- Tak, jej chłopaka. Zerwała z nim na parę tygodni przed morderstwem. Antypatyczny typek, damski bokser. Komisarz był prawie pewien, że to on, ale ja miałem wątpliwości, bo te gęsie wątróbki nie bardzo mi do niego pasowały. W każdym razie nie udało nam się go powiązać z morderstwem.

Podobnie jak Sabrina Deleuze i siostry Bertrand, Christelle Rolland też zginęła nad rzeką, ale w innym miejscu. Niespełna kilometr dalej był przystanek autobusowy, na którym wysiadła feralnej soboty o piątej po południu, i tam po raz ostatni widziano ją żywą.

- Umawia się z nimi... - powiedziała Martine - wybiera miejsce, dokąd mogą dotrzeć na własną rękę, żeby zmniejszyć ryzyko, że ktoś ich zobaczy razem. Do naszych morderstw też doszło w bliskiej odległości od przystanku.

- Tak czy inaczej, jedno jest jasne - ponuro skonstatował Christian. - Christelle Rolland nie zamordował Jean-Pierre Wastia. W osiemdziesiątym drugim miał zaledwie osiem lat. Interesuje mnie, co porabiał ten gość po osiemdziesiątym drugim. Aranżacja pachnie mi seryjnym mordercą, ale dwanaście lat przerwy to ciut przydługo, prawda?

- Może to było jego pierwsze morderstwo, a potem żył fantazjami? - powiedziała Martine.

- To nie było jego pierwsze morderstwo - stwierdziła kategorycznie Alice Verhoeven. - Nie ma co do tego cienia wątpliwości. Sposób działania jest identyczny, jakby miał w tym wprawę, nabrał rutyny i nie odstępuje od niej. To - nie potrafię znaleźć lepszego określenia - morderstwo z klasą. A gdzie się potem podział? Cóż, mógł siedzieć w więzieniu za coś innego albo w szpitalu psychiatrycznym. Albo nie jest z Villette i był tutaj tylko z krótką wizytą.

Wokół stołu zaległa posępna cisza.

- Willy, opowiedz nam o Christelle - odezwała się po chwili Martine. - Kim była, co robiła, jakie miała marzenia?

Willy Bourgeois zapatrzył się na długie opalone nogi Annick Dardenne, które tak go rozproszyły, że w pierwszym momencie nie zorientował się, że Martine zwraca się do niego. Zwykle Annick ubierała się nijako, nie rzucała się w oczy, ale w czasie letnich upałów trudniej jej było ukryć swoje wdzięki.

- Christelle - powiedział, patrząc zmieszany na Martine - miała osiemnaście lat, blondynka, ładna... - Zauważył, że nikomu nie zaimponowała jego charakterystyka, więc postanowił się zdobyć na wysiłek i przypomnieć sobie coś bardziej przydatnego. - Pracowała jako kelnerka w restauracji na Quai des Marchands, której dzisiaj już nie ma. W dokumentach jest nazwa. Przyglądaliśmy się trochę właścicielowi, często obmacywał kelnerki, ale mogliśmy go całkowicie wykluczyć. No tak, Christelle zakończyła naukę przed maturą, nie chciała się dalej uczyć, w szkole nie grzeszyła nadmiarem inteligencji. W wieku jedenastudwunastu lat pozowała do zdjęć w katalogu wysyłkowym i marzyło się jej coś więcej, przesłała swoją fotografię do jakiejś agencji modelek.

Martine poczuła przyływ adrenaliny, zastrzyk energii. Jest związek! Christelle Rolland tak jak Sabrina Deleuze chciała zostać gwiazdą, marzyła o światłach reflektorów i sławie. To nie



mógł być przypadek. Mężczyzna, który poczęstował je nad rzeką szampanem, gęsimi wątróbkami i truskawkami, a potem zabił, na pewno to wykorzystał.

Ale kto to jest i dlaczego przez tyle lat uchodziło mu to na sucho? Jeśli Alice Verhoeven miała rację, zaczął zabijać przeszło dwanaście lat temu. Współpraca między policją lokalną, półwojskową żandarmerią i wydziałami kryminalnymi prokuratury jak zwykle układała się źle i szwankowały kontakty między okręgami, ale mimo to ktoś powinien chyba zareagować na serię niewyjaśnionych, podobnych do siebie zabójstw młodych dziewcząt, nawet jeśli za każdym razem morderca atakował w innym miejscu. Przecież Belgia to mały kraj. Chociaż...

- Czy on nie mógł operować ponad granicami? Ciągłe słyszymy, że żyjemy w Europie coraz bardziej pozbawionej granic.

- Co dotyczy nie tylko łatwiejszego transferu towarów i usług, ale również przestępców - potwierdził Christian. - Czytałem artykuł o nowej unijnej współpracy policyjnej. Dotyczył co prawda narkotyków i terroryzmu, ale seryjny morderca od lat działający w Europie... Czemu nie? Francja, Luksemburg, Holandia, Niemcy - nie musiał daleko jeździć.

Alice Verhoeven w zamyśleniu pokiwała głową.

- Tak, to by wiele wyjaśniało. Im dłużej myślę o zabójstwie Sabriny, Peggy i Nadii, tym bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że sprawca ma na sumieniu dużo ofiar i że od dawna jest bezkarny. Wyrachowanie i narażanie się na ryzyko wskazywałyby na kogoś, komu się wydaje, że jest nieuchwytny. Tylko jak dotrzemy do jego wcześniejszych zbrodni?

- Roześliśmy zapytanie do innych okręgów u nas i do głównych komend policji w krajach europejskich, czy nie ma na ich terenie nierozwiązanych morderstw podobnych do naszych dwóch, i dołączymy zdjęcia - powiedziała Martine.

Willy Bourgeois beknął donośnie.

- Oby to coś dało. Pewnie wyląduje na szarym końcu w jakiejś przegródce z korespondencją przychodzącą. Sprawdzają się wyłącznie kontakty osobiste.

Christian potakująco skinął głową.

- Willy ma rację. Jeśli chcemy cokolwiek osiągnąć, musimy to załatwić osobiście.

- No dobrze, jakie panowie mają międzynarodowe kontakty policyjne? - spytała Martine.

- Panowie i, rzecz jasna, Annick.

- Ja mam kumpla w Bundeskriminalamt - powiedział Willy Bourgeois. - To równy gość. Mógłbym do niego pojechać i podpytać.

Myśl o podróży służbowej do Bonn nadzwyczajnie go ożywiła.

- A ja na kursach poznałem kolegę z Francji - powiedział Christian. - Zdaje się, że teraz pracuje w Brigade Criminelle w Paryżu. Mogę się z nim skontaktować.

- Nie zapominajcie o mnie - włączyła się Alice Verhoeven, unosząc brwi. - Mam całkiem niezłe kontakty w Europie.

Martine zrobiło się głupio. Alice Verhoeven, powszechnie uznany autorytet międzynarodowy w dziedzinie medycyny sądowej, oczywiście miała nieporównanie więcej kontaktów niż oni. Dlaczego o tym nie pomyślała?

- A ja się tu do niczego nie przydam - powiedziała Annick. - Wrócę do lektury zeznań świadków i mogę się zająć materiałami z dochodzenia w sprawie Christelle, żeby sprawdzić, czy nie ma tam czegoś interesującego z dzisiejszego punktu widzenia.

Zebranie zbliżało się do końca.

- Jeszcze jedno - powiedział Christian. - Co robimy z Jeanem Pierre'em Wastią?

Martine też się nad tym zastanawiała.

- Ponownie go przesłucham, ale jestem gotowa uchylić nakaz aresztowania i go wypuścić. Muszę to jeszcze przemyśleć. W każdym razie zbyt wiele przemawia za tym, że kto inny jest sprawcą i że Jeana-Pierre'a nie było na miejscu przestępstwa.

- Wydaje mi się, że młodemu panu Wastii będzie teraz najlepiej w celi - wtrącił Willy Bourgeois. - Jest sporo takich, którzy znali te dziewczęta, są przekonani o jego winie i jak tylko wyjdzie, chętnie się z nim policzą.

Martine już postanowiła, że uchyli nakaz i wypuści Jeana-Pierre'a Wastię. Choć decyzja należała wyłącznie do niej, uznała, że powinna przynajmniej porozmawiać z prokuratorem. Prokuratura szybko odsunęła niedoświadczoną Clarę Carvalho od sprawy potrójnego morderstwa i powierzyła ją Bennoîtowi Vercammenowi, jednemu z najbardziej rutynowanych oskarżycieli w Villette.

Benoît Vercammen był w swoim gabinecie.

- Zapraszam do siebie, Poirot - powiedział z życzliwością, kiedy do niego zadzwoniła. - Właśnie zamierzałem się napić kawy i mam pralinki.

Kiedy Martine naświetlała mu sytuację, słuchał w skupieniu, ze zmarszczonym czołem i przenikliwym spojrzeniem jasnoniebieskich oczu zza okrągłych okularów.

- Z każdym krokiem w śledztwie coraz bardziej oddalamy się od oskarżenia przeciwko Jeanowi Pierre'owi Wastii - podsumowała. - Nic go nie wiąże z miejscem przestępstwa, nie ma żadnych śladów ani na jego ubraniu, ani w samochodzie, który prowadził. Jednocześnie widać wyraźnie, że nic nie zostało usunięte, ponieważ znaleźliśmy dużo dowodów na to, że dziewczęta były w samochodzie. Co on sam potwierdza. Poza tym istnieje niewątpliwy związek z morderstwem Christelle sprzed dwunastu lat, którego Jean-Pierre Wastia absolutnie nie mógł popełnić.

Benoît Vercammen miał zafrasowaną minę.

- Na litość boską, zastanów się, Poirot. Rozumiem twoje argumenty, ale chyba zdajesz sobie sprawę, pod jaką będziemy presją mediów i opinii publicznej, jeśli wypuścisz jedynego podejrzanego, nie mając nikogo innego w zanadru.

Martine capnęła dwie ciemne pralinki ze spodeczka.

- Ale chyba nie wniósłbyś oskarżenia przeciwko Jeanowi Pierre'owi Wastii na podstawie tego, co mamy, prawda?

Włożyła pralinę do ust. Gorzkosłodka czekolada podziałała jak zastrzyk pozytywnej energii.

- Nie - przyznał Vercammen - ale to dopiero drugi dzień dochodzenia, mamy dużo czasu na zebranie dowodów wystarczających do wniesienia aktu oskarżenia. Skoro jeszcze wczoraj tyle przemawiało za winą Wastii, że byłaś gotowa go zamknąć, dzisiaj jest tak samo. W tym punkcie nic się nie zmieniło.

Martine nie dawała za wygraną.

- Zmieniło się to, że pojawiły się okoliczności przemawiające za niewinnością Jeana-Pierre'a Wastii. Moim obowiązkiem jako sędzi śledczej jest ich ocena. Zrobiłam to i uważam, że mają większą wagę.

Benoît Vercammen wsparł brodę na dłoniach i utkwiał wzrok w Martine.

- Decyzja należy do ciebie. Ale zbytnio się nie spiesz, zastanów się, pomyśl o konsekwencjach. Taka jest moja bardzo, bardzo życzliwa rada.

- Fiat iustitia, ruat coelum.

Vercammen westchnął.

- To twoja dewiza, prawda? „Sprawiedliwości musi się stać zadość, choćby niebo miało runąć”.

- To chyba dewiza nas wszystkich.

- Oby.

Ledwie Martine weszła do gabinetu, zadzwonił telefon.

- Dostaliśmy trochę zdjęć - powiedział Christian. - Myślę, że powinnaś je zobaczyć.

Christian stał przy stole, gdzie dwóch młodych policjantów wprowadzało do rejestru otrzymane fotografie. Przeważnie amatorskie, w kolorowych kopertach zakładów fotograficznych, ale było również kilka kopert brązowych, ze stykówkami i zdjęciami wyglądającymi na bardziej profesjonalne.

- Wybieramy te, na których są ofiary - wyjaśnił Christian - chociaż zapewne powinniśmy przejrzeć wszystkie. I naturalnie te z JeanemPierre'em Wasią. Na razie jest tylko na jednym.

- A dziewczęta? - spytała Martine. - Dziewczęta są na zdumiewająco wielu zdjęciach, zaznaczamy je i układamy w porządku chronologicznym. Obejrzyj.

Christian pchnął w jej stronę kartonową teczkę. Usiadła na krześle i zaczęła przeglądać. Na wierzchu była amatorska fotka, zrobiona z fleszem przed barem, który rozpoznała. Mieścił się na jednej z ulic biegnących od rynku do Quai des Marchands i przystanku autobusowego. W centrum był zongler w średniowiecznym stroju, a wśród widzów podziwiających jego sztuczki stały uśmiechnięte Sabrina Deleuze i Peggy Bertrand, z kartonowymi kubkami w dłoniach. Za Sabriną, z rękami na jej ramionach, stał jakiś dwudziestolatek.

Na następnym zdjęciu, zrobionym w tym samym miejscu, była publiczność. Z boku kłaniający się zongler, Sabrina i Peggy klaszczą, nadal trzymając kubki, w pewnej odległości krucha sylwetka wyraźnie wściekłej Nadii w różowej sukience.

- Spójrz na zegar nad wejściem - powiedział Christian. - Mają minutę, żeby zdążyć na ostatni autobus, ale wygląda na to, że nie bardzo im się spieszy. Wiemy, że nie było ich w tym autobusie, rozmawialiśmy z kierowcą i wszystkimi siedmioma pasażerami, ale chyba wybierały się na przystanek, bo jest parę kroków dalej, tuż za rogiem.

- I zapomniały o bożym świecie, z wyjątkiem Nadii, która chce jak najszybciej stamtąd odejść. Kim jest ten chłopak przyklejony do Sabriny?

- Kumplem tego, który przekazał nam zdjęcia. Przysięga, że wszyscy prócz dziewcząt byli na koncercie, potem wypili po piwie i poszli do kolegi, który mieszka w akademiku w śródmieściu.

Na zdjęciu z La Cave du Cardinal, zrobionym przez kogoś, kto chciał przetestować flesz w nowym aparacie, Jean-Pierre Wastia podniósł rękę, jakby chciał się osłonić przed błyskiem, a obok niego uśmiechała się do obiektywu „czerwonooka” Sabrina. Młody mężczyzna, przypominający Jeana-Pierre’a Wastię z powodu krótkich włosów i czarnego Tshirtu, obejmował ramieniem Peggy Bertrand, która wydawała się i zachwycona, i zażenowana. Nadia i tym razem znalazła się na obrzeżach fotki. Stała z opuszczonymi kącikami ust, jakby chciała być gdzie indziej.

- Biedactwo - cicho powiedziała Martine. - Nie miała ochoty wychodzić i nie najlepiej się bawiła. Powinna była zostać w domu i malować. Kim jest ten chłopak, który obejmuje Peggy?

- Nie wiem - odparł Christian. - Dziewczyna, która przyniosła zdjęcia, pstrykała w barze na chybił trafił, żeby sprawdzić, jak działa flesz. Spytamy świadków z La Cave du Cardinal. Jeśli nic nie wskóramy, Jean-Pierre Wastia chyba powinien go znać.

Z Place de la Cathédrale było dużo zdjęć, najczęściej Sabriny: Sabrina na platformie Salome, Sabrina wśród podziwiających ją przyjaciół po procesji, Sabrina z dziennikarzami, Sabrina z turystami. Kilkanaście wyróżniało się na tle konwencjonalnych amatorskich fotek bez polotu. Kipiały życiem. Karnawał mieszał się z ascetyczną pobożnością procesji Świętego Jana. Rzymscy żołnierze, średniowieczni kupcy i orientalne tancerki, odegrawszy swoje role, pałą papierosy albo rozmawiają z przyjaciółmi. Na wielu zdjęciach była Sabrina Deleuze.

- Kto je zrobił? - spytała Martine.

Christian rzucił okiem.

- Sama zobacz, na odwrocie jest pieczętka z nazwiskiem. To profesjonalny fotograf, co zresztą widać, wolny strzelec, osobiście je przyniósł. Powiedział, że zna twoją szwagierkę i że gdybyśmy mieli jakieś pytania, możemy do niego zadzwonić. Zdaje się, że w kopercie jest wizytówka, zapisał tam telefon do hotelu i numer pokoju.

Martine wytrząsnęła wizytówkę z brązowej koperty.

- „Jacques R. Martin, Rue de l’Université cztery, Paris” - Przysunęła do siebie najbliższy telefon. - Proszę z pokojem dwieście pięć.

Fotograf był w pokoju. Zaproponował, że zaraz wpadnie do Pałacu Sprawiedliwości, i tak wybierał się do miasta na kolację. Martine wróciła do siebie, chciała, żeby ta rozmowa została zaprotokołowana. Dziesięć minut później zadzwonił strażnik z recepcji z informacją, że przyszedł do niej Jacques Martin, z którym się umówiła.

- Proszę go wpuścić.

Mężczyzna, który po chwili przestąpił próg jej gabinetu, był wysoki i szczupły, mocno opalony, ubrany w dżinsy i dżinsową koszulę. Na ramieniu miał aparat fotograficzny.

Przywitał się silnym uściskiem dłoni, niemal miażdżąc jej kości.

- Moja szwagierka Sophie wspominała o panu. To pan ma ją fotografować do „Elle”, prawda? Ale teraz, jak pan rozumie, interesują mnie pana zdjęcia z piątku. Bardzo dziękuję, że je pan przyniósł.

Uśmiechnął się. Zmarszczki śmiechu wokół oczu ułożyły się w białe wachlarzyki.

- Słyszałem od kilku niezadowolonych kolegów z telewizji, że skonfiskowała pani ich materiały, a potem dowiedziałem się z radia, że potrzebuje pani zdjęć. Chętnie pomogę, nie gonią mnie terminy, pracuję na własny rachunek.

- Proszę usiąść. Pokażę panu, które zdjęcia mnie interesują, a pan mi o nich opowie coś więcej.

Usiadł na krześle przesłuchań i wyciągnął nogi pod biurkiem.

- Jak długo zna pan Sophie? - spytała zdawkowo, przeglądając plik fotografii. - Całą wieczność. Byłem na jej pierwszym planie filmowym, robiłem fotosy do tej części, która rozgrywa się w Namurze. Od tamtej pory wpadaliśmy na siebie, teraz oboje mieszkamy w Paryżu.

Ciekawe, czy coś go kiedyś łączyło z Sophie, pomyślała Martine. Romanse szwagierki stanowiły dla niej zagadkę, podobnie jak związki Philippe'a. Wprawdzie Jacques Martin wydawał się starszy od Sophie co najmniej o dziesięć lat, ale jej mąż, Eskil Lind, za którego wyszła jako dziewiętnastolatka, był od niej przeszło dwa razy starszy.

- Robię fotoreportaż o waszych egzotycznych belgijskich karnawałach dla amerykańskiego czasopisma - powiedział Jacques Martin, kiedy Martine rozkładała zdjęcia na biurku. - Karnawał w Binche, procesja z relikwią Świętej Krwi w Brugii, procesja Świętego Jana w Villette, takie rzeczy. Towarzyszyłem procesji, ale przede wszystkim fotografowałem na rynku przed katedrą po zakończeniu procesji. Tam zrobiłem najlepsze zdjęcia.

- Te najbardziej mnie interesują. Na tym, o czym pan zapewne już wie, jest Sabrina Deleuze, ofiara morderstwa. Co pana skłoniło do zrobienia tego zdjęcia?

Przedstawiało platformę Salome wjeżdżającą na rynek. Ostre kolory orientalnych strojów odcinały się na tle jasnych, kamiennych murów katedry. Pośrodku, w roli Salome, Isabelle Maret,

urodzona w Villette tancerka operowa, z ramionami nad głową, wyprężona i skoncentrowana, obok Sabrina Deleuze, podparta pod boki, z rozwianymi złotymi włosami.

- Przyciągała do siebie obiektywy - odrzekł Jacques Martin. - Sama mogła się pani o tym przekonać, oglądając poranne serwisy informacyjne. Uwielbiała być w centrum uwagi, to widać na wszystkich zdjęciach, wszyscy się na niej skupiali. A mnie spodobał się kontrast między tymi dwiema kobietami.

Następne zdjęcie wybrane przez Martine, zrobione teleobiektywem z dużej odległości, przedstawiało roześmianą, triumfującą Sabrinę w grupie tłoczących się wokół niej wielbicieli w różnym wieku. Niektórzy mieli aparaty i mikrofony.

- Wie pan, co to za ludzie? - spytała Martine.

- Wywołała mały szum, coś w rodzaju minikonferencji prasowej. Ta siwowłosa para to chyba amerykańscy turyści. A ten tutaj to reporter BBC David George. Zrobił z nią dwudziestosekundowy wywiad, który może pani widziała.

Na trzecim zdjęciu Sabrinę obejmowały dwie dziewczyny mniej więcej w jej wieku. Jedna miała ciemne proste włosy i białą dzinsową spódnicę. Peggy Bertrand, pomyślała Martine. Zerknęła kątem oka na fotografa, żeby zobaczyć, czy zdaje sobie sprawę, że uwiecznił dwie ofiary morderstwa. Kamienna twarz. Przyjrzała się dokładniej zdjęciu. Na obrzeżu dostrzegła jeszcze jedną ciemną głowę i okrągłe okulary. Nadia Bertrand. Nadąsana, nie patrzyła na Sabrinę ani na Peggy, utkwiała wzrok gdzieś ponad zbiegowiskiem. W grupce obok Sabriny stali trzej nastoletni chłopcy. Trzeba ich sprawdzić.

Na czwartym zdjęciu Sabrina z ożywieniem rozmawiała ze szczupłym blondynem w okularach przeciwsłonecznych, na piątym była w towarzystwie dwóch mężczyzn około pięćdziesiątki, obaj z notatnikami.

- Rozpoznaje pan kogoś?

Z jednym z mężczyzn spotkała się zaledwie dwie godziny temu.

- Tego w ciemnych okularach nie, ale tych dwóch znam całkiem dobrze. To korespondenci z Brukseli zaproszeni do Villette, Nigel Richards i Francesco Marinelli.

- Wie pan, dlaczego rozmawiają z Sabriną? Czyżby miało to coś wspólnego z reportażem o kandydowaniu Villette do tytułu Europejskiej Stolicy Kultury?

Jacques Martin uśmiechnął się.

- Dziewczyna jest urocza, a poza tym kiedy się pisze o takiej imprezie, nie zawadzi zacytować kogoś z miejscowych. I, cynicznie rzecz biorąc, trafili w dziesiątkę.

Ale dlaczego Nigel Richards słowem się nie zająknął o wywiadzie z jedną z ofiar? - pomyślała Martine. Musi się z nim skontaktować i spytać, co widział i słyszał na Place de la Cathédrale.

Ledwie Jacques Martin zamknął za sobą drzwi, odezwał się telefon. Agnes zeszła piętro niżej, żeby oddać zdjęcia, i Martine podniosła słuchawkę.

Nathalie Bonnaire z „Gazette de Vilette”.

- Obiecała mi pani, że odpowie na kilka pytań, a termin oddania do druku tużtuż...

Martine nie akceptowała przecieków do prasy, ale tym razem uznała, że dla dobra sprawy nie zaszkodzi ujawnić kilku informacji, które tłumaczyłyby decyzję o zwolnieniu z aresztu Jeana-Pierre’a Wastii.

- Mogę pani coś podrzucić - powiedziała - pod warunkiem że powoła się pani na źródło zbliżone do prowadzących śledztwo. Absolutnie nie wolno pani mnie cytować.

- Okej.

Martine wzięła głęboki oddech.

- Okazało się, że zachodzi zdumiewająco duże podobieństwo między potrójnym morderstwem i niewyjaśnionym zabójstwem młodej dziewczyny w Vilette dwanaście lat temu.

Zapadła cisza.

- I? - spytała po chwili Nathalie Bonnaire. - To wszystko?

Była zawiedziona. - Wystarczająco dużo - powiedziała Martine. - Wie pani coś, o czym nie wie żaden inny dziennikarz.

- No dobrze, ale kto wtedy zginął i na czym polega to podobieństwo?

- Tego nie mogę zdradzić. W każdym razie zostało dokonane w kwietniu osiemdziesiątego drugiego roku. Myślę, że w archiwum gazety znajdzie pani stosowne materiały.

- W kwietniu osiemdziesiątego drugiego... - powtórzyła reporterka. - Zaraz, jeśli tak, to ten młody Wastia nie może być w to zamieszany. Czy to znaczy, że go pani wypuści?

- Bez komentarza. Ale oczywiście nie odmawiam pani prawa do spekulacji.

Nathalie Bonnaire roześmiała się.

- I nie będzie pani miała nic przeciwko temu, prawda? Bardzo dziękuję, madame Poirot, to była owocna rozmowa.



Annick Dardenne przydzielono pokój na trzecim piętrze. Chociaż był niewiele większy od pakamery, było w nim to, czego potrzebowała: biurko, wygodne krzesło i dobra lampa. Poza tym miała zaledwie dwa kroki do automatu z kawą.

Przed nią leżały zeznania świadków z ostatnich dni i tylko część materiałów ze śledztwa w sprawie morderstwa Christelle, ponieważ wszystkie nie zmieściły się na biurku. Zalegały na parapecie i na podłodze pod oknem.

Annick ucieszyła się z zadania, które jej zlecił Christian de Jonge. Była święcie przekonana, że gdzieś wśród zeznań świadków, spisanych nieudolnym policyjnym językiem, kryją się informacje rozstrzygające dla wyjaśnienia morderstwa - jakieś pozornie nieistotne spostrzeżenie, komentarz, mimowolnie ujawniona tajemnica, coś, co będzie pasowało jak klucz do zamka. Wystarczy, że ktoś będzie miał wgląd w całość dochodzenia.

Trzeba tylko znaleźć te rozstrzygające informacje. Prawdopodobnie zwrot „szukać igły w stogu siana” wymyślił policjant, który był w identycznej sytuacji jak ona.

Ale ona miała przynajmniej jakąś teorię. W roku 1982 i teraz sprawca wykorzystał marzenia dziewcząt o olśniewającej przyszłości, umówił się z nimi - „mały piknik nad rzeką, mademoiselle, porozmawiamy konkretniej” - i obiecał kontakty, modeling, próbne zdjęcia. Niemal go widziała. Mężczyzna, który imponuje naiwnym dziewczętom z prowincji światowym obyciem i znajomościami w branży. Jeśli był aktywny dwanaście lat temu, nie jest młodzieniaszkiem. Kto to może być? Nie poruszyli tego na zebraniu, ale Annick miała pewne hipotezy, które na razie postanowiła zachować dla siebie. Najpierw chciała sprawdzić, czy w obu sprawach znajdzie coś, co je potwierdzi. Szczerze mówiąc, wstrzymywało ją coś jeszcze, z czym prędzej czy później będzie się musiała zmierzyć.

Tak czy inaczej, nie miała wątpliwości, że ofiary zgadzały się na spotkanie, bo morderca mamił je wizją wspaniałej kariery. Ale w takiej sytuacji każda na pewno by się komuś zwierzyła. Dobrze o tym wiedziała. Mężczyzna, którego szukają, mglista postać z szampanem w lodówce, przypuszczalnie im powiedział, żeby na razie nic nikomu nie mówiły. Ale kilka słów szepniętych na ucho przyjaciółce, tajemniczy uśmiech...

Trzeba się dokładnie wczytać w zeznania młodych kobiet, pomyślała. Niestety, najlepsza przyjaciółka Sabriny Deleuze, Peggy Bertrand, też zginęła. Widocznie Sabrina doszła do wniosku, że spotkanie z nieznanym w środku nocy na odludnym brzegu rzeki nie jest najmądrzejsze, i postanowiła pójść tam z przyjaciółką. Co jej w niczym nie pomogło.

Czy Peggy wiedziała o randce Sabriny? Annick jeszcze raz przeczytała stenogram przesłuchania Jeana-Pierre'a Wastii. Zeznał, że siostry Bertrand chciały, żeby je odwiedzić do domu, tylko Sabrina chciała wysiąść wcześniej. Czyli Peggy nie znała jej planów. Jean-Pierre powiedział, że Sabrina „mrugała porozumiewawczo do Peggy i robiła grymasy, jakby próbowała jej coś wyjaśnić”.

Annick podniosła słuchawkę i wybrała numer Martine Poirot.

- Czy rozmawiała pani z Jeanem Pierre'em Wastią drugi raz, madame?

- Nie, zobaczę się z nim dzisiaj wieczorem. Czy uważa pani, że powinnam mu zadać jakieś dodatkowe pytania?

- Tak. Zakładając, że jest niewinny, myślę, że warto się skupić na tym, o czym rozmawiały dziewczęta. Może to nas naprowadzi na jakiś trop. I o czym mówiła Sabrina w La Cave du Cardinal.

- Dobrze. Też mi to przyszło do głowy. Dam znać, jak tylko się czegoś dowiem.

Annick wróciła do papierów. Po trzech kwadransach jej uwagę przykuła krótka wypowiedź Marie Laval, która siedziała obok Nadii Bertrand w La Cave du Cardinal. Wyczytała między wierszami, że Nadia się nudziła. Nadąsana popijała colę i żaliła się Marie. „Laval oświadczyła, że NB powiedziała, że jakiś zgred zaprosił SD na kolację do Aux Armes de Verney, ale się nie zgodziła. Ponadto Laval oświadczyła, że SD według oceny NB chciała się z nim spotkać i że odmówiła tylko z powodu reakcji jej rodziców”. Tyle policyjny raport.

„Zgred”, którego było stać na zafundowanie kolacji w najlepszej restauracji w Villette i z którym Sabrina „chciała się spotkać”? Annick uznała, że musi porozmawiać z Marie Laval.

Przejrzała materiały ze śledztwa w sprawie Christelle, szukając zeznań młodych kobiet. Znalazła jedno - Jennifer Collard, koleżanki z pracy i przyjaciółki Christelle. Po przyjęciu, które obsługiwały, postanowiły coś przekąsić. Według Jennifer, Christelle była w wyśmienitym humorze i wyjątkowo podekscytowana napomknęła, że w niedzielę o wszystkim jej opowie. Jennifer puściła to mimo uszu, bo - jak powiedziała policjantowi, który ją przesłuchiwał - Christelle zawsze taka była. Ledwie zobaczyła w gazecie ogłoszenie agencji modelek, budowała zamki na piasku, ale z jej wielkich planów nigdy nic nie wyszło.

Rozmowa z Jennifer Collard też była priorytetowa. Annick miała nadzieję, że nie wyjechała z Villette. W protokole przesłuchania był adres i numer telefonu, ale po dwunastu latach nie musiały być aktualne.

Annick przyniosła książkę telefoniczną. Znalazła jedną Jennifer Collard, zamieszkałą przy Rue Abelard, kilka przecznic od Pałacu Sprawiedliwości. Wybrała numer. Bingo!

- Niesamowite - powiedziała Jennifer Collard, kiedy Annick przedstawiła się i wyjaśniła powód, dla którego dzwoni. - Właśnie myślałam o Christelle. Te okropne morderstwa w ostatni piątek obudziły we mnie wspomnienia. Sądzi pani, że to się jakoś łączy?

- Są pewne podobieństwa - przyznała Annick - i dlatego, jeśli to możliwe, chciałabym się z panią jak najszybciej spotkać. Kiedy ma pani czas?

- Dzisiaj wieczorem nie, ale mogę jutro przed południem, przed pracą. Może u mnie o jedenastej? Czy woli pani w Pałacu Sprawiedliwości?

- Nie, nie, chętnie przyjdę do pani. Tak więc jutro o jedenastej.

Annick zadzwoniła do Marie Laval i umówiła się z nią dwie godziny przed spotkaniem z Jennifer Collard.

Ledwie odłożyła słuchawkę, w drzwiach pojawiła się głowa Serge'a Boissarda.

- Czołem, Dardenne! Siedzisz w tej dziupli jak zakonnica w celi. Chcemy wyskoczyć na piwo do A la Justice Aveugle. Przyłączysz się?

- Jasne! Możecie poczekać parę minut? Tylko ogarnę papiery.

Wzięła kopertę ze zdjęciami z miejsca zabójstwa Christelle, żeby ją schować do pudła. Krzywo się ułożyły, więc je wyjęła, żeby wyrównać.

Skoro miała je w ręku, nie mogła się powstrzymać, żeby ich nie obejrzeć. I zobaczyła coś, co ją poruszyło i nie miało związku z tym, że jasnowłosa dziewczyna oparta o pień drzewa nie żyje, tylko z tym, jak została upozowana.

Jestem przewrażliwiona, pomyślała, wkładając zdjęcia do koperty.

Jean-Pierre Wastia miał kilkudniowy zarost i ciemne kręgi pod oczami. Sprawiał wrażenie jeszcze bardziej przygnębionego. Martine pomyślała o niepokojach Julie: Czyżby się obawiała, że jej kuzyn może popełnić samobójstwo? Lepiej uczulić strażnika z aresztu, żeby regularnie do niego zaglądał.

Rozmowa z Benoîtem Vercammenem nie wpłynęła na zmianę jej decyzji. Nadal uważała, że musi uwolnić Jeana-Pierre'a Wastię. Ale Vercammen w jednym miał rację: trzeba unikać wybuchowej reakcji opinii publicznej. Ciekawe jak.

- Czy mogłaby mi pani coś powiedzieć o rozgrywkach piłkarskich? Pytałem glińiarzy, ale żaden nie chciał mi nic powiedzieć.

- Belgia przeszła dalej. Jeden - zero w meczu z Holandią. Philippe Albert strzelił gola.

Może to skuteczna metoda przesłuchiwania, pomyślała. Wystarczy podać wynik meczu, żeby skłonić podejrzanego do mówienia. Posiłkując się protokołem z pierwszego przesłuchania, ponownie wysłuchała relacji Jeana-Pierre'a o tym, co robił w noc morderstwa. Agnes stenografowała. Jean-Pierre powiedział to samo, bez cienia wątpliwości odpowiadał na grad szczegółowych pytań Martine, zachowywał się jak ktoś, kto usiłuje sobie przypomnieć, jak było naprawdę.

- Okej, a teraz chciałabym się dowiedzieć trochę więcej, o czym rozmawiałeś z Sabriną w La Cave du Cardinal. Dobrze się zastanów!

Jean-Pierre zmarszczył czoło.

- To trudne, był piekielny hałas, nie słuchałem uważnie, usta jej się nie zamykały. Zaraz... Tańczyła na platformie Salome i zaczęła mówić, jaki odniosła sukces, i że wielu ludziom bardziej się podobała od tej dziewczyny z opery. O to pani chodzi? - Popatrzył na Martine, która zachęcająco skinęła głową. - A po procesji robiło z nią wywiady mnóstwo dziennikarzy, z RTBF, z telewizji angielskiej i francuskiej, i chyba z niemieckiej, i z różnych gazet: francuskich, angielskich, amerykańskich i włoskich. Powiedziała, że szykuje się coś naprawdę wielkiego, tak właśnie powiedziała, i miała mi za złe, że nie zrobiło to na mnie szczególnego wrażenia, i powiedziała, że za rok albo dwa będę się cieszył, jak mi się uda zdobyć jej autograf. Wtedy ją wyśmiałem, a ona się zaperzyła i powiedziała, że sam zobaczę, że w niedzielę powie mi coś takiego, co mnie zamuruje, ale na razie to tajemnica, której nikomu nie zdradzi. Powiedziałem, że to super, i tyle. W ogóle mnie to nie obeszło.

- A czy Peggy i Nadia były przy tej rozmowie? - spytała Martine.

Jean-Pierre przecząco potrząsnął głową.

- Nie, w takim hałasie dało się pogadać tylko z jedną osobą. Peggy siedziała z moim kumplem Michelelem Blanquetem, a Nadia rozmawiała z jakąś dziewczyną i chyba nie najlepiej się bawiła, tak jak ja.

- Aha. No to przejdźmy może do jazdy samochodem. O czym dziewczęta rozmawiały w drodze do Givray? Przypomnij sobie, co mówiły, to może być ważne, zwłaszcza dla ciebie.

Jean-Pierre bezradnie pokręcił głową. - Nie słuchałem, nie interesowała mnie ich paplanina, próbowałem uciszyć własne myśli.

Martine czekała. Jean-Pierre tępo patrzył przed siebie.

- Zastanów się - powiedziała po chwili. - Były zadowolone, były zmęczone, zgadzały się, nie zgadzały się, rozmawiały o tym, co przeżyły, rozmawiały o tym, co będą robić, kiedy wrócą do domu?

Ciemne oczy Jeana-Pierre'a nagle nieco się ożywiły.

- Coś zapamiętałem. Peggy powiedziała, że mama pewnie przygotowała kanapki z sałatką krabową, że ona przepada za sałatką krabową, ale nie wiedziała, czego się napije, chciałyby coś ciepłego. Pojęcia nie mam, czemu mi się to wryło w pamięć, chyba dlatego, że pomyślałem o Joëlu, ojcu Peggy i Nadii. To równy gość. Parę lat temu byłem z nim w jednej brygadzie w Forvilu, kiedy pracowałem sezonowo, i zastanawiałem się, czy robi na nocnej zmianie, bo nie przyjechał po córki. Aha, Peggy nie mogła się zdecydować, czy do kanapek z sałatką krabową woli gorącą czekoladę, czy kawę z dużą ilością mleka. Wtedy Sabrina parsknęła tym swoim upierdliwym śmiechem i powiedziała, żeby Peggy nie była dziecinna, bo w noc świętojańską powinno się pić szampana, i że byłoby cudownie, gdyby mogła wyczarować kieliszek szampana.

# ROZDZIAŁ 8

Poniedziałek, 27 czerwca 1994, Villette & Bruksela

Sophie miała rację, twierdząc, że Thomas zna jakiegoś specjalistę od historii Belgii w okresie drugiej wojny światowej. Kiedy w sobotę po kolacji Philippe spytał o niego szwagra, przezornie z dala od uszu Martine, ten od razu wymienił parę nazwisk. Potem, w niedzielny wieczór, Thomas zadzwonił do Philippe'a i poinformował, że profesor Timothy Debaere, niepodważalny autorytet w swojej dziedzinie, chętnie się z nim spotka już w poniedziałek przed południem.

Profesor Debaere urzędował w Résidence Palace, dziesięć minut spacerem od mieszkania Philippe'a, w przeznaczony do rozbiórki kamienicy w Quartier Leopold, do której z każdym dniem coraz bardziej przybliżały się koparki. Z narażeniem życia przeciął Rue Belliard, cuchnącą spalinami sześciopasmową rzekę samochodów, i ruszył załkami ku Chaussée d'Etterbeek. Hałas uliczny i łoskot towarzyszący budowie nowego gmachu Parlamentu Europejskiego składały się na symfonię miasta o natężeniu dźwięku przypuszczalnie szkodliwym dla zdrowia.

Philippe'a od razu skierowano do pokoju z widokiem na Chaussée d'Etterbeek i Parc Leopold. Zza biurka podniósł się mężczyzna w jego wieku, szczupły, z wianuszkami jasnobrązowych kręconych włosów wokół zbyt wczesnej łysiny, wyciągnął rękę i uśmiechnął się na powitanie.

- Tim Debaere.

Ich spojrzenia spotkały się i obaj drgnęli.

- Ale przecież my się znamy - powiedzieli niemal jednocześnie.

- Proszę usiąść. Boże, to było wieki temu. Osiemdziesiąty drugi, prawda? Pan się nie zmienił, za to ja... szkoda słów. - Ze smutkiem przesunął dłonią po łysinie. - Moja piętnastoletnia córka uważa, że powinienem się golić na zero. Mówi, że tak będzie cool, ale nie jestem pewien. A co u pana?

Wróciły wspomnienia. Raczej niemiłe. W 1982 roku Philippe został licencjonowanym adwokatem. Miał dwadzieścia sześć lat, żonę, wille, czteroletnią córkę i mroczną tajemnicę swojej seksualności, która zaczynała mu ciążyć. Niejednokrotnie myślał, że byłoby lepiej, gdyby

nie żył. Praca pozwalała mu unikać domu i pełnych wyrzutów spojrzeń Bernadette, domagającej się uczuć, którymi nie mógł jej obdarzyć. Wiedział, że źle ją traktuje, i poczucie winy dodatkowo pogarszało sytuację. Po rozprawach i posiedzeniach często zostawał w Pałacu Sprawiedliwości. Na pierwszym piętrze tego ogromnego gmachu znalazł mały niewykorzystywany pokój biurowy, gdzie mógł siedzieć w ciszy i spokoju, przeglądać gazety, palić i rozmyślać o swoim pogmatwanym życiu.

Ale pewnego dnia do pustego biura przeniósł się młody doktorant Timothy Debaere. Miał wtedy burzę jasnobrązowych loków, ale teraz, mimo łysiny, niewiele się zmienił. Nie miał nic przeciwko obecności Philippe'a i dość szybko ich pogawędki stały się codziennym rytuałem. Rozmawiali o polityce, filmie, muzyce, a z czasem o swoich niemal równoletnich córeczkach. To była sympatyczna znajomość, bez zobowiązań i niedomówień, ograniczona do czterech ścian małego pokoju w Pałacu Sprawiedliwości.

- U mnie wszystko dobrze - odparł Philippe. - Ale nie zostałem profesorem. A pana praca doktorska z pewnością spotkała się z uznaniem?

Tim Debaere wykonał skromny gest ręką.

- Dziękuję, ale w tej dziedzinie nie ma zbyt wielu badaczy. Pomyśleć, że jest pan szwagrem Thomasa Hégera! Miły gość i znakomity naukowiec, chociaż nie bardzo rozumiem, dlaczego poświęcił się mediewistyce. A pan to rozumie? Zajmować się ludźmi, którzy łążą w pumpach, z halabardami w garści i od wieków nie żyją, kiedy współczesna historia Belgii jest taka fascynująca!

Philippe roześmiał się.

- Nie wiem. Jeśli mnie pamięć nie myli, Thomas zainteresował się średniowieczem po przeczytaniu jakiegoś angielskiego kryminału w domu dziadków w Szwecji. Ale teraz jest mi głupio, że nigdy nie zapytałem, nad czym pan siedział, kiedy się spotykaliśmy w Pałacu Sprawiedliwości.

- Ach, to ja nie miałem ochoty o tym opowiadać. Nasze rozmowy były dla mnie miłym przerywnikiem w pracy, zwykle zaglądał pan o takich porach, kiedy wydawało mi się, że ugrzęzłem na dobre, i najchętniej cisnąłbym to wszystko w diabły. Zajmowałem się kolaboracją z niemieckimi władzami okupacyjnymi w Walonii i Brukseli i w tej klitce w Pałacu Sprawiedliwości studiowałem akta z procesów kolaborantów po drugiej wojnie światowej. - Z błyskiem w oczach pochylił się nad biurkiem. - Jeśli dobrze zrozumiałem Thomasa, właśnie w tej

kwestii mogą się panu przydać. Szuka pan informacji o matce, prawda? Była w Ravensbrück, czy tak? Co pana konkretnie interesuje?

Z placu budowy przy Rue Wiertz dobiegał stukot kafara. Mocny i rytmiczny, przypominał uderzenia szybko bijącego, oskarżającego serca. Philippe'owi spoczęły się dłonie. Przeszłość matki wcale nie była mu tak obojętna, jak chciał to wmówić Martine.

- Nie bardzo wiem - odparł z większym napięciem w głosie, niżby chciał. - To moja siostra, żona Thomasa, zaczęła tego dociekać. Wydaje mi się, że najbardziej interesuje ją to, kto doniósł na mamę i jej przyjaciółkę, które razem zatrzymano. Ale po tylu latach to chyba niemożliwe...

- Proszę tak nie mówić. W archiwach jest mnóstwo dokumentów, trzeba tylko wiedzieć, gdzie szukać. - Tim Debaere zajrzał do notatnika. - Zapisałem nazwisko pańskiej matki. Renée Collignon. A jak się nazywała przyjaciółka?

- Simone Janssens.

- Simone Janssens i Renée Collignon... Simone Janssens i Renée Collignon. Kiedy wymieniam ich imiona i nazwiska razem, wydają mi się dziwnie znajome. - Zabębnił długopisem o krawędź biurka, co w połączeniu z dudnieniem kafara zabrzmiało jak dwa bijące serca. - Gdzie mieszkały? Gdzie mieszkała pańska matka i Simone Janssens?

- W Uccle.

- W Uccle - powtórzył Tim Debaere, odchylając się na krzesło pod niebezpiecznym kątem. - Simone Janssens i Renée Collignon... - Krzesło z hukiem runęło na podłogę. - Chyba wiem! Maurice de Wachter! Tak, Maurice de Wachter! - Obrzucił Philippe'a przelotnym spojrzeniem. - Muszę przynieść parę dokumentów, żeby sprawdzić, czy dobrze pamiętam. W tym czasie może pan przejrzeć materiały o belgijskich więźniach w Ravensbrück.

Przysunął do Philippe'a dwa pudła archiwalne pełne sfatygowanych, poplamionych skoroszytów i wyszedł. Philippe popatrzył na nie z lękiem, po czym wyjął jeden na chybił trafił. Nazwiska i daty urodzenia. Wyłącznie kobiety, najmłodsza urodziła się w 1928 roku, najstarsza w 1899. Spisane na maszynie albo odręcznie, niektóre opatrzone odręcznym adresem albo lakonicznym „zmarła”. Szybko się zorientował, że to lista belgijskich kobiet wywiezionych do Ravensbrück.

Niepewnymi dłońmi wyjmował kolejne skoroszyty i kolejne listy. W drugim pudle znalazł coś, czego chyba wolałby nie znaleźć. Najpierw zobaczył wykaligrafowany na marginesie



wiecznym piórem dobrze mu znany adres domu - Clos de Savoie 4 - w którym dorastała jego matka, a potem on i Martine, i wypisane na maszynie imię i nazwisko: „RenéeMarguerite Collignon, ur. 23 marca 1926”.

Ponizej odnalazł drugie nazwisko: „Simone Janssens, ur. 7 listopada 1926. Zmarła”. Brak adresu.

W skoroszytach były nie tylko listy. Philippe zaczął czytać protokół przesłuchania młodej szwaczki z Etterbeeku, sporządzony w listopadzie 1945 roku w prokuraturze wojskowej w Brukseli. Została zatrzymana przez gestapo na początku 1943 roku i przez Holandię trafiła do Ravensbrück. Chłodno i rzeczowo zeznała przed funkcjonariuszami żandarmerii, że wielokrotnie przesłuchiwało ją trzech agentów gestapo, wśród nich jeden Belg. „Ponieważ nie chciałam mówić, pobili mnie tak dotkliwie, że zostałam przewieziona do szpitala. Najgorszy był ten Belg. Wysoki, mocno zbudowany, prawdopodobnie pochodził z Antwerpii... Trafiłam do obozu koncentracyjnego pod Vught w Holandii<sup>6</sup>, gdzie musiałam pracować w fabryce masek przeciwgazowych. Pracowałyśmy po dwanaście godzin dziennie. Pilnowali nas umundurowani esesmani z dużymi psami. Dla zabawy często nas nimi szczuli... Zostałam przewieziona do obozu Ravensbrück w Niemczech. Transport odbywał się w bydłych wagonach, w okropnych warunkach. Panował taki ścisk, że nie dało się usiąść. Trzymano nas tam przez dwie doby, bez wody...”.

Philippe nie był w stanie czytać dalej. Renée, jego ukochana mama, która w dzieciństwie zapewniała mu poczucie bezpieczeństwa, też odbyła tę podróż, doświadczając tego samego koszmaru. Miała siedemnaście lat, tyle, ile dzisiaj ma jego córka Tatia, tak do niej podobna. Co czuła? Jak bardzo się bała?

Podszedł do otwartego okna. Serce waliło mu w takt kafara, miał wilgotne dłonie.

Usłyszał kroki za plecami. Do pokoju wszedł Tim Debaere z trzema pudłami w objęciach.

- Zaraz zobaczymy - powiedział z ożywieniem. - W tamtych czasach mogłem robić fotokopie za darmo, dzięki czemu mam wszystkie dokumenty z procesu przeciwko Maurice'owi de Wachterowi. - Przerwał, widząc minę Philippe'a. - Znalazł pan coś? Dla najbliższych to może być bolesna lektura.

Philippe wzruszył ramionami i usiadł przy biurku, podczas gdy Debaere zaczął wertować papiery.

---

<sup>6</sup> Konzentrationslager Hertogenbosch.

- Był tutaj list... - odezwał się półgłosem. - Jeśli dobrze pamiętam, nie miał znaczenia dla przebiegu procesu...

Z okrzykiem triumfu wyjął dokument z pliku materiałów, pobieżnie go przeczytał i wręczył Philippe'owi.

List pochodził ze stycznia 1946 roku i był adresowany do prokuratora wojskowego w Brukseli. Napisał go Jules Durant, nauczyciel z Braine-l'Alleud, członek grupy ruchu oporu, w marcu 1943 roku zatrzymany przez Niemców, przewieziony na przesłuchanie z Kwatery Głównej Gestapo przy Avenue Louise do belgijskiego obozu koncentracyjnego w Breendonk. List miał przede wszystkim na celu wskazanie dwóch belgijskich strażników obozu, katujących więźniów na śmierć. Jedną z ich ofiar był Raymond Janssens, który zmarł w wyniku przesłuchania w czerwcu 1943 roku. Jules Durant napisał o nim: „Kiedy razem pracowaliśmy, powiedział, że zatrzymano go z powodu córki, schwytej za udział w ruchu oporu. Wielokrotnie powtarzał, że jego córkę Simone Janssens i jej szkolną koleżankę Renée Collignon z całą pewnością wydał jego sąsiad Maurice de Wachter, osławiony kolaborant i przyjaciel Niemców”.

Philippe zwilżył wargi.

- To było takie proste - powiedział łamiącym się głosem.

- No, przy odrobinie szczęścia. Chociaż nie tylko, bo chyba nikt nie zna tych materiałów tak dobrze jak ja. Może pan zauważył, że to kopia kalkowa. Informacje Duranta były ważnym dowodem w sprawie przeciwko dwóm belgijskim strażnikom, ale z uwagi na wymienione w liście nazwisko de Wachtera kopia znalazła się w jego materiałach procesowych. Nie miała znaczenia, nikt tego nie potwierdził, zresztą nie musiał, bo było przeciwko niemu wystarczająco dużo bezspornych dowodów winy.

- Jak skończył Maurice de Wachter?

Tim Debaere spojrział na Philippe'a z niedocieczoną miną.

- Maurice de Wachter został rozstrzelany przez pluton egzekucyjny na początku czterdziestego siódmego. Po wojnie, o czym pan może wie, wykonano wyroki śmierci na kilkuset belgijskich kolaborantach i on był jednym z nich.

- Brak mi słów. Byłbym wdzięczny, gdyby zechciał pan o nim opowiedzieć.

- Bardzo chętnie! - Tim Debaere znów odchylił się na krześle i splótł dłonie na karku. - Proszę mi dać znać, gdybym się zanadto rozgadał!

W jego łagodnych jasnobrązowych oczach zapaliły się iskierki fanatyzmu, jak u profesora Tryfona Lakmusa z Przygód Tintina.

- Maurice de Wachter urodził się w Tournai w tysiąc dziewięćset szóstym jako syn fabrykanta tekstyliów, bodaj trykotaży. Młody Maurice już jako nastolatek zainteresował się poglądami katolickiej ultraprawy, no, wie pan, Charles Maurras i Action Française, a kiedy zaczął studia na uniwersytecie w Louvain, zaangażował się w prężny w owych czasach studencki ruch katolicki. W Belgii i wielu innych krajach Europy idee systemu autorytarnego padały na podatny grunt, sfrustrowana klasa średnia uważała, że po wprowadzeniu powszechnego prawa wyborczego w roku tysiąc dziewięćset dziewiętnastym zapanował chaos. Kryzys lat trzydziestych był wodą na ich młyn. Powstały ruchy protestu, zwłaszcza w środowiskach młodej katolickiej klasy średniej, antydemokratycznej, antyliberalnej i antysocjalistycznej, która gardziła elitą rządzącą z powodu jej rzekomej zdrady. W takich kręgach obracał się Maurice de Wachter. I w Louvain poznał Léona Degrelle'a... - Tim Debaere przerwał. - Chyba słyszał pan o Degrelle'u?

Philippe przypomniał sobie, że całkiem niedawno coś o nim czytał i widział jego zdjęcie: okrągła zadowolona twarz i mundur obwieszony medalami.

- Zmarł tej wiosny, podczas wojny był walońskim przywódcą ruchu faszystowskiego...

Debaere porywczo pokiwał głową.

- Tak. Zmarł parę miesięcy temu w Hiszpanii, w wieku osiemdziesięciu siedmiu lat, nie zapłacił za to, co robił podczas wojny, i niczego nie żałował. Kiedy Maurice de Wachter poznał go w Louvain pod koniec lat dwudziestych, był niesamowicie charyzmatycznym studenckim politykiem katolickim. Nadawali na tych samych falach, świetnie się rozumieli i przez pewien czas obaj pracowali w dzienniku katolickim „Vingtième Siècle”. W roku tysiąc dziewięćset trzydziestym Degrelle został dyrektorem małego katolickiego wydawnictwa Christus Rex, gdzie ściągnął Maurice'a de Wachtera, dość utalentowanego publicystę. Z czasem grupa skupiona wokół Christus Rex stała się zbyt radykalna i władze kościelne zrezygnowały ze współpracy. Wtedy założyli ruch polityczny Rex, który odniósł sukces w wyborach do parlamentu w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym szóstym, uzyskując jedenaście i pół procent głosów. Ale ich gwiazda szybko zgasła. Parę lat później Rex był marginalnym ugrupowaniem, coraz bliższym faszystowskiej prawicy. Nasz przyjaciel de Wachter był w Reksie w trzydziestym szóstym, a potem stopniowo zaczął się od niego oddalać. Nadal przyjaźnił się z Degrelle'em, pisał

reksistowskie teksty i z dużym powodzeniem prowadził rozmaite biznesy. Aha, i wyróżniało go to, że był bardzo proniemiecki. Jego babka ze strony ojca była Niemką, pochodziła z Trewiru. Odwiedzał Niemcy, znał język, wielbił niemiecką kulturę i wyznawał pogląd, że Walonowie to naród germański. No tak, w maju czterdziestego roku Belgia znalazła się pod okupacją niemiecką i de Wachter szybko zadbał o kontakty z administracją wojskową. Początkowo nie budziło to większych kontrowersji, latem i wczesną jesienią czterdziestego roku Niemcy wydawały się niepokonane, wielu zawiodło się na belgijskim rządzie, który prysnął do Francji, i całkiem sporo szanowanych osób miało nadzieję na coś w rodzaju autokratycznej władzy królewskiej w porozumieniu z Niemcami. Ale szybko im to przeszło. Tak czy inaczej, niemiecka administracja wojskowa była bardzo przychylnie nastawiona do flamandzkich nacjonalistów, postrzeganych jako germańscy bracia, godni kluczowych stanowisk w belgijskim rządzie. Degrelle'a Niemcy nie traktowali zbyt poważnie, ale dzięki desperackim wysiłkom wprowadzenia swoich ludzi na ważne stołki i z braku lepszych partnerów politycznych w Walonii reksiści wypadli całkiem nieźle, zwłaszcza w prowincjach i miastach regionu. Utworzono waloński gabinet w ministerstwie spraw wewnętrznych i pod koniec czterdziestego drugiego Maurice de Wachter dostał tam świetną pracę. Dobrze mu się żyło, na wysokiej stopie, miał luksusową willę w Uccle, chodził na przyjęcia i kolacje do ambasady niemieckiej, urządzał huczne imprezy dla niemieckich szlachty i ich belgijskich przyjaciół. Miał przyjaciół w gestapo, po wojnie wielu świadków zeznało, że widywali go w kwaterze głównej przy Avenue Louise. Na wojnie Niemcom wiodło się coraz gorzej i ruch oporu poczynał sobie coraz śmieiej. W maju czterdziestego czwartego samochód de Wachtera został ostrzelany w Bois de la Cambre. De Wachter doznał niegroźnych obrażeń. W sumie on i syn, który z nim był, wyszli z tego cało. Oczywiście domagał się represji, co doprowadziło do zatrzymania czterech osób podejrzanych o zamach. Ciężko ich poturbowano, dwie zmarły. De Wachter był obecny podczas przesłuchań i dopingował oprawców. Przynajmniej dlatego wykonano na nim wyrok śmierci.

- Och! - powiedział Philippe, bo cóż więcej mógł powiedzieć.

- Chce pan zobaczyć zdjęcie de Wachtera? - gorączkowo spytał Tim Debaere i nie czekając na odpowiedź, wyjął ze skoroszytu wycinek prasowy.

Druk był zamazany, ale fotografia wyraźna. Philippe zobaczył wysokiego, dość szczupłego mężczyznę o zaczesanych do tyłu, ciemnych włosach i aroganckim wyrazie twarzy,

w długim płaszczu i białym szaliku. W jednej dłoni trzymał papierosa, drugą gestykulował. Obok stał uśmiechnięty esesman.

- Poznaje pan tego gościa w mundurze? To sturmbannführer Léon Degrelle, szef Reksa.

Philippe pomyślał, że patrząc na zdjęcie, powinien coś poczuć. To przypuszczalnie ten mężczyzna wysłał jego matkę do obozu koncentracyjnego. Ale wszystko potoczyło się za szybko. Dwadzieścia minut temu nigdy nie słyszał o Maurice de Wachterze. To było jak wiadomość o nagłej śmierci albo wypadku samochodowym - w jednej minucie żyjemy normalnie, w drugiej dzieje się coś, co wszystko zmienia, i odczucia za tym nie nadążają.

- Czy mógłbym dostać kopię tego zdjęcia? - spytał.

- Jasne.

Ale co z Erikiem Janssenssem? Philippe kompletnie o nim zapomniał. Czyżby się mylił, sądząc, że morderstwo ma jakiś związek z poszukiwaniem przez Erica prawdy o siostrze? To, co usłyszał od Giovanniego Weissa, wyraźnie na to wskazywało. Tymczasem Maurice de Wachter nie żył od blisko półwiecza.

- O czym pan myśli? - spytał z zaciekawionym Tim Debaere. - Ma pan taką minę, jakby coś się nie zgadzało.

Philippe wahał się.

- No cóż, zamierzałem się pobawić w detektywa, ale wygląda na to, że pańskie informacje zaprowadziły mnie w ślepią uliczkę.

- Proszę mi o tym opowiedzieć. Chodźmy na kawę i spokojnie mi pan wszystko wyjaśni.

W oczach Tima Debaere zapaliły się wesołe iskierki. Teraz był podobny do krewniaka Tintina, gotowego do kolejnego wyzwania.

W kawiarni na parterze Résidence Palace, popijając podwójne espresso, Philippe opowiedział o zabójstwie Erica Janssensa i przedstawił swoją teorię. Nagle go zastanowiło, dlaczego Eric nie dociekał prawdy, korzystając z archiwów i pomocy historyków. A może to zrobił?

- Nie sądzę - odparł Tim Debaere - ale na wszelki wypadek popytam kolegów. A o archiwum akt spraw sądów wojskowych może pan zapomnieć, bo z osób prywatnych mają do nich dostęp wyłącznie rodziny skazanych. Wydaje mi się, że pański przyjaciel próbował wszystko odtworzyć, bazując na osobistych wspomnieniach i kontaktach.

- Powiedział pan, że de Wachter miał syna.

- Naprawdę?

- Tak, powiedział pan, że syn był w samochodzie, kiedy samochód ostrzelano w czterdziestym czwartym.

- A, faktycznie. Ale nic o nim nie wiem. Myśli pan, że on może mieć coś wspólnego z morderstwem Janssensa?

Philippe westchnął.

- Ja nic nie myślę, po prostu chwytam się brzytwy. Dlaczego syn miałby być w to zamieszany? Przecież nie dlatego, żeby ukryć wyrok śmierci na ojcu kolaborancie, bo to nie tajemnica, pisały o tym gazety. Aha, a co się stało z najbliższymi osób straconych za kolaborację? Przecież musieli mieć rodziny, małe dzieci?

Próbował sobie wyobrazić obcy mu kraj, Belgię w czasach młodości jego rodziców, przerażający świat okupacji, tortur i egzekucji, kraj uczennic maltretowanych w więzieniach i zsyłanych do obozów na pewną śmierć, w którym zdrajców stawiano przed plutonem egzekucyjnym. Co czuło dziecko kogoś, kto zapłacił śmiercią za współpracę z władzami okupacyjnymi?

- Większość zmieniła nazwiska - odparł Debaere - i starała się ukryć przeszłość. Ale czy wziął pan pod uwagę taką możliwość, że Raymond Janssens się pomylił, że to nie de Wachter zadenuncjował jego córkę? Że jest ktoś inny, gotowy zabić, byle jakaś tajemnica nie wyszła na jaw? Tak czy inaczej, przyjrzyć się bliżej rodzinie de Wachter.

- Czy wie pan, gdzie mieszkały te dwie rodziny? - Pamiętam adres de Wachtera. Uccle, Rue de l'Étoile Polaire sześć. Nathalie Bonnaire wykonała kawał dobrej roboty, posiłkując się skąpymi informacjami Martine o sprawie Christelle. Jej tekst, zatytułowany Podejrzenia policji: zabójca Christelle znów atakuje, znalazł się na pierwszej stronie poniedziałkowego wydania „Gazette de Villette”. Martine prawie zapomniała, że reporterka uzyskała wiadomości z pierwszej ręki na miejscu przestępstwa, przepytując zniecka Gregory'ego Vincenta, ale najwyraźniej dzięki temu szybko dopatrzyła się podobieństw między tymi morderstwami po przejrzeniu artykułów z roku 1982. Pozwoliła sobie na spekulacje, że Jean-Pierre Wastia, „21-latek”, wkrótce zostanie wypuszczony na wolność. Martine o mały włos nie zakrztusiła się poranną kawą, czytając, że „według źródeł zbliżonych do Pałacu Sprawiedliwości madame Poirot zamierza uwolnić 21-latkę”. Jakich źródeł, pomyślała w panice, szybko się jednak uspokoiła,

uzmysławiając sobie, że o jej planach uchylenia aresztu słyszało pięć osób. To aż nadto, żeby wieści rozniosły się po całej firmie.

- Co się stało? - zaniepokoił się Thomas, kiedy odreagowała, ciskając o podłogę na szczęście pustym koszykiem na pieczywo.

- Chciałabym wypuścić Jeana-Pierre'a Wastię, ale boję się, że nie obejdzie się bez protestów. Dlatego pomyślałam, że ta nowa reporterka z „Gazette de Villette” przygotowuje grunt, sugerując, że nie może być podejrzany, skoro śledztwo przybrało inny obrót. Ale nie przyszło mi do głowy, że napisze o mojej decyzji!

- Przecież to prawda - sensownie zauważył Thomas.

- Dziękuję za profesorski obiektywizm. Masz się ze mną zgadzać, kiedy mam problem!

Thomas podniósł koszyk z podłogi i zmiotł dłonią okruszki croissantów.

- Zawsze się z tobą zgadzam - odrzekł z uśmiechem. - Broniąc prawdy i sprawiedliwości, jesteś bardzo seksowna. Zaciśnij zęby i rób to, co uważasz za słuszne. Fiat iustitia...

-...ruat coelum - dokończyła posępnie Martine. - A jeśli niebo naprawdę runie?!

Niebo było błękitne, słońce już mocno przygrzewało, kiedy przyszła do pracy, gotowa na wszystko. Okazało się, że musi tylko zająć stanowisko, jak postąpić wobec Jeana-Pierre'a Wastii. Agnes przepisała ostatnie zeznanie i włączała je do akt sprawy. Christian był na odprawie z technikami, którzy badali miejsce przestępstwa, potem miał się skontaktować z przyjacielem z Brigade Criminelle w Paryżu. Willy Bourgeois dzwonił do Bundeskriminalamt w Bonn. Annick Dardenne rozmawiała z kimś, kto znał Christelle Rolland, a Serge Boissard nadzorował akcję przepytывania mieszkańców domów położonych w pobliżu miejsca zbrodni. Do wszystkich okręgów policyjnych w Belgii i - za pośrednictwem Interpolu - do krajów ościennych zostały wysłane prośby o informacje dotyczące niewyjaśnionych zabójstw młodych dziewcząt.

Trudno było jednak poprzestać na czekaniu. Martine chciała działać, posuwać się naprzód w polowaniu na nieznanego seryjnego mordercę.

Odezwał się telefon. Agnes odebrała i przekazała jej słuchawkę. Dzwonił Yves Deshayes, prezes sądu. Chciał się z nią bezzwłocznie spotkać. Źle to wróżyło.

- O co chodzi? - spytała Martine.

- Powiem, kiedy pani przyjdzie - odparł zniecierpliwiony. - Im szybciej pani przyjdzie, tym szybciej się pani dowie.

Martine odłożyła słuchawkę i popatrzyła na Agnes.

- Chce mnie natychmiast widzieć. Ciekawe, co to może być?

Niebieskie oczy Agnes, mądre i doświadczone, napotkały zielone oczy Martine.

Kancelistka pokręciła głową.

- Najlepiej pójść i się przekonać, czego chce.

Gabinet Yves'a Deshayes'a, gdzie kiedyś mieściła się kancelaria biskupów Villette, był wielkości sali balowej. Prezes czekał na nią przy antycznym biurku z drewna orzechowego, którego lśniącego blatu nie przykrywały żadne papiery. Najwyraźniej nie zamierzał jej poprosić, żeby usiadła na fotelu pod oknem wychodzącym na Place de la Cathédrale. Złe przeczucia Martine nasiliły się.

Mimo grubych murów w pomieszczeniu było ciepło. Deshayes siedział w koszuli i w zamyśleniu testował na dłoni nożyk do kopert. Jasnoszara marynarka od Armaniego wisiała za biurkiem na stojaku na ubrania. Lekko pachniał jakąś drogą wodą kolońską.

- No tak, ma pani mały problem - zaczął, wskazując gestem twarde krzesło, przeznaczone wyłącznie dla gości, którzy nie zasługiwali na chwilę rozmowy w wygodnym fotelu.

Milczała. Prędeż czy później wydusi z siebie, o co mu chodzi.

- Otrzymaliśmy mianowicie prośbę o odsunięcie pani od śledztwa w sprawie potrójnego morderstwa - powiedział i wręczył jej list.

Poczuła, jak przewracają się jej wnętrzności. Żołądek runął w dół i zatrzymał się na wysokości kolan. Spinka wysunęła się i bezgłośnie upadła na gruby dywan, jakby włosy postanowiły się uwolnić i stanąć dęba z osłupienia.

Szybko przeczytała list. Był podpisany przez Josepha Deleuze i Odette Pascal, po mężu Deleuze. Treść była prosta. Z powodu braku bezstronności Martine należy wyłączyć z prowadzenia śledztwa w sprawie morderstwa Sabriny Deleuze, Peggy Bertrand i Nadii Bertrand. Uzasadnienie było takie, że nie może być obiektywna co do winy Jeana-Pierre'a Wastii, ponieważ przyjaźni się z jego kuzynką. Na dowód podano fakt, że w dzień po zatrzymaniu podejrzanego dała się zaprosić na śniadanie przez Julie Wastię.

- To żalosne! - wykrzyknęła Martine.

- Ach, tak. Chce pani powiedzieć, że wczoraj nie była pani na śniadaniu z Julie Wastią?

- Wczoraj przed pracą wypiałam kawę w towarzystwie Julie na Place de la Cathédrale.

- I jadła pani czekoladowe brioski, cztery brioski, jak widzę, bo dołączyli rachunek.

Martine przypomniała sobie kelnerkę, która badawczo im się przyglądała.



- Chce pan powiedzieć, że wątpi w moją bezstronność, prezesie?

Postawił nożyk do kopert na podkładce; wyglądał jak nagi miecz.

- Nie - odparł, patrząc na nią przez ostrze. - Nie jest ważne, co ja o tym myślę, najważniejsze jest to, że musimy być poza wszelkimi podejrzeniami. Bezstronność sędziego śledczego gwarantuje integralność postępowania. Rozumie pani, żona Cezara.

- Wkrótce problem zniknie. Otóż dzisiaj zamierzam wypuścić Jeana-Pierre'a Wastię. Nie jest podejrzany. Potem będę mogła pić tyle kawy z Julie Wastią, ile mi się spodoba, ponieważ nikt już jej nie zarzuci, że jest stroną w sprawie.

Deshayes oparł brodę na dłoni i przyglądał się jej znad okularów w cienkich oprawkach.

- Ach, tak, zamierza go pani wypuścić. Czytałem o tym w porannej gazecie. Na czym opiera pani tę decyzję, jeśli wolno spytać?

Martine zignorowała sarkazm, zdała relację z przebiegu śledztwa i podała motywy uchylenia aresztu.

- Cóż, decyzja należy do pani - skwitował Deshayes. - Radziłbym jednak dobrze się nad tym zastanowić. W mojej ocenie przyczyny aresztowania nadal pozostają w mocy. Fala społecznego oburzenia nie opadła. - Uśmiechnął się cierpko. - Nie musi pani w każdej sytuacji występować w roli bogini sprawiedliwości.

- A co z tym? - spytała, wskazując na list.

- Trzeba to jakoś załatwić, ale jak pani wie, tylko Sąd Najwyższy może odsunąć sędziego śledczego od prowadzenia śledztwa w konkretnej sprawie. Jeśli się pani pospieszy w jej wyjaśnieniu, być może nigdy tam nie trafi.

Yves Deshayes wstał. Koniec audiencji.

Martine z mocno bijącym sercem przemierzała korytarze prowadzące ze starego pałacu biskupów do aneksu. Zastanawiała się, kto stoi za tym listem, bo mało prawdopodobne, żeby napisali go sami z siebie rodzice Sabriny. Znów pomyślała o wścibskich spojrzeniach kelnerki z Café de la Cathédrale.

Ależ to plotkarskie miasto!

Wciąż brzmiał w jej uszach złośliwy komentarz Deshayes'a: „Nie musi pani w każdej sytuacji występować w roli bogini sprawiedliwości”. Ni stąd, ni zowąd przypomniała sobie ostatnią scysję z Renée, kiedy wyjeżdżała do Liege, żeby zacząć nowe życie. Był rok 1979. Miała na sobie czarną skórzaną kurtkę i białą bluzkę ze stójką, a mama granatową szmizjerkę. Ciągle

słyszała jej bolesniwy głos: „Dlaczego zawsze musisz wszystko komplikować, dlaczego nie zadowolisz się rodziną, dziećmi i spokojnym życiem?”. Widziała w niej kurę domową, która chce dla niej tego samego, i przeciwko temu się buntowała. Teraz wiedziała, że nastoletnia Renée drogo zapłaciła za swój bunt. Może po prostu chciała chronić córkę. Ale ilekroć sumienie podpowiadało Martine co innego, niż mówili jej przełożeni, bolał ją brzuch. Philippe, syn doskonały, odwiózł siostrę na dworzec. Prowadził gorzej niż zwykle i bąknął: „Odzywaj się, Titine”, takim tonem, że nie potrafiła odczytać jego intencji. Dopiero po latach zrozumiała, jaki się czuł samotny. W jej rodzinie nic nie było takie, na jakie wyglądało. Wszyscy mieli przed sobą głęboko skrywane tajemnice, a teraz, kiedy znała prawdę, nigdy o tym nie porozmawia z Renée.

Yves Deshayes miał rację. Trzeba jak najszybciej wyjaśnić sprawę, pomyślała bliska desperacji. Ma na to góra dwa dni. Właściwie nie była potrzebna żadna decyzja sądu. Żeby zmusić ją do odstąpienia od prowadzenia śledztwa, wystarczyło zakwestionować na łamach prasy jej bezstronność.

Jennifer Collard, przyjaciółka zamordowanej Christelle, sprawiała wrażenie osoby, która wie, czego chce. Parząc kawę w ekspresie, przypominającym wyrzutnię raket kosmicznych, powiedziała Annick, że jest kierowniczką sali w restauracji Duc de Bourgogne i że w przyszłości zamierza otworzyć własną restaurację do spółki ze swoim narzeczonym kucharzem.

- Oboje skończyliśmy szkołę hotelarskogastronomiczną w Lozannie - wyjaśniła, stawiając na ławie dwie filiżanki pachnącej espresso z idealnie gęstą pianką. - Żeby zacząć coś swojego, potrzebny jest kapitał, a przy takiej koniunkturze lepiej się nie zadłużać, dlatego chcemy parę lat poczekać. Ale kupiliśmy aparat do espresso. Czy nie jest fantastyczny? - Usiadła na kanapie obok Annick, podciągnęła długie nogi pod siebie i patrzyła na nią inteligentnymi ciemnymi oczami. - No dobrze, w czym mogłabym pani pomóc? Wszystko powiedziałam policji w osiemdziesiątym drugim.

- Tak, ale jak pani może już przeczytała w dzisiejszej gazecie, widzimy pewne podobieństwa między morderstwem Christelle Rolland i piątkowym potrójnym morderstwem, co stawia wszystko w nowym świetle. Dwanaście lat temu zeznała pani, że Christelle wspomniała o czymś ekstra i że więcej miała powiedzieć w niedzielę. To właśnie mnie interesuje. Wszystko, co pani zapamiętała z tamtej rozmowy.

Jennifer Collard wypila łyżeczek espresso i zmarszczyła czoło. Odstawiła filiżankę i zamknęła oczy, żeby się skoncentrować. Annick czekała w milczeniu.

- Chyba najpierw powinnam powiedzieć kilka słów o Christelle - zaczęła Jennifer Collard po dłuższej chwili. - Znałyśmy się od małego i zawsze się przyjaźniłyśmy, ale byłyśmy bardzo różne i prawdopodobnie z czasem nasze drogi by się rozeszły. Christelle była przeuroczą dziewczyną, wspaniałomyślną i troskliwą, wszystkim ufała i była dość naiwna.

Jennifer Collard umilkła, przełożyła długi brązowy warkocz przez ramię i owijając go wokół palców, patrzyła przed siebie, jakby szukała słów.

- Domyślam się, że nie była szkolną prymuską - powiedziała Annick.

Jennifer Collard spojrzała na nią z wdzięcznością.

- Można by to tak ująć. Ja skończyłam gimnazjum, zrobiłam maturę, a Christelle zrezygnowała z nauki, po części dlatego, że miała dosyć szkoły, a po części dlatego, że marzyła jej się kariera modelki. Chyba widziała pani jej zdjęcia, prawda? Była prześliczna. Jako mała dziewczynka pozowała do wielu katalogów wysyłkowych, ale ja już wtedy uważałam, że się nie nadaje. Była niska i pulchniutka, miała cudowną, wrażliwą buzię, a sukces w zawodzie modelki mogą odnieść tylko dziewczyny wysokie i szczupłe, o twarzach jak puste płótno malarskie, na przykład takie jak pani inspektor.

Przyjrzała się uważnie Annick, regularnym rysom jej pozbawionej makijażu twarzy i krótkim brązowym i bezosobowym włosom.

Serce Annick zrobiło salto.

- Ale w dniu zabójstwa wydarzyło się coś, co obudziło nadzieje Christelle?

- Tak. - Jennifer Collard zostawiła warkocz w spokoju i podciągnęła kolana pod brodę. - Pamiętam wszystko, jakby to było wczoraj. Obsługiwałyśmy przyjęcie w ratuszu, dorabiałam wtedy jako kelnerka, żeby lepiej poznać branżę. Po przyjęciu wzięłyśmy po talerzu tartinek i ptysiów i usiadłyśmy na ławce na dziedzińcu. Był kwietniowy ciepły dzień. Christelle była niesamowicie ożywiona i podniecona, mówiła, że nareszcie będzie miała swoją szansę. Nie traktowałam tego zbyt poważnie, ale próbowałam ją trochę podpytać, bo w pewnym sensie czułam się za nią odpowiedzialna. Kiedyś jakiś gość zaproponował jej pracę w knajpie ze striptizem, nie miała pojęcia, o co chodzi, i była zachwycona, dopóki się nie dowiedziała, na czym to naprawdę polega. Ale tym razem nie chciała nic zdradzić, obiecała, że wszystko mi opowie w niedzielę.

- Kiedy, pani zdaniem, pojawiła się ta „szansa”? - spytała Annick.

- Później przyszło mi do głowy, że to się musiało stać na przyjęciu, bo wcześniej nic mi o tym nie wspomniała.

- Czy zauważyła pani, żeby z kimś rozmawiała?

- Z wieloma osobami. To nie było sztywne przyjęcie, oczywiście roznosiłyśmy tace z drinkami, ale były stoły z regionalnymi specjałami, przy których się zmieniałyśmy, i chodziło o to, żeby ludzie się zatrzymywali i rozmawiali. Zaraz... kto tam był... Oczywiście burmistrz i inne komunalne szczy, rozmaici przedsiębiorcy, chyba kilku prominentów z Brukseli, całkiem sporo dziennikarzy... Pamiętam, że Christelle powiedziała, że rozmawiała z włoskim dziennikarzem. Jej mama jest Włoszką i chciała się pochwalić, że zna włoski.

Annick gwałtownie pochyliła się naprzód.

- Czy ten dziennikarz nie mógł być kluczem do jej sukcesu? - spytała, nie kryjąc napięcia.

- Bo ja wiem... - Jennifer Collard wahała się. - Nic nie mówiła, że ma się z nim spotkać.

- Jeśli to nie on, może widziała pani kogoś innego, z kim rozmawiała trochę dłużej?

- Niestety, nie. A tego włoskiego dziennikarza zapamiętałam głównie dlatego, że mi o nim powiedziała. I pamiętam, że zanim wyszła z ratusza, bardzo starannie poprawiła makijaż i poprosiła mnie, żebym jej pomogła upiększyć fryzurę.

Po wyjściu od Jennifer Collard Annick spojrzała na zegarek. Prawie pora lunchu. Może zjeść u siebie i pobyć przez chwilę sama. Szybkim krokiem ruszyła do domu wąskimi uliczkami, powstrzymując się, żeby nie puścić się pędem. Słońce prażyło, powietrze stało, cuchnęły czarne worki śmieci leżące na skraju chodników. Miała napięte mięśnie karku i raz po raz odtwarzała w pamięci słowa Jennifer Collard: „...wszystkim ufała i była dość naiwna... wszystkim ufała i była dość naiwna...”. Jakby zacięła się płyta.

Annick mieszkała na najwyższym piętrze dziewiętnastowiecznej kamienicy, trzy przecznice od rynku. Kiedy wprowadziła się tutaj blisko rok temu, bracia pomogli jej zainstalować nowoczesną kuchenkę i zmywarkę, a ona sama własnoręcznie pomalowała kuchnię i dwa pokoje, wybierając jasne kolory: waniliową żółć, śmietankową biel i nugatowy beż. Wychuchane cztery kąty. Książki na regale stały w porządku alfabetycznym, odziedziczone kryształ w oszklonej szafce były nienagannie zakomponowane, na półce między wysokimi oknami wychodzącymi na taras lśniły wypucowane na błysk jej puchary zdobyte w judo.

Ledwie weszła do mieszkania, zaraz za drzwiami rzuciła torbę na podłogę, wpadła do dużego pokoju i, nie zdejmując butów, zwinęła się w kłębek na kościanobiałej narożnej kanapie.

Zacisnęła powieki, zatkała uszy dłońmi, ale obrazy i dźwięki nie ulotniły się. Wiedziała, że tak będzie. Znów zobaczyła krew, zakrwawiony rozbity kieliszek, spowolnione ruchy Marie i jej błagalne spojrzenie, zanim straciła przytomność.

Usiadła z wielkim wysiłkiem woli, z wielkim wysiłkiem woli zmusiła mięśnie do pracy i podeszła do telefonu stojącego na biurku. Znała numer na pamięć i odetchnęła z ulgą, słysząc przyjazny głos.

- Dzień dobry, mówi Annick Dardenne, znów mam nawroty, powiedziałaś, że mogę zadzwonić, gdyby...

- Naturalnie, Annick - przerwała jej terapeutka, której nie widziała od trzech lat. - Masz je po raz pierwszy od naszego ostatniego spotkania?

- Tak.

- Domyślasz się, co je spowodowało?

- Tak. Sprawa, nad którą pracuję. Zginęły nastolatki marzące o sławie. Właśnie rozmawiałam ze świadkiem, z przyjaciółką ofiary, dziewczyny zamordowanej dwanaście lat temu, która chciała zostać fotomodelką. Pamiętam, co mówiłaś, że nie uniknę takich sytuacji, jeśli zdecyduję się na pracę w policji kryminalnej, ale bardzo mi na tym zależało, to dla mnie ważne.

- Usiądź i oddychaj spokojnie. To chwilowy nawrót, poradysz sobie. Czy poza powierzchownymi podobieństwami między tą sprawą a twoimi przeżyciami coś jeszcze nie daje ci spokoju?

Annick usiadła na krześle przy biurku i wzięła głęboki oddech; ni to westchnienie, ni to szloch.

- Jest coś, z czym nie mam odwagi się zmierzyć... Jeśli pokonam lęk, będę musiała powiedzieć o wszystkim kolegom, a tego nie chcę.

- Czyli na tym powinniśmy się skoncentrować. Mam wolny kwadrans. Możesz mi powiedzieć, z czym nie masz odwagi się zmierzyć?

Kwadrans później Annick odłożyła słuchawkę i odetchnęła z ulgą.

Na odgłos wysokich obcasów na korytarzu Martine szybko wyjęła lusterko z torebki. Ledwie zdążyła pociągnąć pomadką po wargach i poprawić włosy, gdy do gabinetu wparowała Brigitte Onckelinx, bezczelnie rzucając aktówkę na jej biurko.

- Kiedy zamierzasz wypuścić mojego klienta? - spytała, wbijając oczy w Martine. - O ile wiem, nie ma najmniejszego powodu, żeby go przetrzymywać. Jesteście tak daleko od jakiegokolwiek podstawy do oskarżenia, że można byłoby zrywać boki ze śmiechu, gdyby nie fakt, że mój młody klient już trzecią noc siedzi w celi.

Pochyliła się nad biurkiem, jej czarna toga adwokacka, nieskazitelnie czysta i wyprasowana, załopotana jak krucze skrzydła, poderwana podmuchem wiatru, który wpadł przez otwarte okno. Pod togą miała garsonkę z białego lnu i czerwoną chustę w tym samym odcieniu co szpilki. Blond włosy były nienagannie uczesane.

- Cześć, Brigitte! Też się cieszę, że cię widzę. Może byś mi ułatwiła zadanie, gdybyś zechciała powiedzieć, o którego klienta ci chodzi?

Martine i Brigitte Onckelinx, po mężu Bougard, swego czasu pracowały w tym samym biurze adwokackim jako młodsze prawniczki i zawsze szczerze się nie lubiły. Obecnie Brigitte broniła w sprawach karnych i była współniczką znamienitego zespołu adwokackiego Bougard&Fils.

Tym razem jej klientem był dziewiętnastoletni syn jednego z szefów Forvilu, zatrzymany po tym, kiedy w piątek przed południem siedemnastoletnia dziewczyna złożyła na niego doniesienie na policję, oskarżając o gwałt podczas dużej i głośnej imprezy młodzieżowej w jednej z dyrektorskich willi na ekskluzywnym osiedlu dla prominentnych szefów Forvilu. Zanim przyjaciółka namówiła ją do pójścia na policję, zdążyła wrócić do domu i wziąć prysznic, ale mimo to były wyraźne ślady gwałtu w postaci pęknięć pochwy i paskudnych siniaków na ramionach. Martine podpisała nakaz aresztowania, mając na uwadze bardzo duże prawdopodobieństwo, że podejrzany będzie wywierał wpływ na świadków gotowych potwierdzić zeznania dziewczyny. Oczywiście dochodzenie prowadzono na zwolnionych obrotach, bo wszystkie siły i środki skoncentrowano na potrójnym morderstwie.

W każdym razie Martine nie zamierzała wypuszczać chłopaka.

- Jutro sprawa stanie na wokandzie i będziesz mogła wyluszczyć swoje racje przed sądem. Dopóki ja decyduję, zostanie w areszcie.

Brigitte obrzuciła ją taksującym spojrzeniem.

- Jesteś zbyt pochłonięta potrójnym morderstwem, żeby znaleźć chwilę na taką błahostkę jak przetrzymywanie niekaranego dziewiętnastolatka na skandalicznie miałych podstawach, ale wkrótce odbiorą ci tę sprawę i będziesz miała czas, żeby się tym zająć.

Martine zmroziło. Jakby ktoś wrzucił jej za kołnierz kostki lodu. Myślała, że zanim zapadnie decyzja, wszystko zostanie między nią i prezesem.

- To znaczy? - spytała nie do końca pewnym głosem.

- Ach, moja droga, byłam w sądzie, gdzie wszyscy mówią o tym, że strona pokrzywdzona chce cię odsunąć od śledztwa. Chyba wiesz, kto za tym stoi? Oczywiście nie wyszło to od pogrążonych w smutku rodziców, tylko z ratusza. JeanClaude wpadł tam dzisiaj przed południem, o wszystkim się dowiedział i wrócił wyraźnie oburzony. Nie mam pojęcia, dlaczego tak cię ubóstwia.

JeanClaude Bougard, stryj męża Brigitte, był jednym ze wspólników Bougard&Fils.

Martine milczała. Nie chciała dać Brigitte satysfakcji i wypytywać o szczegóły, miała jednak nadzieję, że zaraz je pozna. Brigitte nie przepuściłaby okazji podzielenia się złymi wiadomościami.

- W niedzielę byłaś na kawie z Julie Wastią w miejscu publicznym - odezwała się po chwili Brigitte. - Bardzo to nierozważne z twojej strony, Martine, naprawdę mnie zadziwiasz. Dużo osób cię widziało. Między innymi krewny jakiejś grubej ryby z ratusza, od której słyszał, że nie zamierzasz udzielać informacji o śledztwie. Kiedy wyszłyście z kawiarni, zabrał wasz rachunek i poprosił kelnerkę o pisemne poświadczenie, że Julie Wastia zapłaciła za ciebie. Potem wysmażyli doniesienie, pojechali do rodziców Sabriny Deleuze i uzyskali ich podpisy.

- Dlaczego nie do rodziny Bertrand?

- Nie chcieli brać w tym udziału - niechętnie przyznała Brigitte. - Podobno mają do ciebie zaufanie.

Chwyciła aktówkę i wypadła z gabinetu, furkocząc czarną togą i stukając obcasami.

Tony Deblauwe naprawdę się mną interesuje, pomyślała z zadowoleniem Sophie. Spała u siostry Christine w Brukseli, Tony zadzwonił tam wieczorem, żeby spytać, czy nie zjadłaby z nim lunchu w poniedziałek, kiedy A la Justice Aveugle będzie zamknięta. Musiał sobie zadać sporo trudu, żeby ją odszukać i zdobyć numer telefonu Christine.

Umówili się w odnowionej hali targowej w Vilette, gdzie Tony miał przed południem kilka spraw do załatwienia. Siedzieli przy stoliku blisko wyjścia na Quai des Marchands. Przez stuletni szklany dach, wsparty na zielonych żeliwnych kolumnach, przesączało się światło mieniące się zielenią niczym w akwarium. Według folderów turystycznych hala targowa na Quai des Marchands była jedną z trzech „katedr” w Vilette. Te dwie pozostałe to prawdziwa katedra

na Île Saint Jean i „katedra pracy”, czyli siedziba partii na Avenue de la Gare, której Sophie nie widziała i niespecjalnie paliła się do oglądania.

Odsunęła talerz po risotto z owocami morza i dopiła białe wino.

Tony uśmiechnął się do niej i dał znak kelnerowi.

- Masz ochotę na deser? - spytał.

Odwzajemniła uśmiech. - Nie, dziękuję, poprzestanę na kawie. Ale natychmiast zmieniła zdanie, bo picie kawy trwa zbyt krótko. Może mogłaby sobie pozwolić na sałatkę owocową?

Stopniowo zaczęli przechodzić od bezpiecznych tematów politycznych i kulturalnych do bardziej osobistych. Sophie opowiedziała o swoim synu w Falun, a Tony o żonie Pascale i jej długiej chorobie. Następny krok to zwykle dykteryjki z dzieciństwa, pomyślała Sophie. Wiedziała jednak, że Tony dorastał w domu dziecka, więc raczej nie miał zabawnych wspomnień, natomiast jej popisowy numer aż nadto dobitnie zdradzał jej wiek, ponieważ traktował o jej tak wielkim zauroczeniu królową Astrid na plakatach przed referendum w sprawie dalszego istnienia monarchii<sup>7</sup>, że potem bardzo długo wmawiała wszystkim, że jest księżniczką.

Przypomniała sobie, że JeanJacques podczas ich pierwszego teteatete opowiadał o kucyku, którego dostał na piąte urodziny i którego zastrzelił chłopak stajenny w majątku jego dziadka. To powinno jej wystarczyć jako ostrzeżenie. Chciała jednak wystawić sztukę jego autorstwa, a ilekroć przystępowała do nowych projektów, często się zakochiwała. Myślała, że ma to związek z energią twórczą. Niestety, upłynęło mnóstwo czasu, zanim zrozumiała, jakim był egocentrykiem. Inni służyli mu wyłącznie za lustra odbijające jego rozdęte ego.

- Pomyśleć tylko, że siedzę z Sophie Lind - powiedział Tony. - Kiedy w Brukseli była premiera Blanka z Namuru, miałem piętnaście lat i tak mnie wzięło, że ukradłem afisz z kina.

Odchylił się na krześle i na jego twarzy pojawił się głęboki uśmiech, który rozjaśnił jego ciemnoniebieskie oczy. Poczula przyjemne mrowienie i też się uśmiechnęła, lekko odwracając i odrzucając głowę, identycznie jak na afiszu. To był nadal jej najlepszy profil.

- Hej, Tony! - zawołał handlarz ryb zza długiej lady chłodniczej za nimi. - Mam hurtownika na linii, pyta, co chcesz zamówić na jutro!

Tony uśmiechnął się przepaszająco do Sophie i podszedł do lady.

Kiedy wrócił, Sophie podjęła decyzję.

---

<sup>7</sup> Rok 1950.



- Chętnie zrezygnuję z kawy, napijemy się innym razem. Pomyślałam, że mógłbyś mi pomóc przenieść do mojego tymczasowego lokum kufer Tatii, który mam w samochodzie. Jest dość ciężki...

Uśmiechnął się i błyskawicznie wstał, żeby odsunąć jej krzesło. Leciutko musnął jej ramiona opuszkami palców.

Właścicielem tymczasowego lokum był kolega Thomasa z instytutu, który zaplanował urlop we Włoszech i z wdzięcznością przyjął propozycję zarobienia paru groszy na wynajmie. Mieszkanie składało się z trzech małych pokoi w amfiladzie - pośrodku salonik, po prawej sypialnia, po lewej gabinet z dodatkowym łóżkiem - i kuchni, niestety, piętro niżej, z osobnym wejściem. Nie miało to jednak znaczenia, bo Sophie nie zamierzała spędzić kilku tygodni w Villette na pichceni. Wprawdzie nie przypadł jej do gustu zbyt ciemny, pluszowy wystrój, ale doceniła urok głębokich nisz okiennych i podłogi z szerokich desek.

- Postaw go tutaj - powiedziała, wskazując pokój po lewej.

- Aha, czyli córka Philippe'a ma z tobą zamieszkać.

Czyżby w jego głosie usłyszała cień dezaprobaty? Tak! Przez chwilę miała wątpliwości. Ale jej propozycja była spontaniczna. Lubiła Tatię, utalentowaną bez dwóch zdań, wrażliwą i samotną, która może źle skończyć, jeśli będzie musiała walczyć o swoje.

Tony postawił kufer pod oknem w gabinecie. Był tak ciężki, że prawie wypadł mu z rąk i z głuchym odgłosem wylądował na ciemnych starych deskach podłogi.

- Tak, obiecałam to Tatii, ale nie musi się od razu wprowadzać. Dopóki nie zaczniemy zdjęć, nie ma pośpiechu - powiedziała Sophie.

Nie kryjąc ciekawości, podeszła do kufra, podniosła wieko i owiał ją zapach naftaliny. Zobaczyła modowe znaleziska Tatii mieniące się kolorami tęczy: pudrowym różem, szafranową żółcią, butelkową zielenią, atramentowym szafirem.

- Tatia wspomniała, że ma dla mnie idealną bluzkę z lat trzydziestych. Pojutrze Jacques zrobi mi kilka zdjęć do wywiadu z „Elle” i pomyślałam, że może ją włożę, jeśli naprawdę będzie mi w niej do twarzy.

- Czy ten fotograf to twój eks? - z przesadną nonszalancją spytał Tony.

Sophie obrzuciła go przelotnym spojrzeniem. Oby nie był zazdrośnikiem. Nie ma nic gorszego niż histerycznie zazdrośni mężczyźni. Ich spojrzenia spotkały się, odczytał jej myśli.

- Nie, Sophie Lind, jestem po prostu ciekawy, nic poza tym.

- Okej, nigdy z sobą nie byliśmy, nie jesteś pierwszy, który o to pyta. Trochę się mną interesował, kiedy kręciliśmy Blankę z Namuru, ale wtedy myślałam tylko o Eskilu. A potem nigdy nie było o tym mowy.

Zaczęła grzebać w kufrze i szybko wyłuskała bluzkę, o której mówiła Tatia, zjawiskową, z jedwabnej brzoskwińoworóżowej krepy, z szerokimi rękawami i obciążanymi guzikami. Powiesiła ją na oparciu krzesła i kucnęła przy kufrze, żeby powkladać ubrania.

Coś wystawało z boku. W dnie kufra była szuflada kilkucentymetrowej wysokości.

- Spójrz, Tony. Skrytka. Stawiając go, pewnie nacisnąłeś na jakąś sprężynę.

- Jest tam coś?

Sophie zajrzała do środka. Plik papierów i kilka jasnoniebieskich kopert.

- Nie, tylko trochę szpargałów - odpowiedziała, zatraskując szufladę. Nagle miała serdecznie dosyć starych ubrań i starych wspomnień. Zamknęła kufer i klęknęła na wieku, żeby wyjrzeć na Place de la Cathédrale. Właśnie wylądowało tam stadko gołębi. Obserwował je czarny kot, wylegający się na ulicy w cieniu domu. Apatycznie, acz łakomie. Otworzyła okno i usiadła w niszy, identycznie jak w jednej ze scen Blanki z Namuru.

Tony wziął głęboki oddech.

- „Siedzisz tutaj sama, najdroższa?”

Sophie odwróciła się i spojrzała mu prosto w oczy.

- „Tak, siedzę i patrzę na gwiazdy”.

Zrobił krok w jej stronę.

Mocno zabiło jej serce. Zapomniała o skrytce.

- Jesteś zajęta? - spytała Alice Verhoeven. - Podzwoniłam po znajomych i zarzuciłam przynętę. Myślę, że powinnaś to usłyszeć.

Martine przyjęła ją z wdzięcznością. Nie była na lunchu, bo rozmowa z prezesem sądu i spotkanie z Brigitte Onckelinx odebrały jej apetyt. Żeby się kompletnie nie załamać, potrzebowała prawdziwego postępu w śledztwie.

Alice usiadła na krześle dla przesłuchiwanym i podała jej kartkę z paryskim numerem telefonu.

- Chyba jest tu telefon z głośnikiem? Rozmawiałam z moim starym nauczycielem, Pierre'em Montanardem z Paryża. Dzisiaj rano zadzwoniłam do niego do domu. Obecnie jest profesorem emerytowanym, ma niewiele ponad siedemdziesiątkę, od lat pięćdziesiątych

zajmował się medycyną sądową i cieszy się znakomitą pamięcią. Wciąż ma swój pokój na uniwersytecie, przefaksowałam mu protokoły z sekcji i zdjęcia, obiecał, że się im przyjrzy. Już powinien tam być.

Martine wybrała paryski numer i włączyła głośnik.

- Pierre Montanard - odezwał się słaby, ochryply, ale władczy głos starszego mężczyzny, który wypalił w swoim życiu zdecydowanie za dużo papierosów.

- Dzień dobry, Pierre - powiedziała Alice Verhoeven. - Jestem w Pałacu Sprawiedliwości w Villette razem z sędzią śledczą Martine Poirot. Dostałeś mój faks?

- Tak, Alice, i tak jak podejrzewałem, szczegóły są zdumiewająco podobne do tych, jakie pamiętam w przypadku morderstwa, do którego doszło w Fontainebleau w czerwcu osiemdziesiątego czwartego. Wszystko się zgadza: metoda, treść żołądka, aranżacja zwłok. Zadzwoiłem do żandarmerii, która prowadziła śledztwo, i okazuje się, że sprawa nie doczekała się rozwiązania.

- Dzień dobry, profesorze Montanard. Nazywam się Martine Poirot, jestem sędzią śledczą w Villette i ogromnie się cieszę, że chce pan nam pomóc. Czy mógłby pan powiedzieć, co pan zapamiętał z tamtej sprawy z osiemdziesiątego czwartego roku?

- Niestety, madame Poirot, zapamiętałem niewiele. Nie brałem w tym bezpośredniego udziału, jeśli chciałaby pani wiedzieć więcej, powinna się pani skontaktować z osobami odpowiedzialnymi za śledztwo. Zostałem w to zamieszany przypadkiem, ponieważ akurat w tym czasie byłem w Fontainebleau. Jak pani może wie, mieści się tam szkoła żandarmerii, w której miałem cykl wykładów. Sekcję zwłok ofiary przeprowadzała moja uczennica, Catherine, świeżo upieczona obducentka, i kiedy wpadliśmy na siebie w korytarzu, skorzystała z okazji, żeby zasięgnąć porady. Pamiętam zdjęcie, bo Catherine zwróciła uwagę na charakterystyczne upozowanie ciała.

- A czy przypomina pan sobie coś o samej ofierze i okolicznościach towarzyszących morderstwu?

Pierre Montanard chyba otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale przeszkodził mu atak dudniącego kaszlu, który wprawił głośnik w silną wibrację.

- Przepraszam - powiedział, kiedy się już wykasłał. - Czy pani pali, madame Poirot? Jeśli tak, radzę natychmiast rzucić, bo takie są skutki po sześćdziesięciu latach palenia. Zamordowana, miła i urocza dziewczyna, bodaj Fabienne, pracowała w biurze turystycznym w Fontainebleau. W

dniu morderstwa wyszła z pracy i nikt jej nie widział, dopóki nie znaleziono jej ciała nad kanałem na skraju lasu Fontainebleau. W biurze turystycznym panowało w tym okresie spore zamieszanie, ponieważ odbywał się szczyt Rady Europejskiej z udziałem François Mitterranda, Margaret Thatcher, Helmuta Kohla i wszystkich możliwych oficjeli oraz towarzyszących im delegacji.

Martine nagle wyprostowała się na krześle. Coś ją tknęło. Miała wrażenie, że Pierre Montanard powiedział coś, co może mieć decydujące znaczenie w śledztwie.

- Bardzo dziękuję, Pierre - powiedziała Alice. - Z kim powinniśmy się skontaktować, żeby uzyskać więcej informacji o sprawie Fabienne?

Wolno i wyraźnie podał nazwisko i numer telefonu i znów dopadł go atak kaszlu, tak gwałtowny, że Martine od samego słuchania poczuła ból w piersiach.

- Przepraszam - wysapał po dobrej chwili Pierre Montanard. - No tak, moje panie, chciałbym dorzucić jeszcze jedno. Już dziesięć lat temu coś mnie zastanowiło, ale wtedy uznałem, że to zbieg okoliczności. Ale skoro sądzicie, że mamy do czynienia z seryjnym zabójcą, który od dawna grasuje po Europie, wszystko przedstawia się w innym świetle. W sprawie w Fontainebleau było coś, co przypomniało mi początki mojej kariery, kiedy przeprowadzałem sekcję innej ofiary morderstwa. Na razie nie powiem nic więcej, najpierw muszę coś sprawdzić, ale obiecuję, że najpóźniej jutro się odezwę.

Po wyjściu Alice Martine zeszła na trzecie piętro. W dokumentach ze śledztwa sprzed dwunastu lat był jakiś strzęp informacji, który utkwił jej w świadomości i mógł być ważny. Annick Dardenne nie było u siebie. Martine udało się odszukać jej dziuplę zawałoną skoroszytami i pudłami archiwalnymi. Sięgnęła po materiały o Christelle i szybko zaczęła je wertować. Jest! Wzięła skoroszyt i poszła do Willy'ego Bourgeois. Siedział w swoim przestronnym pokoju ze słuchawką przy uchu i długopisem w ręku. Zobaczył ją w drzwiach, zakończył rozmowę i popatrzył na nią pytająco.

- Christelle tego dnia, kiedy została zamordowana, miała przed południem dodatkową pracę - powiedziała Martine. - Obsługiwała przyjęcie w ratuszu. Co to było za przyjęcie?

Willy Bourgeois spojrzał na nią pustym wzrokiem.

- Nie mam pojęcia. W ogóle tego nie pamiętam.

- Przypomnij sobie, proszę. - Martine usiłowała ukryć zniecierpliwienie. - To może być bardzo ważne.

Podawała mu opasy skoroszyt. Ujął go w obie dłonie i intensywnie się wpatrywał, jakby w ten sposób chciał pobudzić pamięć.

- Tak - rzekł po chwili - coś mi się przypomina, była jakaś kilkudniowa impreza, jakiś zjazd grubych ryb, bo ściągnęliśmy mnóstwo dodatkowych policjantów, i to przyjęcie było chyba dla uczestników zjazdu. Nie pamiętam, w jakiej sprawie się spotkali, ale możemy się dowiedzieć, jeśli według ciebie to ważne.

- Sama się tym zajmę. A jak tam z twoim niemieckim kontaktem, Willy?

- Ścigam go od rana - odparł zadowolony. - Jest na konferencji w Hadze i spodziewają się go po lunchu. Właśnie rozmawiałem z kimś, kto obiecał przekazać mu wiadomość, jak tylko wróci.

- Jeśli zna jakiś przypadek podobny do naszego, spytaj, czy w tym czasie nie było tam jakiegoś dużego spotkania albo konferencji.

Willy Bourgeois popatrzył na nią badawczo, w jego spojrzeniu dostrzegła nagle energicznego młodego policjanta, którym na pewno kiedyś był.

- Myślisz...

- To jest jakaś możliwość. Nie wiem, czy ma znaczenie, ale musimy to sprawdzić. Mamy dwa przypadki zabójstw młodych dziewcząt w Villette w odstępnie dwunastu lat i przypuszczalnie tego samego sprawcę. Do obu doszło podczas wielkich imprez w mieście. A teraz dowiedzieliśmy się od znajomego Alice Verhoeven o podobnym morderstwie w Fontainebleau w osiemdziesiątym czwartym, podczas szczytu Rady Europejskiej.

Willy Bourgeois wyjął z kieszeni pogniecioną chusteczkę i wytarł czoło.

- Stary Walter na pewno niedługo zadzwoni, można na nim polegać. Ale musi mieć czas, żeby wszystko sprawdzić. Byłoby za dużo szczęścia naraz, gdyby znał jakąś sprawę na pamięć. Nie wiem, jak działa Bundeskriminalamt, ale w Niemczech jest dużo landów. Może będzie lepiej, jeśli pojedę do Bonn.

Z nadzieją spojrział na Martine.

Wzruszyła ramionami.

- Może i tak, ale to nie ja decyduję o tym, jak policja rozporządza swoimi środkami. Powodzenia, Willy!

Odłożyła na miejsce skoroszyt z materiałami ze śledztwa w sprawie Christelle i wróciła do gabinetu. Agnes Champenois już przygotowała wniosek o uchylenie tymczasowego

aresztowania Jeana-Pierre'a Wastii. Martine podpisała dokument z zamaszystym zakrętasem, obróciła się na krześle i popatrzyła na regał, gdzie ślepa bogini sprawiedliwości trzymała miecz i wagę. Kupiła tę brązową statuetkę, kiedy blisko trzy lata temu otrzymała nominację na sędzię śledczą, żeby jej przypominała o tym, że obiektywnie ma szukać sprawiedliwości, nie zajmując stanowiska po żadnej ze stron. Czy brązowe usta Pani Temidy przypadkiem się nie uśmiechały?

Streściła Agnes, co powiedział Pierre Montanard. Na razie dołączą to do akt jako nieformalną notatkę roboczą, dopóki nie skontaktują się z żandarmerią w Fontainebleau i nie otrzymają oficjalnego raportu.

No i trzeba się dowiedzieć, co to był za „zjazd grubych ryb” w Villette, kiedy została zamordowana Christelle Rolland.

- To proste - powiedziała Agnes. - Obejdzie się bez biurokracji. Moja kuzynka od wieków przekłada papiery w kancelarii burmistrza. Zadzwonię do niej i spytam. Ma pamięć jak słoń.

Podniosła słuchawkę i wybrała numer. Po krótkiej wymianie zdań podniosła kciuk do góry, uśmiechnęła się i na zakończenie przez kilka minut, które niecierpliwie czekającej Martine wydały się wiecznością, rozmawiała o krewnych i planach urlopowych.

- W kwietniu osiemdziesiątego drugiego odbyło się w Villette spotkanie europejskich ministrów spraw zagranicznych - powiedziała Agnes. - Spotkanie nieformalne. We Wspólnocie było wtedy dziesięć państw i stawili się wszyscy ministrowie. Kuzynka mówi, że było dużo zamieszania i zamętu, trwała wojna o Falklandy i na Środkowym Wschodzie jak zwykle był jakiś kryzys.

Spotkanie europejskich ministrów spraw zagranicznych w Villette, szczyt Rady Europejskiej w Fontainebleau i wielka impreza promująca Villette na Europejską Stolicę Kultury. Dlaczego seryjny morderca pojawiał się właśnie tam i właśnie wtedy? Co miał do załatwienia?

Ktoś zapukał do na wpół otwartych drzwi.

- Możemy wejść? - spytał Christian de Jonge. - Musimy to i owo skoordynować, poza tym Annick ma pewne sugestie, z którymi powinnaś się zapoznać.

Julie Wastia wolałaby, żeby jej wuj wybrał inny samochód. Trudno niepostrzeżenie odjechać spod Pałacu Sprawiedliwości śmietankowobiałym opancerzonym mercedesem, nawet jeśli miał przyciemniane szyby. Zaparkowali na pustej parceli sąsiadującej z aneksem pałacu.

- Niezła fura, co? - powiedział Bruno Wastia, bębniąc palcami o kierownicę. - Kupiłem ją od znajomego w Bari, chociaż miała trafić do Albanii.

Nerwowo przesunął dłonią po włosach i wyjął ze skrytki paczkę gitanes'ów. Mimo że zapach wody do włosów i dymu papierosowego był porażający, Julie nie odważyła się opuścić szyby. Przyciemnienie miało pewne zalety.

Serce podskoczyło jej z radości, kiedy Agnes Champenois zadzwoniła z wiadomością, że Martine postanowiła uwolnić Jeana-Pierre'a, szybko jednak zdała sobie sprawę, że z wypuszczeniem kuzyna z aresztu jego kłopoty wcale się nie skończą. W „Gazette de Villette” ukazał się wprawdzie artykuł o nowych tropach w śledztwie, ale inne media sugerowały, że wina „21-latka” została udowodniona. Czyli mnóstwo ludzi będzie oburzonych decyzją Martine. Dlatego trzeba zapewnić Jeanowi Pierre'owi maksymalnie dyskretny transport.

- Nie mogłeś wybrać samochodu, który mniej rzuca się w oczy? - powiedziała Julie. - Chyba nie sądzisz, że nas ostrzelają?

- Nigdy nic nie wiadomo. Poczekaj, dopóki nie zobaczysz, jak się u mnie sprawy mają. Tak czy inaczej, powinnaś się cieszyć, że do tej fury nie można zajrzeć. - Wyjął z kieszeni marynarki pozłocaną zapalniczkę i przypalił papierosa. - Ale miałaś rację co do swojej szefowej. - W zadumie puścił kółko z dymu. - Ostrzeżenie jej było głupim pomysłem. Pomyliłem się. To wspaniała kobieta, uważam, że powinniśmy jej okazać naszą wdzięczność. Właśnie trafił mi się sztykowny kabriolecik, prawdziwe damskie autko, myślisz, że mógłby się jej spodobać?

Julie zacisnęła zęby aż do bólu szczęk. Połowę życia poświęciła na uwolnienie się od szemranych kuzynów i ich złej sławy, ale ilekroć wchodziła w grę rodzinna lojalność, zawsze dawała się wciągnąć w ich wątpliwe interesy i jeszcze bardziej wątpliwy świat wartości.

- Bruno - zaczęła wolno i dobitnie - ile razy mam ci powtarzać, że sprawiedliwość nie jest na sprzedaż? Martine Poirot wypuszcza Jeana-Pierre'a dlatego, że dochodzenie wykazało, że jest niewinny, a nie dlatego, że się z nią przyjaźnię albo że liczy na twoje łapówki.

Wuj popatrzył na nią z pobłażliwością rozbawionego cynika przemieszaną z odrobiną pogardy. Błysk jego oczu, zimnych i czarnych jak onyks, przypomniał jej nagle, że w dzieciństwie trochę się go bała.

- Malutka - powiedział - czasami się zastanawiam, czy ty naprawdę jesteś ślepa, czy tylko postanowiłaś nic nie widzieć. Myślisz, że w jakim świecie my żyjemy? Znam dużo ludzi z Pałacu Sprawiedliwości, którzy nie mają nic przeciwko skromnym noworocznym prezentom, nabyciu samochodu po okazyjnej cenie albo drobnym przysługom. Przysługa za przysługę, kontakty. Prędzej czy później twój idealizm wpędzi cię w problemy, ciebie i twoją szefową. Poza tym nie

miałem zamiaru dać jej samochodu za darmo, tylko zaproponować cholernie korzystną cenę. Oczywiście gdyby była zainteresowana.

Julie na szczęście nie musiała odpowiadać, bo w ścianie szczytowej aneksu otworzyły się szare drzwi i wyszedł Jean-Pierre. Agnes Chempenois obiecała, że wypuszczą go wyjściem ewakuacyjnym, i dotrzymała słowa.

Julie przyjrzała mu się z niepokojem. Nikt nie znaczył dla niej tyle co Jean-Pierre, z którym dorastała. Ani trochę się nie zmartwiła, kiedy jako dziewiętnastolatek zaciągnął się do wojska, bo pomyślała, że to go uratuje przed podejrzanymi interesami rodziny i nauczy trzymania nerwów na wodzy. Poza tym Jean-Pierre potrzebował dużo ruchu. W dzieciństwie nigdy nie potrafił usiedzieć w jednym miejscu, musiał biegać, skakać, wspinać się albo bić. Wojsko wydawało się idealne.

Nie wzięła jednak pod uwagę Rwandy, krwawej rzeźni, skąd Jean-Pierre musiał wyjechać, nie kiwnąwszy palcem, żeby pomóc tym, których miał chronić. Po powrocie do domu mało o tym mówił, ale Julie wiedziała, że dręczą go koszmary we śnie i na jawie.

Tak jak podejrzewała, Jean-Pierre wyglądał teraz jak młody człowiek przytłoczony troskami. Kiedy powoli zamknęły się za nim szare drzwi, rozejrzał się niepewnie, kopnął kępkę trawy, przygarbił się, szerokie bary jakby się skurczyły pod czarnym Tshirtem.

Ostrożnie otworzyła drzwi i wystawiła głowę.

- Jean-Pierre - powiedziała cicho. - Tutaj jesteśmy, ja i Bruno.

Słyszac imię ojca, Jean-Pierre wyprostował plecy i wyciągnął szyję. Otworzył prawe tylne drzwi, wśliznął się do środka i szybko je zatrzasnął.

Julie chwyciła jego wielkie ręce w swoje smukłe wypielęgnowane dłonie i mocno uścisnęła. Najchętniej otoczyłaby go siostrzaną opieką i zasypała pytaniami, ale przecież to nie był odpowiedni moment.

- Dobrze, że jesteś - odezwał się ochryple Bruno. - Czy gliniarze nie byli upierdliwi?

- Nie, wcale! Jedna noc w celi to nic wielkiego. Czasem mi się to zdarzało w pułku. Poza tym szefowa Julie, ta sędzia śledcza, ma równo pod sufitem. Co to za wózek?

- Kupiłem od Giulia za kilka aut, które skołował Thierry. Pomyślałem, że jutro mógłbyś wziąć przyczepę i ściągnąć od Thierry'ego kilka fur.

Julie nastawiła uszu.



- Nie, Bruno! Jean-Pierre powinien się trzymać z daleka od twoich interesów przynajmniej do czasu wyjaśnienia sprawy potrójnego morderstwa. Może wróciłbyś do pułku, Jean-Pierre, mimo że jeszcze ci się nie skończył urlop?!

Młody Wastia wzruszył ramionami.

- Może.

Bruno wyjechał na Rue des Chanoines. Wolno minęli aneks Pałacu Sprawiedliwości. Julie zauważyła dziennikarzy przed głównym wejściem. Dobrze, że Jean-Pierre mógł wyjść z innej strony. Kilku dziennikarzy odwróciło się i z ciekawością patrzyło na śmietankowobiałego mercedesa. Julie błogosławiła przyciemniane szyby.

Salon samochodowy Bruna znajdował się nieopodal stacji kolejowej na w miarę przyzwoitej ulicy, gdzie obok spelunowatych barów i kafejek tłoczyły się wypożyczalnie telewizorów, sklepy z tanimi meblami i sprzętem gospodarstwa domowego.

Ledwie zaparkowali przed salonem, zobaczyli, że wszystkie szyby znów są wybite. W niedzielę Brunowi udało się jakoś wstawić nowe, ale cały jego wysiłek okazał się daremny.

- Psiamać! - zaklął Bruno i wyłączył silnik.

Jean-Pierre wysiadł bez słowa i wbiegł do lokalu. Julie po chwili wahania poszła za nim. Podejrzewała, że kuzyn będzie chciał rozładować frustrację, robiąc użytek ze swoich pięści, i miała nadzieję, że wandalę zdążyli się ulotnić.

Niestety, nie.

Usłyszała, jakby coś upadło, i krzyk Jeana-Pierre'a:

- Stój, do cholery!

Ostrożnie weszła do środka. Było tak ciemno, że ledwie rozróżniała kolory samochodów. Tylko w głębi, przez na wpół otwarte drzwi wychodzące na tylne podwórze, wpadała smuga światła.

Zagracone podwórze Bruna okalał półtorametrowej wysokości mur, za którym był parking. W murze były drzwi zamykane na klucz od podwórza, teraz zamknięte. Jean-Pierre zwinnie się wybił i zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, przesadził mur i wylądował po drugiej stronie.

Czekała w napięciu. Słyszała podniesione głosy, a potem warkot odpalanego motocykla.

Chwilę później drzwi w murze otworzyły się i Jean-Pierre wrócił. Popychał przed sobą dwudziestopięcioletniego chłopaka, bladego, krótko ostrzyżonego, w jasnych spodniach i koszulce z krótkim rękawem. Wyglądał na wystraszonego.

- Drugi uciekł - powiedział Jean-Pierre. - Zabrali klucz, straciłem parę sekund.

- Kogo my tu mamy... - Bruno ominął Julie, stanął naprzeciwko intruza i wbił w niego zimne czarne oczy. - Jak się nazywasz? - spytał aksamitnym głosem. - Nie możesz przyjść z wizytą i się nie przedstawić, to byłoby niegrzeczne.

Chłopak usiłował się uwolnić z uchwytu Jeana-Pierre'a i milczał. Teraz wydawał się przerażony.

- I co teraz zrobimy... - kontynuował Bruno. - Chyba pojedę po psy stróżujące ojca i spuszczę je tutaj. Chyba tak właśnie zrobię, a ty poczekaasz i zobaczymy, czy spodobaś się Akiemu i Amarowi. Albo porozmawiasz sobie z moim chłopakiem, na pewno ma na to ochotę, bo widzisz, ostatnio miał trudne dni i jest trochę zdenerwowany. Tak, może tak będzie najlepiej. Pewnie wiesz, że mój chłopak służy w pułku we Flawinne? A oni tam dobrze wiedzą, jak się obchodzić z takimi typkami jak ty. Albo przedstawię cię moim kumplom od interesów. Nie lubią, kiedy im się niszczy samochody, które zamówili.

Julie uznała, że powinna się włączyć. Bruno postraszył intruza, i bardzo dobrze, są jednak pewne granice. Gwoli ścisłości już je przekroczył, dopuszczając się gróźb karalnych, ale nie sądziła, żeby za to odpowiadał. Obawiała się tylko, że byłby zdolny do wprowadzenia w czyn trzeciej groźby.

- Zamkniemy go w biurze - oznajmiła - i wezwiemy policję. Oni się nim zajmą.

Jean-Pierre był zawiedziony. Miał taką minę jak w dzieciństwie, kiedy odbierała mu niebezpieczne zabawki.

Bruno cofnął się o krok i pokręcił głową.

- Tak, tak - zwrócił się do intruza - mojej siostrzenicy tylko prawo w głowie. Pracuje w Pałacu Sprawiedliwości, zna wszystkich sędziów, prokuratorów i policjantów. Chyba będzie najlepiej, jeśli zrobimy, jak mówi.

Dał znak Jeanowi Pierre'owi, który posłusznie ruszył ze swoim więźniem do małego biura Bruna w głębi lokalu.

- Poczekaj - powiedziała Julie. - Najpierw muszę zadzwonić.

Weszła do biura, połączyła się z lokalną policją i zgłosiła włamanie. Obiecali, że niedługo będą.

W tym czasie Bruno usiadł na kanapie, gdzie zwykle rozmawiał z klientami. Przekreślił kontakt i w żółtawym świetle jarzeniówek wyraźnie można było zobaczyć sprejowe dokonania intruzów.

- Bez polotu. Nie mogli wymyślić niczego lepszego niż „morderca” i „cygańska świnia”?  
- Zapalił papierosa i rozglądał się z ponurą miną. - Nie ma to jak wspomnienia z dzieciństwa. Jest zupełnie jak po wojnie, kiedy dobrzy sąsiedzi uznali, że ojciec współpracował z Niemcami, a wcześniej ci sami wspaniali ludzie donieśli na nas Niemcom. Tak mówił ojciec.

- Pamiętasz coś z tamtych czasów? - spytała Julie. - Byłeś przecież bardzo mały.

- Niektórych rzeczy nigdy się nie zapomina, choćby tego cholernego domu dziecka, gdzie wysłali mnie i Jerry’ego, kiedy rodzice siedzieli w obozie dla internowanych. Jerry miał tylko roczek, ledwie chodził i codziennie dostawał lanie. Ja oczywiście też, ale dla Jerry’ego to było straszne, bo nic nie rozumiał. Tak, wszystko pamiętam, baty i odwszawianie, mimo że nie mieliśmy wszy, piwnicę, w której nas zamykali, i kierowniczkę, która wyzywała matkę od niemieckich kurew. Wszystko pamiętam.

- Ale dziadka uniewinnili. Prokurator wojskowy Jean Heyse powiedział, że jest niewinny i że w ogóle nie powinien być oskarżony. Babcia mi o tym opowiadała.

Bruno kilka razy zaciągnął się papierosem i w zamyśleniu patrzył na bazgroły na ścianach.

- Aha, to stąd się wzięła ta twoja wiara w sprawiedliwość. Tak, to prawda, że sprawiedliwość zwyciężyła. Ale coś ci powiem: twoja babcia była wtedy bardzo ładna, podobna do ciebie, i ten prokurator się w niej zadurzył. Jak tylko znalazł jakiś powód, przysyłał jej kwiaty. Nie twierdę, że między nimi coś było, nie wydaje mi się, w każdym razie ją lubił. Tak jak twoja madame Poirot lubi ciebie. Po prostu naiwnością jest wierzyć, że to nie ma żadnego znaczenia.

Julie spojrzała na zieloną cementową posadzkę i zamrugła powiekami, żeby pohamować łzy. Nie chciała słuchać Bruna. Chciała trwać przy swojej prawdzie, która kierowała jej wyborami w życiu i dała jej wiarę w sprawiedliwość.

Wyrzuciła z pamięci obrazy młodej Marie Wastii, jej ciemne loki i obiecująco kołyszące się biodra. Liczy się Jean-Pierre. Jest niewinny. Martine to rozumiała i uwolniła go mimo nacisków. I to jest ważne, i o tym będzie myśleć.

- Ja też mam pewne sugestie - powiedziała Martine do Christiana. - Zróbmy krótkie nieformalne zebranie.

Annick Dardenne weszła za Christianem, niesamowicie blada, jakby było jej niedobrze. Usiedli przy stole konferencyjnym. Martine wahała się przez chwilę, czy nie poprosić Willy'ego Bourgeois, ale zrezygnowała. Niech pracuje dalej nad niemieckimi kontaktami.

Christian powiedział o rezultatach badań techników. Były skromne. Na ubraniach zamordowanych dziewcząt znaleźli włosy i włókna, które ewentualnie mogłyby się przydać na procesie, pod warunkiem że będą mieli kogo postawić przed sądem. Na razie, bez podejrzanego, nie przedstawiają żadnej wartości.

- Oczywiście są ślady Jeana-Pierre'a i mnóstwo sierści psów ludojadów Złomiarza Bernarda, zapewne z ciężarówki. Słyszałem, że wypuściłaś Wasię?

Martine skinęła głową.

- Są też inne włosy, zwłaszcza na ubraniach Sabriny, ale wiemy z materiałów telewizyjnych, że połowa Villette ścisnęła ją po procesji, a potem dziewczęta przebijały się przez tłum i siedziały w zatłoczonym barze. Równie dobrze mogą być ślady burmistrza albo proboszcza. Czyli, jak powiedziałem, bez wartości, dopóki nie znajdziemy podejrzanego. Oględziny miejsca zbrodni nic nie przyniosły. Sprawca wybrał je bardzo starannie. Musiał się tam jakoś dostać i wrócić. Jeśli nie pochodzi z Villette, mógł wynająć samochód. Na razie nie dotarliśmy do nikogo, kto by cokolwiek zauważył na tej trasie. To nie takie dziwne, bo jest tam mało domów, a poza tym ich mieszkańcy byli wtedy albo w centrum miasta, albo siedzieli przed telewizorami i patrzyli, jak Brazylia daje łupnia Kamerunowi. Sprawdzimy wszystkich, którzy w dniu morderstwa wynajęli samochód, chociaż nie ma żadnej pewności, że sprawca wynajął go w Villette. Nie sądzę, żebyśmy rozwiązali tę sprawę rutynowymi metodami, przydałoby się boskie natchnienie. Może jesteś nim obdarzona? Jeśli nie, myślę, że powinniśmy pójść do katedry, zapalić świece i zmówić modlitwę.

Christian był przybity. Ożywił się, kiedy Martine opowiedziała o podobnym wypadku w Fontainebleau i podobnych okolicznościach.

- Facet, który od lat jeździ na europejskie spotkania - skomentował Christian. - Powinniśmy go namierzyć. Wydaje mi się, że Annick będzie mogła to i owo dorzucić.

Annick spuściła głowę i nerwowo obracała długopis między palcami.

- No tak, najpierw muszę chyba powiedzieć o czymś, co wprawdzie nie ma związku z naszą sprawą, ale wpłynęło na mój sposób patrzenia na nią. Otóż kiedy miałam piętnaście lat, zostałam „odkryta”, trafiłam do agencji modelek w Paryżu i przez pewien czas byłam na topie. Moje zdjęcie znalazło się nawet na okładce francuskiego „Vogue’a”.

Uśmiechnęła się lekko i umilkła, jakby się spodziewała, że zakwestionują jej słowa. Martine zdziwiła się, ale nie była zszokowana. Zawsze uważała, że anonimowa aparycja Annick Dardenne była tak wystudiowana, że świadczyła raczej o przemyślanym wyborze niż nieumiejętności wyeksponowania wszystkich atutów swojego wyglądu. Jeden raz, na przyjęciu u uniwersyteckiego kolegi Thomasa, widziała Annick odpicowaną od stóp do głów: pełny makijaż, wieczorowa suknia, wysokie obcasy. W pierwszej chwili jej nie poznała.

- Skończyłam z tym - kontynuowała Annick - kiedy Marie, moja najlepsza przyjaciółka z agencji, została zgwałcona i zamordowana w pałacu pod Bordeaux. Na pewno o tym czytaliście, to było w latach siedemdziesiątych, straszna historia: kokaina, młode modelki, starzy obłeśni arystokraci i trochę osobistości ze świata polityki i biznesu. W dużym stopniu udało się to wyciszyć, ale od czasu do czasu dziennikarze śledczy wracają do tej sprawy. W każdym razie ja tam byłam i Marie umarła na moich rękach. Nie chcę o tym mówić i nie chcę, żeby ludzie o tym wiedzieli. Właśnie wtedy postanowiłam zostać policjantką, żeby demaskować takich mężczyzn jak ci, którzy zgwałcili i zamordowali Marie. Cóż, może to nie była najmądrzejsza decyzja... - Znów się uśmiechnęła, lekkim, zmrożonym uśmiechem, i jej twarz zaczęła nabierać kolorów. - Tak czy inaczej, obecny przypadek przypomniał mi, jak sama zostałam zwabiona. Grałam w siatkówkę z kilkoma dziewczętami na plaży w La Panne, tuż przy promenadzie, kiedy przyszli ludzie z dużego francuskiego czasopisma i zaczęli robić zdjęcia. Potem jeden z reporterów, Paul Fabian, zaprosił mnie na kolację i spytał, czy nie chciałabym zostać modelką. Oczywiście, że chciałam, bo byłam młoda i głupia. Wiecie, do czego zmierzam, prawda? Kto może nakłonić nastolatki marzące o sławie, takie jak Sabrina i Christelle, do spotkania kilka kilometrów za miastem, nie wzbudzając ich podejrzeń? Kto jeździ na szczyty europejskie i kogo podwozi się autokarem na imprezy organizowane w miastach ubiegających się o miano Europejskiej Stolicy Kultury? - Annick wyprostowała się, jakby bycie w centrum uwagi sprawiało jej przyjemność. - Dziennikarze!

Martine domyślała się konkluzji Annick. Im dłużej się nad tym zastanawiała, tym bardziej trafiało jej to do przekonania. Usiłowała sobie przypomnieć fragment rozmowy z sobotniego

wieczoru. Philippe rzucił coś mimochodem przy kolacji w A la Justice Aveugle, coś, na co zwrócił uwagę na przyjęciu w ratuszu...

- Mój brat był w sobotę na przyjęciu w ratuszu i powiedział, że spotkał tam zagranicznych dziennikarzy, których poznał w Brukseli w latach osiemdziesiątych, kiedy pracował w Komisji Europejskiej.

- Zapomniałam dodać - wtrąciła Annick - że Christelle Rolland dzień przed śmiercią obsługiwała przyjęcie w ratuszu, gdzie spotkała dziennikarzy. Wiem to od jej przyjaciółki, z którą rozmawiałam dzisiaj przed południem.

Christian pogładził w zamyśleniu krótką ciemną brodę.

- Muszę przyznać, że to dość przekonujące, ale oznacza niezły polityczny pasztet. Wypuszczamy chłopaka z patologicznej rodziny i zasadzamy się na gości honorowych burmistrza, których zaprosił, żeby wypromowali Villette. Ciekawe, czy nas za to pokochają w ratuszu. Ale nie mamy wyboru. Tylko jak się do tego zabierzemy?

- W ratuszu na pewno mają listy gości zaproszonych na piątkową i sobotnią imprezę i uczestników przyjęcia w osiemdziesiątym drugim - skostatowała Martine. - Nie musimy mówić, że interesują nas dziennikarze. A ponieważ wracamy do sprawy Christelle, nikogo nie zdziwi, że chcemy wiedzieć, kto był na przyjęciu, które obsługiwała.

- Dwaj nieszczęśnicy ślęczą nad wszystkimi materiałami stacji telewizyjnych, bo nie mają pojęcia, czego szukać - powiedziała Annick. - Ale gdybyśmy skupili ich uwagę na konkretnych osobach...

Martine przypomniała sobie o zdjęciach dostarczonych przez fotografa, znajomego Sophie. Skoroszyt wciąż leżał na jej biurku. Przyniosła go. Jacques Martin rozpoznał na nich kilku dziennikarzy.

- Dam to chłopcom - powiedział Christian - ale trafimy bingo, dopiero jak się okaże, że któryś z nich był tutaj w osiemdziesiątym drugim. Zajmiesz się tym, Martine? Może będzie potrzebny formalny wniosek o przekazanie list.

Martine pośepnie pokiwała głową. Christian miał rację, ale walka z ratuszem była ostatnią rzeczą, o jakiej teraz marzyła. Pomyślała o czymś innym.

- Zawartość żołądka. Wiemy, że tuż przed śmiercią dziewczęta zostały poczęstowane gęsiami wątróbkami, szampanem i truskawkami. Skąd on to wziął? Przecież nie jeździ ze swoim zabójczym ekwipunkiem, po który może sięgnąć, kiedy trafi na odpowiednią ofiarę. Musiał to

gdzieś kupić. Z truskawkami będzie kłopot, ale gęsie wątróbki? Chyba nie wszędzie można je dostać?

- W Brukseli albo Antwerpii poszłabym do Demeester Delikatessen - powiedziała Annick - ale u nas nie mają swojego sklepu.

- Oczywiście można je kupić w dużych marketach - zauważył Christian. - Ale są na obrzeżach miasta, a my tu mamy do czynienia z krótką piłką. Widzi dziewczynę, rozmawia z nią, decyduje się i musi się zaopatrzyć w swój stały zestaw. To przemawia za tym, że musi szukać w centrum.

Annick i Martine pomyślały o tym jednocześnie i wykrzyknęły chórem:

- Hala targowa! - Widział ją - powiedziała podekscytowana Annick. - Na pewno pokazują ją dziennikarzom, bo jest odremontowana i urokliwa. Ale mogą też być inne małe sklepy. Mam się tym zająć? Przejrzałam już większość papierów.

- To dobry pomysł - przyznał Christian i wstał.

On i Annick zniknęli za drzwiami.

- Przepraszam, mademoiselle, czy przypadkiem nie nazywa się pani Poirot?

Tatia podniosła głowę znad szkicownika. Była szczęśliwa. To cudowne uczucie dawać nieskrępowany upust swoim pomysłom i przelewać je na papier, nie wysłuchując pytań, co ona robi i co to ma przedstawiać. Wiedziała, że Martine i Thomas martwili się, że całymi dniami jest sama, i że Bernadette byłaby wściekła, widząc córkę spacerującą samotnie ulicami Villette albo siedzącą przy kawiarnianym stoliku z książką i szkicownikiem. Bernadette uważała, że powinna częściej przebywać w towarzystwie rówieśników, ale Tatia nie cierpiała swoich rówieśników. Większość to byli idioci. W szkole miała dwoje przyjaciół, Jorisa i Chanę, którzy podobnie jak ona uchodzili za dziwaków. Nienawidziła szkoły. Ale wystarczy, że wytrzyma jeszcze tylko dwa lata, a potem będzie mogła podjąć studia na wydziale mody w Królewskiej Akademii Sztuk Pięknych w Antwerpii.

Młody mężczyzna, który się do niej odezwał, stał przy stoliku plecami do słońca. Spojrzała na niego z ciekawością. Wyglądał pięknie i egzotycznie: gęste złotobrzazowe włosy, ładnie wykrojone usta. Brązowa kurtka zapinana wysoko pod szyję miała ten sam kolor co jego oczy. Wydawał się niegroźny, a poza tym wokół nich w kawiarni przy rynku było mnóstwo ludzi.

Uśmiechnęła się do niego.

- Tak, nazywam się Poirot. A z kim mam zaszczyt rozmawiać? Z Sherlockiem Holmesem?

Odwzajemnił uśmiech i przysiadł się do niej.

- Niezupełnie, mam na imię Giovanni, mademoi...

- A ja Tatia, nie żadna mademoiselle. Skąd znasz moje nazwisko?

- Jesteś córką Philippe'a Poirot, prawda? Od razu zauważyłem podobieństwo. Aż do wczoraj nie wiedziałem, że ma córkę. Zgadnij, czy byłem zaskoczony, jak mi o tym powiedział?!

W gestach i sposobie akcentowania słów przypominał jej Philippe'a, kiedy zdarzało mu się zapomnieć o przybraniu ojcowskiej miny i stosownej postawy. Postanowiła nie pytać Giovanniego, jak się poznali.

- Bardzo mi się podoba twoja kurtka. Sam ją uszyłeś? - Niestety, nigdy nie nauczyłem się szyc. Obstałowałem ją u znajomego. Jest fantastyczny! Prawdziwy Yves Saint Laurent.

Przyjrzała mu się bliżej. Był uderzająco podobny do młodego mężczyzny z włoskiego renesansowego portretu, który widziała w National Gallery w Londynie, gdzie była z Bertem i Bernadette. Kurtka dodatkowo podkreślała podobieństwo.

- Zapomniałeś o czerwonym kapeluszu.

Uśmiechnął się.

- To już byłaby lekka przesada, nie sądzisz? Muszę przyznać, że wyglądasz rewelacyjnie, tak naprawdę dlatego się zatrzymałem. Jestem szczęśliwy, kiedy widzę kogoś, kto ma przemyślany styl, a poza tym zobaczyłem, że jesteś podobna do Philippe'a.

Tatia miała na sobie białą bluzkę woalową, którą znalazła na bazarze, czarną obcisłą spódnicę midi, którą sama uszyła, odpowiednio dobrany pasek i czarną skórzaną obrożę z nitami. Była bardzo zadowolona ze spódnicy, którą udało jej się tak skroić, że była perfekcyjnie dopasowana i wygodna.

- Zostanę kreatorką mody - powiedziała - ale na razie muszę się, niestety, męczyć w szkole. A ty czym się zajmujesz, Giovanni?

- Jestem fryzjerem, ale chciałbym zostać stylistą i pracować przy pokazach mody i sesjach modowych. Jestem naprawdę świetny, tylko nie miałem zbyt wielu okazji, żeby udowodnić, co potrafię. Aha, znasz Denise van Espen? Właśnie kiedy zacząłem o niej mówić i o jej stylu, Philippe wspomniał o tobie, powiedział, że jakby ciebie słyszał.



Tatia opowiedziała mu z zapałem o pudroworóżowej wieczorowej sukni i o tym, jak by ją przerobiła dla Denise. Giovanni słuchał z niekłamanym zainteresowaniem i wkrótce siedzieli zatopieni w rozmowie o stylu i formie, pozorach i rzeczywistości. Tatia była wniebowzięta. Bardzo rzadko spotykała kogoś o tych samych zainteresowaniach. Po półgodzinie Giovanni nerwowo spojrział na zegarek.

Cartier, pomyślała Tatia. Lubi wszystko, co drogie i ekskluzywne, od butów po ciemne okulary, które włożył, kiedy zaczęło go razić słońce.

- Muszę lecieć - powiedział. - Umówiłem się z pewnym gościem, który może mi pomóc w dostaniu pracy stylisty. Ale musimy się koniecznie znowu zobaczyć. Mamy kontakt przez twojego tatę.

Pocałował ją w policzek i odszedł. W botticellowskiej kurtce wyglądał jak u siebie, renesansowy młodzieniec na zalanym słońcem renesansowym rynku. Odwrócił się, z uśmiechem pomachał do niej, po czym zniknął na jednej z uliczek prowadzących do nabrzeża.

Martine bez pukania wtargnęła do gabinetu Jeana-Pierre'a Santiniego. Miała ochotę urządzić mu scenę, chociaż wiedziała, że nie byłoby to najrozsądniejsze. Agnes ostrożnie zamknęła drzwi, ku rozczarowaniu wszystkich, którzy z ciekawością obserwowali ich marsz korytarzem.

Santini podniósł się zza biurka. Wyglądał na wyczerpanego. Był niechlujnie ogolony, miał ciemne kręgi pod oczami, nie zaciągnął krawata.

- Nie powiem, że jest pani mile widziana, ale proszę usiąść - zaczął. - Może chciałyby się panie zapoznać z najnowszymi wspaniałymi publikacjami o naszym mieście?

Martine usiadła na kościanobiałej skórzanej kanapie. Agnes ostrożnie wygładziła spódnice, zanim usiadła obok. Znalazły się tutaj po licznych i coraz bardziej irytujących rozmowach telefonicznych między Pałacem Sprawiedliwości i ratuszem. Najpierw Agnes zadzwoniła do kancelarii burmistrza z uprzejmą prośbą o przekazanie listy uczestników wycieczki prasowej i gości obecnych na przyjęciu w roku 1982. Osoba, z którą rozmawiała, nie miała odwagi niczego udostępniać bez zgody przełożonych. W końcu połączyła się z Santinim, który nie okazał najmniejszej woli współpracy. Martine zamierzała wystosować wniosek formalny, żeby zmusić ich do wydania list, ale Agnes przekonała ją, że będzie lepiej, jeśli przedtem spróbują porozmawiać osobiście.

Demonstracja przed Pałacem Sprawiedliwości nie wpłynęła na poprawę humoru Martine. Setka ludzi wyglądających tak, jakby przed chwilą opuścili swoje klimatyzowane biura, domagała się „sprawiedliwości dla Sabriny, Peggy i Nadii”. Od czasu do czasu ktoś coś skandował, ale ospale i niemrawo.

Demonstrantom towarzyszyła para dziennikarzy, którzy natychmiast ich zostawili i pobiegli za Martine i Agnes. Kobieta z megafonem też je zauważyła i z wigorem podjęła skandowanie.

- Madame Poirot, jak skomentuje pani demonstrację? - spytał reporter „Gazette de Villette”.

- Wszyscy chcemy sprawiedliwości dla Sabriny, Peggy i Nadii. - Martine podniosła głos, żeby usłyszeli ją demonstranci. - Dlatego pracujemy dzień i noc, żeby znaleźć ich mordercę. Badamy kilka nowych tropów.

- Mielicie podejrzanego i wypuściliście go. Dlaczego?

- Dlatego, że podejrzenia się nie potwierdziły. Jak wspomniałam, mamy nowe tropy - powiedziała Martine i odeszła z Agnes u boku.

Jean-Pierre Santini usiadł na kanapie naprzeciwko nich i rozłożył na szklanym blacie plik zagranicznych gazet. Na wierzchu leżał angielski dziennik, który na stronie trzeciej zamieścił tekst Belgia Villette - Murder Capital of Europe? Włoski dziennik dał tytuł na dole pierwszej strony: Serata di festa a Villette: Tre ragazze ammazzate. Podobne tytuły były w prasie francuskiej, niemieckiej, holenderskiej i szwedzkiej, którą Thomas czasami czytał.

Santini przysunął do siebie popielniczkę i zapalił papierosa.

- Czy pani wie, ile milionów wpakowaliśmy w promocję miasta? Czy pani wie, ile nas kosztowali ci dziennikarze? Równie dobrze mogliśmy wyrzucić wszystko w błoto. Mogliśmy upiec na rynku trzy woły i zafundować wszystkim mieszkańcom Villette szampana. Byłby lepszy pożytek z tych pieniędzy.

- To przykre - powiedziała Martine - ale nie rozumiem, co to ma wspólnego ze mną. Na co pan właściwie narzeka? Zupełnie jakby pan uważał, że to ja zamordowałam dziewczęta! Przecież usiłuję znaleźć ich zabójcę.

Odchylił się, wydmuchał serię idealnych kółek i śledził je spojrzeniem, kiedy unosiły się pod sufit. Chyba się trochę wyciszył.

- Ale to nie pani musi odpowiadać na pytania mediów, może się pani schować za tajemnicą śledztwa. My od dnia morderstwa nie mieliśmy chwili spokoju. Annalisa Paolini udziela wywiadu za wywiadem i wszystkie są tylko o problemach w Villette. Gdyby wierzyć temu, co się pisze, prawie nikt nie ma tutaj pracy, w mieście grasują bandy młodych bezrobotnych mężczyzn i dopuszczają się rozmaitych przestępstw, a skorumpowani politycy zgarniają dla siebie marne grosze podatników, kiedy nie są zajęci spiskowaniem przeciwko sobie i przekupywaniem wielkich przedsiębiorstw.

- I? - spytała Martine.

Santini westchnął.

- Im szybciej wyjaśni się sprawę potrójnego morderstwa, tym szybciej skończy się ta pisanina. Wczoraj dobrze to wyglądało. Sprawca, młody mężczyzna dotknięty traumatycznymi przeżyciami wojennymi, to można zrozumieć. Ale nie, musiała pani namieszać. I o co pani teraz chodzi? O listy dziennikarzy? Jaki to, pani zdaniem, przyniesie nam rozgłos?

Wściekle zgasił papierosa i przeszył Martine zaczerwienionymi oczami. Thomas mawiał, że wady Santiniego rekompensowało jego autentyczne zaangażowanie w sprawy Villette, że naprawdę zależało mu na rozwoju miasta i zapewnieniu mu lepszej przyszłości. Teraz siedział tu z gazetami, których nagłówki krzyczały o morderstwach i kryzysie, widział, jak jego wielki projekt obraca się wniwecz, i nic nie mógł zrobić.

Martine byłaby gotowa mu współczuć, gdyby nie to, że to prawdopodobnie on stał za próbą odsunięcia jej od śledztwa.

- Zakładam, że nie chodzi panu o to, żebyśmy pominęła ważne dowody, żebyście mogli organizować w ratuszu uspokajające konferencje prasowe. Uważam, że bardziej powinno pana niepokoić, że w mieście są ludzie podburzający do linczu, którzy chcą wziąć sprawiedliwość w swoje ręce. Jak pan może słyszał, dokonano napadu na firmę samochodową Bruna Wastii.

- Sądziłem, że dowody przeciwko młodemu Wastii są solidne. Flirtował z Sabriną Deleuze, na jego kurtce było pełno jej włosów i wszystkie trzy dziewczęta zostawiły ślady w ciężarówce.

Yves Deshayes nie skąpił informacji swojemu przyjacielowi burmistrzowi, pomyślała cierpko Martine. Już miała zaserwować kąśliwy komentarz, kiedy Agnes łagodnie, acz stanowczo włączyła się do rozmowy.

- No, już dobrze, Jean-Pierre - powiedziała takim tonem, jakby знаła go od dziecka. - Przecież wiecie, że prędzej czy później musicie nam udostępnić te listy. Niczego nie wygracie, przeszkadzając madame Poirot w prowadzeniu śledztwa, wszystko się tylko przeciągnie. Na podstawie materiału dowodowego, którym dysponujemy, każdy sędzia śledczy dojdzie do tych samych wniosków co madame Poirot.

Pochyliła się i niemal po matczynemu poklepała go po kolanie.

Z Santiniego zaczęło uchodzić powietrze i zrezygnowany rozłożył dłonie.

- Tak, tak, listę uczestników ostatniej wycieczki prasowej możecie dostać od razu, mam ją na biurku. Ale trudniej będzie o informacje ze spotkania z osiemdziesiątego drugiego. Dwanaście lat to szmat czasu, a nasze archiwum nie jest w idealnym porządku. Poślemy kogoś do piwnicy, żeby poszukał.

Martine spojrzała na zegarek. Jeśli na obydwu listach byli ci sami dziennikarze, chciałaby, żeby już następnego dnia ktoś z nimi porozmawiał.

- Jak długo to może potrwać? - spytała. - Godziny, dni, tygodnie?

- Parę godzin, może trochę więcej.

- Jak tylko znajdziecie te materiały, proszę je natychmiast przekazać do Pałacu Sprawiedliwości.

Santini niechętnie pokiwał głową.

- Pozdrowienia dla męża - rzucił, kiedy już były w drzwiach.

Odebrała to jako rodzaj pokojowego gestu.

- Uważam, że powinnaś teraz pojechać do domu, zjeść kolację i oddać się pod czułą opiekę męża - powiedziała Agnes, kiedy wróciły do Pałacu Sprawiedliwości i skopiowały listę od Santiniego. - Ja jeszcze chwilę zostanę, żeby dokończyć papierkową robotę, ale ty na razie nie masz żadnych zajęć.

Martine zaprotestowała jedynie pro forma. Myśl o kieliszku wina i jakimś posiłku w towarzystwie Tatii i Thomasa była nieodparcie kusząca. Kiedy Agnes obiecała dopilnować, żeby ktoś dostarczył jej do domu, do AbbayeVillage, wszystko, co znajdą w ratuszu, zadzwoniła do Thomasa i uprzedziła, że jest w drodze.

W ciepły letni wieczór Thomas i Tatia nakryli do stołu na świeżym powietrzu. Cieniutkie plasterki włoskiej szynki, miska szparagów i sos holenderski. Sezon na szparagi wprowadzie się kończył, ale grube białe łydgi wciąż były kruche i delikatne. Martine usiadła w fotelu

ogrodowym, oparła się o pękate poduszki, sączyła chłodne białe alzackie wino i patrzyła na ogród. O zmierzchu intensywnie i słodko pachniały róże, a wokół świec, które zapaliła Tatia, krążyły ćmy. Thomas uśmiechał się do niej, opalony, gibki i sprężysty, w rozpiętej niebieskiej koszuli i jasnych spodniach... Nagle, jak narastająca fala tęsknoty, zalało ją pożądanie. Chciała usiąść mu na kolanach, zdjąć koszulę, poczuć na wargach słony smak jego skóry. Ale była z nimi Tatia. Co z tego, że chwilowo w kuchni. Poza tym miała okres.

- Dlaczego nie zaprosiłeś Sophie? - spytała.

- Zaprosiłem, ale na dzisiejszy wieczór miała chyba przyjemniejsze towarzystwo.

Martine popatrzyła na niego pytająco.

- Twojego przyjaciela Tony'ego. Coś się tam między nimi kroi.

Nie wiedzieć czemu, Martine bardzo się zdumiała. Może dlatego, że podejrzewała Sophie o romans z tym fotografem, który przyniósł im zdjęcia. A może dlatego, że Tony był częścią jej życia związanego z rodzicami, Uccle i dzieciństwem, które dzieliła z Philippe'em. Thomas i jego rodzina byli z innej bajki i chyba nie chciałyby takiego połączenia.

- Niepokoi mnie, że Sophie ma tak mało czasu dla Tatii - powiedziała. - Tatia zacznie pracować dopiero za tydzień i wolałabym, żeby się nie nudziła.

- Przestań się martwić, Martine - odparła Tatia, wchodząc z koszykiem pieczywa. - Nie jestem dzieckiem, które wymaga opieki. A poza tym jutro wybieram się z Sophie na poszukiwanie planu zdjęciowego na Île Saint Jean. Zdecydowałyśmy o tym po południu, kiedy wpadłam do jej wynajętego mieszkania, żeby przejrzeć zawartość kufra. A pojutrze mam ją przygotować do sesji dla „Elle” z tym jej znajomym fotografem. Moja pierwsza praca stylistki! Rozumiecie?! Może wydrukują moje nazwisko!

Jej oczy promieniały, twarz lśniła jak kwiat białej magnolii, ciemnorude włosy przybrały czarną barwę. Była tak dojmująco podobna do młodej Renée z małej fotki znalezionej w kufrze, że Martine poczuła ukłucie w sercu.

Tatia beztrąsko zalała szparagi gigantyczną ilością sosu. - Nie będę jadła szynki, zastanawiam się, czy nie zostać wegetarianką. Co wy na to? Bert oczywiście się wścieknie, to aktualnie król gęsich wątróbek. Ale jak się czyta o tuczu gęsi, strasznie mi ich żal.

Że też Tatia musiała wspomnieć o gęsich wątróbkach! Martine pomyślała o śledztwie i od razu poczuła ból napinających się mięśni. Położyła łokcie na stole i palcami dotknęła karku.

Thomas spojrział na nią badawczo.

- Jak ci minął dzień? - spytał. - Niebo jeszcze nie runęło, prawda?

Bardzo chciała mu o wszystkim powiedzieć, ale nie w obecności Tatii. Thomasowi też nie powinna zdradzać tajemnic śledztwa, ale to robiła. Jego naukowy osąd pozwalał jej dostrzec nowe możliwości rozwiązywania problemów, z którymi nie była w stanie się uporać, a poza tym wiedziała, że może mu bezgranicznie ufać.

Nic jednak nie stało na przeszkodzie, żeby poinformować towarzystwo o manipulacjach Jeana-Pierre'a Santiniego. I nie żałowała sobie. Opowiedziała o jego zabiegach, które miały ją odsunąć od prowadzenia sprawy, i nieskrywanej irytacji, że wypuściła z aresztu Jeana-Pierre'a Wastię.

Thomas był wściekły. Choć się tego spodziewała, odczuła wielką przyjemność. Rzadko wpadał w gniew. W porównaniu z czarującym i żądnym władzy szaląputem, który stanowczo za długo był jej kochankiem, wydawał się chłodny, ironiczny i zdystansowany. Zakochała się w nim na dobre, dopiero kiedy się naprawdę wkurzył na jakąś niesprawiedliwość. Wyprowadzały go z równowagi wszelkie formy zakłamania, despotyzm i sprzeniewieranie się wartościom, które były dla niego ważne.

- Pryncypialny pajacyk politruk! - wykrzyknął i wbił widelec w szparaga, jakby chciał go uśmiercić, co nie uszło uwagi zafascynowanej Tatii. - Gotowy przysiąc, że czarne jest białe, byle tylko zyskać pieprzone wsparcie Brukseli dla swojego regionu. Dla większych szans Villette w zdobyciu tytułu Europejskiej Stolicy Kultury bez mrugnięcia okiem wpakowałby zamordowane dziewczęta do zamrażarki i wszystko wyciszył!

- Sam mówiłeś, że Santini chce jak najlepiej dla Villette - powiedziała Martine. - Trochę mu współczuję. Jasne, że morderstwa szkodzą miastu.

- Szkodzą, i co z tego? - Thomas odezwał się profesorskim tonem. - Jaki z tego wniosek? Jeśli przez wzgląd na korzyści państwa naginamy wymiar sprawiedliwości, to jest to pierwszy krok po równi pochyłej, która zaskakująco szybko prowadzi do bydlęcych wagonów i obozów koncentracyjnych. Wiecie, kto i jak rządził tym krajem podczas niemieckiej okupacji? Rządzili podsekretarze stanu, urzędnicy państwowi, którzy zgodnie z rozkazem musieli zadbać o to, żeby w miarę możliwości jak najwięcej organów władzy pozostało w belgijskich rękach. Wszyscy urzędnicy państwowi otrzymali instrukcje współpracy z okupantami dla dobra ludności. Zdecydowanie za często prowadziło to do deptania praw obywateli i konstytucji, byle uniknąć konfrontacji z rozporządzeniami niemieckiej administracji wojskowej. Rejestracja i segregacja

obywateli belgijskich pochodzenia żydowskiego była niezgodna z konstytucją. Przez chwilę się wahali, ale w końcu na to poszli. Niby chcieli dobrze, bo myśleli o dobru ogółu, ale dzisiaj wiemy, czym to się skończyło. W porównaniu z tamtą podłością to oczywiście drobiazg, że komunalna szycha z troski o dobro miasta chce, żeby sędzia zatrzymał młodego człowieka w areszcie, mimo że ten jest niewinny. Ale zasada, moje drogie, zasada jest ta sama!

Taka puenta aż się prosiła o aplauz i Tatia zaczęła bić brawo.

- Wow, jaki wykład! A ja myślałam, że zajmujesz się historią średniowiecza.

Thomas uśmiechnął się do niej.

- Czasami, Catherine, nawet my, mediewiści, wychodzimy z naszej wieży z kości słoniowej, żeby zapoznać się ze spostrzeżeniami kolegów zorientowanych na czasy bardziej nam współczesne. Mój znajomy z Brukseli, Tim Debaere, napisał bardzo ciekawe rzeczy o wojennych latach. Zresztą posłałem do niego twojego ojca, bo chciał się skontaktować z kimś, kto bada tamten okres.

Martine była zdziwiona. Zanim zdążyła spytać Thomasa, co takiego wymyślili z Philippe'em, rozległ się dzwonek do drzwi. Poszła otworzyć. Za progiem stał młody mundurowy policjant z brązową kopertą w dłoni.

- Madame Poirot? Mam to pani przekazać z Pałacu Sprawiedliwości.

Palcami sztywnymi z emocji Martine rozerwała kopertę i wyjęła trzy zszyte kartki. Na pierwszej u góry przeczytała: „Przedstawiciele mass mediów na nieformalnym spotkaniu ministrów spraw zagranicznych w Villette nad Mozą 1617 kwietnia 1982 r.”. Nieźle, około stu nazwisk, nieuszeregowanych alfabetycznie, tylko według jakiegoś dziwaczego systemu, opartego na kraju pochodzenia i rodzaju mediów. Porównanie z listą, którą dostała od Jeana-Pierre'a Santiniego, okazało się trudniejsze, niż myślała.

W końcu zaznaczyła sześć nazwisk. Z dreszczykiem emocji stwierdziła, że dwa są jej znane: Nigel Richards i Francesco Marinelli. Dwaj mężczyźni, którzy byli na zdjęciach przekazanych policji przez znajomego Sophie. Dwaj zagraniczni dziennikarze, którzy rozmawiali z Sabriną Deleuze na kilka godzin przed jej śmiercią.

# ROZDZIAŁ 9

Wtorek, 28 czerwca 1994, Villette & Bruksela

Rano Philippe pojechał tramwajem do Uccle. Pokonując z turkotem dobrze znaną drogę, miał wrażenie, że podróżuje do przeszłości. Chaussée de Charleroi, Avenue Brugmann, Wolvendaelpark... Mimo że nie był w Uccle od sześciu lat, jego ciało pamiętało każdy zakręt i każdą nierówność szyn na trasie, którą przemierzał mnóstwo razy przez pierwsze dziewiętnaście lat swojego życia.

Sam się zdziwił, uświadomiwszy sobie, że od śmierci rodziców i rozvodu z Bernadette ani razu nie odwiedził miejsc swojego dzieciństwa. Pozamykał wszystkie drzwi do przeszłości z obawy przed pogardą i dezaprobatą tych, którzy znali go, kiedy był zdolnym uczniem, młodym obiecującym prawnikiem, wspaniałym ojcem rodziny, mającym ładną żonę i uroczą córeczkę. W głębi serca czuł, że nikt by go nie zaakceptował, gdyby wiedział, kim był naprawdę. Nie mógł wyrzucić z pamięci słów François Vandermeerscha, młodszego brata Bernadette, który z czerwoną, wykrzywioną nienawiścią twarzą wysyczał: „Tacy jak ty nie powinni chodzić po ziemi”.

Oczywiście odbiło się to na Tatii. Jej odrzucenia bał się najbardziej, dlatego wołał ją zawieść, znikając z jej życia na wiele lat, niż spotkać się z jej strony z taką samą odrazą. Często myślał, że nie zasłużył sobie na tak dobre relacje z córką. Tatia i Martine były jedynymi osobami, które go obchodziły. Za nic nie powiedziałby tego Martine. Na pewno bardzo by się zdziwiła, gdyby to zrobił. Próbując dotrzeć do prawdy o Renée, chciał w pewnym sensie wynagrodzić Tatii i Martine wszystkie niegodziwości, jakich się wobec nich dopuścił.

Wysiadł z tramwaju przy wiadukcie kolejowym i poszedł na Rue de l'Étoile Polaire, o której istnieniu nie miał pojęcia, mimo że znajdowała się niedaleko jego starej szkoły. Kiedy ją zobaczył, zrozumiał dlaczego. Była to wąska, krótka uliczka, o popękanej asfaltowej nawierzchni, wychodząca na aleję okalającą obserwatorium na wzgórzu. Nawet w słońcu czerwcowego poranka wydawała się ponura i odludna. Po jednej stronie rosły tylko krzaki, łyzy i szczeciniasta trawa, gdzieniegdzie wydeptana, zaśmiecona tłustymi papierkami, zgniecionymi



puszkami i zużytymi kondomami, po drugiej stronie były trzy duże parcele z zarośniętymi ogrodami i tylko dwa domy.

Pośrodku uliczki czekała na niego starsza pani, dobrze po siedemdziesiątce, w długich czarnych spodniach i szerokiej bluzce z krótkim rękawem. Wyglądała młodzieńczo i witalnie. Miała siwe włosy ostrzyżone na chłopaka i żywe brązowe oczy.

- Madame Morin? - spytał, podchodząc bliżej.

- Tak. - Obrzuciła go badawczym spojrzeniem. - Od razu widać, że jest pan synem Renée. Jest pan do niej bardzo podobny.

Żeby odszukać Huguette Morin, musiał otworzyć jedno ze swoich zamkniętych drzwi. Po poniedziałkowej wizycie u Tima Debaere pomyślał, że może coś wiedzieć jego stryjenka Lucienne, która chodziła do tej samej szkoły co Renée i Simone Janssens. Nie rozmawiał z nią od sześciu lat, ale się przemógł i zadzwonił. Siostra ojca, początkowo bardzo chłodna, ożywiła się i powiedziała, że Simone Janssens udzielała jej korepetycji z matematyki. Wielokrotnie chodziła do niej na Rue de l'Étoile Polaire i zapamiętała, że u Janssensów pracowała młoda pomoc domowa Huguette Morin, która podczas wojennych lat biedy i zamętu była traktowana przez Simone i jej znajomych jak przyjaciółka. Potem Philippe znalazł madame Morin w książce telefonicznej, zadzwonił i umówił się na spotkanie.

- Tak, to tutaj wszystko się wydarzyło - powiedziała Huguette Morin. - Pomyślałam, że może najpierw chciałby się pan rozejrzeć. Rodzina Janssensów mieszkała pod czwartym, a tam, pod szóstym, mieszkał Maurice de Wachter. Jego dom spłonął zaraz po wojnie i nikt nie chciał go odbudować. Nie wiem, kto obecnie jest właścicielem parceli.

- Dziwny jest tutaj nastrój - przyznał Philippe.

- Mówią, że tu straszy - z powagą powiedziała madame Morin. - Oczywiście to tylko przesady, ale przemoc, śmierć i zdrada może zostawiają po sobie ślady pamięci. Kiedyś ktoś chciał otworzyć pod czwartym restaurację, ale szybko się wycofał. Potem przez jakiś czas było tu przedszkole, teraz dom stoi pusty. Pod drugim jest jakiś zakon religijny. Czy teraz możemy usiąść i porozmawiać? W pobliżu jest przyjemna kawiarnia.

Philippe zaoferował jej ramię. Przyjęła je i uśmiechnęła się do niego z błyskiem w oczach. Mimo zmarszczek i innych zniszczeń, jakich dokonał upływ czasu, widział pełną życia, piękną dziewczynę, którą zapamiętała Lucienne.

W kawiarni prawie nikogo nie było. Usiedli przy stoliku w kącie sali.

- No dobrze - odezwała się Huguette Morin - co chciałby pan usłyszeć? Wróciło do mnie tyle wspomnień, nie wiem, od czego zacząć. Przykro teraz myśleć o tamtych czasach, kiedy wszyscy odeszli. Kilka lat temu widziałam nekrolog Renée, a parę dni temu dowiedziałam się o śmierci małego Erica. W dodatku został zamordowany. To straszne. Jakby nad rodziną Janssensów wisiało fatum.

Podniosła serwetkę i wytarła kąciki oczu.

- Proszę zacząć od początku - powiedział Philippe. - Od dnia, w którym się pani pojawiła na Rue de l'Étoile Polaire. Była pani bardzo młoda, prawda?

- Miałam szesnaście lat. Wiejskie dziewczę z warkoczami i w drewniakach. Chciałam przyjechać do Brukseli i zobaczyć świat. Rodzice mieli gospodarstwo pod Bouillon, jeden z braci pracował w tamtejszym browarze, a właściciel browaru znał kogoś w Brukseli, kto chciał za niewielkim wynagrodzeniem zatrudnić godną zaufania dziewczynę ze wsi do pomocy przy dziecku i do różnych prac domowych. I tak w roku trzydziestym ósmym trafiłam na służbę do Maurice'a de Wachtera.

- Maurice'a de Wachtera? Sądziłem, że pracowała pani u Janssensów?

- To było później. Najpierw byłam u de Wachtera. Od dawna był wdowcem, a jego syn Roger miał dziewięć lat.

Philippe już wiedział, że de Wachter był wdowcem. Tim Debaere dotrzymał obietnicy, zebrał więcej wiadomości o rodzinie, zadzwonił do Philippe'a wieczorem i powiedział, że w roku 1928 Maurice de Wachter ożenił się z Francuzką, Suzanne Front z Lille, która zmarła rok później, przypuszczalnie w połogu, ponieważ ich syn urodził się w styczniu 1929 roku.

- Niedawno się tam wprowadzili - kontynuowała Huguette Morin. - Przedtem mieszkali w dużym mieszkaniu w centrum Brukseli, ale Maurice dokonał jakiejś udanej transakcji spekulacyjnej i zlecił wybudowanie tej willi. Nigdy się nie dowiedziałam, co właściwie robił. Pisał do gazet, prowadził rozmaite interesy. W każdym razie zawsze miał dużo pieniędzy i oprócz mnie zatrudniał gosposię, kucharkę i ogrodnika.

- Jaki był Maurice de Wachter?

Huguette Morin zastanawiała się.

- Potrafił być czarujący, ale ja nigdy go nie lubiłam. Dobrze wyglądał, był wysoki i ciemnowłosy, elegancko się ubierał, miał gest i dużo znajomych. Parał się polityką, trzymał ze skrajną prawicą, ale wtedy tego nie wiedziałam. Nie lubiłam Maurice'a dlatego, że bardzo dużo

czasu musiałam poświęcać jego synowi i że był okropnym ojcem. Przeważnie tak się zachowywał, jakby nie miał pojęcia o jego istnieniu, a kiedy go zauważał, najczęściej był na niego zły. Roger bał się ojca, co dla mnie było straszne, bo miałam dobrych rodziców. Maurice czasami go bił albo na długie godziny zamykał w piwnicy za jakąś niewinną psotę. Pamiętam, jak kiedyś w domowej bibliotece nakrył Rogera na oglądaniu ilustracji w Dekameronie Boccaccia i Roger przesiedział w piwnicy całą noc. Madame de Wachter miała zdolności artystyczne i Roger wrodził się w nią. Lubił rysować, malować, patrzeć na obrazy i ilustracje, ale Maurice'owi się to nie podobało. Uważał, że to niemęskie, że to nie jest zajęcie dla mężczyzny ani nawet dla chłopca.

Philippe przez chwilę poczuł sympatię do nieznanego Rogera de Wachtera. Ciekawe, czy żyje? Ile miałby dzisiaj lat?

- No i byli sąsiedzi - mówiła Huguette Morin - których polubiłam od pierwszego spotkania. Janssensowie. Raymond i Hélène, i ich dzieci: Simone i Eric. W tej rodzinie to Hélène miała pieniądze, była jedynym dzieckiem zamożnego przedsiębiorcy budowlanego. Raymond pochodził z biednego domu, ale był tak utalentowany, że dostał pomoc finansową, żeby mógł studiować na uniwersytecie. Był prawnikiem i pracował jako notariusz, no wie pan, ktoś taki, kto pilnuje, żeby kupno i sprzedaż nieruchomości, transakcje handlowe i tak dalej były legalne...

Popatrzyła na niego pytająco. Philippe pokiwał głową. Tak, zrozumiał.

- Simone miała wtedy dwanaście lat - podjęła Huguette Morin - Eric tylko pięć, Roger był pośrodku. Hélène często go zapraszała, żeby się pobawił z jej dziećmi, i ja też przychodziłam. Czasami siedziałam w kuchni i czekałam, czasami Raymond i Hélène rozmawiali ze mną. Zwłaszcza Raymond. Był ciekawy, skąd pochodzę, jakie mam plany na przyszłość, co ludzie z moich stron mówią i myślą o sytuacji w kraju. No tak. Roger de Wachter przepadał za Simone. Była urocza i bardzo dla niego miła, chyba najmiłsza ze wszystkich w całym jego życiu. Śmiała się, żartowała, grała z nim w różne gry, chwaliła jego rysunki, a czasami szalała z Rogerem i Erikiem w ogrodzie jak prawdziwy łobuziak.

Huguette Morin przerwała i popatrzyła na filiżankę, jakby się nad czymś zastanawiała. Kiedy podniosła głowę, jej oczy pociemniały.

- Minął rok - powiedziała - i mimo mojej naiwności i łatwowierności powoli zaczęło do mnie docierać, w jakie trafiłam towarzystwo. Czasami, kiedy Maurice miał gości, podawałam do stołu i chcąc nie chcąc, słyszałam, o czym rozmawiają. Mówili, że powszechne prawo wyborcze

zniszczyło kraj, że potrzebne jest silne państwo jak Włochy i Niemcy, więcej władzy dla króla, żeby się uporać z socjalistami i komunistami i zaprowadzić w kraju porządek. Czasami przychodził Degrelle, Léon Degrelle, i jak on mówił, to nawet ja myślałam, że to mądre. Taki był elokwentny. Ale mi przeszło. Szczególnie utkwił mi w pamięci jeden dzień, kiedy uważałam, że są okropni. Wspomniałam chyba, że de Wachter zatrudniał ogrodnika. Nazywał się Jaan, miał rękę do kwiatów i roślin, ale poza tym nie był najbystrzejszy. Tamtego dnia Maurice powtórzył coś głupiego, co usłyszał od Jaana, towarzystwo się roześmiało, a jeden z gości pokazał na swoje psy i powiedział, że prędzej pozwoliliby im głosować niż takiemu ogrodnikowi. Nie pamiętam, jak się nazywał, ale wszystko inne świetnie pamiętam. Siedział w fotelu, palił papierosa w cygarnicze, a obok, po obu stronach, leżały dwa paskudne doberman. Rozciągnięte, z pyskami na łapach, jakby spały, ale za każdym razem, kiedy wchodziłam do pokoju, podnosiły łby i patrzyły prosto na mnie swoimi żółtymi ślepiami. Pamiętam, że mężczyźni byli we frakach, a kobiety w długich sukniach, pili koktajle, śmiali się, ktoś grał na pianinie. Tak, dokładnie pamiętam. Muzyka, brzęk kieliszków, elegancyjny ludzie, dym papierosowy i zapach perfum, i ten człowiek, który mówi ze śmiechem: „Zamiast takim idiotom równie dobrze można było przyznać prawa wyborcze psom. Tak, prawo głosu dla Wolfiego i Lupo! One przynajmniej wiedzą, kogo mają słuchać”. Potem przyszła jego żona, stanęła za nim i objęła go ramionami za szyję. Miał młodą żonę, niewiele starszą ode mnie i dość dziecinną, fantastycznie piękną w długiej zielonej sukni wyszywanej koralikami. I ona spytała: „A ja, kochanie? Nie uważasz, że powinnam mieć prawo wyborcze?”. Tak, kobiety go wtedy nie miały. On się roześmiał złośliwie, chwycił ją za ramiona tak mocno, że na pewno zrobił jej siniaki, i powiedział: „Nie wydaje mi się. Może kiedy nauczysz się posłuszeństwa. Trochę ci jeszcze brakuje, prawda, kochanie?”.

Huguette Morin umilkła i wypła łyk wody. Lekko drżała jej dłoń.

- Że też ja wciąż to tak dobrze pamiętam - powiedziała ze zdumieniem. - I, co dziwne, kiedy o tym mówię, wciąż ponoszą mnie nerwy.

- To musiał być ważny moment w pani życiu.

- Tak, pewnie tak. Łuski opadły mi z oczu, wydorostałam i zrozumiałam, że nie chcę być w takim świecie, o którym decydują tacy ludzie.

- Kiedy to było?

- W trzydziestym dziewiątym, chyba pod koniec, bo już po wybuchu wojny. - Spojrzała na niego z błyskiem w oku. - Zastanawia się pan, dlaczego tam zostałam? Przyznam, że nawet

przez myśl mi nie przeszło, żeby odejść. Świetnie się bawiłam! Warkocze i drewniaki to już była przeszłość, obciąłam włosy, kupiłam sobie nowe ubrania i miałam wielu przyjaciół. Wieczorami chodziliśmy na tańce albo do klubów jazzowych. Rzadko miałam styczność z Maurice'em de Wachterem, jeszcze rzadziej z jego znajomymi. Nie byłam zbyt obciążona pracą. Gosposia, która prowadziła dom, głównie piła i dopóki robiłam, co do mnie należało, i nie rozpowiadałam na lewo i prawo, ile butelek podwędziła z piwniczki, miałam sporo swobody.

- Czy zapamiętała pani z tamtych czasów cokolwiek, co ma związek z moją mamą?

- Renée. Tak, wydaje mi się, że jesienią trzydziestego dziewiątego roku Renée i Simone zostały serdecznymi przyjaciółkami i Renée zaczęła odwiedzać Janssensów. Prawie codziennie przyjeżdżała na rowerze, w niebieskim berecie, z podręcznikami na bagażniku. Ona i Simone uczyły się w tej samej klasie, chodziły do katolickiej szkoły dla dziewcząt, były romantyczne, patriotyczne i pełne ideałów, a jednocześnie nadal lubiły biegać po ogrodzie i łapać Erica. Dało się jednak zauważyć, że zaczynają z tego wyrastać. Roger był trochę zazdrosny o Renée, o to, że ona i Simone stały się nierozłączne. A potem przyszedł dziesiąty maja czterdziestego roku, kiedy Niemcy napadły na nas i Holandię. Tego dnia o świcie obudziło nas wszystkich na Rue de l'Étoile sześć walenie do drzwi. Pierwsza zerwałam się z łóżka i pobiegłam otworzyć. Za progiem stała policja, belgijscy policjanci. Przyszli aresztować Maurice'a de Wachtera. Może pan wie, że zrobiono dużą obławę na podejrzanych członków piątej kolumny wszelkiej maści, cudzoziemców, wszystkich. Ale Maurice'a nie było w domu. Ktoś musiał go ostrzec, bo w nocy niepostrzeżenie się ulotnił. Bóg jeden wie, gdzie się podział, nigdy się nie dowiedzieliśmy, wrócił dopiero w lipcu. Belgia już skapitulowała, rząd uciekł i Niemcy ustanowili swój zarząd wojskowy. Na te tygodnie, kiedy Maurice'a nie było, Roger praktycznie przeniósł się do sąsiadów. Hélène współczuła mu i zapraszała na wspólne posiłki, spędzał tam całe dni i łąsił się do Simone jak szczenię. No i mieszkaliśmy w okupowanym kraju. W pierwszych miesiącach dużo ludzi, złych na rząd i belgijskich polityków, którzy zawiedli, uważało, że trzeba się cieszyć z tego, co się ma. Niemcy wydawali się niepokonani. Coraz trudniej się żyło, zima była wyjątkowo mroźna, zaczęło brakować żywności, wszystkiego. Mnóstwo drobnych rzeczy dawało nam odczuć, że nie żyjemy w wolnym kraju. Czy może pan sobie wyobrazić, że nie wolno było tańczyć? Tanzverbot. Nie podobało mi się to. - Umilkła i popatrzyła na Philippe'a. - Ale to nie moje przeżycia z okresu wojny pana interesują. Chodzi o Renée i Simone. Proszę mnie sprowadzać na ziemię, kiedy odbiegam od tematu. Teraz powinnam chyba wspomnieć o

Davidzie. David Mendel...? - Zerknęła na Philippe'a, jakby to nazwisko coś mu mówiło. - Otóż Simone Janssens była geniuszem matematycznym. Zdaniem jej rodziców, nową Zofią Kowalewską, dlatego znaleźli dla niej prywatnego nauczyciela matematyki, żeby mogła rozwijać swój talent. David też był geniuszem matematycznym, miał zaledwie dwadzieścia lat i już robił doktorat na uniwersytecie. Jego ojciec, pośledni handlarz diamentów, właściciel kilku nieruchomości w Brukseli, poznał Raymonda Janssensa przy okazji podpisywania jakiejś notarialnej umowy. Myślę, że wtedy uzgodnili, że David będzie uczył Simone. Mendlowie oczywiście byli Żydami i pod koniec czterdziestego wyszło zarządzenie o obowiązku rejestracji wszystkich Żydów i żydowskich firm. Ale poza tym nic więcej się wtedy nie wydarzyło. Wszystko zaczęło się w czterdziestym drugim. Najpierw zachorował Eric. Zawsze był dość słabowity i na początku czterdziestego drugiego roku nabawił się bardzo poważnego zapalenia płuc. A przecież wszystkiego brakowało, i żywności, i opału. Przed wojną nafaszerowaliby go jajkami i śmietaną, przykryli pierzyną w ciepłym, nagrzanym pokoju, ale nie wtedy. Był coraz bledszy, nił w oczach, kaszel nie ustawał, Raymond i Hélène odchodzili od zmysłów. W końcu postanowili, że trzeba go wysłać do Szwajcarii, gdzie jest świeże górskie powietrze, spokój i dobry wikt. Ponieważ nie mógł tam pojechać sam, Hélène miała mu towarzyszyć. Myśleli również o zabranii Simone, ale odmówiła. Powiedziała, że chce zostać w Uccle z Renée, pobierać lekcje u Davida i opiekować się tatą. To wtedy Hélène spytała mnie, czy nie chciałabym u nich pracować jako ktoś w rodzaju gosposi. Mieli pomoc domową, ale właśnie się zwolniła. Bardzo chętnie się zgodziłam. Praca u Maurice'a de Wachtera była coraz bardziej przykra. Prawie co wieczór odwiedzali go niemieccy dyplomaci, ludzie z gestapo i szuchy z administracji wojskowej. Kiedyś przyszedł nawet generał von Falkenhausen. Przyjaciele zaczęli mi robić docinki i z przyjemnością stamtąd odeszłam. Poza tym Roger był już na tyle duży, że nie potrzebował opiekunki. Hélène i Eric wyjechali na początku lutego, po czym na Rue de l'Étoile Polaire cztery zapanowała mała anarchia. Raymond zajmował się swoimi sprawami i na nic nie narzekał, dopóki na stole było coś do jedzenia, kiedy wracał do domu, i Simone dotrzymywała mu towarzystwa przy kolacji. Coś do jedzenia mogłam zapewnić, nie miałam jednak wpływu na Simone. Między nami były zaledwie cztery lata różnicy i zaprzyjaźniłyśmy się. Znaczyło to tyle, że przeważnie robiła, co chciała. Davidowi było ciężko. Na początku czterdziestego drugiego został wyrzucony z uniwersytetu, zaczynali wtedy odcinać Żydów od nauki, ale ciągle pracował z Simone, potem prawie na pełnym etacie. Kilka razy napadnięto na firmę jego ojca, handlarza

diamentów, w końcu ją zamknął i próbował się przedostać do Anglii przez Francję. Został zatrzymany i trafił do jakiegoś obozu. Czuło się w powietrzu, że tych ludzi nie czeka nic dobrego. W maju wyszło zarządzenie, że belgijscy Żydzi mają być wysłani do Niemiec na przymusowe roboty. Wtedy Simone i Renée postanowiły ukryć Davida. Urządziły mu pokój na strychu i zasłoniły wejście szafą. Raymond nic o tym nie wiedział. Ja początkowo też nie, ale zauważyłam, że Simone nie żałuje sobie jedzenia. Aż któregoś dnia natknęłam się na Davida, kiedy siedział w pokoju Simone i poprawiał jej zadania z matematyki. Oczywiście nic nikomu nie powiedziałam i obiecałam, że słowa nie pisnę Raymondowi. W tym czasie ludzie zaczęli się w końcu przeciwstawiać Niemcom. Pamiętam, jak pewnego wieczoru, to było chyba w lipcu, Raymond wrócił do domu w wyśmienitym humorze. Notariusze w Brukseli zgodnie odmówili pośredniczenia w sprzedaży budynków opuszczonych przez Żydów. Powiedzieli, że to jest sprzeczne z prawem międzynarodowym i konstytucją Belgii. Raymond był taki zadowolony, że po raz pierwszy od dawna przyniósł z piwniczki parę butelek doskonałego wina. Mój brat podrzucił kosz jaj i dwie kury z gospodarstwa i tego wieczoru mieliśmy prawdziwą ucztę. Wtedy zawsze siadałam do stołu z domownikami, więc było nas czworo: Raymond, Simone, Renée i ja. Zajadaliśmy się omletem i gotowaną kurą i piliśmy wino. Nigdy by do tego nie doszło, gdyby była Hélène, ale Raymond nie dzielił ludzi na takich czy innych. Oczywiście nie wszystkich ucieszył sprzeciw notariuszy. Raymond mówił, że pokłócił się o to z Maurice'em de Wachterem na ulicy. De Wachter zamierzał kupić kilka takich posesji, więc był wściekły i odgrażał się, że Raymond mu jeszcze za to zapłaci. A Roger ciągle przesiadywał u Janssensów i nie odstępował Simone na krok, mimo że jego ojcu coraz mniej się to podobało. Roger miał trzynaście lat, wyrósł i przechodził mutację. Renée nie przepadała za nim, ale Simone było go żal, bo nie miał żadnej rodziny prócz okropnego ojca. Wydaje mi się, że właśnie wtedy dziewczęta zaczęły się angażować w ruch oporu. Chyba nawiązały kontakt z jakąś grupą za pośrednictwem kogoś ze szkoły i roznosiły ulotki i podziemne gazetki. Oczywiście o tym nie mówiły. Ja też coś tam robiłam i też się z tego nie zwierzałam. Myślę, że Simone dostała zadanie rozpracowania Maurice'a de Wachtera, miała zapisywać, kto go odwiedza, o jakich porach de Wachter wychodzi z domu i tak dalej.

- Później był na niego zamach - wtrącił Philippe, który dotąd milczał, słuchając jak urzeczony opowieści starszej pani.

- Tak - potwierdziła Huguette Morin - dużo później. Na pewno nie korzystano z informacji Simone i Renée. W kwietniu czterdziestego trzeciego roku nastąpiła katastrofa. Pamiętam, że to był wtorek, o szóstej rano rozległo się walenie do drzwi i za drzwiami stało gestapo. Simone w lot pojęła, o co chodzi, przybiegła do mnie z plikiem papierów, wcisnęła mi je w ręce i powiedziała: „Pamiętaj, Huguette, jesteś prostą dziewczyną ze wsi, nie wiesz, czym my się tu zajmujemy. Musisz zostać, zaopiekować się Davidem i dopilnować, żeby się stąd wydostał”. Od razu zrozumiałam. Schowałam papiery do materaca, pod pokrowiec, włożyłam stare drewniaki, które wciąż stały w szafie, i zeszłam po schodach, przybierając najgłupszy wyraz twarzy, na jaki było mnie stać. Gestapowcy wyprowadzili Simone i Raymonda i zobaczyłam, że Renée już siedziała w ich samochodzie. Czyli najpierw pojechali po nią. Potem próbowali mnie wypytywać. Stałam w nocnej koszuli i drewniakach, wytrzeszczałam oczy i mówiłam dialektem. Udało mi się ich przekonać, że jestem prostą wiejską dziewczuchą, która nie wie, co pan i panienska robią. Przeszukując dom, rzucili okiem na mój pokój, materaca nie ruszyli i się wynieśli. Kiedy się upewniłam, że odjechali, odsunęłam szafę, która zasłaniała klapę na strych. Była ciężka, za ciężka dla jednej osoby, ale w końcu odsunęłam i weszłam na górę. Wzięłam papiery Simone i powiedziałam Davidowi, co się stało. Kompletnie się załamał, myślał, że to przez niego. Ale to nie miało z nim żadnego związku, gestapo go nie szukało, chodziło im o co innego. Tak czy inaczej, nie mógł tam zostać i poprzez moje kontakty w ruchu oporu udało nam się go wywieźć do Anglii. W Anglii włączył się w łamanie niemieckich szyfrów, matematycy byli do tego bardzo przydatni. Znowu zacznę zbaczać z tematu. Nie to chciał pan wiedzieć.

- Ktoś musiał wydać moją mamę i Simone - powiedział Philippe. - Jak pani myśli, kto? Raymond Janssens sądził, że Maurice de Wachter. Tak powiedział przed śmiercią innemu więźniowi w Breendonk.

Huguette Morin milczała. Podczas długiej opowieści na jej wyrazistej twarzy malowały się różne uczucia wywoływane przez wspomnienia. Wypiła łyk kawy i skrzywiła się.

- Jest zimna!

Pochwyciła spojrzenie kelnerki i pokazała na filiżankę.

- Kto wydał dziewczęta... Długo się nad tym zastanawiałam. Chętnie bym się zgodziła, że to Maurice de Wachter, ale raczej trudno mi uwierzyć, żeby to zrobił sam z siebie, bo w jego oczach Simone nie zasługiwała na uwagę. Wiedział, że jest i że lubi ją jego syn, ale nastoletnia dziewczynka w ogóle się nie liczyła, nawet by nie pomyślał, że mogłaby odgrywać jakąś rolę w



ruchu oporu. Raymonda nie znosił, zwłaszcza po tej historii ze sprzedażą nieruchomości, ale Simone? Ona dla niego nie istniała. Natomiast często miałam niejasne podejrzenia, że z akcją gestapo miał coś wspólnego Roger. Wiem, to okropna myśl, przecież byłam za niego odpowiedzialna, kiedy był mały, nigdy jednak nie potrafiłam się jej wyzbyć. Widzi pan, między nim i Simone coś zaszło. W czterdziestym trzecim miał czternaście lat, ubóstwiał Simone już jako dziewięcioletek i to chyba było nieuniknione, że się w niej zakocha. Któregoś dnia wybrali się na wycieczkę, tylko on i Simone, i kiedy wrócili, zobaczyłam, że oczy mu pociemniały. W końcu dobrze go znałam. Zapytałam Simone, czy nic się nie wydarzyło, a ona wzruszyła ramionami, zaśmiała się i powiedziała: „Ech, nic takiego. Mały Roger zaczyna dorastać, ale nie ma się czym przejmować”. Potem nigdy już nie było między nim a Simone tak jak przedtem, a parę miesięcy później przyszło gestapo.

- Myśli pani, że to Roger de Wachter zadenuncjował mamę i Simone?

Huguette Morin miała poważną minę.

- Straszna rzecz tak o kimś powiedzieć, ale, niech Bóg mi wybaczy, zawsze tak myślałam. Nie żeby sam to zrobił, ale że powiedział Maurice'owi, czym się zajmują dziewczęta. Przecież bez przerwy tam był, widział, co robią, i słyszał ich rozmowy.

- Co się potem stało z Maurice'em, Rogerem i panią?

- Niewiele więcej mam do dodania. Nie mogłam zostać w willi Janssensów, udało mi się dostać pracę w pobliskiej pralni i wynajęłam pokój u pewnej wdowy. Ciągle miałam na oku panów de Wachter i dowiedziałam się, że tuż przed wyzwoleniem Brukseli, we wrześniu czterdziestego czwartego, wyruszyli w kierunku Niemiec. Ale Maurice był znany i poszukiwany i zatrzymano go gdzieś pod niemiecką granicą. Potem stanął przed sądem wojskowym za działalność w czasie wojny. Proces zaczął się jesienią czterdziestego piątego i Maurice de Wachter został skazany na karę śmierci. Wyrok wykonano w czterdziestym siódmym.

Żywa twarz Huguette Morin stężała.

- A jego syn...?

Westchnęła.

- Miałam dylemat. Było mi go żal, przecież znałam go od małego, był sam jak palec, nie miał się gdzie podziać. Jednocześnie podejrzewałam go o to, że zdradził Simone, Renée i Raymonda, i czułam do niego odrazę. Kilka razy byłam na procesie, rozmawiałam z Rogerem i spytałam, czy mogę coś dla niego zrobić. Majątek Maurice'a de Wachtera uległ konfiskacie,

Roger mieszkał w tanim hoteliku w Ixelles i kiedy skończyły mu się pieniądze, zaproponowałam, żeby zatrzymał się u mnie, dopóki nie znajdzie pracy. Powiedziałam właścicielce, że to mój kuzyn, i przez kilka tygodni spał na materacu w moim pokoju. To było po wyroku skazującym Maurice'a. Roger odwiedzał go parę razy w tygodniu w więzieniu, w celi śmierci. Tak czy inaczej, załatwiłam mu pracę. Brat właścicielki był fotografem, miał swój zakład i ręce pełne roboty. Dużo ludzi chciało mieć ładne rodzinne zdjęcia, żeby uczcić koniec wojny. Roger był tam kimś w rodzaju chłopca na posyłki i pomocnika. Któregoś dnia, kiedy wróciłam z pracy, pakował swoje rzeczy. Powiedział, że dostał list od ciotki, siostry mamy. Wysłała go za pośrednictwem sądu. Przypomniałam ją sobie. Kiedy pracowałam u Maurice'a de Wachtera, przyjechała z wizytą, ale tylko raz. Ona i Maurice źle się ze sobą dogadywali. A teraz napisała, że Roger może zamieszkać z nią i jej mężem. „Nie mogę zostać w Brukseli i to chyba dla mnie najlepsze wyjście”. Tak powiedział. Następnego dnia pojechał pociągiem do Paryża. Odprowadziłam go na Gare du Midi. Poza tym pożyczyłam mu pieniądze na bilet, których mi nie zwrócił. Ciągle go widzę, jak wsiada do pociągu w kłębach dymu i pary, i słyszę dudnienie lokomotywy. Miał tanią tekturową walizkę, wyświechtaną marynarkę z za krótkimi rękawami i nieostrzyżone włosy, które opadały mu na oczy. Przypomniał mi się Maurice de Wachter, jego bentley, garnitury szyte na miarę i jedwabne koszule, i pomyślałam, że teraz naprawdę żyjemy w nowym świecie, który będzie dużo lepszy od starego.

- Współczuła pani Rogerowi?

- Tak i nie. Żał mi było dziecka, które kiedyś znałam, wiedziałam, jak było mu ciężko.

Ale wielu ludziom było ciężko i koniec końców każdy musi dokonywać własnych wyborów. W tamtych latach wszyscy zostaliśmy postawieni przed wyborem między życiem a śmiercią. Pańska mama dokonała wyboru, Simone dokonała wyboru i Roger chyba też. Kiedy go żegnałam na Gare du Midi, nie był już dzieckiem, miał siedemnaście lat, był prawie mężczyzną.

- Szybko można źle wybrać, a potem trudno to odkręcić.

Huguette Morin przyjrzała mu się badawczo.

- Oczywiście. Mogę sobie wyobrazić, że w chwili wściekłości na Simone Roger poszedł do ojca i opowiedział, co wie, uruchamiając coś, czego nie dało się zatrzymać. Możliwe, że odczuwał skruchę i w ramach pokuty przeżył resztę życia jako dobry człowiek. Ale, jak wspomniałam, nic o tym nie wiem.

- Nic a nic? Na przykład jak się nazywała ta ciotka?

- Wyszła za mąż za francuskiego oficera, Roger mówił, że był wysoko postawiony w Siłach Wolnych Francuzów<sup>8</sup>. Spotkałam ją, kiedy przyjechała z wizytą. Jak się nazywała? Nazwiska nie pamiętam, imię miała dość rzadkie... zaraz... Wiem! Philomene! Wyglądała całkiem zwyczajnie, miała ładne oczy, ale uwagę przykuwało w niej co innego: nie miała najmniejszego palca u lewej dłoni.

- Mieszkali w Paryżu? - spytał Philippe.

Huguette Morin pokręciła głową.

- Tylko chwilowo. Roger powiedział, że wybierają się do kolonii. Bardzo się cieszył na myśl, że zobaczy Afrykę i przeżyje egzotyczne przygody. W dzieciństwie lubił czytać Przygody Tintina, ukazywały się w „Le Soir”, który podczas wojny był proniemiecki.

- Czy wie pani, gdzie konkretnie się wybierali?

- Chyba do Algierii. Ale nie jestem pewna. Francja miała wtedy dużo kolonii w Afryce.

Philippe zastanawiał się. Teoretycznie można było sobie wyobrazić, że Roger de Wachter wrócił i zabił, żeby ukryć przestępstwo, jakiego się dopuścił podczas wojny. Eric Janssens poznał Rogera, kiedy był dzieckiem. Czy mógł go rozpoznać po tylu latach?

- Jak on wyglądał? - spytał. - Mam na myśli Rogera.

- Był podobny do ojca. Wysoki, ciemny, przystojny. Taki był, kiedy widziałam go ostatni raz.

Philippe przypomniał sobie, co usłyszał od Giovanniego Weissa. Eric Janssens doznał olśnienia, czytając Rodzinę Thibault. Czy Huguette Morin mogłaby to jakoś wytłumaczyć?

- Rodzina Thibault... - zaczęła z namysłem, gdy ją spytał - tak, oczywiście pamiętam.

Roger Martin du Gard dostał Nagrodę Nobla tuż przed moim przyjściem do de Wachtera i dużo ludzi go czytało. Roger zaczął czytać Rodzinę Thibault na początku czterdziestego drugiego, kiedy miał trzynaście lat, i nie mógł się od tego oderwać. Kiedy wyjeżdżał, spakował do tej swojej tekturowej walizki wszystkie tomy. To była jedna z niewielu rzeczy, jakie zostały mu z domu. A pan to czytał?

Philippe skinął głową.

- Wydaje mi się, że Roger utożsamiał się z jednym z bohaterów, no wie pan, z tym młodszym bratem w rodzinie Thibault, który buntuje się przeciwko surowemu ojcu. Są tam dwie rodziny, które dzieli religia, i młodszy syn kocha się w córce z tej drugiej rodziny. Myślę, że

---

<sup>8</sup> Forces Françaises Libres, FFL.

Roger odnosił to do siebie i Simone. A propos Nagrody Nobla, czy wie pan, kim jest David? Ten od Simone? Popatrzył pan trochę pytająco, kiedy wymieniłam jego nazwisko, jakby go pan nie znał.

Philippe przyznał, że nigdy nie słyszał o Davidzie Mendlu.

- David Mendel jest laureatem Nagrody Nobla! Kiedy po wojnie wyjechał do USA, przerzucił się na fizykę i w osiemdziesiątym dziewiątym odebrał nagrodę z fizyki<sup>9</sup>. Proszę nie pytać, za co, bo nic z tego nie rozumiałam. Zaprosił mnie do Sztokholmu, powiedział, że beze mnie na pewno by nie przeżył i nie dostałby Nobla. Gdyby żyła Renée, ją też by zaprosił. Dużo o nim wtedy pisano w naszych gazetach. David jest profesorem na Harvardzie.

Philippe pomyślał ponuro, że nie było nic szczególnie dziwnego w tym, że umknęły mu artykuły o osiągnięciach Davida Mendla, bo rok 1989 był najgorszy w jego życiu. Był na takim dniu, że nawet nie miał pojęcia o upadku muru berlińskiego.

- A czy spotkała pani moją matkę po wojnie? - spytał.

Huguette Morin posmutniała.

- Tak, usłyszałam, że wróciła. W lipcu czterdziestego piątego przyjechała do Uccle i poszłam ją odwiedzić. Bardzo się zmieniła. Aż przykro było na nią patrzeć. Rozpłakała się na mój widok i nie mogła powstrzymać łez, bo myślała o Simone. Chyba miała wyrzuty sumienia, że Simone zmarła, a ona przeżyła. Nigdy więcej się nie spotkałyśmy.

Annick Dardenne siedziała w jadalni luksusowego hotelu należącego do dużej francuskiej sieci dwie przecznice od rynku. Rano w domu wypła tylko kawę i tutaj postanowiła zjeść późne śniadanie. Widząc ceny, zbladła i zadowolila się cappuccino i szklanką soku pomarańczowego.

Budynek był świeżo po remoncie, secesyjne sploty na szafliowozielonych ścianach wyglądały jak tamtego dnia, kiedy zostały namalowane. W hotelu w związku z procesją Świętego Jana wszystkie pokoje były zajęte. Ostatni maruderzy, wyglądający na zagranicznych turystów, wertowali „International Herald Tribune” i „Financial Times”.

Annick wybrała „Gazette de Villette”. Potrójne morderstwo nadal zajmowało najczęściej miejsca. Najważniejszą wiadomością było uwolnienie Jeana-Pierre’a Wastii. Na trzeciej stronie przeczytała, że po raz drugi wandalę zdemolowali firmę samochodową Bruna Wastii. Na zdjęciu zobaczyła powybijane szyby i wyzwiska nabazgrane sprejem na samochodach: „morderca”, „cygańska świnia”.

---

<sup>9</sup> Licentia poetica Autorki.

W gazecie był również wywiad z rodzicami Christelle, steranym życiem małżeństwem w zaawansowanym wieku średnim, którzy mieli nadzieję, że nareszcie doczekają się odpowiedzi na pytania dręczące ich od dwunastu lat. O ojcu Christelle, Francku Rollandzie, napisali, że jest „na rencie chorobowej”. Annick przyglądała się jego policzkom poranym zmarszczkami i smutnym oczom. Czy to śmierć córki zniszczyła mu zdrowie? Niewyjaśnione morderstwa są jak niezabliźnione rany, pomyślała. Otwarte, jęczące się, zatruwające życie przez lata i dekady.

Była zadowolona, że powiedziała w pracy o swojej przeszłości. Liczyła się z tym, że to się rozniesie, że spotka się z wymownym pogwizdywaniem i niesmacznymi żartami kolegów. Na szczęście jako policjantka kryminalna czuła się wystarczająco pewnie, żeby się już dłużej nie ukrywać.

Popatrzyła na zegarek. W hotelu zatrzymali się dziennikarze z PRowej wycieczki prasowej w związku z promocją Villette jako potencjalnej Europejskiej Stolicy Kultury i po krótkiej rozmowie z dyrektorem dostała listę z ich nazwiskami i numerem pokoju. Zaznaczyła sześć osób, tych, które były również na spotkaniu w 1982 roku. Kiedy z błogosławieństwem Christiana de Jonge’a wykreśliła jedyną kobietę, sześćdziesięciodwuletnią Holenderkę, wróciła do dyrektora hotelu i poprosiła o kontakt ze sprzątaczkami obsługującymi pokoje pięciu domniemych podejrzanych.

Podeszła do niej wysoka kobieta w schludnym granatowym kostiumie.

- Inspektor Dardenne? - Wyciągnęła rękę na powitanie. - Louise Bouvin, kierowniczka hotelu.

Mocno uściśnęła jej dłoń. Miała około czterdziestki i nosiła okulary w grubych ciemnych oprawkach.

- Jak rozumiem, chce się pani spotkać z dziewczętami, które sprzątają na drugim i trzecim piętrze.

- Chciałabym się spotkać z tymi, które sprzątały tam w piątek i w sobotę - uściśliła Annick.

- Zaraz zobaczymy. Może dopisze pani szczęście.

Annick wyszła z nią z jadalni do lobby, gdzie z wysokiego łukowego sklepienia zwieszały się brązowe żyrandole z wytrawionego szkła. Lada recepcyjna znajdowała się naprzeciwko przeszklonych drzwi wejściowych, dzięki czemu można było obserwować wszystkich wchodzących i wychodzących. Ale pewnie są tu inne wyjścia, pomyślała.

Po obu stronach recepcji były schody z pięknymi żeliwnymi balustradami prowadzące na piętro. Louise Bouvin otworzyła drzwi pod schodami po lewej i weszły na zaplecze, gdzie secesyjne sploty, polerowane drewno i marmur zastąpiło linoleum, niskie korytarze i białe ściany. Hotel jest jak teatr, pomyślała Annick. Pomieszczenia dla gości, z żyrandolami i kwiatami, to scena, a za nią kulisy, cała maszyna. Albo jak dopieszczony choreograficznie pokaz mody, okupiony chaosem, nerwami i płaczem.

W dziupli Louise Bouvin stało zniszczone biurko, przypuszczalnie usunięte z któregoś pokoju dla gości. Nad biurkiem wisiał przypięty pinezkami skomplikowany grafik z nazwiskami i oznaczeniami w trzech kolorach: czerwonym, żółtym i zielonym.

- Popatrzmy - powiedziała Louise Bouvin. - W piątek i w sobotę na drugiej kondygnacji była MarieLou Nawezi. Dzisiaj też pracuje. Marta Furtado, która była na trzeciej, ma wolny dzień. Mogę pani podać jej numer telefonu.

Annick zapisała numer nieobecnej Marty Furtado i weszła za kierowniczką do lśniącej nowej windy, tak małej, że z trudem się w niej mieściły dwie dorosłe osoby.

Wysiadły w korytarzu, ciemnej kiszce na drugim piętrze. Akurat szła w ich stronę młoda kobieta w niebieskobiałym, pasiastym fartuchu, pchając przed sobą wózek z czystą pościelą i workiem na brudną bieliznę. Uśmiechnęła się do nich z pytającym spojrzeniem. Białe zęby kontrastowały z brązowym kolorem skóry.

- MarieLou, to jest pani inspektor Dardenne z policji kryminalnej, która chciałaby ci zadać kilka pytań, i proszę, żebyś jak najsumienniejsz na nie odpowiedziała.

MarieLou popatrzyła wyczekująco na Annick.

- Coś zginęło? - spytała nieufnie. - Tutaj nikt nie kradnie.

- Nie, nie, nikt z obsługi hotelu nie jest o nic podejrzany - zapewniła Annick. - Interesują nas goście. Dziękuję, madame Bouvin, nie będę już pani dłużej zatrzymywać.

Widziała, jak młoda sprzątaczką zerka na kierowniczkę, i pomyślała, że poczuje się swobodniej, jeśli zostaną same.

- Niedługo mam przerwę. - MarieLou Nawezi westchnęła. - I mam ją tracić na gadkę z gliną. No to jazda, żebyśmy miały to z głowy.

- Interesuje mnie piątek i sobota. - Annick wyjęła listę z kieszeni. - Przede wszystkim pokoje dwieście cztery, dwieście sześć i dwieście dwanaście. Na początek chciałabym spytać,

czy nie zauważyła pani czegoś szczególnego, co dotyczy któregoś z tych pokoi. Czegoś, na co pani zwróciła uwagę, to może być cokolwiek.

MarieLou Nawezi spojrzała na nią z namysłem bystrymi czarnymi oczami.

- Chodzi o stryczek, czarne rękawiczki i zakrwawiony nóż, który znalazłam w koszu na śmieci? - powiedziała i parsknęła śmiechem, widząc minę Annick. - Przecież nie jestem głupia, wiem, co się stało w piątek w Vilette i co interesuje policję! Dobra, chodźmy do tych pokoi, stoją puste, tam łatwiej zbiorę myśli.

Ruszyła przodem i skręciła w prawo. Gruby nowy chodnik skutecznie tłumił odgłos kroków.

- Tutaj - powiedziała MarieLou Nawezi i wyjęła z fartucha plastikową kartę. - Oto fascynujący pokój dwieście cztery.

Annick otworzyła i weszła do środka. Żółte ściany, nad łóżkiem reprodukcja obrazu Gustava Klimta, kinkiety w stylu secesyjnym, widok na ładny mały wewnętrzny dziedziniec.

- Pamięta pani, kto tu mieszkał? - spytała Annick.

- Na piętrze były same dziadki, z wyjątkiem jednego. Wie pani, jak to jest, wszyscy biali w tym wieku wyglądają jednakowo. Ale zaraz, w piątek koło pierwszej weszłam tu z czystymi ręcznikami, kiedy się dopiero co zarejestrowali, i ten, co tu mieszkał, zapytał, czy mogę mu uprasować koszule. Był chudy i siwy i mówił z obcym akcentem, może włoskim.

- A czy widziała go pani wieczorem?

Sprzątaczką pokręciła głową.

- Nie, byłam około wpół do dziesiątej, żeby poprawić pościel, nie wiadomo po jaką cholere, przecież sami mogą to zrobić, ale nikogo nie było. Pewnie wybył na kolację. Idziemy do następnego pokoju?

Pokój 206 miał zielone ściany, nad łóżkiem wisiała reprodukcja Alfonsa Muchy. Poza tym był identyczny jak poprzedni, tyle że odwrócony jak w lustrze.

- I co myśmy tutaj mieli... - powiedziała MarieLou Nawezi. - Na pewno drugi siwy dziadek, ale nic mi się nie kojarzy. A tak, coś pamiętam. Kiedy weszłam, żeby odpicować pościel, plus minus około wpół do dziesiątej, wyglądało na to, że siedzi i pracuje, ale go nie było. Zapukałam, nikt nie otwierał, w środku paliły się wszystkie lampy, na biurku stał włączony komputer, no wie pani, taki mały, przenośny, obok leżało mnóstwo gazet i notatek.

- Może był w toalecie.

MarieLou popatrzyła na nią pobłaźliwie.

- Nie, bo od razu powiedziałam: „Monsieur Richards, przyszedłam poprawić pościel”. Nikt się nie odezwał. Wtedy zajrzałam do łazienki, żeby sprawdzić, czy są czyste ręczniki, i nikogo tam nie było.

- Richards - powtórzyła Annick. - Tak. Jak się wczułam, to od razu mi się przypomniało. Zabawne! - Długo była pani w tym pokoju? - Trzy cztery minuty. - MarieLou Nawezi wyszła na korytarz. - A teraz chciałaby pani zobaczyć dwieście dwanaście? - Zatrzymała się troje drzwi dalej i zaczęła się śmiać sama do siebie. - Jasne, pamiętam ten pokój. Zapukałam mniej więcej za kwadrans dziesiąta, nikt się nie odezwał, weszłam, a oni leżeli na łóżku golusieńcy jak ich Pan Bóg stworzył!

Annick uśmiechnęła się.

- Damskie odwiedziny? A może męskie?

- Damskie! Miała cycki jak melony. Speszylałam się, wydukałam, że przyszedłam poprawić pościel, a on na to najspokojniej w świecie: „Dziękuję, sami sobie poradzimy”. Ona była tak samo obojętna i poprosiła mnie o zabranie tacy i powieszenie na kłamce tabliczki „Nie przeszkadzać!”.

Pokręciła głową i zachichotała.

To by znaczyło, że Stefana Schumanna prawdopodobnie można wykreślić z listy, pomyślała Annick. Zawsze to jakiś krok naprzód.

- Czy oni jedli w pokoju?

Sprzątaczką pokiwała głową.

- Tak. Na tacy były talerze i sztuce.

Naturalnie powinna sprawdzić, czy pozostałe interesujące ją osoby nie zamawiały czegoś wieczorem do pokoju. Ten, kto zażyczył sobie kanapkę albo piwo o północy, nie mógł być jednocześnie nad rzeką i mordować dziewcząt.

MarieLou Nawezi wytłumaczyła jej, gdzie zastanie szefa obsługi pokoi, i zaprowadziła ją do małej windy. Annick wahała się, trzymając palec na przycisku. Miała wrażenie, że sprzątaczką zastanawia się, czy powinna jej o czymś powiedzieć.

- Czy coś jeszcze sobie pani przypomniała? - spytała obojętnie.

MarieLou Nawezi miała wyraźne wątpliwości.



- Tak... Była taka historia z butelką szampana. Najpierw myślałam, że dlatego pani tu przyszła, ale jeśli nie... Sama nie wiem, czy to się pani do czegoś przyda.

Butelka szampana? Annick szybciej zabiło serce. Morderca wziął szampana na spotkanie z Sabriną Deleuze. To mógł być trop, prawdziwy przełom w śledztwie.

- To może być bardzo ważne. Czy mogłybyśmy gdzieś usiąść i porozmawiać? Przykro mi, że zabieram pani przerwę, ale tak jak pani podejrzewała, chodzi nam o schwytanie mordercy.

- No, jeśli tak, to może pani ze mną pójść do pokoju dla personelu i porozmawiamy, jak będę jadła lunch.

Zjechały na poziom 1. W pokoju dla personelu, wąskim i długim, o trzech małych oknach osadzonych wysoko pod sufitem i wychodzących na ciemny zaułek, stała zbieranina mebli.

MarieLou Nawezi wyjęła z lodówki zapakowane kanapki i cocacolę. Usiadły na krzesłach z poręczami, obitych zniszczoną tkaniną w różowe prążki.

- Szampan. To było tak, że ci, co mieszkali w tamtym korytarzu, byli na jakiejś wycieczce, którą zorganizowało miasto, i każdy dostał do pokoju koszyk z prezentami. Owoce, czekolada i takie tam. Nie wiem, kto za to płacił. I w tym koszyku była butelka szampana, prawdziwego, markowego szampana. Po południu, tak jakoś koło szóstej, przyszła kierowniczką i powiedziała, że chce ze mną pogadać. Powiedziała to w taki sposób, że ciarki mi przeleciały po plecach. Poszłyśmy do jej biura, wlepiła we mnie oczy i powiedziała, że jeden z gości miał pretensję, że z jego pokoju zniknęła butelka szampana i że tylko ja tam byłam. Z tej Bouvin jest prawdziwa wiedźma, zawsze posądza nas o najgorsze.

MarieLou Nawezi umilkła i ugryzła kanapkę. Na wspomnienie zarzutów kierowniczką na jej gładkim czole pojawiły się zmarszczki oburzenia.

- I co było potem?

- Potem zapytałam, czy jest pewna, że w ogóle była tam jakaś butelka, mogła zniknąć, zanim koszyk trafił do pokoju, ale mi powiedziała, że gość widział szampana w koszyku, zaraz kiedy się zameldował, a potem szampan zniknął. No to ja powiedziałam, że jak jestem podejrzana, to niech zawiadomi policję i się z tego oczyszcze. Dlatego myślałam, że pani przyszła w tej sprawie.

Annick w zadumie pokręciła głową. W każdym pokoju czekały butelki szampana. Co za szczęśliwy traf dla mordercy. Czowała, że robi się gorąco, że są coraz bliżej schwytania go.

- Z którego pokoju zniknął ten szampan?

- Z dwieście czwartego. To jeden z tych, w którym byliśmy. Mieszkał tam ten z włoskim akcentem, co chciał, żeby mu uprasować koszule.

Annick spojrzała na listę. Pokój 204 - Francesco Marinelli.

Julie wybrała trzy czarnofioletowe bakłażany, które handlarka szybko włożyła do plastikowej torby.

- Może coś jeszcze, mademoiselle? - spytała, zawiązując torebkę. - Mam dzisiaj przepyszne maliny. A może kilo czereśni? Jak pani weźmie maliny i czereśnie, dam pani dobrą cenę.

Julie odmownie pokręciła głową. Teraz chciała jak najszybciej opuścić targ, uciec od niezyczliwych spojrzeń, jakie towarzyszyły jej i Jeanowi Pierre'owi. Kuzyn stał za nią, oparty o żelazny słup terminalu autobusowego na tyłach dworca kolejowego, z rękami w kieszeniach i papierosem w kąciku ust. Czuła jego obecność, jakby miała oczy na karku, czuła bijące od niego napięcie.

Lubiła ten bazar koło dworca. Było tu taniej niż w hali targowej przy Quai des Marchands i mogła tu dostać prawie wszystko: od nerkówki cielejącej po niedrogie buty dla dzieci i zabawki. Kiedy była mała, babcia handlowała na bazarze gipsowymi Madonnami i innymi religijnymi ozdobami i jednocześnie przepowiadała przyszłość z kart tarota. Z tarotem się nie afiszowała, ale wszyscy chętni o tym wiedzieli. W dni targowe Marie Wastia często przynosiła karty w purpurowej aksamitnej serwecie i siadała z klientem w kącie kawiarni po drugiej stronie ulicy; najczęściej z jakąś młodą zdenerwowaną kobietą, która potrzebowała porady sercowej. W tym czasie Julie pilnowała na babcinym straganie powgniatanej puszki z pieniędzmi i czuła się dorosła i ważna.

Ale dzisiaj dobrze jej znany bazar przypominał teren wroga. Już na parkingu, kiedy szła z Jeanem Pierre'em po rozgrzanym asfalcie do targowiska, zauważyła ukradkowe spojrzenia i szeptem wymieniane uwagi. Potem było coraz gorzej. Szybko zapłaciła za bakłażany, pomidory i paprykę, upchnęła je w torbie na zakupy i odwróciła się do kuzyna.

- Chodź, jedziemy, muszę się zabrać do pichcenia.

Bernard i Marie Wastia mieli wrócić do domu wieczorem i Julie obiecała, że zrobi kolację.

Jean-Pierre zgasił papierosa obcasem.

- Najpierw napiję się piwa. Cholernie chce mi się pić.

Popatrzył na nią wyzywająco.

- Wezmiesz sobie piwo z lodówki. Chcę stąd odjechać.

Zmarszczył brwi.

- Cykorzysz, Julie. Dlaczego mam się skradać i chować, jakbym zrobił coś złego? To już lepiej od razu porozwieszać zaproszenia dla takich szajbusów jak Lenoir i jego kolesie.

Raymond Lenoir, młody człowiek zatrzymany za włamanie i dewastację mienia Bruna Wastii, pracownik działu płac w Forvilu, twierdził, że czuł się w obowiązku, żeby wziąć sprawiedliwość w swoje ręce, ponieważ jest kuzynem chłopaka Peggy Bertrand.

Julie westchnęła.

- Okej, jedno piwo, dla zasady. Ale to mi się nie podoba.

Jean-Pierre wziął od niej ciężką torbę i ruszył przez bazar tak długim krokiem, że Julie trudno było za nim nadążyć. W gęstej ciżbie, kilka metrów przed sobą, widziała tylko jego ciemną głowę i szerokie bary.

Nagle się zatrzymał. Podbiegła do niego, z sercem w gardle. Stał jak wmurowany naprzeciwko czarnookiego bruneta w średnim wieku - Joëla Bertranda, ojca zamordowanych dziewcząt, Peggy i Nadii.

- Monsieur Bertrand - powiedział Jean-Pierre niepewnym głosem - bardzo mi przykro z powodu tego, co spotkało Peggy i Nadię. Ale to nie byłem ja, musi mi pan uwierzyć!

Joël Bertrand jakby się skurczył, odkąd Julie widziała go w Givray w noc morderstwa. Miał na sobie kraciatą flanelową koszulę, zdecydowanie za ciepłą na prażące czerwcowe słońce, zapiętą pod szyję, jakby czuł chłód kostnicy, w której leżały jego córki. W ręku trzymał plastikową torebkę z grillowanym kurczakiem.

Wolno zwrócił zaczerwienione oczy ku Jeanowi Pierre'owi.

- Wierzę ci, nigdy bym nie pomyślał, że to ty.

Mówił ochrypłym, skrzekliwym głosem, jakby od dawna go nie używał.

- Dziękuję - szepnął Jean-Pierre.

Julie zauważyła, że kuzyn się rozluźnił i bazarowi goście zebrani wokół nich zaczęli się rozchodzić. Zorientowali się, że nie będzie żadnego przedstawienia.

W spojrzeniach dwóch mężczyzn, które się na moment spotkały, było zrozumienie.

Jean-Pierre postąpił krok naprzód.

- Ale powinienem przynajmniej odwiedzić Nadię, tak jak na początku chciałem! - wybuchnął. - Nie powinienem się tak wkurzać. To była moja wina!

Joël Bertrand popatrzył w ziemię i apatycznie ważył w dłoni torebkę z kurczakiem.

- Twoja wina, moja wina, czyjaś wina... - Pokręcił głową. - Nie śpię po nocach i myślę, że powinienem zabrać Nadię do domu, wtedy by żyła, a chłopak Peggy uważa, że to jego wina, bo nie został w Villette i nie odwiózł dziewczętą wieczorem. Ale to wszystko bez znaczenia. Moje córki nie żyją i nigdy nie wrócą. Rano ciągle nasłuchuję, czy Peggy i Nadia poszły przede mną do łazienki, a potem łapię się na tym, że nie musimy się już zastanawiać, czy wystarczy dla wszystkich ciepłej wody. - Popatrzył na kurczaka. - Ale jeść trzeba, chociaż sam nie wiem po co.

Wzruszył ramionami i poszedł dalej.

- Biedaczysko - powiedział Jean-Pierre, długo odprowadzając go wzrokiem.

Przecięli ulicę i usiedli na plastikowych krzesłach przed obskurnym barem naprzeciwko targowiska. Czekając na piwo, Jean-Pierre zapalił papierosa, szybko go wypalił, agresywnie rozgniół peta w popielnicze i zapalił następnego.

Julie zerknęła na niego ukradkiem. Ciekawe, o czym on myśli. Po spotkaniu z Joëlem Bertrandem opuścił gardę i nie była pewna, czy to dobrze.

Szczerze mówiąc, Julie przeżyła kilka niespokojnych chwil, zastanawiając się, czy Jean-Pierre mógłby zabić dziewczęta w nagłym ataku gniewu. Znała jego wybuchowy charakter i głupoty, do których był niekiedy zdolny. Ale wystarczyło jej przywołać w pamięci miejsce zbrodni, chłód i obojętność zabójcy, żeby utwierdzić się w przekonaniu, że nic go nie łączy z tymi morderstwami.

Na ich stół padł cień.

- Wastia, ty pieprzony morderco, że też masz czelność się tu rozsiadać, jakby nigdy nic!

Julie podniosła wzrok. Przed nimi stała grupa młodych ludzi, stanowczo za blisko, tak przeraźliwie blisko, że czuła ich pot, agresję i buzujący testosteron. Co oni tu robią? Pojawili się znikąd, jakby znikąd. Pewnie zauważyli ją i Jeana-Pierre'a jeszcze na bazarze.

- Odsuść sobie - odparował Jean-Pierre. - Nawet miejscowe psy są na tyle łebskie, żeby skumać, że nie miałem z tym nic wspólnego. Szkoda, że nie da się tego powiedzieć o wszystkich w tej dziurze.

Demonstracyjnie odchylił się na krześle, podniósł kufel do ust i wyprostował swoje długie nogi.

Julie szybko dopiła wiśniowe piwo i położyła na stoliku kilka monet.

- Idziemy - powiedziała cicho.

Jean-Pierre, tak jak przypuszczała, przecząco pokręcił głową. Bała się. Krąg zaciętych twarzy ani drgnął. Było ich może dziesięciu, przeważnie nastolatki, ale nastoletni chłopcy w grupie potrafią być najbardziej niebezpieczni. Niejednokrotnie mogła się o tym przekonać w Pałacu Sprawiedliwości. Kątem oka zobaczyła, że kilku trzyma w ręku deski. Idioci rozwalili pewnie jakąś skrzynię na targu, żeby się zaopatrzyć w broń.

Jeden z nich, różowoskóry rudzielec z wściekle czerwonymi pryszczami u nasady włosów, wyprodukował okazałą ilość śliny i splunął Jeanowi Pierre'owi na but.

- Znałem Sabrinę - wycedził. - Była moją dziewczyną.

Jean-Pierre zarechotał.

- Jasne. To ty jesteś Mały? Sabrina wspomniała o tobie w piątek, powiedziała, że pasi ci ta ksywka i że byłoby super, gdybyś za nią nie łąził.

Kiedy rudowłosy Mały wyrwał naprzód, wydając z siebie nieartykułowany ryk wściekłości, Jean-Pierre kopniakiem przewrócił stolik, przywarł do ściany baru, rozbił o nią kufel i trzymał go jak broń.

- Uciekaj! - krzyknął do Julie. Julie zdołała się precyzyjnie przemieścić do baru, zanim napastnicy otoczyli Jeana-Pierre'a szczelnym pierścieniem. Chwyliła słuchawkę telefonu stojącego na ladzie i wybierając numer alarmowy, z mocno bijącym sercem usiłowała dostrzec, co się dzieje na zewnątrz. Powyżej brudnej zardostki zobaczyła podnoszące się deski. Krzyknęła.

Christian de Jonge kawałkiem chleba starannie wytarł talerz z resztek sosu z gorgonzolą i przyglądał się w zadumie siedzącym naprzeciwko mężczyznom. Francesco Marinelli i Nigel Richards najwyraźniej uznali za pewnik, że wspólnie zjedzą lunch, i zabrali go do małej włoskiej restauracji na Avenue d'Auderghem, zacisznego, dwusalowego lokalu na półpiętrze, gdzie kiedyś było mieszkanie.

Martine Poirot zadzwoniła do niego do domu w poniedziałek wieczorem i powiedziała o Richardsie i Marinellim, dziennikarzach uchwyczonych na zdjęciach z Sabriną, którzy byli w Villette również w kwietniu 1982 roku, kiedy została zamordowana Christelle Rolland. Uzgodnili, że to Christian pojedzie do Brukseli i z nimi porozmawia. Chodziło o to, żeby ich nie wystraszyć, a spotkanie z Martine mogłoby się wydawać zanadto oficjalne. Jednocześnie nikt niższy stopniem od komisarza nie wykazałby się dyplomatyczną finezją, niezbędną w kontaktach

z zagraniczną prasą. Rano Willy Bourgeois, nie kryjąc entuzjazmu, chciał się podjąć tego zadania, ale Christian go przekonał, że ważniejszy jest jego berliński łącznik.

Christian był ciekaw, czy dziennikarze oczekują, że zapłaci za lunch. Jeśli tak, trudno. Musi ich odpytać w białych rękawiczkach, żeby nie wzbudzić cienia podejrzeń.

Marinelli i Richards nie sprawiali wrażenia zdenerwowanych spotkaniem. Wydawali się raczej po chłopięcemu zachwyceni, że mogą porozmawiać z prawdziwym belgijskim policjantem kryminalnym. Podczas krótkiego spaceru do restauracji pytali go o jego pracę i bardzo się zainteresowali, słysząc, że tej wiosny to on prowadził śledztwo z Martine Poirot, zakończone politycznym skandalem. Przy przystawkach, ku wyraźnemu zadowoleniu obu dziennikarzy, ujawnił parę mniej znanych szczegółów tej sprawy. Przy daniu głównym Nigel Richards spytał, jak mu się pracuje z Martine Poirot, i zapewnił, że nie będzie go cytował.

Teraz pili kawę i przyszała kolej na Christiana. Marinelli i Richards dobrze pamiętali spotkanie z Sabriną Deleuze na Place de la Cathédrale.

- Kiedy zeszła z platformy, pierwszy podstawił jej mikrofon korespondent BBC, David, a po nim zlecieli się wszyscy inni. My chyba rozmawialiśmy z tą bidulą jako ostatni - powiedział Marinelli, podkreślając słowa szybkimi gestami.

Był szczupły, wysoki jak na Włocha, o wydatnym rzymskim, orlim nosie, żywych brązowych oczach i gęstej siwej czuprynie. W ocenie Christiana miał około sześćdziesiątki, może ciut więcej. Lekko, ledwie zauważalnie, kulał. Podczas krótkiego spaceru do restauracji powiedział, że doznał urazu nogi w Budapeszcie w 1956 roku, kiedy z barykady fotografował sowieckie czołgi.

- Potem odłożyłem aparat na półkę i zostałem korespondentem w Brukseli. Tutaj rzadko ryzykuje się życie i zdrowie.

- I skończyła się twoja kariera sportowa - wtrącił Richards. - Widzi pan przed sobą, drogi komisarzu, człowieka, który o mały włos nie został mistrzem Afryki Północnej w biegu na czterysta metrów przez płotki.

- Afryki Północnej?

- Tak - potwierdził Marinelli. - Dorastałem w Tunisie. W czasach mojej młodości wciąż mieszkało tam wielu Włochów, mimo że Tunezja była francuska. Ja, Claudia Cardinale...

Christian zapamiętał te informacje. Niby mało znaczące szczegóły, pomyślał, ale nigdy nie wiadomo, kiedy mogą się przydać. Czasami jakiś drobiazg okazuje się jedynym brakującym ogniwiem...

- Dlaczego chcieliście zrobić wywiad z Sabriną? Rozumiem, że dobrze się prezentowała w telewizji, ale jaki mieliście z tego pożytek, zamieszczając go w waszych gazetach?

Marinelli i Richards spojrzeli po sobie.

Richards wzruszył ramionami.

- Koloryt lokalny. Gdybyśmy pisali coś o Vilette, przydałyby się krótkie wypowiedzi mieszkańców. Poza tym zadałem jej kilka pytań dotyczących wiosennego skandalu, bo po ogłoszeniu raportu komisji parlamentarnej zamierzałem opublikować na ten temat większy artykuł, posiłkując się między innymi opiniami społeczności lokalnej.

- Czy Sabrina Deleuze miała coś w tej sprawie do powiedzenia?

Nigel Richards cynicznie się uśmiechnął. Miał podłużną, nieco zniszczoną twarz, zdumiewająco małe, dziobkowate usta i przerzedzone, ciemne, siwiejące włosy. Wyglądał zacnie.

- Owszem, miała, same słuszne rzeczy. Była zszokowana i rozczarowana, jej wiara w społeczeństwo i polityków zachwiała się u podstaw i tak dalej.

- Jak długo z nią rozmawialiście?

- Może pięć minut - powiedział Marinelli. - Może trochę dłużej, ale nie dłużej niż dziesięć.

- A potem od razu odeszliście czy zostaliście? Widzieliście Sabrinę, kiedy już udzieliła wam wywiadu?

- Niech pomyślę. Kiedy skończyliśmy, chyba obstąpili ją jacyś młodzi ludzie i zaczęli jej gratulować. Tak było, Nigel?

Richards pokiwał głową.

- Mieliśmy wracać do hotelu - podjął Marinelli - ale najpierw poszedłem do trafiki po drugiej stronie rynku, a Nigel czekał na mnie. Coś wtedy widziałeś?

Richards zmarszczył czoło.

- Rozglądałem się, na rynku dużo się działo, ryczały wielbłądy, wyprowadzano konie, budowano scenę. Zobaczyłem Deleuze. Szła pod rękę z dwiema dziewczętami. Potem się

dowiedziałem, że z tymi, które też zostały zamordowane. Wciąż miała na sobie kostium tancerki, więc pomyślałem, że idzie się przebrać. Kilka razy się zatrzymała i rozmawiała z ludźmi.

- Z ludźmi? - powtórzył Christian.

- Tak, nie z dziennikarzami, tylko z cywilami, z ludźmi, których chyba znała, bo nikt nie przykuł mojej uwagi. A, zatrzymała ją para amerykańskich turystów, chcieli zrobić zdjęcie, ich beczący teksański dialekt było słycać na całym rynku.

- A potem razem wróciliście do hotelu?

- Nie - odparł Marinelli. - Pałę cygaretki, w trafice nie mieli mojej marki i ruszyłem na poszukiwanie lepiej zaopatrzonego sklepu. Nigel chyba poszedł do hotelu.

Richards potakująco skinął głową.

- Czy po południu albo wieczorem mieliście okazję znowu zobaczyć Sabrinę Deleuze, a może coś przykuło waszą uwagę?

Francesco Marinelli roześmiał się.

- Drogi komisarzu, popołudnie spędziliśmy przy drinku w klimatyzowanych pokojach hotelowych, potem była proszona kolacja w Aux Armes de Verney i koncert na wspaniałym tarasie na dachu. Kolacja też była wspaniała. Dużo straciłeś, Nigel!

- A więc pan nie był na kolacji - powiedział Christian, zwracając się do Richardsa.

- Nie. - Anglik się zirytował. - Miałem deadline, musiałem skończyć artykuł, analizę nowych założeń współpracy europejskiej zawartych w Traktacie z Maastricht i jej rozwoju. Powinienem to być zrobić przed wyjazdem do Villette, ale wie pan, jak to jest, ma się mnóstwo innych rzeczy na głowie, a potem siedzi się w środku nocy i pisze.

- A potem artykuł spadł - z rozbawieniem skomentował Marinelli. - Che peccato, caro Nigel. Ominęła cię fantastyczna kolacja!

Nigel Richards zirytował się jeszcze bardziej. - Odrzucili pański artykuł? - spytał Christian. - Nie, skądże, zmienili plany i nie ukazał się w niedzielnym wydaniu, tylko dzisiaj. Kelnerka przysłała po talerze, miła przerwa dla Christiana, który cały czas siedział w napięciu i zastanawiał się, co dalej. W piątek wieczorem Nigel Richards odłączył się od grupy dziennikarzy pod pretekstem napisania artykułu, który został opublikowany dopiero w poniedziałek. Słabe alibi. Czy umówił się z Sabriną Deleuze nad rzeką koło Givray? Miał ku temu okazję, kiedy czekał na rynku na Marinello, który poszedł po cygaretki. Nadia Bertrand powiedziała w piątek



wieczorem innej dziewczynie, że Sabrina została zaproszona na kolację przez jakiegoś „zgreda”. Tyle się rano dowiedział od Annick Dardenne, zanim wyjechał do Brukseli.

Patrzył na poorly zmarszczkami twarz Nigela Richardsa i jego przerzedzone włosy. Bez wątplenia „zgred” w oczach czternastoletniej Nadii. Trzeba działać ostrożnie, żeby Richards im nie czmychnął do swojego kraju, dopóki się nie upewnią, że są wystarczające podstawy do zatrzymania. Jeśli to on.

Marinelli był na kolacji z innymi dziennikarzami, ale czy miał mocne alibi? To zależy, jak długo trwała kolacja i czy jej uczestnicy byli dobrze zorientowani, co kto robi. Dziewczęta zginęły około wpół do dwunastej, czyli teoretycznie można było pójść na kolację, a potem zamordować, pomyślał Christian. Przed następną rozmową postanowił zadzwonić do Villette i poprosić, żeby ktoś to sprawdził i przesłuchał personel Aux Armes de Verney.

- Czy przynieść kartę deserów? - spytała kelnerka.

- Ja poproszę tylko kawę, podwójne espresso - pośpiesznie odparł Christian.

Dziennikarze też zamówili po kawie.

Marinelli wyjął pudełko ritmeesterów.

- Mam się wstrzymać? - Zerknął na Nigela Richardsa. - Jeśli chcesz, no problem.

- Byłoby miło - z wdzięcznością odparł Anglik. - Ostatnio trochę to było uciążliwe.

- No dobrze - odezwał się Christian, kiedy dostali kawę. - Na czym skończyliśmy? Aha, na piątkowym wieczorze. Wasz zawód ma chyba dużo wspólnego z moim, przynajmniej jeśli chodzi o beznadziejne godziny pracy. Siedział pan w pokoju i pisał do późna o pustym żołądku? Ja muszę się zadowolić kanapkami i kawą z automatu.

Richards obrzucił go zamyślonym spojrzeniem.

- Skończyłem około wpół do jedenastej, potem zszedłem do hotelowego baru i zamówiłem piwo i kilka plasterków kielbasy. A skąd pan wie, komisarzu, że rozmawialiśmy z Sabriną Deleuze?

- Z telewizji i zdjęć - swobodnie odparł Christian. - Madame Poirot ściągnęła materiały ze stacji telewizyjnych i ciężko pracowaliśmy, żeby wszystkich zidentyfikować.

- Spotka się pan z innymi uczestnikami wycieczki prasowej?

- Oczywiście - odpowiedział Christian zgodnie z prawdą. - Dzisiaj po południu mam kilka spotkań.

Nie licząc Richardsa i Marinello, udało mu się skontaktować i umówić z trzema innymi dziennikarzami, którzy byli w Villette na tegorocznej procesji i na spotkaniu ministrów spraw zagranicznych w 1982 roku. Poza tym miał porozmawiać z korespondentem BBC i kilkoma innymi reporterami, których zidentyfikowali na zdjęciach.

- Zaczęliśmy od was - kontynuował - bo jesteście weteranami dziennikarstwa prasowego. Czy widzieliście dzisiejsze wydanie „Gazette de Villette”?

Francesco Marinelli pochylił się nad stołem.

- Ja nie widziałem, ale słyszałem od kolegów z press roomu, że waszym zdaniem jest jakiś związek z morderstwem kelnerki w osiemdziesiątym drugim. Co za zbieg okoliczności! Myśmy tam wtedy też byli.

- Tak?

Christian zerknął na Richardsa, któremu chyba się nie spodobała nadmierna gadatliwość Marinello.

- Tak - potwierdził Marinelli. - To było nieformalne spotkanie ministrów spraw zagranicznych w Villette. Chyba pamiętasz, Nigel, to było w trakcie wojny o Falklandy i ta zamordowana dziewczyna obsługiwała gości na przyjęciu dla prasy w ratuszu.

- Oczywiście, że pamiętam - niespiesznie odparł Richards. - Jak mówi Francesco, było to w trakcie wojny o Falklandy i udało mi się uzyskać wypowiedzi na temat konfliktu wszystkich liczących się ministrów. Było gorąco. Ale jeśli chodzi o przyjęcia, hotel i kelnerki, nic sobie nie przypominam. Byłem całkowicie pochłonięty pracą.

Marinelli roześmiał się.

- Jasne, czaiłeś się w krzakach przed hotelem francuskiego ministra, żeby zdobyć wywiad! I byłeś na przyjęciu w ratuszu, i rozmawiałeś z tą dziewczyną. Jak ona się nazywała? Christabelle?

- Christelle - podpowiedział Christian. - Christelle Rolland.

- Nie pamiętam - powiedział Richards. - Ale kiedy o tym mówisz, Francesco, mam niejasne wrażenie, że rozmawiałeś z jakąś kelnerką i że chyba też zamieniłem z nią parę słów. Ale ona była Włoszką. A „Christelle Rolland” nie brzmi mi po włosku.

- Była półWłoszką. Jej mama przyjechała do Villette jako dziecko i dziewczyna chciała pokazać, że zna włoski.

- Czy nie wspominałeś, że chcesz z nią zrobić wywiad? Marinelli wzruszył ramionami. - Rozważałem to, ale nic z tego nie wyszło. Pracowałem nad cyklem reportaży o powojennej emigracji włoskiej do Belgii. Wiosną osiemdziesiątego drugiego minęło równo trzydzieści lat od punktu kulminacyjnego. Pomyślałem, że mama Christabelle byłaby odpowiednią osobą.

- Dlaczego nic z tego nie wyszło? - spytał Christian.

Marinelli znów wzruszył ramionami i rozłożył dłonie.

- Najpierw miała porozmawiać o tym z mamą, a ja miałem do niej zadzwonić w niedzielę. A w niedzielę dziewczyna już nie żyła. Właściwie chciałem się spotkać z matką i z córką w sobotę po południu, ale Christabelle powiedziała, że nie może, bo jest już z kimś umówiona.

- A potem zostaliście w Villette, żeby napisać o tym morderstwie? - spytał Christian.

Richards roześmiał się.

- Nie, nie, musiałyby się wydarzyć coś naprawdę spektakularnego, żeby morderstwo w takiej belgijskiej dziurze jak Villette zainteresowało zagraniczną prasę.

- Ale zostałeś do niedzieli - powiedział Marinelli. - Pamiętam, że kiedy nic nie wyszło z mojego wywiadu, zabrałem się z tobą do Brukseli.

- Miałem w Villette kilka spraw do załatwienia - odrzekł Richards.

Przed południem Martine odłożyła na bok sprawę potrójnego morderstwa, żeby się zająć zaległym dochodzeniem w sprawie gwałtu. Chciała włączyć do postępowania przygotowawczego zeznania dodatkowych świadków, zanim sąd zdecyduje, czy klient Brigitte Onckelinx będzie mógł opuścić areszt.

Uporała się z dwiema osobami, parą młodych ludzi, bawiących się na imprezie w dyrektorskiej willi w czwartek wieczorem, którzy weszli do jej gabinetu, trzymając się za ręce. Zdenerwowani i świadomi swojej roli. Dotychczas przesłuchani chłopcy nic nie widzieli, nic nie słyszeli i nic nie zauważyli. Ale dziewiętnastoletni Jérôme był przy tym, kiedy jego dziewczyna Caroline razem z innymi dziewczętami zaopiekowała się zszokowaną ofiarą gwałtu, widział jej podarte ubranie, przerażone spojrzenie i zapamiętał jej słowa.

Nie bardzo się zdziwił, że wielu imprezowiczów straciło pamięć.

- Dla Juliana to nie pierwszozna, że zawsze dostaje to, czego chce - powiedział, patrząc na Marine brązowymi oczami przez grube szkła okularów. - Kiedy się go nie słucha, często się wkurza. Ja i Caroline, jak tylko dziewczęta pomogły Virginie wsiąść do taksówki, wróciliśmy do

domu, ale przypuszczam, że Julian od razu kazał wszystkim siedzieć cicho. Nawet się cieszę, że jest w areszcie.

Agnes uśmiechnęła się, ledwie młoda para zamknęła za sobą drzwi.

- Prokurator powinien bez trudu przekonać sąd o przedłużeniu aresztu.

Zajęła się protokołem przesłuchania, a Martine przejrzała akta, żeby się przygotować do rozprawy sądowej. Była pewna swego. Ostatnie zeznania wzmocniły jej argumenty, poza tym siniaki Virginie gorzej wyglądały na zdjęciach niż w rzeczywistości.

Z niemałym wysiłkiem udało jej się powstrzymać triumfalny uśmiech, kiedy dwie godziny później opuszczała małą salkę sądową z papierami pod pachą. Kiedy poinformowała o wynikach postępowania przygotowawczego, prokurator pomocnicza Clara Carvalho wystąpiła o przedłużenie aresztu. Sąd przychylił się do jej wniosku, oddalając wniosek Brigitte Onckelinx o zwolnienie jej klienta. Brigitte nie kryła złości, głośno stukając obcasami na marmurowej posadzce, kiedy mijały się w foyer.

Clara Carvalho zdjęła biret i kręciła nim na palcu. Spod czarnej togi wystawały białe dzinsy.

- Dobrze poszło. Pora na lunch, Martine. Pójdziemy do A la Justice Aveugle?

Martine pokręciła głową.

- Niestety, muszę wracać do potrójnego morderstwa.

Clara Carvalho skinęła głową i ruszyła do wyjścia po czarnobiałych płytach posadzki, a Martine skierowała się ku schodom prowadzącym na piętro. Dobrze, że na parę godzin mogła się oderwać od śledztwa. Może teraz zobaczy coś, co jej umknęło, znajdzie jakiś trop, którego wcześniej nie dostrzegła. Christian był w Brukseli i sondował podejrzanych dziennikarzy, Annick sprawdzała ich alibi w hotelu, trwały czynności rutynowe.

Na razie nikt nie widział ewentualnego mordercy w drodze na miejsce zbrodni albo opuszczającego to miejsce. Musiał się tam dostać przed dziewczętami, musiał czekać na Sabrinę z szampanem i piknikowym koszem. Może widział ostatni autobus i zastanawiał się, dlaczego upatrzona przez niego zdobycz się nie pojawiła.

Przystanek od miejsca przestępstwa dzieliły siedemset osiemdziesiąt trzy metry. Gdyby Sabrina zdążyła na autobus zgodnie z planem, kilka minut później zobaczyłby ją idącą poboczem szosy. Może wyszedłby jej na spotkanie.

Czy zapytali pasażerów, czy zauważyli coś albo kogoś w pobliżu, czy chcieli się jedynie upewnić, że dziewczęta nie wsiadły do autobusu? Trzeba to sprawdzić.

Nagle uświadomiła sobie, że jedna osoba z całą pewnością minęła mordercę, który czekał nad rzeką. Jean-Pierre Wastia zostawił dziewczęta przy bocznej drodze, z wściekłością wcisnął pedał gazu i ułamek sekundy później przejechał obok miejsca zbrodni. Martine przesłuchiwała Jeana-Pierre'a Wastię pod kątem jego winy, dlatego w ogóle nie pomyślała o tym, żeby go spytać, co widział, kiedy się rozstał z dziewczętami. Ale nic straconego. Wezwie go na kolejne przesłuchanie, tym razem jako świadka i...

Ktoś ją zawołał. Odwróciła się. W foyer grupa adwokatów prowadziła ożywioną rozmowę. W czarnych togach i białych kryzach przypominali stado srok, które przysiadły na ogromnej szachownicy.

- Cześć, Claude! - odpowiedziała. - Czy masz jakiegoś klienta, o którym powinnam wiedzieć?

- Nie, dzisiaj nie, ale słyszałaś o młodym Wastii? Wdał się w burdę z chłopakami na bazarze, tym koło dworca, i trafił do szpitala.

- O nie!

Bez słowa ruszyła do aneksu i szybkim krokiem przemierzała korytarze. Czowała się winna. A jeśli Jean-Pierre jest poważnie ranny? Nie doszłoby do tego, gdyby go nie aresztowała, a potem gdyby go nie wypuściła. Ale czy popełniła jakiś błąd? Nie, nie miała wyboru. Zatrzymała go, bo dowody świadczyły przeciwko niemu, i wypuściła, kiedy przeważały dowody świadczące o jego niewinności. To nie jej wina, że w Villette są idioci.

- Słyszałaś o młodym Wastii? - spytała Agnes, ledwie Martine weszła do gabinetu. - Dzwoniło do ciebie wielu dziennikarzy z prośbą o komentarz.

Przysunęła do Martine plik kartek z numerami telefonów. Radio, telewizja, duże belgijskie dzienniki i naturalnie Nathalie Bonnaire z „Gazette de Villette”. Zagraniczne media najwyraźniej straciły zainteresowanie, kiedy ich korespondenci wrócili do Brukseli. Na szczęście dla Jeana-Pierre'a Santiniego, pomyślała Martine.

- Jedziemy do szpitala, tam mogę udzielić komentarza, a ty zamów samochód. Wiesz, w którym szpitalu leży?

Agnes wahała się.

- W SaintSauveur. Naprawdę chcesz jechać do szpitala? To przecież nie jest twoja sprawa. Nie obraż się, ale jeśli się tam zjawisz bez żadnego oficjalnego powodu, wyjdzie na to, że jesteś tam jako przyjaciółka Julie, jako przyjaciółka rodziny Wastia. Tym samym dostarczysz argumentu ludziom, którzy chcą cię odsunąć od śledztwa.

Martine pokiwała głową. Racja. Chciała czym prędzej jechać do szpitala przede wszystkim dlatego, że dręczyły ją wyrzuty sumienia i martwiła się o Julie. Dobrze, że Agnes ją ostrzegła. Ale przecież ma powód, żeby się dowiedzieć o stan zdrowia Jeana-Pierre'a i przy okazji poinformować media, co myśli o atmosferze linczu w Vilette.

- No tak - powiedziała - ale właśnie zamierzałam wezwać monsieur Wastię na przesłuchanie, tym razem jako świadka, i jestem poważnie zaniepokojona, że napaść na niego utrudni poszukiwania zabójcy Nadii, Peggy i Sabriny.

Agnes uśmiechnęła się.

- To co innego. Wobec tego wkładam marynarkę, żeby wyglądać bardziej oficjalnie.

Garstka dziennikarzy podpierających ściany holu wejściowego w szpitalu rzuciła się na Martine z mikrofonami, magnetofonami i notatnikami.

Pierwszy dobiegł reporter radiowy.

- Madame Poirot, młody człowiek do niedawna podejrzany o potrójne zabójstwo w Vilette został dzisiaj poturbowany i leży w tym szpitalu. Czy mogłaby pani skomentować tę napaść?

- Napaść nie. Jeszcze nie wiem, kto go zaatakował i dlaczego. Obawiam się jednak, że to nam utrudni poszukiwania zabójcy Nadii, Peggy i Sabriny, ponieważ ten młody człowiek, odkąd został uwolniony od podejrzeń, jest jednym z naszych najważniejszych świadków. Bardzo źle się stało. Ale byłoby czymś dużo gorszym, gdyby się okazało, że został pobity, ponieważ napastnik sam postanowił wymierzyć mu sprawiedliwość.

- Czy to znaczy, że on jest całkowicie wolny od podejrzeń?

- Całkowicie.

- To co pani tutaj robi? - włączyła się Nathalie Bonnaire. - Chodzi mi o to, że nie prowadzi pani przecież sprawy o pobicie. Może chce pani wesprzeć swoją kancelistkę, która jest bliską krewną tego młodego człowieka?

Martine przeszła ją wzrokiem, myśląc z wdzięcznością o przezorności Agnes.

- Oczywiście, że nie. Jestem tutaj z racji sędziowskich obowiązków, żeby się osobiście przekonać, czy młody człowiek będzie w stanie złożyć zeznania. Śledztwo wkracza w fazę krytyczną i dzisiaj zamierzałam go wezwać na przesłuchanie jako świadka.

- Czy to znaczy, że jesteście bliscy przełomu w poszukiwaniu zabójcy? - zapytał wyraźnie podniecony reporter telewizyjny.

- Koniec komentarzy na dzisiaj - stanowczo odparła Martine, torując sobie drogę wśród dziennikarzy do Agnes, która zdążyła się w tym czasie dowiedzieć, gdzie leży Jean-Pierre Wastia.

- Nie wiem, czy uda się wam porozmawiać z młodym Wastią, ale możecie spróbować - powiedział w przelocie zabiegany lekarz, którego spotkały na korytarzu. - Ktoś kilka razy przyłożył mu w głowę deską, doznał poważnego wstrząśnienia mózgu, ale przypuszczalnie obyło się bez krwawych wylewów. Zostanie na noc na obserwacji. Poza tym ma połamane zębra.

- Ale mogę mu zadać kilka pytań? - Pod warunkiem że nie będzie pani wywierać na nim presji. To absolutnie wykluczone.

Jean-Pierre Wastia pólśiedział na szpitalnym łóżku, z ciasno obwiązaną klatką piersiową i bandażem na głowie. Miał opuchnięte wargi i ciemnoczerwoną obwódkę wokół prawego oka, stopniowo przybierającą niebieską barwę. Mimo to wydawał się w lepszym nastroju niż wtedy, kiedy Martine widziała go ostatnio.

Podciągnął się, wyprostował i obrzucił ją szyderczym uśmiechem.

- Dzień dobry, madame Poirot. Jeszcze nie znalazła pani mordercy? - wymamrotał przez opuchnięte wargi, opadł na poduszki i zamknął oczy.

Julie siedziała na krześle przy łóżku i nie odrywała wzroku od kuzyna. Z ich dwojga to ona wyglądała na bardziej przygnębioną. Była w tej samej cytrynowej lnianej sukience, którą miała na sobie w piątek, teraz pogniecionej, z plamami krwi na dole i w talii.

- Cześć, Martine, cześć, Agnes - powiedziała apatycznie, zwracając się w ich stronę, kiedy weszły do sali. - A nie mówiłam?

Zauważyła, że Martine przygląda się rdzawym plamom na jej sukience, i rozciągnęła usta w grymasie, który niewiele miał wspólnego z uśmiechem.

- Jacqueline Kennedy po zamachu w Dallas, prawda? Chyba jej nie upiorę, tylko zachowam na pamiątkę.

Martine nie wiedziała, co powiedzieć. Podeszła do łóżka i przywitała się z JeanemPierre'em.

- Dzień dobry, chciałabym ci zadać kilka dodatkowych pytań. Czy starczy ci sił, żeby na nie odpowiedzieć? To ważne.

Znów się dźwignął.

- Shoot.

Julie przewróciła oczami. Agnes usiadła na krześle, gotowa do stenografowania.

- Interesuje mnie - zaczęła Martine - czy zauważyłeś coś po wyjściu dziewcząt. Na szosie, na poboczu, nad rzeką. Samochody, ludzie, cokolwiek?

Zamknął oczy i zmarszczył czoło.

- Nie. Nic. Na szosie niczego nie zauważyłem, a na boki się nie rozglądałem, więc gdyby nawet coś tam było, tobym nie zobaczył. - Opadł na poduszki i otworzył oczy. - Ale później, po meczu, widziałem samochód. Wyszedłem spuścić psy, włączyłem reflektor na podwórzu, psy zaczęły szczekać i pobiegły do szosy. Poszedłem za nimi i wtedy zobaczyłem samochód. Jechał od Villette.

Mógł opuszczać miejsce zbrodni, pomyślała Martine. Czas też się zgadzał. Morderca mógł wrócić do Villette okrężną drogą, przez stary most i wzdłuż drugiego brzegu rzeki.

- Widziałeś, jaki to był samochód? Marka, kolor?

Jean-Pierre zaczął przecząco kręcić głową, ale przerwał, wykrzywiając się w grymasie bólu.

- Było za ciemno. Mógł być czarny, niebieski, zielony, jakikolwiek. Na szosę padało słabe światło reflektora i widziałem go z boku. Bmw trzydziestka, nie najnowszy model, albo mercedes sto dziewięćdziesiątka, też nie najnowszy model. Tego jestem pewien na bank.

I znów zamknął oczy.

Kierownik sali w Aux Armes de Verney nalegał, żeby Annick dała się zaprosić na późny lunch, kiedy będą rozmawiali. Nie potrafiła odmówić. Na śniadanie wypła tylko kawę i sok pomarańczowy.

Kierownik sali, siwowłosy dystyngowany Francuz koło sześćdziesiątki, przywitał ją z wręcz przesadną życzliwością. Może wyglądała na tak wygłodzoną, że obudziła w nim ojcowskie uczucia, albo leciał na policjantki.

Wskazał jej stolik w pustej po południu restauracji i usłużnie odsunął krzesło.



- Na co się pani skusi? - spytał, podając kartę dań.

Okładka z ciemnozielonej skóry, gruby kremowy papier i śladu cen. No tak, pomyślała, dla pań, które nie powinny zwracać sobie ślicznych główek niepotrzebnymi roztrzasaniami, co ile kosztuje. W latach swojej młodości, spędzonych w Paryżu, widziała sporo takich menu.

- O, jest sałatka Cezara, dawno jej nie jadłam. Z przyjemnością zjem, z mnóstwem grzanek, ale bez kurczaka i innych zbytecznych dodatków.

Sałatka Cezara była jej ulubionym daniem w czasach, kiedy najczęściej żywiła się sałatą.

Francuz życzliwie się uśmiechnął, zniknął w kuchni, wrócił z dwiema szklankami wody z lodem i usiadł naprzeciwko niej.

- Sałatka wkrótce będzie - powiedział. - Co chciałaby pani wiedzieć, inspektor Dardenne?

Annick opuściła hotel z notatnikiem wypełnionym zeznaniami. Rozmawiała z dwiema sprzątaczkami, rozmawiała z szefem obsługi pokoi, który pracował krytycznego wieczoru, i z kelnerami, którzy obsługiwali dziennikarzy. Okazało się, że dyrektor hotelu osobiście witał każdego z osobna, więc jego również przepytowała.

Potem poszła do hali targowej, żeby się dowiedzieć, czy w dniu morderstwa nie sprzedali gęziej wątróbki ewentualnemu zabójcy, ale niewiele wskórała. W piątek hala była otwarta dłużej, stoisko z delikatesami przygotowało dużo ofert specjalnych, z gęsią wątróbką włącznie. Sprzedawca z zadowoleniem opowiadał, że po procesji zwały się do niego tłumy i zniknęły wszystkie puszki gęziej wątróbki w promocyjnej cenie. Nie potrafił powiedzieć, kto je kupił. Po pobieżnym przejrzaniu operacji kasowych okazało się, że większość klientów płaciła belgijskimi kartami Bancontact, garstka ludzi zagranicznymi kartami kredytowymi, a pięć osób gotówką. Jeśli wśród kupujących był morderca, raczej nie zapłaciłby kartą, pomyślała ponuro Annick, ale ktoś musi sprawdzić tych, którzy są na wykazie.

Kiedy wróciła do Pałacu Sprawiedliwości, zadzwonił z Brukseli Christian de Jonge. Powiedziała mu o zniknięciu butelki szampana, a on ją poprosił, żeby jak najszybciej się dowiedziała, czy dziennikarze będący w piątek na kolacji w Aux Armes de Verney mieli szansę niepostrzeżenie opuścić towarzystwo.

- Najpierw chciałabym zaznaczyć, że na razie to ściśle poufne - zwróciła się do kierownika sali. - Będę wdzięczna, jeśli zachowa to pan dla siebie. Przyszłam sprawdzić alibi kilku osób, które jadły tutaj kolację w piątek wieczorem.

- Dziennikarzy? - spytał zdziwiony.

- Tak. Jak powiedziałam, to na razie poufne. Czy pamięta pan, o której zaczęła się kolacja i jak długo trwała?

- Miasto zarezerwowało salę od wpół do ósmej do dziesiątej, a od dziesiątej do zamknięcia, czyli do pierwszej w nocy, taras na dachu.

- Czy wszyscy siedzieli na swoich miejscach do dziesiątej, czy wstawali i chodzili podczas kolacji?

Kelnerka przyniosła sałatkę. Wyglądała wspaniale. Sałata rzymska była ciemnozielona i krucha, grzanki złotożółte, wiórki parmezanu puszyste. Annick nadziała grzankę na widelec, zanurzyła w dressingu i włożyła do ust. Bukiet smaków eksplodował na podniebieniu - słoność sardeli i nuta musztardy w kremowym połączeniu z żółtkami i oliwą.

- Mistrzostwo świata! - powiedziała z uśmiechem.

- Miło mi to słyszeć. - Kierownik sali odwzajemnił uśmiech. - No tak, tutaj były podawane desery, mniej więcej o wpół do dziesiątej, a potem na tarasie kawa i sznaps. Po deserze goście wychodzili na taras, oczywiście, kiedy kto chciał, nie w jakiejś zwartej grupie.

- Jak się pan chyba domyśla, zastanawiam się, czy ktoś mógł się niepostrzeżenie odłączyć. Czy jest pan pewien, że wszyscy wyszli na taras i zostali na koncercie?

- Wręcz przeciwnie. Jestem pewien, że nie. Widzi pani, o dziesiątej albo tuż po zaczynał się mecz piłki nożnej i niektórzy dziennikarze chcieli go obejrzeć. Zaraz kiedy tu przyszli, zapytali, czy jest u nas telewizor. Nie ma, to nie nasz styl, nie prowadzimy przecież baru sportowego. - Uniósł arystokratyczne brwi i rozejrzał się wymownie po sali, omiatając spojrzeniem szare marmurkowe panele i tapety stylizowane na wiek osiemnasty. - Ale klient ma zawsze rację, więc uznałem, że należy ich poinformować, że w winiarni tuż obok jest telewizor, który włączają podczas meczów. Sporo dziennikarzy jednym haustem wypilo kawę na tarasie i wymknęło się z lokalu, żeby popatrzeć na piłkę nożną. Kilku zniknęło już przed dziesiątą.

Martine też rozmawiała z Christianem. Zadzwoił z Brukseli po lunchu z dwoma dziennikarzami. Polecił Annick sprawdzenie alibi uczestników kolacji w Aux Armes de Verney i oddelegował Serge'a Boissarda do zajęcia się informacjami uzyskanymi od Jeana-Pierre'a Wastii o samochodzie, który mógł być na miejscu zbrodni.

- Sprawdzimy, czy któryś z interesujących nas gości ma taki wóz - powiedział Serge. - Posadzę człowieka do przejrzania zeznań okolicznych mieszkańców. A nuż ktoś widział ciemną beemę albo merca? Szkoda, że nie byliśmy po drugiej stronie rzeki, ale wszystko się rozbija o

fundusze, poza tym od cholery tam wąskich drózek. Może pchnę jednego chłopaka albo dwóch, żeby zaczęli od ludzi mieszkających koło mostu.

W zamyśleniu zmarszczył czoło.

- Bylebyśmy tylko nie robili sobie zbyt dużych nadziei - powiedziała Martine. - Jean-Pierre Wastia mógł się przecież pomylić.

- Nie wydaje mi się. Jeśli zakładamy, że chłopak jest niewinny, to możemy spokojnie przyjąć do wiadomości, że wie, co mówi. Przecież jest synem Bruna kanciarza i od małego majstrował przy używanych wozach.

Martine wróciła uspokojona na czwarte piętro. Agnes czekała na nią ze słusznych rozmiarów kanapką lunchową z A la Justice Aveugle.

Ledwie się posiliła, ktoś zapukał do drzwi. Za progiem stał Willy Bourgeois w towarzystwie szczupłego wysportowanego mężczyzny w jasnym letnim garniturze i prążkowanej koszuli. Willy, w pogniecionej marynarce i przepoconej koszuli, wyglądał przy nim jak kloszard. Ale kiedy wszedł do gabinetu, rozsadzała go duma. Rozłożył dłonie w takim geście, jakby prezentował cudowny środek do wywabiania plam.

- Martine, pozwól, że ci przedstawię mojego serdecznego przyjaciela, komisarza kryminalnego Waltera Hallsteina, który przybył aż z Bonn, żeby nam pomóc w rozwiązaniu naszego kryminalnego problemu. Wally, to nasza sędzia śledcza, madame Poirot.

Martine wstała i wyciągnęła rękę, która zniknęła w niezwykle dużej i zadbanej dłoni Waltera Hallsteina. Miał mocny uścisk, ale nie za mocny, i lodowoniebieskie oczy. Odwrócił się do Agnes i równie mocno uściskał jej dłoń, gdy Willy w poczuciu obowiązku również ją przedstawił.

- Walter Hallstein...? - Martine zmarszczyła czoło. - Brzmi znajomo.

Westchnął z rezygnacją.

- Tak się nazywał pierwszy przewodniczący Komisji Europejskiej. Nie jesteśmy spokrewnieni. Myślę o zmianie nazwiska, zwłaszcza że mam nadzieję na pracę w Europolu. - Mówił po francusku dość niepewnie, z wyraźnym niemieckim akcentem. - Jak pani słyszy, madame Poirot, mój francuski nie jest najlepszy, więc jaki język wybierzemy? Willy bardzo dobrze zna niemiecki, a pani?

- Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, wolałabym angielski, komisarzu Hallstein.

- English it is then.

Willy Bourgeois zrobił kwaśną minę. Martine wiedziała, że Willy rozumie angielski. A jeśli nie potrafi za dużo powiedzieć, to niewielka strata, pomyślała nie bez złośliwości.

- Przejdźmy do pokoju konferencyjnego - zaproponowała, kierując się do drzwi. - Czy naprawdę przyjechał pan z Bonn tylko dlatego, żeby nam pomóc, komisarzu Hallstein?

- Proszę mi mówić Wally. Nie, wybieram się do Lyonu, a że to po drodze, więc zajrzałem do was. Poza tym to bardzo ciekawa sprawa, którą mój przyjaciel Willy zreferował mi wczoraj przez telefon.

Willy wyprężył się.

- Po rozmowie z Willym przejrzałem nasze archiwum niewyjaśnionych zabójstw i znalazłem coś, co może was zainteresować - zaczął Wally Hallstein, kiedy usiedli przy stole konferencyjnym, pochylił się i z eleganckiej teczki z czarnej skóry wyjął dwa skoroszyty. - Julia Kessler, lat dziewiętnaście. Znaleziona na brzegu Leine pod Hanowerem dwudziestego dziewiątego czerwca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego roku w bardzo podobnych okolicznościach, o których wczoraj powiedział mi Willy. Zdjęcia, które przesłał mi faksem, do złudzenia przypominają nasze z miejsca przestępstwa pod Hanowerem.

Wyjął ze skoroszytu kilka fotografii i puścił je w obieg. Blondynka, rozpuszczone włosy, zadarta spódnica, rozrzucone nogi. Ciekawe, co on robi z ich figami? - pomyślała Martine. Ma w domu kolekcję trofeów?

- Czy zawartość żołądka była ta sama? - spytała.

- Zawartość żołądka, metoda, połowiczna penetracja jakimś przedmiotem, wszystko się zgadza - potwierdził Hallstein.

- Proszę nam opowiedzieć o Julii. Kim była, czym się zajmowała, co mogło ją skłonić do spotkania się z nieznanym mężczyzną nad brzegiem rzeki?

Hallstein otworzył drugi skoroszyt, z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął eleganckie etui, włożył lekkie okulary do czytania w złotej oprawce i zanim przystąpił do omówienia sprawy, w skupieniu przejrzał dokumenty.

Julia Kessler była córką nauczycieli z Hanoweru. Nie marzyła o karierze gwiazdy filmowej ani fotomodelki, miała zupełnie inne plany na przyszłość. Jesienią zaczęłaby studiować fizykę na Uniwersytecie Leibniza. Gdyby żyła.

- Podobno była niezwykle uzdolniona matematycznie - powiedział Hallstein - i myślała o pracy naukowej. W czasie wolnym grała na skrzypcach, dość dobrze, była w sekcji drugich

skrzypiec w orkiestrze kameralnej, cieszącej się wysoką renomą. Miała chłopaka, ale chyba nie łączyły ich zbyt gorące uczucia.

- Ani trochę nie przypomina naszych ofiar z Vilette - ze zdumieniem zauważył Willy Bourgeois. - To świetna dziewczyna.

Martine nie mogła się powstrzymać.

- Co chcesz przez to powiedzieć?!

Willy popatrzył na nią zdziwiony.

- No, Christelle i Sabrina były trochę...

Nagle sobie uświadomił, że się zakałapułkał, i zrobił jakiś okrągły gest. Słowo „wyuzdane” wisiało w powietrzu, ale nie padło, może dlatego, że nie znał angielskiego odpowiednika.

- Pozostaje pytanie, jak i gdzie poznała mordercę - powiedziała Martine.

- Tak, i to jest interesujące - odparł Wally Hallstein. - Najpierw był podejrzany jej chłopak, głównie z tego powodu, że był jej chłopakiem i że się kłócili. Nic przeciwko niemu nie znaleziono, ale uznano, że młodzi zrobili sobie piknik, żeby się pogodzić, i wszystko poszło nie tak. Chłopak nie miał alibi, twierdził, że w tym czasie był na samotnym spacerze. Niewiele brakowało do wniesienia aktu oskarżenia, kiedy w ostatniej chwili pojawił się świadek, który w tym czasie, kiedy popełniono morderstwo, widział go na leśnej drodze parędziesiąt kilometrów dalej. Śledztwo, jak się mogłem zorientować, od początku źle prowadzono, zdecydowanie za wcześnie skupiono się na chłopcu, a kiedy się okazało, że jest niewinny, wszystkie inne tropy wystygły. Mordercy nigdy nie znaleziono.

- Czy wiadomo, co Julia Kessler robiła w dniach poprzedzających morderstwo? - spytała w napięciu Martine.

- Tak. - Hallstein wertował papiery. - Wydaje mi się, że to was zainteresuje. Otóż w dniach poprzedzających morderstwo odbywało się w Hanowerze posiedzenie Rady Europejskiej i dwa dni przed śmiercią Julia grała na skrzypcach na przyjęciu zorganizowanym przez uniwersytet dla uczestników posiedzenia, dziennikarzy, dyplomatów i tak dalej. Nie wystąpiła cała orkiestra, utworzono mały zespół smyczkowy złożony z młodszych muzyków. Grali coś Haydna, coś Mozarta, ani za krótko, ani za długo, żeby przydać przyjęciu klasy i nikogo nie zanudzić, po czym przyłączyli się do zaproszonych gości.

Podał Martine zdjęcie. Julia Kessler w czarnej sukni bez rękawów, z upiętymi włosami, ze szklanką koktajlową w dłoni, uśmiechnięta, pełna życia. Urocza, porządna i zadbana, o niezwykle inteligentnym, czystym, jasnym spojrzeniu.

- Poznała go na przyjęciu - powiedziała Martine. - Miał coś, co mogło ją skłonić do umówienia się z nim na piknik nad rzeką. Mamy cztery zaplanowane morderstwa i przypuszczalnie jednego sprawcę: Villette - tysiąc dziewięćset osiemdziesiąt dwa, Fontainebleau - tysiąc dziewięćset osiemdziesiąt cztery, Hanower - tysiąc dziewięćset osiemdziesiąt osiem - i Villette - tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt cztery. Rzeczywiście wygląda na to, że mamy do czynienia z europejskim seryjnym zabójcą, który od wielu lat mógł pozostawać bezkarny. Na pewno jest więcej ofiar. W opinii naszego lekarza sądowego, profesor Alice Verhoeven, morderstwo w Villette w osiemdziesiątym drugim nie było jego pierwszym.

- Ciekawe i przerażające - skomentował Hallstein. - Udawało mu się, bo podejrzanych szukano przede wszystkim w najbliższym otoczeniu zamordowanych dziewcząt. Nikt się nie zorientował, że chodzi o serię zabójstw, ponieważ sprawca działał ponad granicami. Ale popełnił błąd, atakując drugi raz w mieście, w którym już kiedyś zamordował.

Willy Bourgeois podrapał się w ucho. Miał pot na czole i chyba tęsknił za kuflem zimnego piwa. Nie do wiary, że to właśnie dzięki niemu są na tropie europejskiego seryjnego mordercy. Ale taka jest prawda, pomyślała cierpko Martine. Gdyby nie dostrzegł analogii do sprawy Christelle, nadal błądziliby po omacku. To pewnie największy wyczyn w jego dotychczasowej karierze, czego najwyraźniej sobie nie uświadamiał.

- Natrafienie na trop mordercy zawdzięczamy wyłącznie dobrej pamięci Willy'ego - powiedziała.

Willy popatrzył na nią w osłupieniu. W życiu się nie spodziewał, że usłyszy od Martine Poirot słowa pochwały.

- No dobrze - powiedział Wally Hallstein. - Jakie są wasze hipotezy dotyczące mordercy i, co najważniejsze, jak mogę wam pomóc?

Martine myślała o tym. Szukanie wszystkich ofiar tego samego sprawcy byłoby ciekawe jako trening intelektu, ale oni musieli znaleźć mordercę Sabriny, Peggy i Nadii. Inne jego zabójstwa były ważne o tyle, o ile mogły im pomóc w jego namierzeniu. Rano zadzwoniła do żandarmerii w Fontainebleau i skontaktowała się z kimś, kto zajmował się sprawą morderstwa w

roku 1984. Zobowiązał się jak najszybciej zdobyć listę dziennikarzy akredytowanych na szczycie UE.

Martine wyjaśniła, o co jej chodzi, i Walter Hallstein obiecał pociągnąć za wszystkie sznurki, żeby wydębic listę dziennikarzy akredytowanych na posiedzeniu Rady Europejskiej w Hanowerze.

- Teraz muszę już ruszać w dalszą drogę. Madame Poirot, madame Champenois, miło było poznać. Willy, Uta suszy mi głowę, że bardzo dawno was nie widzieliśmy, ciebie i Edith. Musimy coś z tym zrobić.

- Może przed wyjazdem znajdziesz chwilę, żeby przynajmniej wypić ze mną piwo - powiedział po niemiecku wyraźnie zawiedziony Willy. - Po drugiej stronie ulicy jest dobry lokal.

Wally Hallstein spojrział na swojego roleksa.

- Ale tylko jedno, nie więcej.

Panowie wyszli. Jeden dziarski i wysportowany, u szczytu kariery, drugi zmęczony i sflaczały, zbliżający się do emerytury.

Martine patrzyła za nimi.

- Wyjątkowo niedobrana para. Ciekawe, jak to się stało, że zostali przyjaciółmi.

Agnes podniosła wzrok znad notatnika do stenografii.

- Powinnaś widzieć Willy'ego Bourgeois dziesięćpiętnaście lat temu. Był ostry jak brzytwa, dwadzieścia kilo lżejszy i świetnie się zapowiadał. Ale coś się stało, nie wiem co, i stracił zapal. Chyba nie dostał jakiejś pracy, o którą się starał, i miał problemy w małżeństwie. Co robimy?

- Czekamy.

Île Saint Jean przypominała statek płynący ku morzu, z Pałacem Sprawiedliwości blisko dziobu. Na rufie, za Pałacem Sprawiedliwości i katedrą, za średniowiecznymi kamienicami i pozostałościami starego muru miejskiego, rozciągał się odludny park, położony w najwyższej części wyspy, gdzie do połowy XVII wieku było miejsce straceń w Villette. Na dawnym szubienicznym wzgórzu, noszącym obecnie nazwę Parc Saint Jean, oprócz krzaków, kamieni i niskich drzew były ławki, latarnie i alejki spacerowe. Ale mało kto tam przychodził. Mieszkańcy Villette trzymali się od tego miejsca z daleka, jakby strach, ból i cierpienie towarzyszące skazańcom wciąż były obecne.

Julie Wastia oparła łokcie o poręcz w punkcie widokowym i kopnęła kamyk. Wpadł do wody. Liczyła na to, że będzie w parku sama, i nie pomyliła się. Miała dosyć większości ludzi w Villette. Nie mogła otrząsnąć się z szoku po tym, co się wydarzyło po zatrzymaniu Jeana-Pierre'a. Poświęciła całe swoje życie, żeby dowieść, że nie jest taka jak jej krewni o wątpliwej reputacji, i myślała, że jej się udało, że została zaakceptowana. Ale kiedy zobaczyła wybite szyby i nienawistne napisy w salonie wujka, i leżącego na chodniku, poturbowanego Jeana-Pierre'a, przepełnił ją dławiący lęk i głęboki smutek. Ten, kto nosi nazwisko Wastia, zawsze będzie podejrzany. To nie miało żadnego znaczenia, że Julie była kancelistką w Pałacu Sprawiedliwości i szanowaną asystentką znanej sędzi śledczej. Jest tak, jak mówiła mama, pomyślała. Nazywam się Wastia i w tym mieście nigdy nie będę nikim więcej niż bękartem Josette Wastii.

Wróciły wspomnienia z dzieciństwa i opowieści babci - o strasznej nocy w czasie wojny, kiedy przyszli po nich Niemcy, a oni ukryli się w lesie, i koszmarnych dniach po wojnie, kiedy babcię Marie i dziadka Bernarda zamknięto w obozie dla kolaborantów, odbierając im Bruna i Jerry'ego.

Nie wiedziała, jak im się udało uniknąć wywózki. Domyślała się, że Bernard kogoś przekupił. Ale wielokrotnie słyszała o tym, że po wojnie dziadkowie zostali oczyszczeni z zarzutu kolaboracji. Marie Wastia bez przerwy opowiadała o prokuratorze wojskowym, który ich uniewinnił, bo szybko się zorientował, że oskarżenia opierały się wyłącznie na pogłoskach i złośliwych plotkach.

Sprawiedliwości stało się zadość, pomyślała Julie. Nie chciała słuchać cynicznych komentarzy Bruna. Nawet w czasach chaosu i zawirowań sądy wojskowe wydawały sprawiedliwe wyroki, winni podlegali karze, niewinni wychodzili na wolność. Wtedy Jean Heyse uniewinnił jej dziadków, teraz Martine Poirot wypuściła jej kuzyna - nie dlatego, że się przyjaźniły, ale żeby sprawiedliwości stało się zadość.

Julie stała samotnie na szubienicznym wzgórzu w ciemnych, przeciwsłonecznych okularach, z chustą na głowie. Odwróciła się plecami do wody i patrzyła na wieże katedry, odcinające się na tle nieba. Ciekawe, ilu moich przodków tutaj stracono, pomyślała. Katedra była ostatnią rzeczą, którą widzieli.

Tak czy inaczej, był ktoś, z kim chciała się spotkać, i właśnie szedł wąską ścieżką, biegnącą od starego muru miejskiego przez park do punktu widokowego. Po wypadku nadal



chodził o lasce. Na jej widok podniósł ją i pomachał na powitanie, pokazując w uśmiechu białe zęby, wyraźnie kontrastujące z jego opaloną twarzą.

- Niedługo obędę się bez laski - oznajmił z dumą, stając obok niej. - Lekarze mówią, że we wrześniu będę mógł wrócić do pracy. Wszystko idzie ku lepszemu! - Pocałował ją w oba policzki i cofnął się o krok. - W tej chuście i ciemnych okularach wyglądasz jak Audrey Hepburn w Rzymskich wakacjach. Dlaczego się za nią przebrałaś i dlaczego wybrałaś na miejsce spotkania szubieniczne wzgórze?

Skrzywiła usta w uśmiechu.

- Chcę zachować incognito, jak księżniczka Anna, ale nie dlatego, żeby się pozbyć adoratorów. Przeciwnie. Nie wiedziałam, że jesteś fanem Audrey Hepburn!

Dominic di Bartolo odstawił laskę, położył dłonie na poręczy i patrzył na lśniąca w słońcu rzekę. Julie przysunęła się bliżej. Nikt prócz niej nie wiedział, od jak dawna się w nim durzyła.

- Och, byłem zagorzałym wielbicielem Audrey, widziałem wszystkie jej filmy. Wiesz, że urodziła się w Brukseli, na Rue Keyenveld w Ixelles? - Dominic wyjął paczkę papierosów z kieszonki niebieskiej koszuli, poczęstował ją, odmówiła i sam zapalił. - To chyba duża ulga, że twój kuzyn wyszedł z aresztu, prawda?

- Nie słyszałeś najnowszych wiadomości - powiedziała z goryczą. - Leży w szpitalu ze wstrząśnieniem mózgu i połamanymi żebrami. Dziesięciu sprawiedliwych obywateli Villette napadło na niego koło bazaru. I wpłynął wniosek o wyłączenie Martine z prowadzenia sprawy, bo kiedy Jean-Pierre siedział w areszcie, piła ze mną kawę na Place de la Cathédrale. Oczywiście, głupio zrobiłam, że jej to zaproponowałam.

- Wiesz coś o postępach w śledztwie?

Pokręciła głową.

- Tylko tyle, co napiszą w gazetach. Trzymam się z daleka od wszystkich i wszystkiego, co ma związek z firmą, żeby nie przysparzać Martine dodatkowych problemów. Najchętniej trzymałabym się też z daleka od rodziny. Jestem zła na Jeana-Pierre'a i jednocześnie martwię się o niego. Nie wiadomo po co dwoił się i troił, żeby sprowokować tych chłopaków, którzy i tak by się na niego rzucili.

Dominic wyjął papierosa z ust i odwrócił się do niej.

- Powinnaś odpocząć od Villette. Co byś powiedziała na urlop w Rzymie w moim towarzystwie? Co prawda jeszcze nie chodzę zbyt dobrze, ale moglibyśmy wypożyczyć vespę i pojeździć jak Audrey Hepburn i Gregory Peck.

Zdjęła okulary i popatrzyła na niego w osłupieniu.

- Do Rzymu z tobą, ach, Dominicu, to... Nie wiem, co mam powiedzieć!

- Powiedz „tak”. Jeśli chcesz, możemy oczywiście wynająć dwa jednoosobowe pokoje.

Wybuchnęła śmiechem.

- To chyba zbyteczny wydatek, ale tak, Dominicu, naturalnie, że chcę pojechać z tobą do Rzymu!

Wyrzucił papierosa do wody, wziął laskę i ujął Julie pod ramię.

- Wobec tego usiądźmy gdzieś i zacznijmy planować naszą wspólną podróż. O, może tam!

Usiedli na ławce z widokiem na rzekę i Quai des Marchands na drugim brzegu. Za ławką rosły rododendrony, obsypane jasnoróżowymi i żółtymi kwiatami. W latach osiemdziesiątych miejski ogrodnik doszedł do wniosku, że powinny się dobrze czuć na lichej i kwaśnej ziemi szubienicznego wzgórza. I miał rację.

Julie znów przysunęła się do Dominica. Objął ją ramieniem. Wzięła laskę leżącą między nimi, żeby się do niego przytulić, i odstawiając ją za ławką, przy rododendronie, poczuła dziwny opór. Laska trafiła na coś nieprzyjemnie sprężystego. Zanim myśl Julie dotarła do mózgu, jej żołądek i nerwy wiedziały swoje. Nie wolno mi zwymiotować, pomyślała, to może być miejsce przestępstwa, absolutnie nie wolno mi zwymiotować, najważniejsze, żeby nie zwymiotować.

Dominic spojrzał na nią zdumiony. Miała bladozieloną twarz i zimny pot na czole.

Wstała na miękkich nogach i odsunęła gałęzie kwitnącego rododendronu.

Leżał tam młody mężczyzna w brązowej kurtce zapinanej wysoko pod szyję. Miał złotobrzazowe włosy i otwarte jasnobrzazowe oczy z widocznymi ciemnymi plamkami na rogówce.

Wyglądał na zdziwionego. Śmierć najwyraźniej go zaskoczyła na szubienicznym wzgórzu w Villette.

# ROZDZIAŁ 10

Środa, 29 czerwca 1994, Villette & Bruksela

Tatia wstała wcześniej. Martine leżała w łóżku i słyszała, jak się krząta w pokoju gościnnym. Chyba rozkładała deskę do prasowania i nuciła jakąś melancholijną melodię, którą jej młody głos przepełnił radością.

Rozległo się delikatne pukanie do sypialni.

- Masz spryskiwacz? - spytała szeptem Tatia, uchylając drzwi. - Albo ścierkę do prasowania?

Martine spojrzała na zegarek. Za kwadrans szósta. Obok spał Thomas, wciąż głęboko, pod zamkniętymi powiekami poruszały się gałki oczne, chyba się uśmiechał. Miała nadzieję, że śni o niej.

- Weź ręcznik kuchenny - szepnęła w odpowiedzi. - Znajdziesz czysty w bieliźniarce, wybierz któryś z przetartych.

Kiedy Tatia cicho zamknęła drzwi, Martine przewracała się na łóżku. Nic z tego, nie zaśnie. Ledwie otworzyła oczy, mózg zaczął pracować na pełnych obrotach i skoczył jej poziom adrenaliny. Światło słoneczne sączące się do sypialni między zasłonami oznaczało tylko jedno - nowy dzień, nową szansę rozwiązania sprawy morderstwa Nadii, Peggy i Sabriny. Może jej ostatnią szansę.

Czuła, że zaciskają się wokół zabójcy, miała niemal fizyczne przeświadczenie, że są tużtuż. Tak jakby się weszło do pokoju, który ktoś przed chwilą opuścił, pozostawiając po sobie na przykład zapach wody po goleniu, ciepłe krzesło, na którym dopiero co siedział, wilgotny odcisk dłoni na blacie stołu. Ktoś z jej otoczenia spotkał mężczyznę, którego szukają, patrzył mu w oczy, słyszał jego głos, odnotował jego słowa. Była tego absolutnie pewna.

Christian pytał dziennikarzy, z którymi się spotkał w Brukseli, co się wydarzyło w hotelu przed procesją i po niej. Był już po rozmowie z Nigelem Richardsem i Francesco Marinellim, ale musiał do nich wrócić, kiedy się dowiedział o butelce szampana. Marinelli wydawał się lekko zdziwiony nagłym zainteresowaniem się policji jego szampanem.

Martine, Agnes, Annick i Christian siedzieli potem do późnego wieczoru, deliberując, kto mógł ukraść butelkę. Niestety, do niczego nie doszli. Martine zarządziła minirekonstrukcję.

Lubiła rekonstrukcje. Prawie zawsze wносиły coś nowego. Zupełnie poważnie rozważała rekonstrukcję wydarzeń na rynku bezpośrednio po procesji, ale byłoby to porównywalne z wystawieniem opery Wagnera: czas, czas, czas.

Poszukiwania samochodu, który widział Jean-Pierre, na razie nic nie dały. Żaden z dziennikarzy na liście nie miał ani określonego modelu bmw, ani mercedesa. Według rejestru Francesco Marinelli i Nigel Richards w ogóle nie mieli samochodu, co było dziwne, bo Christian sam słyszał, jak narzekali na kłopoty z parkowaniem. Ale cudzoziemcy często jeździli na rodzimych rejestracjach, żeby uniknąć drogiego belgijskiego ubezpieczenia.

Martine zsunęła nogi z łóżka i usiadła. I tak nie zaśnie. Wzięła długi gorący prysznic. Ale ani ciepła woda, ani piana o zapachu lawendy jej nie zrelaksowały.

Owinęła mokre włosy ręcznikiem i weszła do pokoju gościnnego, gdzie Tatia ze zmarszczonym czołem stała przy desce do prasowania.

- Trzeba bardzo uważać na zakładki i obciążane guziki - powiedziała, przeciągając syczącym, buchającym parą żelazkiem po wilgotnym ręczniku. - To bluzka, którą Sophie dzisiaj włoży. Będziesz się teraz ubierać? Świetnie, poczekaj! - Wspięła się na palce, żeby zdjąć coś, co wisiało na drzwiach. - Tadam! Niespodzianka! Siedziałam nad tym wczoraj wieczorem, mam nadzieję, że długość będzie w sam raz.

Zielona sukienka z jedwabnej krepy, z króciutkimi rękawami, długim wąskim kołnierzykiem i obcisłą spódnicą szytą ze skosu. Martine nie miała cienia wątpliwości, że to coś dla niej.

- Lata trzydzieste - powiedziała z zachwytem. - Znalazłaś ją w tym słynnym kufrze?

Tatia skinęła głową, rozpromieniona.

- Przymierz. Pomogę ci upiąć włosy, gdybyś chciała ją dzisiaj włożyć.

Że też sukienka może mi sprawić tyle radości, pomyślała Martine, wracając do sypialni z nowym nabytkiem, jeszcze ciepłym od prasowania. To najbardziej dobitna oznaka powierzchowności. Chociaż dzięki modowemu zacięciu rozwiązała poprzednią sprawę morderstwa. No, prawie.

Wiedziała, że ma buty z lat czterdziestych, które powinny pasować do sukienki, z czarnego zamszu, na grubym słupku. Prawdopodobnie nosiła je Renée. Martine znalazła je na

strychu, kiedy opróżniała dom swojego dzieciństwa po śmierci rodziców. Teraz stały gdzieś w zakamarkach garderoby.

- Proszę, przygotuj śniadanie - zwróciła się do Thomasa, który siedział na łóżku i przecierał oczy. - Tatia zrobi mnie na bóstwo.

Pół godziny później Martine stała przed lustrem w zielonej sukience, podziwiając dzieło Tatii, fryzurę z lat trzydziestych: łagodne fale okalające twarz i niski kok. Ledwie mogła się rozpoznać.

Tatia włożyła sukienkę w groszki z lat czterdziestych. Martine objęła bratanicę w pasie i uśmiechały się do siebie w lustrze, z pewną przesadą, jakby pozowały do odległych w czasie zdjęć reklamowych.

Wyglądamy inaczej, pomyślała Martine. Kogo przypominamy?

Nagle mocniej zabiło jej serce. Wyglądamy jak na zdjęciu, które znalazła Tatia, zdjęciu mamy i jej jasnowłosej przyjaciółki. Poczula ciarki na plecach, jakby ktoś przesunął po nich lodowatym palcem.

- Śniadanie! - zawołał Thomas.

Do sypialni dotarł kuszący zapach świeżo zaparzonej kawy. Martine wzięła aktówkę z gabinetu i zeszła po schodach w czarnych zamszowych pantoflach Renée. Pasowały idealnie, jakby sama je kupiła.

Na pierwszej stronie „Gazette de Villette” donosiła o kolejnym morderstwie w mieście, tym razem młodego mężczyzny, którego zwłoki znaleźli w parku na skraju Île Saint Jean Julie i Dominic. Martine natknęła się na Julie w korytarzu, kiedy szła do sędziego śledczego François Cooremansa, któremu powierzono tę sprawę. Była w kiepskim stanie. Po tym, co przeżyła, to nic dziwnego, pomyślała Martine. Najpierw widzi, jak masakrują jej kuzyna, potem odkrywa ofiarę morderstwa. Mimo to, z wypiekami na twarzy, zwierzyła się, że jedzie na urlop z Dominikiem.

- Znowu nieboszczyk! - zakrzyknęła Tatia. - Koszmar! Niewiele brakuje, żeby Villette robiło za stolicę morderców.

Obficie posmarowała kromkę wiejskiego chleba marmoladą z moreli i zatopiła się w lekturze mało treściwego artykułu Nathalie Bonnaire, która z braku laku pozwoliła sobie na szyte grubymi nićmi aluzje do potrójnego morderstwa.

- Wiadomo, kim jest ofiara? - spytał Thomas.

Martine pokręciła głową.

- Nie, nie znaleziono przy nim portfela ani dowodu osobistego. Na pierwszy rzut oka wygląda to na zabójstwo na tle rabunkowym. Miał na sobie drogie ubranie, markowe buty od Magliego i kurtkę szytą na miarę. W wewnętrznej kieszeni miał bilet powrotny do Brukseli, więc prawdopodobnie nie był z Villette.

Kanapka w dłoni Tatii zdrzała.

- Wiadomo coś więcej o tej kurtce? - spytała lekko przestraszona, obrzucając Martine niespokojnym spojrzeniem. - Wczoraj na rynku poznałam kogoś z Brukseli w przecednej kurtce, którą ktoś mu uszył. Ale to chyba nie on? Powiedział, że zna tatę...

Willy Bourgeois, oderwany od przyjemnej pogawędki przy piwie z Wallym Hallsteinem, musiał się zająć kolejnym śledztwem w sprawie morderstwa razem z François Cooremanssem. Martine słyszała, jak mówił, że młody mężczyzna wyglądał „jak ciota, miał długie włosy, obcisłe spodnie i jakąś pedalską kurtkę”.

Może to ktoś, kto obracał się w tych samych kręgach co Philippe.

Popatrzyła na Tatię.

- Myślę, że powinnaś porozmawiać z sędzią. Możesz się zabrać ze mną do Pałacu Sprawiedliwości. Przymuszczałnie to nie on, ale lepiej dmuchać na zimne.

- Czy będę musiała zobaczyć... ciało?

Nieboszczyk pewnie leży na stole sekcyjnym, z rozplatanym mostkiem i obnażonym mózgiem. Alice Verhoeven miała dokonać sekcji wcześniej rano.

- Wystarczy, jeśli obejrzysz zdjęcia - powiedziała uspokajająco Martine - i rzucisz okiem na jego ubranie. Czy mówił ci coś o sobie?

- Wiem, że ma na imię Giovanni i interesuje się modą. Przez pół godziny rozmawialiśmy o ciuchach, stylach i takich rzeczach. Aha, i powiedział, że parę dni temu spotkał się z tatą. - Tatia położyła do połowy zjedzoną kanapkę na talerzyku i wstała od stołu. - Mam nadzieję, że to nie Giovanni. Polubiłam go - rzuciła przez ramię, idąc do kuchni.

Philippe wsiadł do autobusu linii 65. Mimo wczesnej pory i otwartego szyberdachu w środku panowała duchota i plastikowe siedzenia były wściekle gorące. Kiedy się wzbogaci dzięki swojemu biznesowi i inwestycji Tony'ego, będzie jeździł taksówkami z klimatyzacją. Albo kupi sobie samochód. Chociaż nigdy nie był dobrym kierowcą.

Wysiadł z autobusu na rześkie powietrze. Z zadowoleniem skonstatował, że wciąż nieźle się prezentuje. Letni jasnoszary garnitur z cienkiej wysokogatunkowej wełny, na który nigdy nie

byłoby go stać, dobrze zniósł podróż. Kiedy zaczniesz zarabiać, sam będzie płacił za swoje garnitury.

Podszedł do wartowni, po prawej od głównego wejścia do kwatery NATO, odgradzonej okratowanymi bramami.

- Jestem umówiony z pułkownikiem Gaumontem z delegacji francuskiej - powiedział pewnym tonem, okazując dowód osobisty.

Młody wartownik starannie obejrzał dokument, potem Philippe'a i sprawdził nazwisko na liście.

- Oczywiście - powiedział z respektem. - Powiadomię pułkownika.

Podniósł słuchawkę, wyjął plakietkę dla gości, powiedział coś, czego Philippe nie usłyszał, wręczył mu plakietkę i wskazał ręką przed siebie.

- Tędy, proszę. Pułkownik czeka. Podpułkownik Henri Gaumont, doradca wojskowy francuskiej delegacji w NATO, przywitał go przed wejściem do niskiego budynku głównego. Sprawny fizycznie pięćdziesięciolatek o szczupłej opalonej twarzy, ze zmarszczkami śmiechu wokół ust. Philippe, który z zasady nie lubił wojskowych, miał słabość do przystojnych mężczyzn w mundurach, a Henri Gaumont wyglądał jak aktor z francuskiego filmu wojennego, grający prawego twardziela. Poznali się u wspólnych znajomych, znali się dość powierzchownie, ale wystarczająco dobrze, żeby Philippe mógł do niego zadzwonić i poprosić o pomoc w poszukiwaniach tajemniczego Rogera de Wachtera.

Henri Gaumont przywitał się szorstkim, męskim uściskiem dłoni. Żadnych pocałunków w policzek w Kwaterze Głównej NATO, pomyślał Philippe z rozbawieniem. Może ma to związek z mundurem. Kiedy się spotykali, pułkownik zawsze był po cywilnemu.

- Niestety, czas mnie goni - zaczął Gaumont. - Już po rozmowie z tobą dowiedziałem się o dzisiejszej naradzie. Ale mam pół godziny i na pewno zdążę ci przekazać tę garść informacji, które udało mi się zebrać o dziewięciopalczastej madame Doumecq i jej rodzinie.

Poprowadził Philippe'a korytarzami do małego pokoju, opatrzonego jego nazwiskiem na drzwiach.

- Siadaj. - Wskazał na jedyne krzesło dla gości. - Przypomnij mi, co cię interesuje.

Huguette Morin powiedziała, że Philomene, ciotka, która obiecała zaopiekować się Rogerem de Wachterem, była żoną francuskiego oficera i że kiedy siostrzeniec pojechał do nich do Paryża, przypuszczalnie szykowali się do wyjazdu do Algierii. Philippe słyszał, że Henri

Gaumont, który zbliżał się do sześćdziesiątki, chociaż wyglądał dużo młodziej, był w Algierii w latach pięćdziesiątych. Małe były szanse, żeby coś wiedział, ale jak się okazało, warto było spróbować.

Philippe szybko zrelacjonował wyniki poszukiwań mężczyzny, który być może zesłał jego matkę do obozu koncentracyjnego i być może wrócił do Belgii.

- Interesuje mnie siostrzeniec, który teraz pewnie nie nazywa się de Wachter.

- No tak. - Gaumont w zadumie przesunął palcami po małych wąsach. - Może najpierw naszkicuję tło. Wyjechałem do Algierii w pięćdziesiątym siódmym, zaraz po ukończeniu Akademii Wojskowej SaintCyr, do pierwszego pułku strzelców spadochronowych. To był pułk mojego ojca i ja oczywiście też chciałem w nim być. Wtedy stacjonował w Philippeville, mieście portowym we wschodniej Algierii. Jednym z oficerów był major Marcel Doumecq, mąż twojej Philomene. Wielokrotnie widywałem madame Doumecq, lubiła organizować przyjęcia dla młodych oficerów, uchodziła za bardzo atrakcyjną kobietę, mimo że nie była piękną. Ale ja się na tym nie znam. Krążyły różne pogłoski o tym jej brakującym małym palcu. Najokrutniejsza była taka, że podczas wojny działała w ruchu oporu i torturowali ją Niemcy. Oficer SS odciął jej palec bagnetem i na jej oczach rzucił go do zjedzenia swojemu psu. W rzeczywistości, o czym mi sama powiedziała, przytrzasnęła go w dzieciństwie drzwiami.

Philippe nie mógł się powstrzymać.

- Opowiadaliście sobie mroźną historię o okrucieństwie Niemców?

Henri Gaumont uważnie mu się przyjrzał i rozciągnął usta raczej w grymasie niż w uśmiechu.

- Rozumiem, co masz na myśli. Dzisiaj wszyscy wiemy, że walki w Algierii nie przyniosły chluby francuskiej armii. Ale byli oficerowie, którzy protestowali przeciwko torturom, nawet wysocy oficerowie, na przykład generał Pâris de Bollardiere. Interesuje cię siostrzeniec madame Doumecq, dlatego wspominałem o pogłoskach. Chodziły słuchy, że z przybranym synem majora Doumecq i jego żony jest coś nie tak. Mówiło się, że był członkiem partii komunistycznej, i mówiło się, że sympatyzował z rebeliantami. Wiem na pewno, że w pięćdziesiątym siódmym nie było go w Algierii. Nie był przecież smarkaczem. Jeśli to ten twój Roger de Wachter, to był pewnie starszy ode mnie.

- Urodził się w dwudziestym dziewiątym, w pięćdziesiątym siódmym miał dwadzieścia osiem lat.



- Aha. W każdym razie już go nie było w Algierii. Usłyszałem też coś więcej niż pogłoskę. Opowiedział mi o tym jeden z szeregowych, młody żołnierz, który został ranny razem ze mną podczas ataku. Nic poważnego, ale na krótko trafiliśmy do szpitala. Kilka lat wcześniej był przy tym, kiedy została skatowana na śmierć młoda kobieta. Bardzo go to poruszyło. Ta kobieta była w kontakcie z przybranym synem majora Doumecq, miał dokumentować ich walkę, czy jak to nazwać, i to on ją wydał. Oficer prowadzący przesłuchanie powiedział, że „nareszcie ten nieudacznik zrobił coś pożytecznego”. I chyba wtedy chłopak uznał, że lepiej opuścić Algierię. Na pewno miał mnóstwo wrogów.

- Wiesz, jakiego używał nazwiska? - spytał Philippe.

- Wiem, że nie de Wachter i nie Doumecq. Może panińskiego nazwiska matki? Ale go nie znam.

- Frémont. Jego matka nazywała się Suzanne Frémont.

Gaumont zmarszczył czoło.

- Brzmi znajomo. Frémont i jedno z najpopularniejszych francuskich imion... Pierre Frémont? Jean Frémont? Jacques Frémont? Antoine Frémont? Nie, nie wiem. Obawiam się, że nie będziesz miał żadnego pożytku z tych informacji.

Philippe wcale tak nie myślał. To, co usłyszał od Gaumonta, potwierdzało jego przypuszczenia, że Roger de Wachter wydał Renée i Simone i że nie był to jednorazowy błąd, którego żałował do końca życia. Przeciwnie. W Philippeville, tak jak w Uccle, wydał kobietę, która mu ufała, skazał ją na tortury i śmierć. Zamazany obraz nieznanego Rogera de Wachtera zaczął nabierać ostrości. Philippe zobaczył młodego mężczyznę, który buntował się przeciwko autorytetowi ojca, a stał się jego narzędziem. Może potem postępował podobnie. Może miał do ukrycia inne zbrodnie niż jeden donos sprzed pięćdziesięciu lat. Może dlatego Eric Janssens musiał umrzeć, rozpoznawszy w nim sąsiada z dzieciństwa.

- Czytałeś Rodzinę Thibault? - spytał Philippe.

Henri Gaumont uniósł brwi.

- Rogera Martina du Garda? Jasne, czytałem we wczesnej młodości. Trochę się durzyłem w Jacques'u, no wiesz, tym zbuntowanym bracie, ale w końcu wybrałem porządnego, dobrze ułożonego Antoine'a. Pamiętam, że mieszkali w Paryżu na Rue de l'Université, i zaraz po lekturze poszedłem zobaczyć ten dom. Dziadkowie ze strony mamy mieszkali bardzo blisko, na rogu Rue de Lille i Rue des SaintPeres. A czemu pytasz?

- Roger de Wachter lubił tę powieść.

- Może dostał imię po du Gardzie? Tak czy inaczej, mogę sobie wyobrazić, że major Doumecq był takim samym tyranem jak Oscar Thibault. Ten sam typ.

Gaumont spojrział na zegarek.

Philippe natychmiast się podniósł, ale miał tu jeszcze coś do załatwienia.

- Chciałbym zadzwonić - powiedział. - Pomyślałem, że może mógłbym skorzystać z działu prasowego...

...i zadzwonić za darmo. - Henri Gaumont wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Proszę. Nie będę cię powstrzymywał. Trafisz? Mogę pójść z tobą, jest tu wewnętrzne przejście, nie będziesz musiał wychodzić na zewnątrz.

I ruszyli korytarzami.

- Może słyszałeś, że moja żona umarła - powiedział Gaumont.

Philippe pokręcił głową. Wiedział, że Gaumont był żonaty, i zastanawiał się, jak mu się układało w małżeństwie. Kiedyś widział go z żoną w restauracji. Elegancka, wyniosła Francuzka około pięćdziesiątki. Wyglądało na to, że dobrze się czuli w swoim towarzystwie.

- Przykro mi - skomentował uprzejmie. - Długo byliście małżeństwem?

- Prawie dwadzieścia pięć lat i biorąc pod uwagę szczególne uwarunkowania, byliśmy bardzo szczęśliwi. Ty chyba też byłeś żonaty?

- Owszem, ale biorąc pod uwagę nasze szczególne uwarunkowania, to była katastrofa. Jak wam się to udawało?

- O, zaręczyliśmy się jeszcze w młodości. Zaaranżowali to nasi rodzice, zupełnie jak w Indiach, nie mieliśmy nic do powiedzenia. Uznali, że to najlepszy sposób, żeby nas zdyscyplinować. Florence kochała się w ich chłopcu stajennym, ja też. Zawsze byliśmy jednak otwarci na siebie. Ona miała swoje sprawy, ja swoje, ale mimo to udało nam się splodzić dwoje dzieci. Florence była moją najlepszą przyjaciółką.

Philippe zerknął na Gaumonta. Wątpił, żeby Bernadette zgodziła się na takie małżeństwo. On sam też by tego nie chciał. Po rozwodzie nigdy z nikim nie związał się na dłużej, nie pociągały go milutkie wieczory spędzane w domowym zaciszu z Bernadette w męskim wydaniu. Monogamia go nudziła. Ale kiedy Henri Gaumont mówił o Florence jako najlepszej przyjaciółce, obudziła się w nim jakaś tęsknota, dojmujące poczucie braku, i nie bez zdziwienia uświadomił sobie, że w całym jego życiu nigdy nie było kogoś, komu mógłby się zwierzyć.

- To tutaj - powiedział Gaumont. - Wiesz, gdzie są kabiny? No to cię zostawiam. Słuchaj, może byśmy któregoś wieczoru wybrali się na kolację? Tylko ty i ja.

Powiedział to nonszalancko i bez przekonania.

- Chętnie.

Philippe, z radosnym podnieceniem, które go zaskoczyło, patrzył na szczupłe plecy oddalającego się korytarzem Henriego Gaumonta.

Po chwili wziął krzesło i wszedł do jednej z kabin telefonicznych. Podejrzewał, że odszukanie numeru Davida Mendla w USA zajmie trochę czasu.

Podniósł słuchawkę, żeby połączyć się z międzynarodową informacją telefoniczną, ale się rozmyślił. Coś nie dawało mu spokoju, uwierało jak ziarenko piasku w bucie. Podświadomość podpowiadała mu, że Henri Gaumont powiedział coś ważnego i jeśli tylko przypomni sobie kontekst, uzyska odpowiedź na wszystkie pytania.

Niestety, nie miał pojęcia, co to było.

- Tak, to on - powiedziała Tatia. - Giovanni. A to jest jego kurtka, na sto procent.

Głos lekko jej drżał. Nietrudno było zauważyć, że młody mężczyzna na zdjęciach nie żyje. Leżał z szeroko otwartymi, pustymi oczami. Na biurku François Cooremansa były części jego garderoby, starannie ułożone w plastikowych workach.

- Czy powiedział, co robi w Villette? - spytał Cooremans, patrząc na nią bystrzymi ciemnobrązowymi oczami.

- Tak... - Tatia zmarszczyła czoło. - Umówił się z kimś, kto miał mu ewentualnie załatwić pracę stylisty. Wspomniał o tym na odchodne, nic więcej nie wiem.

- Giovanni to włoskie imię. Czy był Włochem?

- Hm... - Tatia zawahała się. - Miał lekki obcy akcent, ale świetnie mówił po francusku. Wydaje mi się, że to nie był włoski akcent, tylko raczej niemiecki. Mój tata na pewno wie więcej, bo Giovanni powiedział, że się znają.

François Cooremans przeniósł wzrok na Martine, która stała oparta o futrynę.

- Ojciec mademoiselle jest twoim bratem, prawda? Gdzie go znajdę?

Martine westchnęła. Bardzo by chciała, żeby Philippe miał telefon. Twierdził, że go nie stać, ale podejrzewała, że uwielbia być nieosiągalny.

- Nie ma telefonu - powiedziała. - Dam ci numer do pracy. Ale zaczyna późno, więc pewnie jeszcze nie przyszedł.

- Tata najczęściej zaczyna o trzeciej - gorliwie doprecyzowała Tatia, dotykając worka z brązową kurtką i obrzucając François Cooremansa rozbijającym spojrzeniem. - Czy mogłabym ją wyjąć, żeby się dokładniej przyjrzeć? Jest rewelacyjnie uszyta, proszę tylko rzucić okiem na podszewkę i patki.

- Niestety, nie, technicy jeszcze jej nie zbadali - odparł, zerkając przepaszająco na Martine.

Uśmiechnęła się do niego w odpowiedzi. Ulżyło jej, że Tatia nie przeżyła śmierci Giovanniego aż tak, żeby się nie zainteresować krojem jego kurtki.

- Okej. - Tatia wstała. - To wszystko?

Uścisnęła rękę François Cooremansowi i wzięła Martine pod ramię.

Ruszyły w stronę pałacu biskupiego i wyjścia na rynek.

- Idę teraz do Sophie - poinformowała Tatia. - O wpół do pierwszej będzie u niej fotograf, obejrzymy trochę fotosów z tego starego filmu i zastanowimy się, jak ją ubrać.

Pomachała do Martine i lekkim krokiem pomaszerowała przez rynek w zwiewnej sukience z lat czterdziestych. Martine długo patrzyła za nią, a potem wróciła do aneksu.

Pantofle Renée już nie były takie wygodne. Coś ją cisnęło. Uwierało.

Korytarz hotelowy odgrodzono. Dwóch gości, którzy się nie wymeldowali wcześniej rano, usunięto z pokoi, przepaszając w imieniu dyrekcji i zapewniając darmowe posiłki w barze i darmową kolację w restauracji.

Christian zebrał grupę policjantów do rekonstrukcji. Stawili się również dyrektor hotelu, sprzątaczką MarieLou Nawezi, kierowniczką Louise Bouvin i kelnerzy obsługujący pokoje na tym korytarzu w dniu morderstwa.

Christian pomachał plikiem kartoników z nazwiskami. - Proszę, wybierajcie role. - Ja chcę być Włochem - powiedział technik kryminalistyczny Luc Santini i przypiął sobie kartonik z napisem „Francesco Marinelli”.

Serge Boissard wyszczerzył się do Annick.

- Ja mogę być Stefanem Schumannem, a ty Emmą O’Neill.

- In your dreams - odparowała Annick. - Będę Cecilią Nolte.

Emma O’Neill, biuściasta dama, która dotrzymywała towarzystwa dziennikarzowi Stefanowi Schumannowi w jego pokoju, dając mu tym samym alibi, była lobbystką z branży rolniczej z Brukseli, żoną doradcy irlandzkiego komisarza UE. Christian wydusił jej nazwisko od

dziennikarza i spotkał się z nią w jej biurze na Rue Belliard. Prosiła o dyskrecję, ale nie wydawała się tym zbyt przejęta.

- Co robi taki lobbysta? - spytał Serge.

- Jeśli dobrze zrozumiałem, Emma O'Neill pracuje na rzecz wzrostu konsumpcji tłuszczu masłowego - odparł Christian. - Często wyjeżdża.

- Oczywiście z kostkami masła w walizce - skomentował Serge. - Widzieliście Ostatnie tango w Paryżu? To się nazywa właściwa konsumpcja tłuszczu masłowego!

Christian wręczył kartonik skromnemu sześćdziesięciolatkowi z archiwum prokuratury.

- Ty będziesz Emmą.

Archiwista nieoczekiwanie od razu wczuł się w rolę i kręcąc biodrami, ruszył korytarzem, czemu towarzyszyły pogwizdywania i aplauz kolegów, i zdumione miny pracowników hotelu.

Christian rozdał pozostałe kartoniki.

Martine spojrzała na zegarek.

- Zaczynamy. Idźcie do pokoi, jakbyście się przed chwilą zameldowali.

Pokój 210 stał pusty, Marinelli zajmował 204, Richards 206, Schumann 212, a Cecilia Nolte, niemiecka dziennikarka kulturalna, 208.

- Okej. Emma O'Neill!

Archiwista wyszedł na korytarz rozkołysanym krokiem i rozejrzał się ukradkiem. Z pokoju Marinellego wyjrzał Luc Santini i rozłożył ramiona.

- Emma, carissima mia, ty też tutaj? Zapraszam, mam u siebie kosz pyszności. Co robisz w Vilette?

Archiwista zerknął do kartki.

- Przyjechałam na konferencję - zapiszczał sztucznym głosem. - A ty? Podobno w hotelu jest dużo dziennikarzy.

Emma O'Neill, która знаła większość korespondentów zagranicznych w Brukseli, powiedziała Christianowi, że się zirytowała, widząc Marinellego wyglądającego z pokoju akurat w tym momencie, kiedy szła do kochanka. Nie miała odwagi mu odmówić, ale nakłoniła go, żeby zaprosił do siebie pozostałych dziennikarzy.

Luc Santini pukał kolejno do drzwi.

- Zbiórka u mnie! - wołał. - Siete benvenuti, cari amici!

Chwilę później archiwista usadowił się na jedynym fotelu w pokoju, Serge Boissard stał obok, oparty o ścianę, a Annick siedziała na łóżku z Christianem, który odgrywał Nigela Richardsa. Luc Santini wyjął butelkę wody mineralnej udającej szampana i puścił w obieg pusty kosz.

- Czas na monsieur Carona - powiedziała Martine.

Młody francuski dyrektor hotelu osobiście powitał wszystkich dziennikarzy, zapytał, czy są zadowoleni, i zaprosił ich na zaaranżowane naprędce cocktail party na przestronnym podeście na piętrze. Teraz zajął do pokoju 204 i nienaturalnym głosem powtórzył swoje słowa, wypowiedziane w dniu morderstwa. Wszyscy udali się z nim na podest. Jednocześnie w wąskim przejściu łączącym obydwie korytarze pojawiła się MarieLou Nawezi. Luc Santini odwrócił się i spytał, czy nie zechciałaby mu uprasować paru koszul. Weszła do pokoju, powiesiła w łazience wymyślane ręczniki i wyszła z wymyślanymi koszulami.

- Proszę się zatrzymać - powiedziała Martine. - Mademoiselle Nawezi, czy kiedy pani wtedy weszła, widziała pani butelkę szampana?

- Tak - odparła niespiesznie. - Nie było jej w koszyku, stała w słońcu na parapecie. Wydawało mi się, że to nie najlepsze miejsce.

To logiczne, pomyślała Martine, że butelka wtedy nie zniknęła. Ponieważ Francesco Marinelli opuścił pokój ostatni, gdyby ktoś ją zabrał, raczej na pewno by to zauważył.

Po drinkach podochocone towarzystwo znów zebrało się u Marinellego. W pokoju było kilkanaście osób: dziennikarze z innych pięter, Emma O'Neill, konsultant IT z Brukseli, który zapalał sympatią do Cecilii Nolte, i przyjaciel Sophie, Jacques R. Martin, który nie był uczestnikiem wycieczki prasowej, ale mieszkał w tym hotelu i znał kilku dziennikarzy z dawnych czasów. Sporo z nich przyszło ze swoimi kieliszkami i zostawiło je w pokoju. Jeden z kelnerów później je stamtąd zabrał.

- Wtedy butelka jeszcze była - powiedział nastoletni chłopak z mieszkaniem nad górną wargą. - Jestem pewien, bo pamiętam, że na nią spojrzałem. Moët i Chandon, nieźle, co?

Byłem ciekawy, kto tyle wybulił.

Po procesji dziennikarze wrócili w rozproszonych grupkach. Stefan Schumann urwał się wcześniej, gdy tylko procesja opuściła Place de la Cathédrale, i spędził popołudnie i wieczór w niezmaconym szczęściu z Emmą O'Neill. Marinelli i Richards przyszli z rynku razem z innymi. Towarzyski Marinelli znów zaprosił wszystkich do siebie i bez przerwy ktoś do niego wpadał,

żeby się podzielić wrażeniami, pokazać zdjęcia albo omówić plany na wieczór. I wtedy MarieLou Nawezi przyniosła Marinellemu świeżo wyprasowane koszule.

- Która to była godzina? - spytała Martine, kiedy MarieLou otworzyła drzwi.

- MarieLou poszła do pokoju o siedemnastej trzydzieści - odparła kierowniczką. - To zostało odnotowane.

- Powiesiłam koszule i zapytałam, czy wstawić szampana do lodówki, bo szkoda, żeby się grzał na parapecie - wyjaśniła MarieLou. - Przyznał mi rację, więc wstawiłam.

Otworzyła małą lodówkę i wstawiła wymyśloną butelkę.

- Ile osób było wtedy w pokoju?

MarieLou Nawezi zmarszczyła czoło i zamknęła oczy.

- Ten od koszul, na łóżku siedziało dwóch albo trzech starszych panów, a jeden młodszy, chyba z angielskiej telewizji, siedział na krześle przy biurku.

W pokoju Marinellego rzeczywiście był korespondent BBC z operatorem, Nigel Richards, Jacques Martin i na chwilę zajrzał Stefan Schumann, żeby się dowiedzieć, czy podczas procesji wydarzyło się coś ciekawego, i poinformować, że nie będzie go wieczorem na kolacji, bo ma migrenę.

Chwilę później wszyscy goście opuścili pokój 204. Marinelli położył się, żeby odpocząć, ale poczuł pierwsze objawy bólu głowy, wstał i zapukał po sąsiedzku do Nigela Richardsa, żeby go poprosić o jakieś tabletki. Richards, niestety, nic takiego nie miał, więc Marinelli zszedł do recepcji. Zostawił uchylone drzwi, bo idąc do Richardsa, nie wziął z sobą klucza. Kiedy wrócił do pokoju i sięgnął do lodówki po wodę mineralną, żeby popić tabletki, szampan zniknął.

Tatii groziło totalne zauroczenie szwagierką Martine. Imponowała jej nie tylko kariera filmowa Sophie Lind, przyjaciele w Hollywood, nagrody na festiwalach w Cannes i Berlinie, i nie tylko to, że była cenionym reżyserem o międzynarodowej renomie. Nie, największe wrażenie zrobiła na niej jej integralność: było w niej coś niemal przerażająco silnego i prawdziwego. Była sobą, nie musiała nikomu niczego udowadniać, miała w nosie oceny innych. Ja nigdy taka nie będę, myślała Tatia z mieszaniną podziwu i zazdrości.

Oczywiście, Martine też ubóstwiała, podziwiała jej prawość i przenikliwy intelekt.

Wiedziała jednak, że codziennie rano musiała się spinać, żeby być tym, kim chciała, i grać tę rolę, którą chciała. Martine miała w sobie ziarno niepewności i potrzebę sukcesu. Ilekroć wychodziła na spotkanie świata, wkładała pancerz. Tatia czuła, że jest do niej podobna.

- Ile miałaś lat? - spytała, pokazując Sophie jej zdjęcie, na którym z zamyśloną miną patrzy gdzieś ponad murem cytadeli w Namurze.

Siedziały w jej wynajętym mieszkaniu i przeglądały stare fotografie.

- Dziewiętnaście - odrzekła Sophie. - Byłam wtedy olśniewająco piękna, prawda?

Powiedziała to z chłodnym obiektywizmem, bez cienia kokieterii. Tatia wiedziała, że nie zależy jej na dość oczywistej reakcji, a mimo to nie mogła się powstrzymać:

- Wciąż jesteś olśniewająco piękna!

Sophie uśmiechnęła się lekko.

- Młodość jest przeceniana, moja droga. Nie powiedziałabym, że ci zazdroszczę, ale to nic przyjemnego, kiedy skóra zaczyna tracić jędrność i robią się chomiki.

Tatia zdobyła się na odwagę i zadała jej pytanie, które nurtowało ją od dawna:

- Jak zareagowali twoi rodzice, kiedy wyjechałaś do Szwecji, zaczęłaś grać, wyszłaś za mąż i tak dalej?

Sophie wzruszyła ramionami.

- Nie mieli nic do gadania. Gdyby próbowali wtrącić swoje trzy grosze, i tak bym ich nie posłuchała. Widzisz, kiedy miałam trzynaście lat i pierwszy raz zobaczyłam 400 batów, a w Comédie Française Andromachę Racine'a, oszalałam na punkcie filmu i teatru. Zrobiłabym wszystko, byle się znaleźć w tym świecie, i nikt nie był w stanie mnie powstrzymać. Chyba myślisz podobnie o swojej pasji, prawda? Ludzie będą uważali, że nosisz w sercu kawałek lodu, ale jeśli masz zapał twórczy, to nie istnieje nic ważniejszego. Oczywiście, nie licząc dzieci. Tutaj trzeba zachować równowagę. A mężczyźni tylko przychodzą i odchodzą.

Tatia usłyszała więcej o filozofii życia, niż oczekiwała, ale rozumiała, że Sophie chciała ją natchnąć odwagą przed czekającymi ją w domu bataliami, i była jej za to wdzięczna. Wzięła inne zdjęcie z Namuru: Sophie z Eskilem Lindem, trzymającym dłoń na jej ramieniu. Nie prezentował się najlepiej. Niski krępy mężczyzna około czterdziestki, z małą bródką, o wyrazistych oczach, w marynarce, kraciastej koszuli i berecie, założonym zawadiacko na bakier.

- Naprawdę byłaś w nim zakochana?

Sophie znów wzruszyła ramionami.

- Tak mi się wydawało. I pewnie byłam. Ale w Eskilu najbardziej pociągało mnie to, że odkrył we mnie aktorkę. Bo widzisz, nie jestem najlepsza na świecie, a on wydobył ze mnie taki potencjał, o który nigdy bym siebie nie podejrzewała. To było bardzo sexy. Ja też go na swój



sposób odkryłam. Eskil zawsze był w cieniu Bergmana, po jego Siódmej pieczęci i Źródle marzył o zrobieniu filmu średniowiecznego, ale nie udało mu się znaleźć dobrego scenariusza. W końcu zdecydował się przenieść na ekran sztukę Strindberga, której nikt nigdy nie wystawił, o czarnej śmierci, mnichach, żołnierzach, królach, królowych itede. Blanka z Namuru nie była żadną wielką rolą. Ale kiedy ją dostałam, Eskil stracił dla mnie głowę i zbudował cały film wokół tej postaci, i tak powstał obraz o wyobcowaniu i społeczeństwie w kryzysie.

Sophie mówiła niemal do siebie. Tatia nie interesowała się historią filmu, słuchała jednak z ciekawością, ponieważ monolog Sophie podsuwał jej pomysły, jak ją pokazać. Może koło cytadeli w Villette? Dojrzała artystka odbywa podróż sentymentalną do początków swojej kariery.

- To musiało być fascynujące - powiedziała Tatia, patrząc na fotos z planu ogólnego.

- Jasne, ale bardzo się ucieszyłam, kiedy po zakończeniu zdjęć w Namurze mogliśmy wrócić do Szwecji. To była wycieńczająca praca. - Spojrzała na fotos i zamyśliła się. - Ledwie skończyliśmy, wydarzyło się coś strasznego. W Namurze została zamordowana młoda dziewczyna. Była w moim wieku.

W Massachusetts ciągle był blade światło, ale Philippe miał to w nosie. Zdobył numer telefonu Davida Mendla i doszedł do wniosku, że im wcześniej zadzwoni, tym większą ma szansę, że go zastanie.

- Halo? - odezwał się w słuchawce zaspany i lekko zaniepokojony kobiecy głos.

Telefony o tej porze kojarzą się zwykle ze złymi wiadomościami.

- Dzwonię z Brukseli, chciałbym rozmawiać z profesorem Mendlem - powiedział Philippe po angielsku stanowczym tonem.

Kobieta po drugiej stronie Atlantyku wymruczała coś w odpowiedzi. Niemał ją widział, jak się obraca na łóżku i przekazuje komuś słuchawkę. Może nawet przeniosła aparat z nocnej szafki, żeby nie przeciągać sznura.

- David Mendel, słucham - rozległ się męski głos, też zaspany, ale niepozbawiony witalności.

- Dzień dobry, profesorze Mendel - szybko powiedział Philippe, przechodząc na francuski. - Nazywam się Philippe Poirot, jestem synem Renée Collignon. Pamięta ją pan?

Zacisnęła kciuki. W słuchawce zaległa cisza, miał nadzieję, że spowodowana silnymi emocjami.

- Oczywiście, że pamiętam Renée. Bardzo dobrze pamiętam. Ale to było wiele, wiele lat temu. Co leży jej na sercu o tak wczesnej porze? Podejrzewam, że coś bardzo ważnego, skoro dzwoni pan w środku nocy.

Philippe nie przejął się zakamuflowaną pretensją.

- Szukam mordercy. Został zamordowany brat Simone Janssens i sądzę, że klucz do wyjaśnienia tej zbrodni kryje się w przeszłości, w tym, co się wydarzyło na Rue de l'Étoile Polaire podczas wojny, i trzeba go jak najszybciej znaleźć, zanim znów kogoś zamorduje.

Cisza. David Mendel chyba usiadł na łóżku i przestawił telefon.

- Proszę mówić.

Philippe opowiedział mu o zabójstwie Erica Janssensa i o swoich przeczuciach graniczących z pewnością, że Roger de Wachter wrócił do Brukseli i został rozpoznany przez sąsiada z dzieciństwa.

- Pamiętam Rogera. Nieznośny malec, no, może nie malec, bo był wyższy ode mnie, bez przerwy naprzykrzał się Simone i był o nią zazdrosny. Podejrzewał, że ja i Simone się kochamy, ale się mylił. Simone interesowała mnie wyłącznie jako fenomenalny talent matematyczny. A co do Rogera, zawsze powtarzała, że nie robi niczego złego. Nie byłem tego taki pewien i myślę, że później też przysparzał jej zmartwień. Miała zielony notes, ciągle coś tam bazgrała, taki ni to pamiętnik, ni to dziennik zajęć, w którym, jak sądzę, oprócz ćwiczeń matematycznych, które jej zadawałem, i uwag dotyczących niemieckich gości Maurice'a de Wachtera, zapisywała swoje refleksje o Rogerze.

- Co się stało z tym notesem? - spytał Philippe, przynajmniej w połowie domyślając się odpowiedzi.

- Nie wiem, czy pan wie, że Simone i Renée ukrywały mnie na strychu w domu Janssensów, pewnie tak, skoro pan dzwoni. Tego dnia, kiedy zostały zatrzymane, Huguette, młoda gosposia Janssensów, przyszła do mnie, powiedziała, co się stało, i przekazała mi plik papierów, o których ukrycie poprosiła ją Simone. Wśród nich był zielony notes.

- I co pan z nim zrobił?

Philippe wstrzymał oddech.

- Oczywiście schowałem - odparł David Mendel. - Na strychu spędziłem wiele tygodni, znałem na pamięć wszystkie jego zakamarki i wszystkie graty i w kufrze z ubraniami, których nie zabrała Hélène Janssens, wyjeżdżając do Szwajcarii, przypadkiem odkryłem podwójne dno.

Zapewne miało chronić przed kradzieżą biżuterii, pieniędzy i innych wartościowych przedmiotów podczas podróży. Tam schowałem papiery Simone.

Philippe czuł nieuchronność zbliżającej się katastrofy. Miał takie samo uczucie jak wtedy, kiedy jechał do Luksemburga i we wstecznym lusterku zobaczył mknącego z prędkością dwustu kilometrów na godzinę mercedesa. Wtedy mu się udało. W ostatniej chwili zjechał na zakorkowany prawy pas, wciskając się w lukę za ciężarówką, i czarny samochód śmignął tuż obok, jak śmierć. Teraz wiedział, czego tak desperacko szukał zabójca Erica Janssensa - zielonego notesu Simone, schowanego w kufrze, który jego córka dostała od Denise van Espen.

Ręce mu drżały. Głos też. Szybko zakończył rozmowę z Davidem Mendlem.

Musi się skontaktować z Tatią. Zadzwoił do Martine i Thomasa, ale nikt nie odbierał. No tak, dzisiaj Tatia miała pomagać Sophie podczas sesji zdjęciowej. Powiedziała mu o tym wieczorem. Była bardzo dumna.

Wybrał numer Martine w Pałacu Sprawiedliwości w Vilette. I nic, cisza. Apatyczna telefonistka centrali poinformowała, że madame Poirot prawdopodobnie wyszła, jest nieosiągalna i ona nic na to nie poradzi.

Philippe czuł narastającą panikę. Wzbierała w nim jak wiosenna rzeka, wypełniając strachem wszystkie komórki jego ciała. Może Tony mógłby pomóc? Ale nie znał na pamięć numeru do A la Justice Aveugle. Zadzwoił do informacji, nerwowo szukając po kieszeniach kawałek papieru. Znalazł wizytówkę. Zapisał numer, zadzwonił do restauracji i dowiedział się od kelnerki, że monsieur Deblauwe niestety właśnie wyszedł, ale może coś mu przekazać?

Philippe z trzaskiem odłożył słuchawkę. Odwrócił wizytówkę, przeczytał, co na niej było, i nagle wszystkie puzzle się ułożyły. Czarny mercedes pędził prosto na niego, we wstecznym lusterku widział uśmiechającą się triumfalnie kostuchę.

Pozostało mu tylko jedna jedyna osoba, do której mógł się zwrócić. Bez chwili wahania wybrał numer.

Kiedy Martine wróciła z hotelu do Pałacu Sprawiedliwości, czekał na nią faks z żandarmerii w Fontainebleau: lista dziennikarzy akredytowanych na szczyt Rady Europejskiej w roku 1984. Wtedy została zamordowana osiemnastoletnia Fabienne Ormond z tamtejszego biura turystycznego.

Błyskawicznie porównała nazwiska z własną listą podejrzanych, sześcioma dziennikarzami obecnymi w czasie spotkania ministrów spraw zagranicznych w Villette w roku 1982 i uczestniczącymi w ostatniej wycieczce prasowej.

Byli wszyscy. Plus kilka innych, dobrze jej znanych osób, wśród nich przyjaciel Sophie Jacques Martin i paru dziennikarzy, nieobecnych w 1982 roku, których Christian przesłuchał w Brukseli.

Zmarszczyła czoło. Coś się nie zgadzało. Jej teoria opierała się na założeniu, że czternaście lat temu zabójca Sabriny, Peggy i Nadii zamordował również Christelle Rolland. Czyli powinien być na liście. Niby logiczne, ale intuicja podpowiadała jej co innego. Rzadko dawała o sobie znać, ale ilekroć się odzywała, zazwyczaj miała do przekazania coś ważnego.

Gdyby kogoś zatrzymali i aresztowali, łatwo mogliby ustalić, czy można go powiązać z miejscem zbrodni, ponieważ mimo wszystko morderca zostawił sporo śladów. Nie mogą sobie jednak pozwolić na kolejne zatrzymanie niewłaściwej osoby, zwłaszcza zagranicznego dziennikarza.

Agnes przepisywała na maszynie stenogramy z rekonstrukcji w hotelu.

- Proszę, wyjmij z akt listy dziennikarzy obecnych w Villette - powiedziała Martine. - Chyba kogoś pominęłam.

- Nikogo nie pominęłam. Przeglądałam je mnóstwo razy, powtarza się sześć nazwisk. Ale już wyjmuję, sama się przekonasz.

Zdjęła akta z regału w tym samym momencie, w którym weszli do pokoju Christian i Annick, żeby podsumować wyniki rekonstrukcji.

- Niby wszystko przemawia za Nigelem Richardsem - zaczęła Martine, kiedy usiedli przy konferencyjnym stole. - Mógł ukraść szampana, korzystając z okazji, że Marinelli zszedł do recepcji i zostawił otwarte drzwi. Zeznał, że wieczorem siedział w pokoju i pracował, ale około dziesiątej, kiedy przyszła MarieLou Nawezi, nie było go tam. Poza tym był w Villette w osiemdziesiątym drugim i nic nie wskazuje na to, że nie mógł zamordować Christelle.

Spojrzała na Christiana i Annick. Christian siedział wyprostowany na brzeжку krzesła, maksymalnie skupiony, i patrzył na nią czujnymi ciemnymi oczami. Annick patrzyła w blat stołu i przygryzała dolną wargę, jakby się nad czymś zastanawiała.

- Ale nie wierzysz, że to Richards - powiedział Christian. - Dlaczego?

Martine rozłożyła ręce.

- Nie bardzo sobie wyobrażam, żeby udało mu się namówić młodą dziewczynę na spotkanie w środku nocy. Okej, pracuje dla dużego poważanego brytyjskiego dziennika, ale to gazeta elitarna. Czy Sabrina i Christelle w ogóle o niej słyszały? To samo odnosi się do włoskiego dziennika Marinello.

Annick podniosła wzrok i twierdząco pokiwała głową.

- Poza tym - kontynuowała Martine - nie rozumiem, dlaczego Richards miałby zwracać na siebie uwagę, kradnąc szampana z pokoju Marinello. Przecież mógł wziąć swojego.

- Może go wcześniej wypił - zasugerował Christian. - Nie, oczywiście zgadzam się z tobą. To samo dotyczy Marinello. Mógł zabrać swojego szampana na krótki piknik, ale dlaczego miałby zgłaszać jego kradzież? W każdym razie Annick udało się podważyć jego alibi na ten wieczór. Ale chcę powiedzieć coś innego. Richards ma astmę, a Marinelli kuleje. Zauważyłem to, kiedy byłem z nimi na lunchu. Myślę, że z potrójnym morderstwem jest w stanie sobie poradzić ktoś w znakomitej formie fizycznej. Jak stwierdziła profesor Verhoeven, wykonanie było bez zarzutu. Sabrina Deleuze niczego nie podejrzewała i łatwo ją było obezwładnić, nie zwracając uwagi Nadii i Peggy, potem dosyć łatwo można było obezwładnić Peggy, ale Nadia Bertrand powinna bez trudu uciec przed utykającym sześćdziesięcioletnim nałogowym palaczem albo przed astmatykiem. Po zamordowaniu dwóch silnych, zdrowych dziewcząt na pewno byłiby fizycznie i psychicznie wyczerpani. Gdzieś popełniamy błąd.

Annick przerwała swoje rozmyślenia.

- Madame Poirot ma rację. Gazety, w których pracują Marinelli i Richards, nie zaimponowałyby dziewczętom pokroju Sabriny i Christelle. Mnie poderwał reporter z dużego i znanego francuskiego magazynu. Kiedy z nim rozmawiałam, jego fotograf zrobił mi kilka zdjęć. Zdjęcia z miejsca przestępstwa obudziły we mnie wspomnienia, które usiłowałam wyprzeć. Dziewczeta siedzą w wystudiowanych pozach, nie wydaje mi się, żeby to zaaranżował po ich śmierci, myślę, że mu pozowały, że robił im zdjęcia. Te zdjęcia przypominają mi inne, które widziałam w latach siedemdziesiątych w reportażu modowym. Już wtedy uważałam, że są niesmaczne. Nie pamiętam, gdzie były opublikowane ani kim był fotograf, w każdym razie znałam modelkę. Myślę, że morderca, którego szukamy, jest fotografem.

Odezwał się telefon. Agnes odebrała i odwróciła się do Martine ze słuchawką w dłoni.

- Z Paryża - powiedziała półszepem. - To pilne. Chodzi o twoje śledztwo.

Martine wstała i przejęła słuchawkę. Od razu poznała ochrypły, przepalony głos.

- Dzień dobry, madame Poirot, tutaj Pierre Montanard, profesor Montanard z Paryża. Przepraszam, że to tak długo trwało, ale miałem kłopoty z odszukaniem starych papierów i musiałem zasięgnąć rady kilku osób. Przypadek, o którym chcę powiedzieć - to była jedna z moich pierwszych sekcji - dotyczył morderstwa popełnionego w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym w Philippeville w Algierii.

Sophie zagotowała wodę w kuchni piętro niżej i zalała nią kawę, którą znalazła w głębi praktycznie pustej spizarki. Teraz siedziała na kanapie obok Jacques'a Martina i oglądała zdjęcia rozłożone na ławie. Tatia przycupnęła na wieku kufra i popijała wściekle gorzki napój. Sophie zrobiła szatana.

- Cytadela będzie świetna - powiedział Jacques Martin. - O tej porze jest tam dobre światło, poza tym to interesujące pendant do zdjęć z planu filmowego. Bluzka jest idealna, przydaje twojej cerze różowego połysku. Czy to jedna ze zdobyczy mademoiselle Poirot?

Tatia zawstydziała się. - Tak. Znalazłam ją w tym kufrze, w antykwariacie. Była zła na siebie za ten nieśmiały ton. Powinna być bardziej wyrafinowana i pewna siebie. Wiedziała, kim jest Jacques Martin. Był znanym fotografem, od czasu do czasu robił również reportaże modowe. Widziała jego nazwisko gdzieś w swoich zbiorach żurnali z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Sądząc po siwych włosach, jest dosyć stary, pomyślała, dużo starszy od Sophie. Ale w dżinsach i dżinsowej koszuli wyglądał młodzieńczo. Praca z nim to na pewno coś. Sophie sama by sobie doskonale poradziła z makijażem, zaproponowała jej to zajęcie z życzliwością, ale tak czy inaczej, Jacques Martin pochwalił ją za wybór bluzki. Ni stąd, ni zowąd przyszło jej do głowy, że Giovanni, z którym pożegnała się na rynku, szedł na spotkanie z Jacques'em Martinem. Szybko odrzuciła tę myśl. Nie miała cienia powodu, żeby go o cokolwiek podejrzewać.

Jacques Martin patrzył na Tatię i kufer z pochlebnyim zainteresowaniem. Miał intensywne spojrzenie, aż nadto intensywne. Mimo że w pokoju nie było zimno, leciutko mu się podniosły ciemne włosy na przedramionach.

- Wygląda jak stary kufer Vuittona - powiedział nonszalancko. - Na pewno jest sporo wart. Pamiętam takie z dzieciństwa. Niektóre miały schowki do przechowywania biżuterii i innych wartościowych rzeczy podczas podróży. Znalazłyście coś takiego?

- Nie - odparła Tatia. - Zresztą nie szukałam żadnych skrytek.

- Poszukamy później - powiedziała wesoło Sophie. - Kto wie, może siedzisz na prawdziwej fortunie. Stare klejnoty, to byłoby coś. Jeśli już wypiliście moją przepyszną kawę, w drogę!

Czarny mercedes Jacques'a Martina na francuskich numerach parkował niezgodnie z przepisami przed bramą, tarasując połowę chodnika. Tatia usiadła z tyłu, obok postawiła kosmetyczkę. Sophie z wdziękiem opadła na przednie siedzenie, jednym zwinnym ruchem wsuwając do środka swoje długie nogi. Jak gwiazda filmowa, pomyślała Tatia. Wie, jak wsiadać i wysiadać, kiedy jest się pod ostrzałem fotografów.

Jacques Martin włożył swój sprzęt do bagażnika.

- O jasny gwint! Zapomniałem o torbie z zapasowym filmem. Daj mi klucz, Sophie, pobiegnę po nią, a wy tu zaczekajcie.

Sophie wyłuskała wiązkę kluczy z torebki, podała mu je przez opuszczoną szybę i Jacques Martin zniknął w bramie.

Sophie uważnie przyglądała się sobie w samochodowym lusterku.

- Dobry makijaż, Tatia, naprawdę ci się udało, będą dobre zdjęcia. Co myślisz o Jacques'u?

Tatia wahała się. - Wydaje się... intensywny... - Dzisiaj, tak - przyznała Sophie. - Nie zawsze taki jest, ale pamiętam, że w Namurze zachowywał się identycznie. Chyba dlatego, że skupia się na pracy.

Jacques Martin pokazał się w bramie, z lnianą wypchaną torbą na ramieniu. Nienaturalnie ożywiony, przesunął dłonią po siwej czuprynie i sprężystym krokiem podszedł do samochodu. Jak kot, pomyślała Tatia.

Usiadł za kierownicą i przekręcił kluczyk w stacyjce.

- Do cytadeli - powiedział, kiedy zamruczał silnik.

Ciemnoniebieskie bmw zahamowało przed Kwaterą Główną NATO, kiedy Philippe zamykał furtkę. Bernadette przyjechała z Vilvoorde w niespełna dziesięć minut. Musiała prowadzić jak wariatka.

- Wskakuj! - rzuciła krótko, otwierając drzwi od strony pasażera.

Philippe usiadł na skórzanym fotelu w kolorze byczej krwi i zapiął pasy. Ledwie znaleźli się na bulwarze, docisnęła pedał gazu. Czuł moc silnika, wóz błyskawicznie przyspieszył i pomknęli pasem szybkiego ruchu.

Zerknął na Bernadette. Nic by go nie powstrzymało przed zadzwonieniem do niej, nawet ryzyko, że podniesie słuchawkę ten beznadziejny Bert, ale mimo to dziwnie się czuł w towarzystwie kogoś, z kim był żonaty przez jedenaście lat. Po rozwodzie ani razu nie spotkali się sam na sam. Dzisiaj, w nienagannym ciemnoniebieskim spodniemie, wyglądała jak flamandzka matrona. Przybyło jej co najmniej dziesięć kilo, ale nadal mogła się podobać. Miała jasne włosy o poziomkowym odcieniu i oczy koloru morza. Razem tworzyli piękną parę.

- Mów - wycodziła. - Powiedziałeś, że Tatii grozi śmiertelne niebezpieczeństwo.

Była spięta, mocno zaciskała dłonie na kierownicy, aż pobieły jej kostki. Philippe widział w niej jak w lustrze swój własny lęk i po raz pierwszy czuł, że łączy ich nierozzerwalna więź. Kiedyś, dawno temu, przyjaźnili się, dopóki dwa nieporadne i nieudane zbliżenia nie zakończyły się ciążą i nieuniknionym ślubem. Mimo że dla Philippe'a małżeństwo było życiową pułapką, po raz pierwszy wezbrała w nim fala miłości, kiedy trzymał w ramionach nowo narodzoną córkę.

I mówił. O zabójstwie Erica Janssensa, o poszukiwaniu prawdy, o tym, co przeżyła jego matka i kto ją wydał, o kufrze Tatii, przedtem własności Erica Janssensa, w którym oprócz ubrań był notes, obiekt zainteresowania mordercy.

- A tutaj, spójrz - powiedział, wyjmując z kieszeni marynarki wymiętoszony kartonik - mam wizytówkę, którą dostałem od fotografa, znajomego Sophie Lind. „Jacques R. Martin, Rue de l'Université cztery, Paryż”. To Roger de Wachter, bez dwóch zdań! Przybrał imię „Jacques” po młodszym bracie z Rodziny Thibault, z którym się utożsamiał, „Martin” - po autorze, Rogerze Martinie du Gard, i mieszka pod tym samym adresem, co powieściowa rodzina Thibault.

- Czyli Jacques Roger Martin de Wachter poluje na kufer Tatii i raz już zabił, żeby go zdobyć. A gdzie on teraz jest?

- W Villette - zdławionym głosem odparł Philippe. - To on będzie dzisiaj robił zdjęcia Sophie w obecności Tatii. Dzwoniłem do Martine i Tony'ego, żeby do tego nie dopuścili, ale ich nie zastałem.

Wyjechali na autostradę w kierunku Luksemburga. Strzałka prędkościomierza zbliżała się do 170 kilometrów, wszyscy się przed nimi rozstępowali jak Morze Czerwone przed laską Mojżesza.

- Dzwon dalej! - powiedziała Bernadette. - W schowku jest komórka.



Philippe sięgnął po nią. Wyglądała jak większy brat pilota do telewizora. Bernadette wyjaśniła mu, jak się tym posłużyć, i zadzwonił do Pałacu Sprawiedliwości w Vilette. W centrali zgłosiła się inna znudzona telefonistka i poinformowała, że telefon Martine jest zajęty, to ważna rozmowa, dostała polecenie, żeby jej nie przerywać.

- Wobec tego proszę mnie połączyć z komisarzem de Jonge'em.

Po chwili telefonistka oznajmiła, że komisarza nie ma w pokoju i że ona nie może już nic więcej zrobić.

Zadzwonił do A la Justice Aveugle. Na szczęście Tony już wrócił i wysłuchał w skupieniu treściwej relacji Philippe'a o zagrożeniu, w jakim znalazła się Tatia.

- Ten fotograf od początku mi się nie podobał - skwitował Tony. - Z przyjemnością się nim zajmę.

Philippe wyobraził sobie, jak nabrzmiewają mu mięśnie masywnych przedramion i mroczniejsze spojrzenie.

- Natychmiast pójść do mieszkania Sophie, ale niewykluczone, że już ich tam nie zastanę. Nie wiesz, gdzie mieli robić te pieprzone zdjęcia?

- Niestety.

Philippe rozłączył się i postanowił zadzwonić do pracy, żeby uprzedzić, że się spóźni albo w ogóle się nie zjawi.

Stéphanie, która była na porannej zmianie, nie potrafiła ukryć podniecenia, słysząc jego głos.

- Była tu policja, pytali o ciebie! Coś ty znowu zmalował? - Nie mam pojęcia. - Philippe usiłował przybrać obojętny ton. - Chcieli mnie aresztować?

- No... kajdankami nie wymachiwali - powiedziała z pewnym ubolewaniem. - Twierdzili, że chcą z tobą porozmawiać, bo może mógłbyś im udzielić jakichś ważnych informacji. Aha, zostawili numer telefonu, pod który masz zadzwonić, jak tylko przyjdiesz. To numer do sędziego śledczego w Vilette, nie do twojej siostry, zaczekaj, gdzie ja to... Jest! François Cooremans.

Odczytała numer, który Philippe kilka razy powtórzył, żeby zapamiętać.

François Cooremans odebrał natychmiast i był ogromnie wdzięczny, że Philippe się odezwał.

- Doszło do morderstwa, zginął młody mężczyzna, którego nie mogliśmy zidentyfikować, i dzisiaj rano pańska siostra Martine przyszła z pańską córką Catherine, która się z nim przypadkiem spotkała w Villette, i powiedziała, że pan go zna.

- Przepraszam, nie bardzo rozumiem. Czy moja córka zidentyfikowała ofiarę morderstwa w Villette i powiedziała, że to ktoś, kogo znam?

- Otóż to. Pana córka powiedziała, że to Giovanni, młody człowiek w wieku dwudziestudwudziestu pięciu lat, dość długie włosy, brązowe oczy...

Philippe zauważył, że strzałka prędkościomierza zbliża się do 180. Bernadette była niebezpiecznie blisko czerwonego audi, które w ostatniej sekundzie wbiło się w lukę na sąsiednim pasie. Odwrócił głowę i dostrzegł przerażoną twarz kierowcy. Bernadette niewzruszenie pruć przed siebie.

- Nazywa się Johan Dieter Weiss. To obywatel niemiecki, mieszka... mieszkał na Rue Antoine Dansaert, numeru nie pamiętam. Był świadkiem w sprawie morderstwa Erica Janssensa w Brukseli, może pan o tym porozmawiać z komisarzem Patrickiem Anneessensem. Myślę, że wiem, kto go zamordował... Nie, nie zwariowałem, próbowałem się skontaktować z siostrą, podejrzewam, że on znów zaatakuje i że moja córka jest w niebezpieczeństwie!

Starał się wystrzegać histerycznego tonu, ale chyba z miernym skutkiem. Jeśli François Cooremans miałby go potraktować poważnie, to głównie dlatego, że był bratem sędzi śledczej. W każdym razie obiecał wysłać kogoś na poszukiwania Jacques'a Martina i zawiadomić Martine, jak tylko ją zobaczy.

- Znowu zamordował - odezwał się do Bernadette. - Zamordował chłopaka Erica Janssensa. Biedaczysko. Czuję, że wiedział więcej, niż chciał mi powiedzieć, i że może go spotkać coś złego.

Niewiele brakowało, żeby ciemnoniebieskie bmw Bernadette zmiażdżyło małego zielonego renaulta.

- Prowadzisz jak złodziej samochodów, Dédé.

Upierścienione ręce Bernadetty jeszcze mocniej zacisnęły się na kierownicy. Philippe patrzył na jej pierścionki, oznakę dobrobytu w stadle małżeńskim z Bertem: kaskady brylantów, szmaragdów i rubinów. Na serdecznym palcu prawej dłoni dostrzegł pierścionek, który dostała od niego na wymuszone zaręczyny - art déco z białego złota z akwamarynem, należący do jego

babci. Pamiętał, jak Renée wcisnęła mu go do ręki, wpatrując się weń z niepokojem w ciemnych oczach. Może rozumiała więcej, niż przypuszczał.

- Nie prowadzę jak złodziej samochodów, jestem świetnym kierowcą. Ale ty nigdy mnie nie doceniałeś. Dlaczego nie powiedziałaś mi prawdy?

Nie zamierzał udawać, że nie wie, o co jej chodzi.

- A co by to dało? Cokolwiek bym zrobił, i tak bym cię zranił, chociaż tego nie chciałem. Poza tym nie miałem pojęcia, jak zareagujesz, nie miałem pojęcia, jak ktokolwiek zareaguje. Twój brat powiedział, że tacy jak ja nie powinni żyć. Wiedziałaś o tym? Bałem się, że ty też tak pomyślisz, bałem się, co inni pomyślą, śmiertelnie się bałem, co pomyśli Tatia.

Dojeżdżali do pierwszych tablic informujących o zjeździe na Namur i Villette. Bernadette zwolniła i zręcznie zmieniła pas.

- Porozmawiamy o tym innym razem - powiedziała. - Czekaliśmy z tym sześć lat, możemy poczekać jeszcze trochę. Teraz musimy ratować córkę.

Marcelle Janvier, siedemnastoletnia córka aptekarza z Philippeville w Algierii, została zamordowana na plaży pod miastem w kwietniu 1948 roku. Siedziała oparta o pień palmy. Pierre Montanard był wówczas młodym lekarzem zdobywającym pierwsze doświadczenia w zawodzie obducenta sądowego. Zaczął dostrzegać coś fascynującego w odkrywaniu mowy umarłych.

Martine ustawiła maksymalną głośność w telefonie. Ochryply, budzący szacunek głos profesora Montanarda wypełnił cały gabinet.

Ciało Marcelle Janvier szybko zdradziło swoje tajemnice młodemu obducentowi. Stwierdził, że została uduszona szalem lub czymś podobnym, szerokim i miękkim, że doszło do penetracji waginy jakimś przedmiotem i że tuż przed śmiercią jadła.

- Nie było gęsich wątróbek ani szampana, tylko coś znacznie skromniejszego: wino zmieszane z wodą, chleb i ser. Mimo to pomyślałem o tym morderstwie już wtedy, kiedy przyglądałem się sprawie małej Fabienne z Fontainebleau, nie miałem jednak powodów sądzić, że coś je łączy. Teraz uważam, że zasadne wydaje się podejrzenie, że możemy mieć do czynienia z pierwszą ofiarą waszego seryjnego zabójcy. Jak wspominałem, dziewczyna siedziała oparta o pień palmy, nie była upozowana w równie wystudiowany sposób, jak wasze ofiary, ale istnieją podobieństwa.

Marcelle znalazł chłopak, którego znała, Jacques Frémont, przybrany syn oficera pułku stacjonującego w Philippeville. Zznał, że umówił się z nią na piknik na plaży, ale się spóźnił, bo

zapomniał nakręcić zegarek. W drodze na plażę spotkał młodego Araba, któremu bardzo się spieszyło. Tak powiedział policji.

- Jak się pani zapewne domyśla - kontynuował Pierre Montanard - policja natychmiast wszczęła poszukiwania tego Araba. Ja natomiast miałem wątpliwości co do młodego Frémonta. Po pierwsze, na ciele Marcelle nie było żadnych śladów świadczących o tym, że próbowała się bronić, co z pewnością by zrobiła, gdyby ją zaatakował nieznaną jej Arab. Po drugie, nie wierzyłem, żeby sama zaczęła się pożywiać piknikowym jedzeniem, nie czekając na swojego kawalera. Byłem jednak zbyt młody i zielony, żeby ktokolwiek mnie wysłuchał. Poza tym nikt nie chciał zadzierać z pułkiem i przyciskać chłopaka majora. Szukanie nieznanego Araba było znacznie prostsze. Zatrzymano dwóch młodych mężczyzn, nie wiem, czy któregoś z nich nie skazano.

Martine, słuchając Montanarda, przejrzała listy dziennikarzy z Fontainebleau i Villette. Chociaż nie miała już cienia wątpliwości, nie potrafiła tego zrozumieć. Jacques R. Martin nie figurował na obu listach z Villette, nie było go na liście z roku 1982, więc to nie mógł być on. Ale był Jacques Frémont! Na widok jego nazwiska mocno zabiło jej serce i instynktownie poderwała się z krzesła, podczas gdy mózg nadal przetwarzał informacje.

- To fotograf! - krzyknęła. - To Jacques Martin! Tatia i Sophie miały się z nim dzisiaj spotkać. Wyślijcie za nim list gończy, ja pobiegnę do Sophie, trzeba wystawić nakaz aresztowania, Agnes, przyniesiesz mi go do podpisu, jak będzie gotowy, Sophie wynajęła mieszkanie w starej szkole katedralnej visavis Place de la Cathédrale!

Nie odrywali od niej wzroku, kiedy wypadła z pokoju, wysoko podnosząc sukienkę, żeby nie krępowała jej ruchów.

Na korytarzu o mały włos nie stratowała Serge'a Boissarda.

- Dostaliśmy cynk w sprawie samochodu - powiedział. - Kobieta, która mieszka blisko mostu, około północy wyszła z psem i widziała ciemnego mercedesa. Rozpoznała markę po atrapie chłodnicy. Był na francuskich numerach!

- Świetnie - wydyszała Martine - wszystko się zgadza, powiedz o tym Christianowi i Agnes, natychmiast, są w moim gabinecie!

Serge w osłupieniu patrzył za nią. Głośno stukając obcasami Renée, pędem pokonała korytarze aneksu, dotarła do starego pałacu biskupiego, okrążyła balustradę i zbiegła po

wyślizganych marmurowych schodach, jedną ręką przytrzymując się poręczy, drugą - podnosząc zieloną sukienkę.

Logicznie rzecz biorąc, Tatii nie powinno nic zagrażać. Jacques Martin nie wiedział, że ktokolwiek o cokolwiek go podejrzewa. Po tylu zabójstwach, które usłyszał na sucho, poczuł się bezkarny. Mimo to Martine nigdy nie biegła tak szybko. Uświadomiła sobie, dlaczego Jacques'a Martina nie było wśród sześciu nazwisk na liście uczestników ostatniej wycieczki prasowej ani dwanaście lat temu. Kretynka! - pomyślała, przemykając jak zielona strzała między zdumionymi turystami.

Brama domu, w którym mieszkała Sophie, była otwarta, Martine wbiegła po schodach, nie zwalniając tempa i bez zadyszki. Przed drzwiami zobaczyła Tony'ego Deblauwe.

- Nikogo nie ma albo nikt nie otwiera - powiedział. - Tak czy siak, musimy tam wejść. Siła wyższa i nie ma zmiłuj.

- Otworzysz drzwi kopniakiem? - spytała porywczo, chętna do pomocy.

- Never, w tamtych czasach, kiedy budowali ten dom, drzwi były jak ta lala, ale zamki do bani.

Wyjął z kieszeni spodni coś brzęczącego, pewnie wytrychy, pomyślała Martine, i w niespełna trzydzieści sekund weszli do mieszkania.

Pusto i ciemno, w saloniku stał kufer Tatii z wysuniętą szufladką.

- Opróżnił skrytkę - powiedział Tony. - Znalazł to, czego szukał.

- A co ty tu robisz? - spytała Martine. - Jak na to wpadłeś, że Jacques Martin jest potrójnym mordercą?

- Na nic nie wpadłem. Zadzwoił Philippe, to długa historia, ale puenta jest taka, że wczoraj ten fotograf zamordował gościa na szubienicznym wzgórzu. Musimy go znaleźć. Jego, Sophie i Tatię. Gdzie oni mogą być?

Martine musiała odetchnąć i usiadła na pierwszym lepszym krześle.

- Nie wiem, to miało być jakieś spojrzenie wstecz na początki kariery Sophie, jej debiut w Blance z Namuru. Ty tu jesteś ekspertem.

Tony myślał pół sekundy.

- Cytadela. Jest kilka znanych fotosów z planu Blanki, zrobionych koło cytadeli w Namurze. Jedziemy? Mam tu samochód.

- Najpierw zadzwonię do Pałacu Sprawiedliwości. Martine podniosła słuchawkę telefonu stojącego na regale. Poinformowała, że jedzie do cytadeli, i upewniła się, że rozesłano listy gończe za Jakiem Martinem do wszystkich partoli policyjnych, którym wydano rozkaz jego zatrzymania.

Czerwony jaguar Tony'ego stał w bocznej uliczce. Martine tak mocno zaciskała dłonie, że paznokcie zostały na skórze czerwone półksiężycy. Zdecydowanie za wolno minęli Pałac Sprawiedliwości i Pont des Éveques, potem równie wolno skręcili w prawo w Quai des Marchands i dopiero w tunelu Tony przyspieszył.

Zaparkowali na dziedzińcu jednocześnie z ciemnoniebieskim bmw, które zahamowało z piskiem opon.

Ledwie Sophie wyszła na dziedziniec w eleganckiej brzoskwiniowej bluzce z lat trzydziestych i długich czarnych spodniach, Tony, Martine, Bernadette i Philippe wyskoczyli z samochodów.

Popatrzyła na nich zdumiona.

- Gdzie Tatia?! - wrzasnęła Martine.

Sophie wskazała na mur wznoszący się nad stromym zboczem opadającym ku rzece.

- Tam. Jest na murze razem z Jacques'em.

# ROZDZIAŁ 11

Środa, 29 czerwca 1994, Villette

Kochał Simone. Nie. Nienawidził jej. Czasami sam nie wiedział, co do niej czuje, ale prędzej czy później dochodził do wniosku, że kochał Simone i nigdy nie chciał jej skrzywdzić. Chciał jej tylko dać nauczkę. Dlatego powiedział ojcu, czym ona się zajmuje, i zabrano ją gestapo.

Ale Simone umarła i nigdy nie wróciła. To nie mogła być jego wina, bo przecież kochał Simone. Kochał tylko ją jedną. Czyli to ktoś inny musiał być winien jej śmierci. Teraz wiedział, kto to był. Renée. Renée wróciła, a Simone została. Tak zwana przyjaciółka Simone zdradziła ją. Od początku podejrzewał, że to zrobi. W obozie przypuszczalnie zabierała jej jedzenie, a kiedy Simone zachorowała, w ogóle jej to nie obeszło. A teraz stała przed nim w sukience Simone, tej śmietankowobiałej w czarne groszki, którą dobrze znał. Zatkanęło go. To był szczyt bezczelności. Mimo wszystko nie sądził, że Renée Collignon jest do tego stopnia pozbawiona sumienia, żeby najpierw zabić Simone, a potem ukraść jej sukienkę.

W uszach mu dudniło, jak zawsze w momentach przeblýsku, doświadczenia obecności Simone, kiedy przeszłość i teraźniejszość zlewały się w jeden niekończący się ciąg zdarzeń i wspomnień. Wszystko zaczęło się od dnia, w którym wybrał się z Simone na wycieczkę. Była wiosna, po długiej wojennej zimie nareszcie pokazało się słońce. Jedli suchy biedachleb, pili wino zmieszane z wodą i śmiali się. Simone oparła się o pień drzewa i wzniosła ręce ku niebu, radosna i szczęśliwa jak nigdy przedtem. Pięknie wyglądała z jasnymi włosami rozrzuconymi na ramionach. Kiedy uwiecznił ją na zdjęciu, czuł, że posiadał ją na własność. Ale kiedy później powiedział, że ją kocha, wyśmiała go, może nie tyle szyderczo, co pobłażliwie, jakby był dzieckiem. Od tamtej chwili ją znenawidził. Masturbując się, stał w oknie i ukryty za zasłonką patrzył na samochód gestapo, który zatrzymał się przed domem Simone. Kiedy zobaczył, jak ją brutalnie wyprowadzają, przeżył długi obfity wytrysk, rozkoszniejszy od wszystkiego, czego dotąd doświadczył w życiu. Kochać Simone to posiadać ją, posiadać ją to mieć nad nią władzę, a wydanie jej, co zrobił, było najbardziej skrajną formą posiadania. Oczywiście zrobił to dla jej dobra, kobiety trzeba karać, żeby zachowywały się należycie. To jedyna z rozlicznych nauk

udzielanych przez ojca, którą sobie przyswoił. Kobiety trzeba karać tak samo jak dzieci i psy. To, że nigdy nie wróciła, było winą tej przeklętej Renée. Nienawidził jej z całego serca. Teraz stała w sukience Simone i coś paplała, nie słyszał co, bo dudniło mu w uszach. Zresztą nie miało znaczenia, co mówi, musiała umrzeć. W ten sposób pomści Simone i nareszcie będzie wolny.

- Czy tutaj będzie dobrze? Nie za bardzo na wprost słońca?

Tatia stała między blankami muru cytadeli. Mur był podwójny, w równych odstępach znajdowały się schody prowadzące do łączników. W dole u podnóża wapiennej skały stromo opadającej ku rzece rozciągało się Villette, które z tej wysokości wyglądało jak miasteczko dla lalek, a Moza przypominała niebieską jedwabną wstęgę, harmonizującą z cudownie błękitnym, czerwcowym niebem.

Ogarnęło ją niezrozumiałe zdenerwowanie, kiedy Sophie powiedziała, że musi skorzystać z toalety, ale Tatia i Jacques mogą w tym czasie wejść na mur i wybrać dobre miejsce na sesję. Jacques Martin zdjął z ramienia torbę fotograficzną i patrzył na nią w taki sposób, że od razu pomyślała o bajce, którą w dzieciństwie czytali jej rodzice. „Babciu, dlaczego masz takie wielkie zęby?” Jacques Martin patrzył na nią szklanym, martwym wzrokiem. Nagle nabrała absolutnej, mrożącej krew w żyłach pewności, że to wilk w przebraniu fotografa i że jej życie jest w niebezpieczeństwie. Nie dała jednak po sobie poznać, że go przejrzała.

Kiedy się dowiedział o śmierci ojca, przede wszystkim poczuł ulgę. Nikt mu o tym nie wspomniał, po prostu ciotka Philomene położyła na widoku „Le Soir” sprzed trzech tygodni, gdzie przeczytał zdumiewająco lakoniczną notkę, że w chłodny dżdżysty poranek został stracony kolaborant Maurice de Wachter. Ojciec, który położył się gigantycznym cieniem na jego dzieciństwie, był zredukowany do marginalnej wzmianki, jakby jego śmierć nic nie znaczyła. To go wprawiło w znakomity humor. I właśnie wtedy nawiązał kontakt z sekcją francuskiej partii komunistycznej w Philippeville. Jacques Thibault był przecież socjalistą. Przez pewien czas skłaniał się ku poglądom ojca, ale kiedy Maurice de Wachter został pochowany w bezimiennym grobie bez obecności rodziny, Roger stał się Jakiem Frémontem, śmiałym buntownikiem, opowiadającym się przeciwko wojnie, uciskowi, tyranii i wszelkiemu złu tego świata.

Marcel Doumecq, jego przybrany ojciec, nie był zadowolony z decyzji Philomene o zaopiekowaniu się synem jej siostry i nazistowskiego kolaboranta. Co najśmieszniejsze, Marcel i Maurice wyznawali bardzo podobny światopogląd. Różniło ich jedynie to, że Marcel nie znosił Niemców.



Roger mieszkał z Philomene i Marcelem niespełna dwa lata, kiedy doznał pierwszego przebłysku, doświadczenia obecności Simone. Wciąż pamiętał Marcelle, miłą dziewczynę o jasnych włosach i niebieskich oczach, która miała tego pecha, że przypominała Simone. Oparta o pień palmy na plaży i uśmiechająca się do słońca wyglądała jak ona. Usłyszał dudnienie w uszach, czas stanął w miejscu. Czuł, że musi ją zabić, zanim znowu go wyśmieje. Na szyi miała szal, podobny do niebieskiego szala Simone. Zabrał go, kiedy ją udusił, i od tamtej pory zawsze go używał. Potem niezdarnie ściągnął z niej majtki i wetknął w pochwę jakiś kijek. Chciał to zrobić teleobiektywem, który kupiła mu Philomene, bo już wiedział, że może mieć władzę nad kobietami dzięki aparatowi fotograficznemu, ale Marcelle nawet po śmierci była bardzo ciasna. W każdym razie pstryknął jej zdjęcie, pierwsze z kolekcji, obecnie tak bogatej, że sam się w tym pogubił.

Nie do wiary, jak łatwo można było nabrać policję na historyjkę o podejrzanym Arabie, który nadbiegł od strony plaży z dzikim spojrzeniem i zmierzwioną czupryną. Odniosł jednak wrażenie, że przybrany ojciec domyślał się prawdy. Po śmierci Marcelle dziwnie mu się przyglądał, ale milczał, bo liczył się przede wszystkim honor pułku. Roger wyprowadził się wtedy od przybranych rodziców i podjął pracę w atelier fotograficznym, gdzie jeszcze bardziej się podszkolił.

Kilka lat później była Lucie, parszywa dziwka, która odtrąciła go tak jak Simone, mimo że całym sercem i duszą popierał ich pieprzoną rewoltę. Doniósł na nią, tak jak na Simone, z tym samym uczuciem smutnej nieuchronności. Zakatowali ją na śmierć. Kiedy się o tym dowiedział, miał orgazm, porównywalny z tym, którzy przeżył, patrząc na Simone wyprowadzaną przez gestapo. Szkoda gadać, te orgazmy były najwspanialsze ze wszystkiego.

Po śmierci Lucie wyjechał z Algierii, znów zmienił nazwisko i rozpoczął prawdziwą karierę. Ilona w Budapeszcie, Vasso na Cyprze - wszędzie były kobiety, z którymi się zaprzyjaźniał, po czym je denuncjował z bólem serca i sztywnym członkiem.

Potem przrzucił się na blondynki nad wodą. Początkowo traktował to jako sposób na wyrzucenie z pamięci śmiechu Simone i coś w rodzaju pokuty, ale zanim miały szansę udowodnić, że są lepsze od Simone, słyszał dudnienie w uszach i dusił je. Z czasem stało się to jego hobby, formą rozładowywania napięcia. Oczywiście nie robił tego dla przyjemności, ale kiedy ciśnienie było za duże, z łatwością znajdował jakąś naiwną blondynkę, która chętnie przyjmowała zaproszenie na piknik nad wodą, żeby ze światowej sławy fotografem porozmawiać

o jej wspaniałych widokach na przyszłość. Kilka z nich mógłby naprawdę polubić, choćby Julię z Hanoweru, równie zafascynowaną matematyką i fizyką, jak Simone. Namówił ją na piknik, opowiadając o profesorze Mendlu, przyjacielu z dzieciństwa, z którym obiecał ją skontaktować. Uduślił ją, kiedy sączyli szampana, dotknięty do żywego, że tak się napaliła na tego pieprzonego Davida.

Sophie Héger też miała w sobie coś z Simone. Jasnowłosa, piękna, naturalna na planie filmowym w Namurze. Niestety, nie odstępował jej na krok pajacowaty reżyser i musiał się zadowolić głupawą kelnerką, żeby przynajmniej częściowo rozładować nieznośne napięcie. Sophie nawet nie podejrzewała, jakie miała szczęście. Jeśli można nazwać szczęściem małżeństwo z takim błaznem. Ilekroć sobie wyobrażał, jak w ciemności rozkłada nogi przed Eskilem Lindem, czuł, że musi zaprosić na piknik jakąś dziewczynę. Dużo ich się przez lata uzbierało. We Francji, Belgii, Luksemburgu i Niemczech. I nikt nie wpadł na jego trop.

Pomijając to, że Simone umarła i nigdy nie wróci, wszystko wspaniale mu się układało aż do wernisazu wystawy jego fotografii w Brukseli, na który przyszedł brat Simone. Roger oczywiście nie poznał Erica, ale kiedy zostali sobie przedstawieni, nie mogło umknąć jego uwadze nazwisko i z dreszczem sentymentu uściśnął mu dłoń, tak podobną do silnych małych dłoni Simone. Dał mu swoją wizytówkę. Naturalnie popełnił błąd, powinien był pamiętać o sprycie Erica, o tym, że lubił zagadki, puzzle i szyfry i że wielokrotnie mu przeszkadzał podczas lektury Rodziny Thibault. Eric zaprosił go do siebie na cocktail party. Poszedł, żeby się ponapawać atmosferą Simone i zobaczyć, czy są po niej jakieś pamiątki. Były. Na ścianie wisiał jej oprawiony portret, a na półce stało dużo zdjęć. Spytał, kto to jest, i Eric, niczego nie podejrzewając, powiedział, że to jego siostra, która zmarła podczas wojny. Dodał, że sędzia śledcza, ta, o której ostatnio rozpisywały się gazety, jest córką najlepszej przyjaciółki jego siostry. I tak się dowiedział, że wredna Renée nie dość, że przeżyła obóz, to jeszcze wyszła za mąż i miała dziecko. Albo dzieci. Co nie było dane Simone. Może okazał zbyt ciekawość, bo Eric ponownie go zaprosił, tylko jego. I kiedy z uśmiechem powiedział: „Ty jesteś Roger de Wachter, prawda?”, wpadł w panikę, chwycił statuetkę w ciotowato zagraconym gabinecie i go zabił. Podejrzewał, że Eric znalazł zielony notes Simone. Pamiętał, co o nim napisała. „Wydaje mi się, że biedny Roger się we mnie kocha. Zaczyna się trochę naprzykrzać. Teraz chce, żebym zwracała się do niego per Jacques, jak do chłopca z powieści, którą ciągle czyta. Napisał mi o tym w liście”. Przeszukał mieszkanie, ale nie znalazł notesu, chociaż na pewno gdzieś musiał

być. Nagle przypomniał sobie o antykwariuszce poznanej na cocktail party, która wspomniała, że ma u siebie dwa kufry ze starymi ubraniami ze strychu Erica. Pomyślał, że to na pewno te ze skrytkami, w których on i Eric chowali różne rzeczy w czasach, kiedy był tak mały, że zabawy z Erikiem sprawiały mu większą przyjemność niż z Simone. Odszukał antykwariuszkę, powiedział, że interesują go dawne akcesoria podróżne, i usłyszał, że podarowała jeden stary kufer z zawartością pewnej dziewczynie z Vilvoorde. Podarowała kufer Vuittona z przełomu wieków? Nic dziwnego, że interes źle się kręcił! Kiedy zobaczył tę dziewczynę, od razu rozpoznał w niej Renée. Renée wróciła i wszystko zaczęło się psuć. Zlecenie na sesję zdjęciową dla amerykańskiej edycji „Elle”, dzięki któremu mógł pojechać do Villette, uznał za palec losu. W Villette była córka Renée. Nie miał pewności, czy Renée czegoś jej nie powiedziała. Postanowił się z nią spotkać, żeby się przekonać, czy nic mu z jej strony nie grozi. Właściwie nie planował żadnych pikników w Villette, ale kiedy zobaczył dziewczynę od kufra, czyli Renée, wysiadającą z taksówki przy Place de la Cathédrale, tak się zestresował, że natychmiast umówił się z jasnowłosą tancerką z procesji. To, że przyprowadziła dwie przyjaciółki, przydało sytuacji dodatkowej pikanterii. Wszystko poszło gładko. Jak zwykle poczuł się wzmocniony i radosny. Nietykalny. Potem się zaniepokoił, że Weiss, który chwalił się fotograficzną pamięcią, oprowadzając go po mieszkaniu Erica podczas cocktail party, mógł coś wywęszyć. Dlatego zwabił go do Villette i usunął, być może całkiem niepotrzebnie.

Nigdy jednak nie zapomniał, że Simone umarła z winy Renée i że Renée też musi umrzeć. Potem on odzyska spokój.

Martine biegła zygzakiem przez dziedziniec cytadeli, żeby zlokalizować Tatię i Jacques'a Martina. Za plecami słyszała stukot niskich czółenek Bernadette, a kątem oka zobaczyła Philippe'a idącego szybkim krokiem do innej części muru.

- Patrz - cicho powiedziała Bernadette. - Tam, po lewej.

Przez krótką chwilę Martine mignęła czyjaś głowa między blankami, blisko stromych schodów prowadzących na koronę. Pobieгла tam, wysoko zadzierając sukienkę. Stopnie były wysokie, trudne do pokonania, ba, wręcz niemożliwe do pokonania w butach na obcasie. Przystanąła w połowie schodów, zdjęła pantofle Renée i ruszyła przed siebie. Słyszała chrzęst drących się rajstop, nierówne kamienne stopnie raniły stopy, ale nareszcie nic nie spowalniało jej ruchów. Dotarła na górę. Tatia stała tyłem do prześwitu między blankami, Jacques Martin stał naprzeciwko niej. Opuścił ramiona i zaciskał dłonie.

Muszę udawać, że o niczym nie wiem, pomyślała. Podeszła do nich na krwawiących stopach.

- Dzień dobry, monsieur Martin! - powiedziała głośno i serdecznie. - Tatia tyle mi opowiadała o tej sesji fotograficznej, że postanowiłam poświęcić przerwę na lunch i popatrzeć. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam?

Jacques Martin odwrócił głowę. Czujny chłodny wzrok, rozszerzone źrenice. Przypominał drapieżnika.

Martine objęła bratanicę. Pod cienkim materiałem w groszki czuła jej strach. Tatia była sparaliżowana jak królik pod spojrzeniem węża.

Kiedyś zrobił wspólne zdjęcie Simone i Renée. Żartowały, śmiały się i wygłupiały. Nie dał po sobie poznać, że najchętniej fotografowałby tylko Simone. Teraz Simone znów stała obok Renée, jakby chciała ją chronić, akurat kiedy się zastanawiał, czy ją zadusić, czy zepchnąć. Bo to chyba była Simone? Na jej twarz padał cień, nie widział jej dokładnie, ale miała jasne włosy i dobrze mu znaną sukienkę, zieloną sukienkę Héléne, która zawsze bardzo się jej podobała i często ją nosiła, kiedy mama wyjechała z Erikiem do Szwajcarii.

Tak czy inaczej, Renée musi umrzeć. Simone nie miała pojęcia, że jej tak zwana przyjaciółka ją zdradziła, i kiedy poniesie zasłużoną karę, wytłumaczy ukochanej, że tylko on jest jej wierny i że nareszcie będą razem.

Martine przytuliła się do Tatii i uśmiechnęła, jakby pozowała do zdjęcia, tak jak rano, kiedy przeglądały się w lustrze.

- Jak podniosę głos - szepnęła, muskając wargami jej ucho - padnij na ziemię, podpełnij do schodów i jeśli będziesz musiała, sturlaj się, pomoc jest w drodze. - Dla dodania jej otuchy uściśnie ją i głośno, acz nienaturalnie, zwróciła się do Jacques'a Martina: - Ciekawe, gdzie się podziewa Sophie. Może zamiast tu sterczeć, powinniśmy jej poszukać?!

Tatia była zbyt wystraszona, żeby zareagować dostatecznie szybko. Zanim zdążyła przykucnąć, Jacques Martin przypadł do niej, chwycił za włosy i usiłował zaciągnąć do prześwitu między blankami. Krzyknęła rozdzierająco. Martine rzuciła się na ratunek. Wraziła mu łokieć w żebro i kolanem wymierzyła cios w krocze. Oczy, pomyślała, trzeba wbić palce w oczy, ale nie mogła się na to zdobyć.

Udało mu się podnieść Tatię, jego długie palce zaczęły się zaciskać na jej szyi. Martine z całych sił ugryzła go w rękę. Poczuła na języku słony smak krwi. Zwolnił chwyt, ale tylko na

ułamek sekundy. Tak był naładowany adrenaliną, że sygnały z receptorów bólu nie dotarły do mózgu.

W tym momencie pojawiła się Bernadette, rozjuszona lwica pod postacią flamandzkiej pani domu. Przeszła na czworakach po zewnętrznym murze, żeby jej nie zobaczył, błyskawicznie się wyprostowała, złapała go od tyłu w pasie i zadając mu celny cios kolaniem w krocze, naparła na niego całym ciałem. Martine znów go ugryzła i kiedy puścił Tatię, uderzyła go głową w brzuch, tuż powyżej upierścienionych dłoni Bernadette. Wspólnymi siłami udało im się go powalić i obezwładnić.

- Ręce precz od mojej córki - wydyszała Bernadette.

Wtedy nadbiegł Tony i na zboczu rozległy się syreny.

Philippe odchylił się na krzesło i w zadumie patrzył na Tatię. Siedziała z nim i Bernadette przy kawiarnianym stole. Czekali na lekarza, żeby ją zbadał. Na murze powiewała białoniebieska policyjna taśma. Jacques Martin potulnie zszedł do radiowozu, jakby nic do niego nie docierało. Martine udzieliła krótkich wywiadów dziennikarzom, którzy dowiedzieli się o akcji z policyjnego radia i od informatorów, i obiecała konferencję prasową za parę godzin. Teraz moczyła stopy w balii z ciepłą wodą, którą przyniosła życzliwa kierowniczka kawiarni.

Philippe pomyślał z autoironią, że w decydującym momencie nawalił na całej linii. Kiedy Bernadette walczyła z mordercą, ratując życie ich córki, wybrał nie te schody i na koronie natknął się na siatkę, odgradzającą zwietrzały fragment muru. Mógł się tylko bezradnie przyglądać, jak Martine i Bernadette próbują obezwładnić fotografa. Bernadette, flamandzka matrona, udowodniła, że potrafi prowadzić samochód i bić się jak prawdziwy facet. Miała rację, że jej nie doceniał. Ale to on wpadł na trop Jacques'a Martina alias Rogera de Wachtera i bez jego prywatnego śledztwa Bernadette nie pospieszyłaby Tatii na ratunek.

Pomyślał o poszukiwaniach Rogera de Wachtera i prawdy o tym, kto wydał Renée i Simone. To była podróż do jądra ciemności, w tym wypadku do ciemnej piwnicy, gdzie ojciec zamykał chłopca, żeby stał się mężczyzną. Podobnie jak Huguette Morin, Philippe potrafił wykrzesać w sobie iskierkę współczucia dla małego Rogera. Wprawdzie ledwie migoczącą i ledwie zauważalną w porównaniu z rozpalonym do czerwoności gniewem wobec zbrodni dorosłego Rogera, ale jednak. Gdyby Tatia zginęła, w jego sercu nie byłoby miejsca na nic innego prócz płonącej nienawiści. A ponieważ córka, cała i zdrowa, siedziała obok niego i jadła lody, iskierka nie zgasała.

Nagle z bezdennej głębi podświadomości wyłoniło się wspomnienie z dzieciństwa, wyraźne i ostre jak czarnobiała fotografia. Philippe miał pięć lat i przeżył wspaniały dzień. Pomógł Renée opiekować się roczną Martine, która bywała naprawdę nieznośna, i zaczął wyszywać kanwę z nadrukiem dwojga słodkich kociąt. Ale ojciec, komisarz policji, pierwszy piękny mężczyzna w mundurze, którego ubóstwiał, wcale się nie ucieszył, kiedy Philippe opowiedział mu o swoim wspaniałym dniu. Mimo że się nie odezwał, z jego miny Philippe wyczytał, że zrobił coś nie tak. Potem rodzice rozmawiali przyciszonymi głosami, domyślił się, że mówią o nim, raptem Renée podniosła głos i powiedziała coś, czego wtedy nie zrozumiał. Ale kiedy teraz przywołał jej słowa z zakamarków pamięci, rozumiał aż nadto dobrze. „Daj mi spokój, Gustave. Pozwól mi być sobą. Nienawidzę tresury, widziałam, czym to się może skończyć, widziałam, jaki miała wpływ na biednego Rogera. Widziałam zbyt wielu stuprocentowych mężczyzn i to, do czego są zdolni. Wolę mieć syna, który haftuje kotki”. Renée niejednego się domyślała - o nim i Rogerze de Wachterze - ale wybrała milczenie.

Tatia wyskrobała resztki nugatowych lodów i bitej śmietany z pucharka i wyłowila borówkę, którą sobie zostawiła na koniec. Wszyscy się o nią martwili po tym zamieszczeniu na murze i truli, że musi pojechać do szpitala. Tymczasem od dawna nie czuła się równie szczęśliwa. Po raz pierwszy od lat siedziała z obojgiem rodziców, którzy, o dziwo, ze sobą rozmawiali! W jakiś niepojęty sposób razem przyjechali do Villette, żeby ją uratować przed obłąkanym mordercą, Jakiem Martinem. Cud nad cudy. W porównaniu z tym jej siniaki na szyi i obolała krtań to pryszcz.

Było coś jeszcze, z czego nikomu nie zamierzała się zwierzać. Kiedy Jacques Martin wbił w nią dzikie, zwierzęce spojrzenie i chwycił za włosy, ze strachu o mało nie narobiła w majtki. Dotarło do niej, że to on zabił Giovanniego i że teraz jej kolej. Ale ledwie poczuła jego palce na szyi, strach odpłynął, jakby się uaktywniła inna część mózgu. Popatrzyła na błękitne niebo, pomyślała o brązowej renesansowej kurtce Giovanniego i o tym, że powinna mieć na sobie coś podobnego i że leżeliby oboje obok siebie na rynku jak Romeo i Julia. Oczyma wyobraźni widziała brązowożółtą renesansową suknię, każdy najdrobniejszy detal, tak wyraźnie, że mogłaby ją narysować. Przypuszczalnie trwało to kilka sekund, które dla niej były wiecznością, jakby czas zwolnił. Przy pierwszej nadarzającej się okazji narysuje tę suknię. Może coś takiego miała na myśli Sophie, mówiąc o kawałku lodu w sercu.

Tatii bardziej niż kiedykolwiek zależało na pracy z Sophie. Nie będzie łatwo to przeforsować, zwłaszcza teraz, kiedy była o krok od śmierci i Philippe z Bernadette mogli stworzyć wspólny front, bo nagle zaczęli ze sobą rozmawiać. Tak czy inaczej, dopnie swego. Nikt jej nie powstrzyma. Uśmiechnęła się do Sophie.

Sophie odwzajemniła uśmiech i wypila łyk espresso. Miała lekkie wyrzuty sumienia, że zatrzymała Tony'ego na dziedzińcu, kiedy Martine i Bernadette pobiegły schodami na mur. Poprosiła go tylko, żeby jej wyjaśnił, co się dzieje, ale te pół minuty, które mu zajęła, mogło kosztować Tatię życie, gdyby Martine i Bernadette nie okazały się na tyle energiczne, żeby obezwładnić Jacques'a Martina bez niczyjej pomocy. Na szczęście wszystko dobrze się skończyło i nikt nie miał do niej pretensji. Tony nonszalancko położył rękę na oparciu jej krzesła i patrzył na nią tak, jakby to ona otarła się o śmierć.

Wciąż nie mogła zrozumieć, że mordercą jest Jacques Martin, którego poznała dwadzieścia siedem lat temu na planie filmowym w Namurze, i że przypuszczalnie już wtedy miał na swoim koncie kilka zabójstw. Dzięki Bogu, nie łączyła ich przyjaźń, tylko zwykłe, poprawne relacje zawodowe. I tylko wtedy miała wrażenie, że jest nią zainteresowany jako kobietą. Jego adoracja nie sprawiała jej przyjemności. Nie tylko dlatego, że bardziej pociągał ją Eskil Lind. W jego zalotach było coś niedojrzałego. Fotografował jak mężczyzna, a flirtował jak nastolatek. Czy Jacques Martin kiedykolwiek był z kobietą?

Philippe i Martine opowiedzieli jej pokrótce i fragmentarycznie o tym, jak każde z osobna trafiło na jego ślad. Jeśli niczego nie pokręciła, Jacques Martin wydał ich matkę Renée nazistom, gestapo wysłało ją do obozu koncentracyjnego, a teraz chciał udusić wnuczkę Renée, co udaremniła jej córka. Jest w tym coś teatralnego, pomyślała Sophie, długie cienie wojny nad trzema pokoleniami, rozpacz i zemsta. Coś z Szekspira albo z Oresteji Ajschylosa. Jak się dobrze zastanowić, dziedziniec cytadeli jest wręcz stworzony do inscenizacji teatralnych. Że też wcześniej tego nie zauważyła! Mur, schody, łukowe bramy, wejścia, wyjścia! Makbet? Otello? Super! Musi tylko sprawdzić akustykę, ale nie teraz, bo to miejsce przestępstwa. Martine na pewno będzie wiedziała, kiedy usuną niebieskobiałe taśmy.

Martine poruszała palcami w balii. Woda wystygła, przyjemnie chłodząc pokaleczone stopy. Zabrała zrzucone na schodach pantofle Renée, gdy kuśtykając, zeszła na dziedziniec za policjantami, którzy prowadzili zakutego w kajdanki Jacques'a Martina, i za Tonym, który znosił Tatię, z Bernadette u boku, wydającą z siebie matczyne okrzyki. Kiedy z pantoflami Renée w

ręku odpowiedziała na pytania dziennikarzy, zadzwoniła do Thomasa, żeby przywiózł jej do cytadeli rajstopy i czarne buty od Magliego.

Była skonana. Po ekstremalnej kumulacji energii poziom adrenaliny zaczął opadać. Znalazła mordercę Nadii, Peggy i Sabriny i schwytała go, zanim odsunięto ją od śledztwa. Do oskarżenia Jacques'a Martina o potrójne zabójstwo jeszcze daleka droga, ale teraz będzie musiała przekazać prowadzenie sprawy innemu sędziemu. Nie mogłaby merytorycznie i bezstronnie przesłuchiwać kogoś, kogo ugryzła w rękę, kiedy dusił jej bratanicę.

Najważniejsze, że to ona i tylko ona wszystko wyjaśniła. I po raz pierwszy cieszyła się na konferencję prasową.

Wróciła myślami do tego, co usłyszała od Philippe'a. Nie mieściło jej się w głowie, że europejski seryjny morderca, którego szukała, zesłał Simone i jej matkę do obozu koncentracyjnego. To on zrobił zdjęcie, które znalazła Tatia, a potem zadenuncjował te dwie uśmiechnięte dziewczyny, skazał na więzienie i śmierć. Nie przypadkiem przyjechał do Villette. Jego haniebnny czyn zaważył nie tylko na jego życiu, ucierpiała ona, Philippe i Tatia. W końcu musiał nadejść dzień zapłaty. Pochwyciła spojrzenie Jacques'a Martina, kiedy zaciskał dłoń na szyi Tatii. Było błędne i nieobecne, jakby nie wiedział, gdzie jest ani kogo dusi. Może mu się wydawało, że Tatia w sukience z lat czterdziestych to Renée, która wróciła po latach. Emanacja przeszłości, którą musiał w sobie zabić.

Ale Martine mu przeszkodziła. Zdjęła pantofle Renée i przeszkodziła człowiekowi, który zadenuncjował Renée, w zamordowaniu wnuczki Renée. Widzisz, mamó, pomyślała, miałam rację. Wybrałam własną drogę, dzięki czemu uratowałam córkę Philippe'a i zatrzymałam człowieka, który wydał twoją przyjaciółkę na śmierć.

Oczyrna wyobraźni zobaczyła, jak surowe rysy matki, takiej, jaką zapamiętała, powoli się wygladzają i wylania się twarz uśmiechniętej dziewczyny z czarnobiałej fotografii.